NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ALEX KAVA

ŁOWCA DUSZ

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

Łowca dusz

Tłumaczenie:
Katarzyna Ciążyńska

Strzeż się łowcy dusz,
Który zjawia się w błysku światła.

Nie wierz jego słowom.

Nie patrz mu w oczy.

Bo skradnie ci duszę.
Uwięzi ją na wieczność całą
W małym czarnym pudełku.

Anonim

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Środa
20 listopada
Okręg Suffolk, Massachusetts
nad rzeką Neponset

Eric Pratt oparł głowę o ścianę. Niszczejący tynk pękał i kruszył się, a jego drobiny wpadały mu za kołnierz koszuli, przyklejając się do mokrego od potu karku niczym robactwo, które usiłuje wpełznąć pod skórę. Na zewnątrz zrobiło się cicho – za cicho – bo ta cisza przemielała sekundy w minuty, minuty zaś w wieczność. Czego oni tam szukają, do jasnej cholery? Przynajmniej wreszcie przestali walić światłem latarek po brudnych szybach.

Zmrużył oczy, żeby wypatrzyć garbate cienie swoich towarzyszy. Tkwili rozproszeni po całym pomieszczeniu, wyczerpani i spięci, a mimo to wciąż w pogotowiu. O zmierzchu ledwie ich widział, za to czuł zapach: kłujący nozdrza odór potu zmieszany z czymś, co rozpoznał jako smród strachu.

„Wolność słowa. Wolność od strachu”.

I gdzież się teraz podziewa owa wolność? Gówno! Wszystko to wielkie gówno! Dlaczego tak późno to zrozumiał?

Zwolnił uścisk dłoni, w których trzymał karabin szturmowy AR-15. Podczas ostatniej godziny dziwnie nabrał wagi, ale tylko on dawał jako takie poczucie bezpieczeństwa. Wstyd mu było, że z bronią czuje się pewniej, niż słuchając modlitwy z ust mamroczącego Davida czy słów pokrzepienia przekazywanych przez Ojca za pomocą aparatu nadawczo-odbiorczego. Zresztą jedno i drugie urwało się przed wielu godzinami.

No i w ogóle jaki pożytek ze słów, zwłaszcza w takiej sytuacji? Jaką mają moc teraz, gdy całą szóstką znaleźli się w pułapce w tym domu letniskowym? Gdy otaczają ich lasy najeżone agentami FBI i ATF [1]? Jakie słowa zdołałyby uchronić ich przed gradem kul, skoro spadli na nich żołnierze szatana? Wróg się zjawił, jak przepowiedział to Ojciec, i żadne słowa go nie powstrzymają. Trzeba by czegoś więcej, żeby to osiągnąć. Słowa to bezcelowe, niedorzeczne gówno!

I co z tego, że Bóg słucha tych bluźnierczych myśli? Niech słucha. I tak nic gorszego nie może już mu zrobić. Bo niby co?

Eric uniósł lufę i przytknął ją do policzka. Chłodny metal przynosił spokój i pewność siebie.

„Zabij albo zostaniesz zabity”.

Tak, akurat te słowa rozumiał i nadal im wierzył. Kiedy znów oparł głowę o ścianę, na włosy spadł mu skruszały tynk. Wciąż przypominał Ericowi robactwo, wszy, które zagrzebują się w tłustej skórze głowy. Zamknął oczy, żałując, że nie potrafi odstrzelić sobie mózgu. Może by tyle

nie myślał. Co się kryje za tą pieprzoną ciszą? Co oni tam robią, do diabła? Wstrzymał oddech i zamienił się w słuch.

Z pompy w rogu nieprzerwanie kapała woda. Gdzieś tam w innym kącie zegar odmierzał głośno sekundy. Na zewnątrz jakaś gałąź skrobała o dach. Powiał chłodny wietrzyk, który dostał się do środka przez popękane szyby, niosąc ze sobą zapach sosnowych igieł i szelest liści. Natychmiast przypomniało mu to grzechot kości w tekturowym pudełku.

„I tyle tylko zostało. Po prostu pudełko kości”.

Kości i stary popielaty podkoszulek, podkoszulek Justina. Tyle właśnie zostało po jego bracie. Ojciec wręczył mu to pudełko, oznajmiając, że Justin był za słaby. Że za słabo wierzył. Że tak właśnie kończą ci, którzy nie wierzą.

Eric nie mógł pozbyć się obrazu białych kości, wyczyszczonych do cna przez dzikie wygłodniałe zwierzęta. Nie był w stanie znieść myśli, że niedźwiedzie albo kojoty – a może jedne i drugie – walczyły o to mięso, warcząc i rwąc je na strzępy. I jak on ma żyć z tymi koszmarnymi wyrzutami sumienia? Dlaczego pozwolił, żeby do tego doszło? Justin zamienił się w proch, w związki chemiczne, próbując go ratować, przekonując do wyjazdu. A jak on, Eric, mu się odwdzięczył? Nie powinien był dopuścić, żeby Ojciec odprawił rytuał inicjacyjny. Powinni byli zwiewać jak najdalej, gdy było to jeszcze możliwe. Bo jaką szansę ma teraz przed sobą? Czy nie wystarczy, że po bracie zostało tylko pudełko kości?

Wstrząsnął nim dreszcz. Wzdrygnął się i otworzył oczy, by sprawdzić, czy nikt niczego nie zauważył. Miał jednak przed sobą tylko ciemność, która całkiem pochłonęła wnętrze domu.

– Co się dzieje? – zaskrzypiał jakiś głos.

Eric poderwał się na nogi i zaraz przyczaił się w kucki, szykując karabin do strzału. Dostrzegał zamaszyste, sztywne ruchy pozostałych; panika postukiwała w metalicznym rytmie, kiedy naprędce sposobili broń.

– Davidzie, co się tam dzieje? – odezwał się znowu ten sam głos, tym razem łagodniej; towarzyszyły mu trzaski fal radiowych.

Eric wypuścił powietrze i nabrał go, wstał i osunął się wzdłuż ściany, patrząc, jak David czołga się w stronę aparatu nadawczo-odbiorczego.

– Ciągle tu jesteśmy – wyszeptał David. – Mają nas...

– Czekajcie spokojnie – przerwał mu głos. – Mary będzie u was za piętnaście minut.

Zapadła cisza. Eric zastanawiał się, czy którykolwiek z jego towarzyszy uznał zaszyfrowaną wiadomość Ojca za absurd. A może któregoś przynajmniej zdziwiła i oburzyła? Wtedy usłyszał, jak David przekręca pokrętło, zmieniając kanał na piętnasty.

W pomieszczeniu ponownie zapanowała cisza. Eric widział, jak pozostali zbliżają się do aparatu, z niecierpliwością wyczekując na płynące z niego polecenia, a może nawet jakąś boską interwencję. David też chyba na coś czekał. Eric chętnie zobaczyłby jego twarz. Czy boi się

na równi z innymi? A może w dalszym ciągu odgrywa rolę nieustraszonego przywódcy tej spartaczonej, nieprzemyślanej misji?

– Davidzie – zatrzeszczał głos z aparatu. Kanał piętnasty był bardzo źle słyszalny.

– Jesteśmy tu, Ojcze – odparł David z wyraźnym drżeniem.

Eric czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Jeżeli David się boi, to znaczy, że jest gorzej, niż im się wydaje.

– Jaka sytuacja?

– Jesteśmy otoczeni. Na razie nie było wymiany ognia. – David urwał i zakasłał, żeby jakoś dać upust lękowi. – Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia, musimy się poddać.

Na Erica spłynęła nadzieja. Rozejrzał się szybko, wdzięczny, że kryje go ciemność, wdzięczny, że koledzy nie widzą jego ulgi, nie widzą tej jego zdrady. Odłożył broń. Rozluźnił mięśnie. Tak, oczywiście, nie ma innego wyjścia, należy się poddać. To jedyna szansa. Poddadzą się i ten koszmar wreszcie dobiegnie kresu.

Nie pamiętał już nawet, jak długo to trwa. Od wielu godzin huczało na zewnątrz z głośnika. Reflektory zalewały dom oślepiającym światłem. A tam, wewnątrz, aparat warczał głosem Ojca, który wciąż przypominał im o bezwzględnej konieczności zachowania odwagi. Eric pomyślał, że odwagę i głupotę dzieli bardzo cienka linia.

Wtem zdał sobie sprawę, że Ojciec długo nie odpowiada. Zesztywniał, wstrzymał oddech i zamienił się w słuch. Na dworze szemrały liście. Coś się poruszyło albo wyobraźnia

płata mu głupie figle. Czyżby wyczerpanie przeszło w stan paranoiczny?

I w tej właśnie chwili Ojciec szepnął:

– Jeśli się poddacie, będą was torturować. – To brzmiało wciąż tajemniczo, choć wypowiedziane zostało miękko, ze spokojem. – Nie pozwolą wam żyć. Przypomnijcie sobie Waco [2], przypomnijcie sobie Ruby Ridge [3]. – Zamilkł, a oni czekali jak zawieszeni na nitce, z nadzieją na jakąś konkretną instrukcję, a przynajmniej na słowa pocieszenia. Gdzie się podziały te wszystkie potężne zaklęcia, które potrafią leczyć i chronić przed złem?

Do uszu Erica dobiegł trzask złamanej gałęzi. Natychmiast chwycił za broń. Pozostali także to usłyszeli i szybko przeczołgali się po drewnianej podłodze, wracając na swoje stanowiska.

Eric nie zwracał uwagi na denerwujący łomot własnego serca. Krople potu spływały mu po plecach, a palce trzęsły się tak bardzo, że trzymał je z dala od spustu. Czy snajperzy zajęli już swoje pozycje? Albo, co gorsza, może agenci szykują się do podpalenia domu, tak samo, jak zrobili w Waco? Ojciec ostrzegał ich przed płomieniami szatana. Biorąc pod uwagę ilość materiałów wybuchowych, które składowali w piwnicy pod drewnianą podłogą, w ciągu kilku sekund znaleźliby się w niezłym piekle. I to bez drogi ucieczki.

Po raz kolejny światło reflektorów uderzyło w szyby.

Wszyscy pochowali się jak szczury, wciskając się we własne cienie. Eric niechcący uderzył strzelbą o kolano

i osunął się po ścianie. Dostał gęsiej skórki. Jego nerwy znajdowały się na granicy wytrzymałości, serce tłukło się o żebra, nie pozwalając swobodnie oddychać.

– No i znowu – mruknął, gdy z głośnika na zewnątrz ryknął jakiś głos.

– Nie strzelać. Mówi agent specjalny Richard Delaney z FBI. Chcę tylko z wami porozmawiać. Może uda nam się rozwiązać to nieporozumienie bez użycia kul.

Eric miał chęć wybuchnąć śmiechem. Kolejne gówniane bzdury. Ale żeby się zaśmiać, musiałby się ruszyć, a on niczym tknięty paraliżem tkwił przyklejony do ściany, i tylko zaciśnięte na karabinie ręce mu drżały. Dałby głowę, że chodzi o kule, a nie żadne tam słowa. Już nie.

David odsunął się od aparatu nadawczo-odbiorczego i z bronią luźno spuszczoną u boku podszedł do frontowego okna. A ten co znowu wyprawia? Eric dojrzał jego twarz w świetle reflektorów. Spokojne oblicze Davida przyprawiło go o kolejną falę lęku.

– Nie pozwólcie schwytać się żywcem – skrzypiał tymczasem głos Ojca. – Jesteście bohaterami, dzielnymi wojownikami. Sami wiecie, co trzeba zrobić.

David kroczył w stronę okna, jakby niczego nie słyszał, jakby stracił słuch. Zahipnotyzowany oślepiającą jasnością, przystanął. Wysoki i szczupły, w aureoli światła przypominał Ericowi podobizny świętych z katechizmu.

– Dajcie nam minutę! – krzyknął David. – Potem wyjdziemy, panie Delaney, i porozmawiamy. Ale tylko z panem, z nikim innym.

Zanim David wyjął z kieszeni kurtki plastikowy woreczek, Eric zorientował się, że to kłamstwo i że nie będzie żadnego spotkania ani rozmowy. Na widok czerwono-białych kapsułek zakręciło mu się w głowie. Nie, to chyba sen. Musi być jakieś inne wyjście. Nie chce jeszcze umierać. Nie teraz, nie w taki sposób.

– Pamiętajcie, że taka śmierć to śmierć honorowa. – Głos płynął sobie gładki i czysty, zupełnie jakby Ojciec stał tuż obok nich i właśnie komentował myśli Erica. – Jesteście bohaterami, każdy z was jest bohaterem. Szatan nie ma do was dostępu.

Pozostali ustawili się w kolejce jak barany idące na rzeź, każdy pobrał śmiertelną kapsułkę i trzymał ją w dłoni z szacunkiem niczym hostię. Nikt się nie sprzeciwił. Na ich twarzach widniał wyraz ulgi, która nadeszła na skutek przedawkowanego strachu i zmęczenia.

Eric tkwił w miejscu, unieruchomiony przez konwulsje paniki. Kolana miał tak miękkie, że nie mógł się podnieść na nogi. Ściskał karabin, trzymając się go z całej siły, jakby było to jego ostatnie koło ratunkowe. David, zorientowawszy się w sytuacji, podszedł do niego i podał mu kapsułkę na wyciągniętej dłoni.

– W porządku, Eric. Połknij ją, nic nie poczujesz. – Jego głos był tak opanowany i pozbawiony wyrazu jak jego twarz. W oczach miał pustkę, jakby już uciekło z nich życie.

Eric wpatrywał się w maleńką kapsułkę, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Ubranie przykleiło mu się do ciała i nasiąknęło potem. A z radia wciąż sączył się ten sam głos:

– Czeka na was wszystkich o wiele lepszy świat. Nie obawiajcie się. Jesteście dzielnymi bojownikami, powodem naszej wielkiej dumy. Wasze poświęcenie uratuje setki innych.

Eric wziął kapsułkę drżącymi palcami, z wahaniem, które kazało Davidowi stać nad nim. David włożył swoją kapsułkę do ust i przełknął głośno, a potem czekał, aż to samo zrobią pozostali, w tym Eric. Ten ujrzał w oczach dowódcy, w jego ściągniętej twarzy, nadzwyczajny spokój. A może zżerał go już cyjanek potasu?

– A teraz wy – syknął David przez zaciśnięte zęby.

Wszyscy go posłuchali, Eric również.

Uradowany David wrócił do okna i zagrzmiał:

– Już w porządku, panie Delaney. Możemy z panem porozmawiać! – Potem podniósł broń i oparł ją na ramieniu.

Zgadując z ustawienia strzelby, Eric domyślał się, że David bez pudła trafi tego Delaneya w głowę i agent skończy życie, nim padnie na ziemię. A oni wszyscy zdechną, zanim David wystrzeli cały magazynek, a żołnierze szatana staranują drzwi domku letniskowego.

Eric, tak jak pozostali, leżał w oczekiwaniu na pierwszy strzał. Czekali, by cyjanek przedostał się z pustego żołądka do krwi. To nie powinno zająć więcej niż jakieś dziesięć minut. Liczyli na to, że zakończą życie, nim zaczną tracić oddech.

Wtem rozległ się strzał. Eric przyłożył policzek do zimnej podłogi. Czuł wibracje, słyszał trzask tłuczonego szkła i krzyki osłupienia na zewnątrz.

Gdy jego towarzysze czekali na śmierć, Eric Pratt po kryjomu wypluł ukrytą w ustach czerwono-białą kapsułkę. Nie, nie zamierza przemienić się w pudełko kości, jak stało się to z jego młodszym bratem. Woli podjąć ryzyko i spróbować swoich sił w walce z szatanem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Waszyngton

Obcasy pantofli Maggie O’Dell stukały po nędznym linoleum, zapowiadając jej nadejście. Jasno oświetlony korytarz, który przypominał pomalowany na biało betonowy tunel, ział pustką. Żadnych głosów, żadnych hałasów zza mijanych drzwi. Ochroniarz na parterze poznał ją, nim pokazała mu przepustkę, i puścił bez sprawdzenia dokumentu.

– Dzięki, Joe.

Odpowiedział jej uśmiechem, nie zorientowawszy się, że ukradkiem zerknęła na plakietkę z jego imieniem i nazwiskiem.

Zwolniła, żeby spojrzeć na zegarek. Do wschodu słońca brakowało jeszcze dwu godzin. Jej szef, dyrektor Kyle Cunningham, korzystając z telefonu, wyciągnął ją z łóżka. Zresztą nie była to jakaś wyjątkowa sytuacja. Jako agentka FBI Maggie przyzwyczajona była, że telefon dzwoni o każdej porze dnia i nocy. Nie było też nic dziwnego w tym, że szef wcale jej nie obudził, a jedynie przerwał beznadziejne miotanie się w pościeli. Znowu obudziły ją koszmary. Bank jej pamięci obfitował w znaczną liczbę krwawych, przewracających wnętrzności obrazów, które wystarczą jej chyba na całe lata. Na samą tę myśl zacisnęła

zęby, zdając sobie przy okazji sprawę, że idzie ze zwiniętymi w kułak, opuszczonymi po bokach dłońmi. Otworzyła je gwałtownie, wyprostowała palce i poruszyła nimi, jakby chciała je ukarać za to, że ją zdradzają.

Jedno było w każdym razie zaskakujące w telefonie Cunninghama: jego spięty i zdenerwowany głos, który z kolei stał się powodem zdenerwowania Maggie. Ten człowiek był wręcz uosobieniem opanowania i równowagi. Pracowała z nim od dziewięciu już prawie lat i odkąd pamiętała, zawsze mówił spokojnie, chłodno i rzeczowo. Nawet wtedy, gdy ją za coś upominał. Tym razem przysięgłaby, że słyszała lekkie drżenie w tym głosie, emocje, które musiały wypłynąć na powierzchnię. To wystarczyło, żeby ją poważnie zaniepokoić. Jeśli ta sprawa tak bardzo wyprowadziła Cunninghama z równowagi, to znaczy, że jest źle. Bardzo źle.

Podał jej przez telefon kilka faktów, choć było jeszcze za wcześnie na szczegóły. A więc gdzieś w stanie Massachusetts nad rzeką Neponset doszło do wymiany ognia między agentami FBI i ATF oraz grupą mężczyzn ukrywających się w domu letniskowym. Trzech agentów odniosło rany, jeden zginął. Pięciu podejrzanych z domu letniskowego nie żyje. Szósty, jedyny, który przeżył, został przewieziony do Bostonu i zamknięty w areszcie federalnym. Służby wywiadowcze nie wiedzą jeszcze, kim jest ten młody człowiek, co to za grupa ani w jakim celu zgromadziła arsenał broni. A także dlaczego ci ludzie strzelali do agentów, a potem odebrali sobie życie.

Dziesiątki agentów przeczesują dom i okoliczne lasy, szukając odpowiedzi na powyższe pytania. Cunningham został poproszony o niezwłoczne wykonanie analizy podejrzanych. Wysłał już na miejsce zbrodni zawodowego partnera Maggie, agenta specjalnego R.J. Tully'ego. Maggie, ze względu na swoje przygotowanie z zakresu medycyny sądowej, otrzymała polecenie udania się do miejskiej kostnicy, gdzie sześciu zmarłych – pięciu młodych mężczyzn z domu letniskowego i jeden agent – czekało, by opowiedzieć jej swoją tragiczną historię.

Podszedłszy do otwartych drzwi w końcu korytarza, zobaczyła ich. Czarne worki ułożone jeden obok drugiego na stołach z nierdzewnej stali, stwarzające pozór jakiegoś makabrycznego dzieła sztuki. Wyglądało to nawet zbyt dziwacznie, by było prawdziwe. Zupełnie jak jej życie ostatnimi czasy. Bywało, że z trudem odróżniała to, co rzeczywiste, od tego, co należało do jej rutynowych koszmarów.

Ze zdumieniem ujrzała Stana Wenhoffa, który ubrany w fartuch czekał na nią. Zazwyczaj Stan zostawiał nocne wezwania swoim kompetentnym i zdolnym asystentom.

– Dzień dobry, Stan.

– Uhm – powitał ją znajomym burknięciem, stając plecami do Maggie i oglądając slajdy we fluorescencyjnym świetle.

Tak, będzie teraz udawał, że to wcale nie ta pilna i poważna sprawa wyciągnęła go z pościeli, choć w innym wypadku bez wahania wezwałby swojego asystenta. I wcale nie zależało mu na tym, żeby osobiście dopilnować, by

wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. On po prostu nie mógł przepuścić okazji, by stać się obiektem zainteresowania mediów. Większość znanych Maggie koronerów i lekarzy medycyny sądowej byli to ludzie wyciszeni, poważni, czasem wręcz odludki. Większość, ale nie Stan Wenhoff, główny lekarz medycyny sądowej okręgu. Ten uwielbiał stawać w świetle reflektorów przed telewizyjnymi kamerami.

– Spóźniłaś się – warknął, tym razem zaszczycając ją spojrzeniem.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

– Uhm – powtórzył. Grubymi, spiczasto zakończonymi palcami wsadził slajdy z powrotem do pojemnika, a uczynił to z trzaskiem, który sygnalizował, jak bardzo jest niezadowolony.

Maggie go zignorowała. Zdjęła żakiet i sięgnęła do szafy, nie czekając na zaproszenie, którego się nie spodziewała. Miała na końcu języka, że Stan nie jest jedyną osobą, która wolałaby znajdować się w tej chwili gdzie indziej.

Związała plastikowy fartuch w talii, zastanawiając się jednocześnie, jaka część jej życia kierowana jest przez morderców, którzy zmuszają ją do zrywania się z łóżka w środku nocy i polowania na nich w zatopionych w księżycowym świetle lasach, wzdłuż wzburzonych posępnych rzek, na pastwiskach lub polach kukurydzy? Uświadomiła też sobie, że tym razem jednak dopisało jej szczęście. Przynajmniej tego wczesnego ranka jej stopy są suche i ciepłe, w przeciwieństwie do stóp agenta Tully’ego.

Kiedy odwróciła się od szafy, okazało się, że Stan rozpiął już suwak torby pierwszego klienta i właśnie rozchylał worek, uważając, by jego zawartość – w tym także płynna – nie wydostała się na zewnątrz. Maggie uderzyła młoda twarz chłopca, tak gładka, że nie zdążyła jeszcze poznać ostrza maszynki do golenia. Chłopak mógł mieć piętnaście, najwyżej szesnaście lat. Za młody, żeby pić alkohol i głosować, nawet prawo jazdy jeszcze mu się nie należało. Za to dość dorosły, żeby wiedzieć, jak zdobyć półautomatyczną broń i jak się nią posługiwać.

Chłopak miał bardzo spokojną twarz. Nie było na niej śladu krwi, żadnych zadrapań ani ran, siniaków, niczego, co tłumaczyłoby tę śmierć.

– Cunningham mówił mi, że popełnili samobójstwo, ale nie widzę śladów po kuli.

Stan wziął plastikowy woreczek z blatu za plecami i podał jej nad ciałem chłopca.

– Wypluł to ten, który przeżył. Podejrzewam, że to arszenik albo cyjanek. Prawdopodobnie cyjanek. Siedemdziesiąt pięć miligramów cyjanku potasu całkowicie wystarczy.

W woreczku znajdowała się czerwono-biała kapsułka. Maggie z łatwością zobaczyła na niej nazwę wytwórcy. Takie kapsułki sprzedawano bez recepty jako lek na ból głowy. W tej ktoś wymienił zawartość, posłużył się nią jako wygodnym opakowaniem.

– A więc byli przygotowani na taką ewentualność.

– Jak widać. Cholera, skąd tym gówniarzom przychodzą do głowy takie pomysły?

Maggie podejrzewała, że nie był to pomysł chłopców. Ktoś musiał ich do niego nakłonić, przekonać, że nie wolno im się poddać. I chyba zrobiła to ta sama osoba, która zgromadziła broń, wypełniła kapsułki śmiercionośnym środkiem i nie zawahała się dla nieznanej idei poświęcić życia młodych ludzi. Ktoś o wiele bardziej niebezpieczny niż ci chłopcy.

– Moglibyśmy zajrzeć do pozostałych, zanim zaczniemy autopsję?

Maggie starała się zadać to pytanie najzwyczajniejszym tonem. Chciała się przekonać, czy wszyscy chłopcy są biali, co potwierdzałoby jej wstępne podejrzenie, że mogli należeć do jakiejś grupy o zabarwieniu rasistowskim. Stan od razu się zgodził. Pewnie sam był ciekaw, co zobaczy.

Zabrał się do suwaka kolejnego worka, celując spiczastym palcem w Maggie.

– Ale najpierw włóż te okulary, na nic ci się nie przydadzą na czubku głowy.

Nienawidziła tego, ponieważ jednak Stan miał kompletnego bzika na punkcie regulaminu, musiała go posłuchać. Zsunęła ochronne okulary na nos i wciągnęła lateksowe rękawiczki. Rozsuwając trzeci zamek błyskawiczny, zerkała na worek, którym zajął się Stan. Potem spojrzała znowu na to, co miała przed sobą, i gwałtownie zabrała ręce, jakby coś ją ukąsiło.

– Jezu drogi! – Wlepiła wzrok w poszarzałą twarz mężczyzny, na której widniała idealnie okrągła dziura po kuli, nieduża i czarna na tle bladego czoła. Słyszała chlupot jakiegoś płynu, który na szczęście nie wylał się z worka.

– Co jest?

Wzdrygnęła się. Stan pochylił się nad zwłokami, starając się zobaczyć, co ją tak przeraziło.

– To pewnie ten agent. Mówili, że jeden zginął – oznajmił zniecierpliwiony.

Maggie cofnęła się parę kroków. Jej ciało zlał zimny pot, chwyciła się blatu, nie dowierzając własnym nogom. Stan patrzył na nią, tym razem zaniepokojony.

– Znam go – powiedziała tylko i rzuciła się w stronę umywalki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Suffolk, Massachusetts

R.J. Tully chorobliwie nie znosił furkotu śmigieł helikoptera. Nie chodzi nawet o to, że w ogóle bał się latać, ale lot tym właśnie wehikułem uświadamiał mu za każdym razem, że znajduje się dziesiątki metrów nad ziemią w czymś, co da się porównać wyłącznie do mydlanej bańki z silnikiem. Poza tym równie jazgotliwa maszyna po prostu nie może być bezpieczna, uważał. Z drugiej strony w duchu dziękował hałasowi za to, że uniemożliwia jakąkolwiek konwersację. Dyrektor Cunningham przez całą drogę był wyraźnie podenerwowany i przejęty. Fatalnie wpływało to na Tully'ego, który znał swego szefa od około roku. W ciągu tych wszystkich miesięcy jedynym wyrazem emocji Cunninghama była zmarszczka na czole. Ten facet nawet nie przeklinał.

Cunningham bawił się aparatem nadawczo-odbiorczym, usiłując zdobyć najświeższe informacje od zespołu, który znajdował się już na miejscu zbrodni. Jak na razie dowiedział się tylko tyle, że ciała zostały przewiezione samolotem do stolicy. W strzelaninie uczestniczył agent federalny, a zatem i śledztwo, w tym autopsja, miało być prowadzone pod nadzorem władz federalnych, a nie stanowych czy okręgowych. Dyrektor Mueller osobiście

nalegał, by ciała przetransportowano do stolicy, a zwłaszcza ciało zastrzelonego agenta FBI.

W dalszym ciągu nie ustalono tożsamości zmarłych. Tully doskonale zdawał sobie sprawę, że szef nie może usiedzieć spokojnie, ponieważ nie zna nazwiska zabitego agenta, z tego powodu bez przerwy obraca i tłamsi coś w ręku i bez ustanku przestawia swoje radio, jakby zmiana częstotliwości mogła przynieść mu nowe dane. Marzył o tym, żeby Cunningham znieruchomiał. Zdawało mu się bowiem, że każdy dodatkowy ruch wzmaga trzęsienie helikoptera, choć wiedział też, że z naukowego punktu widzenia nie miało to sensu. A jeśli jednak miało?

Pilot ściął czubki drzew, rozglądając się za miejscem nadającym się do lądowania. Tully starał się nie myśleć o grzechotaniu pod swoim siedzeniem, które podejrzanie nasuwało porównanie ze zgrzytem obluzowanej śruby. Usiłował więc sobie przypomnieć, czy zostawił dla Emmy dość pieniędzy na stole w kuchni. Czy to dziś córka ma jechać na tę szkolną wycieczkę? Czy może w czasie weekendu? Powinien sobie takie rzeczy zapisywać. A swoją drogą Emma jest już wystarczająco dorosła, żeby być odpowiedzialną i sama pamiętać o takich rzeczach. I właściwie dlaczego z czasem nie staje się łatwiej?

Odnosił ostatnio wrażenie, że całe to jego rodzicielstwo przychodzi mu z wielkim bólem. Jeżeli wycieczka ma się odbyć tego dnia, to może nie zaszkodzi, jeśli Emma czegoś się przy okazji nauczy? Jeżeli zostawił jej za mało pieniędzy, może ją to nareszcie przekona, żeby poszukać sobie jakiejś

dorywczej pracy? Skończyła przecież piętnaście lat. Kiedy Tully był w jej wieku, pracował po szkole i w czasie wakacji, nalewając benzynę na stacji Ozzie 66 za dwa dolary na godzinę. Czyżby świat uległ aż tak gwałtownej przemianie od czasów jego młodości? Zaraz, to było trzydzieści lat temu… Czy to możliwe, że to już trzydzieści lat?

Helikopter zaczął zniżać lot. Żołądek podszedł Tully'emu do gardła, natychmiast przywracając go do tu i teraz. Pilot postanowił wylądować na pasie trawy rozmiarów wycieraczki. Tully najchętniej zacisnąłby powieki. Zamiast tego wbił wzrok w rozdarcie na tyle skórzanego fotela pilota. Bez skutku. Widok gąbki i sprężyn przypomniał mu tylko o poluzowanych śrubach, które z hałasem turlają się pod jego siedzeniem. Zapewne koła odłączają się od helikoptera.

No i na domiar złego śmigłowiec siadł po kilku sekundach z podskokiem, werwą, łomotem i ostatnim fikołkiem żołądka Tully'ego, który pomyślał od razu o agentce O'Dell. Tak chętnie zamieniłby się z nią miejscami. Zaraz potem wyobraził sobie, jak przygląda się Wenhoffowi, który kroi ciała nieboszczyków. Odpowiedź okazała się prosta. Nie będzie się spierał. Wybiera helikopter, nawet taki z poluzowanymi śrubami.

Na spotkanie wyszedł im umundurowany żołnierz. Tully nie pomyślał o tym wcześniej, ale teraz wydało mu się całkiem logiczne, że Gwardia Narodowa z Massachusetts ochrania przepastny las. Tully i Cunningham zaczęli zbierać swoje manatki: kurtki przeciwdeszczowe, termosy i dwie

teczki, cały czas pochylając głowy, żeby uniknąć dekapitacji przez rozszalałe śmigło. Żołnierz czekał na nich, służbiście stojąc na baczność. Gdy znaleźli się wreszcie w bezpiecznym miejscu, Cunningham pomachał do pilota, a ten, nie czekając ani minuty, poderwał maszynę, rozdmuchując liście, które po chwili opadły niczym szeleszczący czerwonozłoty deszcz.

– Proszę za mną, zaprowadzę panów na miejsce – odezwał się żołnierz. Sięgnął po teczkę Cunninghama, z miejsca odgadując, kto tu jest ważniejszy.

Tully był pod wrażeniem, natomiast Cunningham nagle przestał się spieszyć, tylko powoli uniósł rękę.

– Muszę znać nazwiska – powiedział. Nie brzmiało to jak pytanie, raczej jak rozkaz.

– Nie jestem upoważniony...

– Rozumiem – przerwał zastępca dyrektora. – Obiecuję, że zachowam to dla siebie, ale jeśli zna pan nazwiska, muszę je poznać. Muszę je poznać w tej chwili.

Żołnierz stanął znów na baczność, bez jednego mrugnięcia wytrzymując wzrok Cunninghama. Zdawało się, że nie wyda żadnej tajemnicy. Cunningham wiedział, co mu za to grozi. Tully nie wierzył własnym uszom, gdy szef się odezwał:

– Proszę mi powiedzieć. – Wyrzekł to cicho, niemal przyjacielskim tonem.

Żołnierz musiał uzmysłowić sobie, jak daleko posunął się Cunningham w łamaniu pragmatyki służbowej. Zmienił pozycję, jego twarz złagodniała.

– Naprawdę nie mogę podać panu wszystkich nazwisk. Powiem tylko, że ten zabity agent nazywał się Delaney.

– Richard Delaney?

– Tak, sir. Tak mi się zdaje. Przybył tu z grupą uderzeniową do ratowania zakładników, był negocjatorem. Słyszałem, że zgodzili się z nim rozmawiać. Zaprosili go do tego domu, a zaraz potem otworzyli ogień. Sukinsyny. Przepraszam, sir.

– Nie musi pan przepraszać. Dziękuję za informację.

Żołnierz odwrócił się i poprowadził ich między drzewami. Tully patrzył z przerażeniem na szefa. Jego twarz zbladła śmiertelnie, szedł nie jak zwykle wyprostowany, lecz lekko utykając, z pochylonymi plecami.

Zerknął na agenta.

– Spieprzyłem sprawę – powiedział cicho. – Właśnie wysłałem agentkę O’Dell na autopsję jej przyjaciela.

Tully zrozumiał wtedy, że ta sprawa będzie inna. Fakt, że Cunningham wypowiedział jednego dnia, i to w ciągu jednej i tej samej godziny, dwa słowa: „proszę” i „spieprzyłem”, nie wróżył dobrze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Maggie wzięła zimny zmoczony ręcznik, który podał jej Stan, unikając wciąż jego wzroku. Wystarczył jej rzut oka, by stwierdzić, że się nią przejął, a nawet poważnie zmartwił. Miękki, puszysty ręcznik był zapewne prywatną własnością koronera, praną w domu, bo nie śmierdział cloroksem jak wszystkie inne ręczniki w tym miejscu. Pomyślała, że ten gość ma obsesję na punkcie czystości, pozornie paradoksalną w zderzeniu z jego profesją, która owocuje codzienną dawką krwi i ludzkich organów. Milczała jednak. Bez słowa przyjęła od niego ręcznik i wtuliła twarz w zimną, pluszową miękkość, czekając, aż miną nudności.

Nie zdarzyło jej się wymiotować na widok nieboszczyka od czasów inicjacji zawodowej w Pomocniczym Wydziale Dochodzeniowym. Wciąż miała w pamięci pierwsze miejsce zbrodni, z którym się zetknęła: podwójna przyczepa kempingowa, duchota, plaga much, a na ścianach wąskie i długie jak spaghetti smugi krwi. Ten, do kogo należała owa krew, został pozbawiony głowy i wisiał nogami do góry przywiązany do haka w suficie. Niczym kurczak, który ma ocieknąć przed gotowaniem, ale wciąż się rusza, co wyjaśniało, dlaczego powstały krwawe strumienie na ścianie. Od tamtej pory widziała już mnóstwo podobnych, jeśli nie gorszych scen: części ludzkiego ciała

w pojemnikach na jedzenie na wynos albo pokawałkowanych małoletnich chłopców. Jednego los jej dotąd oszczędził, do jednego nie była dotychczas zmuszona. Nigdy do tej pory nie musiała patrzeć na worek wypełniony krwią, płynami ustrojowymi i mózgiem swojego przyjaciela.

– Cunningham powinien był cię uprzedzić – stwierdził Stan, patrząc na nią z drugiego końca pomieszczenia, trzymając się z daleka, jakby jej stan był zaraźliwy.

– Nie wiedział, na pewno nie wiedział. Kiedy do mnie dzwonił, dopiero wyjeżdżali z Tullym.

– Ale teraz na pewno zrozumie, że nie będziesz brała udziału w autopsji. – Mówił to z ulgą, a nawet z zadowoleniem, że jej cień nie będzie nad nim wisiał cały ranek.

Maggie uśmiechnęła się pod ręcznikiem. Stary dobry Stan nareszcie jest znowu sobą.

– Przygotuję ci kopie raportów z autopsji na jutro do południa.

Mył swoje bezcenne ręce, jakby zabrudził je, przygotowując dla niej wilgotny ręcznik.

Chęć ucieczki była wszechogarniająca, również z powodu pustego żołądka, który podjeżdżał jej wciąż do gardła. Z drugiej strony coś nie dawało jej spokoju. Miała w pamięci pewien wczesny ranek w pokoju hotelowym w Kansas City, niecały rok wcześniej. Agent specjalny Richard Delaney był do tego stopnia zatroskany o jej równowagę psychiczną, że nie wahał się zaryzykować ich przyjaźni, by przekonać się, że nic jej nie grozi. Przez pięć

miesięcy Delaney i agent Preston Turner grali role jej goryli, chroniąc ją przed prawdziwym potworem, seryjnym zabójcą Albertem Stuckym. Aż wreszcie doszło do owej porannej konfrontacji, podczas której Delaney stanął do walki z jej uporem. Zrobił tak tylko dlatego, że chciał ją chronić.

Ona jednak nie przyjmowała do wiadomości motywów jego działania. Nie chciała dostrzec, że próbuje, i to po raz wtóry, odegrać rolę zatroskanego starszego brata. Nie, ona była na niego wściekła jak diabli. Prawdę mówiąc, tamtego właśnie dnia rozmawiała z nim po raz ostatni. Teraz leżał w czarnym nylonowym worku i nie mogła go już przeprosić za swoją zawziętość i niesprawiedliwą ocenę jego intencji. Jedyne, co mogła jeszcze dla niego zrobić, to dopilnować, by okazano mu należny szacunek. Była mu to winna, mimo że zbierało jej się na wymioty.

– Nic mi nie będzie – oznajmiła.

Stan zerknął na nią przez ramię, szykując lśniące czystością instrumenty do autopsji pierwszego chłopca.

– Jasne, że nie.

– Nie zrozumiałeś, ja tu zostaję.

Aż jęknął głośno pod ochronną maską, lecz Maggie była całkowicie przekonana o słuszności swojej decyzji. Gdyby jeszcze jej żołądek okazał się bardziej posłuszny.

– Znaleźli zużyte naboje? – spytała, wciągając nową parę rękawiczek.

– Tak. Leżą ma blacie w woreczku. Wygląda na karabin o dużym zasięgu. Jeszcze się dokładnie nie przyjrzałem.

– Więc nie ma wątpliwości co do przyczyny śmierci?

– Nie, żadnych. Nie ma co doszukiwać się Bóg wie czego.

– I nie pomylono się, oceniając, czy rana jest po wejściu czy po wyjściu kuli?

– Nie. Zresztą to łatwo sprawdzić.

– Świetnie. W takim razie nie będziemy musieli go kroić. Możemy przygotować raport na podstawie zewnętrznych oznak.

Tym razem Stan znieruchomiał, po czym obrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Margaret, mam nadzieję, że nie sugerujesz, żebym odstąpił od pełnej autopsji.

– Niczego nie sugeruję.

Uspokoił się i wziął do ręki narzędzia.

– Nie sugeruję tego – dodała. – Ja naciskam, żebyś tego nie robił. Wierz mi, będziesz żałował, jeśli mnie nie posłuchasz.

Udała, że nie widzi jego wzroku, tylko rozsunęła do końca zamek błyskawiczny worka, w którym leżał agent Delaney, modląc się w duchu, żeby się utrzymać na nogach. Pomyślała o Karen, żonie Delaneya, która nienawidziła jego pracy równie mocno jak Greg, już prawie były mąż Maggie, nie cierpiał jej zajęcia. Lecz Delaney nie wyobrażał sobie życia poza firmą, a teraz Maggie zamartwiała się o Karen i jej dwie małe córeczki, które będą rosły bez ojca. Gdyby mogła zrobić tylko jedno, postarałaby się, żeby te dwie dziewczynki nie zobaczyły Richarda okaleczonego bardziej niż to absolutnie konieczne.

Te myśli przywołały wspomnienia jej ojca, spoczywającego w ogromnej mahoniowej trumnie, w brązowym garniturze, w którym Maggie nigdy wcześniej go nie widziała. Włosy uczesane miał też inaczej niż zwykle. Pracownicy kostnicy pomalowali mu twarz, by za pomocą makijażu stworzyć pozory, że nie cała skóra została spalona, ale to nie wystarczyło. Maggie, wówczas dwunastoletnią dziewczynkę, przeraził widok ojca, a woń intensywnych perfum, zmieszana z zapachem popiołu i zwęglonego ciała, przyprawiła ją o mdłości. Ten zapach. Nie ma nic gorszego niż zapach spalonego ciała. Boże! Wciąż go czuje. Nie pomogły nawet słowa księdza, który powiedział: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”.

Ten zapach, te słowa i widok ojca powracały do niej tygodniami w koszmarnych snach, kiedy starała się przypomnieć sobie, jak wyglądał, zanim znalazł się w trumnie, nim jego postać w jej pamięci zamieniła się w proch.

Pamiętała, jak bardzo wstrząsnął nią tamten obraz. Pamiętała fałdy pomarszczonej folii pod ubraniem, obandażowane ręce, które wyglądały jak ręce mumii, ułożone prosto wzdłuż boków. Pamiętała, że zaniepokoiła się pęcherzem na policzku ojca.

– To cię boli, tatusiu? – spytała szeptem.

Poczekała, aż jej matka i pozostali żałobnicy odwrócą wzrok. Wtedy zebrała całą swoją dziecięcą odwagę i siłę i dotknęła krawędzi gładkiego, lśniącego drewna i satynowego posłania. Potem palcami odgarnęła ojcu włosy

z czoła, udając, że jego skóra nie przypomina w dotyku sztucznego tworzywa i nie zauważając okropnej szramy na czaszce, zupełnie jak u Frankensteina. Potwornie się bała, ale musiała poprawić mu włosy. Musiała je zaczesać, tak jak lubił, tak jak go pamiętała. Chciała zachować go w pamięci takiego, jakiego znała. To drobiazg, głupstwo, ale dzięki temu poczuła się lepiej.

Teraz, spoglądając na spokojną, poszarzałą twarz Delaneya, Maggie wiedziała, że musi zrobić wszystko, co tylko się da, żeby pewne dwie małe dziewczynki nie przeżyły szoku, patrząc po raz ostatni w twarz swojego ojca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Suffolk, Massachusetts

Eric Pratt przyglądał się dwu mężczyznom, zastanawiając się, który z nich go zabije. Siedzieli naprzeciw niego, tak blisko, że niemal dotykali go kolanami. Tak blisko, że bez trudu zauważył, jak starszy z nich zaciska szczękę, gdy przestaje żuć. Żuł miętową gumę. Z całą pewnością wbijał zęby w mocno miętową gumę. I zgrzytał zębami.

Żaden z nich nie wyglądał na szatana. Przedstawili się jako Tully i Cunningham. Eric zdołał to usłyszeć, mimo mgły zaciemniającej mu umysł. Obaj mężczyźni byli krótko ostrzyżeni i mieli czyste paznokcie. Starszy nosił nawet takie idiotyczne okulary w drucianych oprawkach. Nie, w żadnym wypadku nie spodziewał się czegoś takiego po szatanie. Ci dwaj ubrani byli w granatowe kurtki z żółtym napisem FBI, tak samo jak tamci, którzy czołgali się po podłodze domu letniskowego i przeczesywali las.

Młodszy miał luźno związany niebieski krawat i rozchylony kołnierzyk. Czerwony krawat tego drugiego był z kolei zaciśnięty pod zapiętym pod szyję kołnierzykiem śnieżnobiałej koszuli. Czerwień, biel i granat, i te plecy ozdobione rządowymi literami. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Oczywiście, przecież szatan zawsze przychodzi w przebraniu, odziany w symboliczne barwy.

Ojciec miał rację. Tak, jasna sprawa, że miał rację. Dlaczego w niego zwątpił? Powinien był go słuchać, a nie wątpić, nie ryzykować spotkania z wrogiem. Jakiż z niego dureń!

Eric podrapał się w głowę, w jego czaszkę w dalszym ciągu wbijały się wszy. Wciąż głębiej i głębiej. Czy żołnierze szatana nic nie słyszą? A może to oni kazali tym wyobrażonym wszom kopać tunel w jego czaszce? Szatan ma w końcu swoją moc. Niewiarygodną moc, którą może przekazać swoim żołnierzom i dzięki której może zadawać ból, samemu nawet nie dotykając.

Ten o nazwisku Tully właśnie coś do niego mówił. Jego wargi poruszały się, patrzył mu prosto w oczy. Eric już dawno wyłączył odbiór, wiele godzin temu. A może i wiele dni? Stracił rachubę czasu. Nie pamiętał, jak długo przebywał w domu letniskowym ani jak długo siedzi na tym twardym krześle i czeka, aż zaczną się wreszcie nieuniknione tortury. Stracił poczucie czasu, ale wiedział dokładnie, kiedy jego system zaczął się zamykać. Znał tę określoną sekundę, w której jego umysł się wyłączył. To nastąpiło wtedy, gdy David upadł na podłogę z hukiem, który kazał Ericowi otworzyć oczy. Okazało się wówczas, że patrzy prosto w oczy Davida, że ich twarze dzielą ledwie centymetry.

Jego przyjaciel miał otwarte usta. Ericowi zdawało się, że słyszy słaby szept, ledwie trzy słowa, nie więcej. Może mu się tylko wydawało, że w oczach Davida była pustka? David powiedział: „On nas przechytrzył”. Na pewno się

przesłyszał. Szatan ich wcale nie przechytrzył. To oni okazali się sprytniejsi, czyż nie tak?

Wtem tamci mężczyźni zaczęli się podnosić z podłogi. Eric zacisnął pięści, skulił ramiona, spuścił głowę. Nie padły żadne razy, nie wystrzeliły żadne kule, nie zadano mu żadnej rany. Mówili jeden przez drugiego, przekrzykując się histerycznie, a ich głosy przenikały przez mur, którym się otoczył.

– Musimy stąd wyjść, i to natychmiast.

Eric zakręcił się na krześle, i w tej samej chwili jeden z mężczyzn wziął go pod pachy i zaczął ciągnąć na zewnątrz. Zobaczył tego drugiego, który z jakimś dziwacznym ustrojstwem na głowie wydobył się spod desek podłogi. No jasne, znaleźli ich ukryty arsenał. Ojciec będzie zawiedziony. Ta broń jest im potrzebna do walki z szatanem. Ich misja się nie powiodła, nie zdołali przenieść broni do obozu. Tak, Ojciec będzie bardzo rozczarowany. Wszystkich zawiedli. Może jeszcze ktoś straci życie, bo cała ta broń, którą gromadzili przez wiele miesięcy, zostanie skonfiskowana i znajdzie się pod kontrolą szatana. Wiele cennych dusz może zostać straconych, ponieważ nie wypełnili swojej misji. Jak pozbawiony tej broni Ojciec ich teraz ochroni?

Mężczyźni popychali go i ciągnęli, spiesząc na zewnątrz przez drzwi i prosto do lasu. Eric niczego nie rozumiał. Przed czym tak uciekają? Starał się słuchać, żeby się czegoś dowiedzieć. Chciał pojąć, co tak przeraziło żołnierzy szatana.

Zebrali się wokół mężczyzny w tym czymś na głowie, który pokazywał im metalowe pudełko z błyskającymi światełkami i dziwnymi drutami. Eric nie miał pojęcia, co to jest, przypuszczał tylko, że mężczyzna znalazł to wśród ich broni.

– Tam jest tego tyle, że można by wysadzić tę budę prosto do nieba.

Eric nie mógł powstrzymać uśmiechu – i natychmiast dostał kuksańca w nerki. Chciał powiedzieć temu Tully'emu, właścicielowi łokcia, który go zaatakował, że wcale nie rozśmieszyła go siła rażenia broni, ale fakt, że ci ludzie łudzą się, iż zostaną przyjęci do Królestwa Niebieskiego.

Pozostali jednak zignorowali jego skrzywione w uśmiechu wargi, z napięciem bowiem wpatrywali się w ciemnowłosego mężczyznę z tym durnym urządzeniem, które przesunął sobie teraz na czubek głowy, przypominając Ericowi jakiegoś robala ludzkich rozmiarów.

– Co, zdaje ci się, że nas zaskoczyłeś? – odezwał się wyzywająco jeden z mężczyzn.

– Dobra, co powiecie na to? Cały dom jest okablowany – odparł na to robal.

– O cholera!

– Powiem wam coś więcej. To jest tylko dodatkowy włącznik. – Wyciągnął ku nim metalowe pudełko. – Prawdziwy detonator znajduje się gdzie indziej. – Wskazał na mrugające czerwone światełko i pstryknął przycisk.

Światełko wyłączyło się. Po kilku sekundach powróciło, mrugając niczym pulsujące krwawe oko.

Mężczyźni obrócili się, wyciągając szyje i rozglądając się wokół. Niektórzy trzymali broń w pogotowiu. Nawet Eric przekręcił głowę, jego oczy zaczęły widzieć wyraźnie. Zmrużył je, wpatrując się w cienie lasu. Nic z tego wszystkiego nie pojmował. Ciekaw był, czy David wiedział o metalowym pudełku.

– Gdzie to jest? – dopytywał się wysoki gość bez szyi, ten, którego wszyscy traktowali jak szefa, jedyny w granatowym swetrze zamiast kurtki. – Gdzie ten pieprzony detonator?

Dopiero po minucie Eric zorientował się, że pytanie skierowane jest do niego. Spotkał się wzrokiem z mężczyzną i patrzył na niego, jak go uczono, prosto w czarne tęczówki, bez mrugnięcia, nie pozwalając, żeby wróg wyrwał mu choćby jedno słowo.

– Chwileczkę – odezwał się ten o nazwisku Cunningham. – Dlaczego nie umieścili detonatora w tym domu, żeby mieć nad nim kontrolę i wysadzić to wszystko, kiedy zechcą? Wiemy już, że dobrowolnie odebrali sobie życie. Dlaczego nie mieliby tego zrobić, wysadzając się razem z tym arsenałem?

– Może chcą nas wysadzić. – Po tych słowach nastąpiło jeszcze więcej szelestów, więcej zatroskanych głów kręciło się i czegoś wypatrywało.

Eric chciał ich zapewnić, że Ojciec nigdy nie wysadziłby domu. Nie poświęciłby broni, bo potrzebował jej do dalszej walki. Ale zamiast tego przeniósł wzrok na Cunninghama,

który odpowiedział mu spojrzeniem. Mało powiedzieć: odpowiedział. On przeszywał go wzrokiem, jakby dało się w ten sposób wycisnąć z niego prawdę. Żołądek Erica zawiązał się w supeł, ale powieka nawet mu nie drgnęła. Nie mógł przecież okazać słabości.

– Nie, gdyby chcieli to zrobić, już byłoby po nas – ciągnął Cunningham, nie odwracając wzroku. – Sądzę, że prawdziwy cel został osiągnięty. Że ich przywódca chciał się przekonać, czy postąpią zgodnie z jego poleceniem, poddać próbie ich posłuszeństwo.

Eric przysłuchiwał się temu. To kłamstwo. To szatan go testuje. Chce sprawdzić moc jego wiary. To tylko początek wymyślnych tortur. Żołnierz szatana, ten Cunningham, zna swoje obowiązki. Nie spuści wzroku z Erica, ale on nie mrugnie. Musi tylko udawać, że nie słyszy, jak wali mu serce, i nie czuje ucisku w żołądku.

– Detonator – niewzruszenie kontynuował Cunningham – mógł być planem B. Gdyby nie łyknęli kapsułek, facet był gotowy rozerwać ich na strzępy. Fajnego masz przywódcę, mały.

Eric nie dał się na to nabrać. Ojciec nie zrobiłby czegoś podobnego. Przecież oni z własnej woli odebrali sobie życie. Nikt ich do niczego nie zmuszał. Eric okazał się po prostu zbyt słaby, żeby postąpić jak jego koledzy. Jest słaby, stchórzył. Na moment stracił wiarę, posłuchał podszeptów szatana. Nie zachował się jak dzielny i lojalny żołnierz, ale teraz już nie okaże słabości. Nie podda się.

Raptem znów przypomniały mu się ostatnie słowa Davida. „On nas przechytrzył”. Uważał początkowo, że David ma na myśli szatana, bo to było takie oczywiste. A jeśli jednak chodziło mu o... Nie, to wykluczone. Ojciec chciał im tylko oszczędzić tortur. Prawda? Ojciec by ich tak nie oszukał. Tak czy nie?

Cunningham wciąż czekał ze wzrokiem wbitym w Erica. Czekał, aż Eric mrugnie. A kiedy w końcu do tego doszło, kiedy się doczekał, powiedział:

– Ciekawe, czy twój wspaniały przywódca wie, że przeżyłeś? Myślisz, że przyjdzie cię uratować, tak jak zrobił minionej nocy?

Eric nie był już niczego pewien, tylko patrzył na metalowe pudełko z mrugającymi lampkami, czerwoną i zieloną, które zapalały się i gasły. Czerwień i zieleń, bezruch i ruch, życie i śmierć, niebo i piekło. Może David i pozostali koledzy okazali się nie tylko odważni, może również są prawdziwymi szczęściarzami? – myślał teraz Eric.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Sobota
23 listopada
Cmentarz Arlington National

Maggie O’Dell ścisnęła w dłoni klapy żakietu, chroniąc się przed kolejnym porywem wiatru. Żałowała, że zostawiła trencz w samochodzie. Zdjęła go w kościele, obarczając go winą za ogarniające ją duszności. Teraz, na cmentarzu, pośród ubranych na czarno żałobników i kamiennych nagrobków, czułaby się o wiele lepiej, gdyby mogła się okryć czymś ciepłym.

Stała z tyłu, patrząc, jak jej koledzy zbierają się pod zadaszeniem, które miało chronić od wiatru, i otaczają najbliższych zmarłego, jakby w ten sposób chcieli zrekompensować błędy, które ich tu przywiodły tego dnia. Rozpoznała wielu z nich po standardowych ciemnych garniturach i profesjonalnie poważnych twarzach. Lecz nawet wypukłości pod marynarkami nie pozbawiały ich wyrazu bezbronności, wiatr zaś ogałacał ich z oficjalnej powagi, jako że pod jego podmuchami przygarbiali wyprostowane zwykle plecy.

Przyglądając się z boku, Maggie była wdzięczna za instynktowną troskę kolegów. Wdzięczna za to, że uchronili ją przed bliskim kontaktem z Karen i dwiema małymi

dziewczynkami, które będą dorastać bez ojca. Nie chciała oglądać ich bólu, ich cierpienia, tak namacalnego, że groziło rozpadem z takim trudem zbieranych przez nią latami pokładów odporności, pod którymi pragnęła ukryć swój ból. Stojąc z tyłu, miała nadzieję pozostać bezpieczna.

Lecz choć ostre jesienne powiewy atakowały jej gołe nogi i szarpały spódnicę, pociły jej się dłonie. Ledwie się trzymała. Jakaś niewidzialna siła pukała do jej serca. Jezu! Co się z nią dzieje, do licha? Od chwili gdy otworzyła worek z martwym Delaneyem i zobaczyła pozbawioną życia twarz, stała się ludzkim wrakiem, wywołującym duchy przeszłości, obrazy i słowa, które powinny tam pozostać pogrzebane na zawsze. Oddychała głęboko, nie zważając na chłód. Wolała nieprzyjemne igiełki zimna niż to kłucie, które niosą ze sobą wspomnienia.

Była zła, bo minęło już dwadzieścia jeden lat, a ona na pogrzebach wciąż zamieniała się w dwunastoletnią dziewczynkę. Bez jej woli i bez ostrzeżenia wspomnienia powracały tak żywe, jakby tamto działo się ledwie wczoraj. Widziała, jak trumna z ciałem jej ojca zjeżdża w dół. Czuła, jak matka szarpie ją za rękaw, każąc jej rzucić garść ziemi na błyszczącą pokrywę trumny. Zaraz, za kilka minut samotny trębacz odegra sygnał ku czci poległych, a jej żołądek zawiąże się w supeł.

Chciała stąd odejść. Nikt by nawet nie zauważył, wszyscy byli szczelnie opatuleni własnymi wspomnieniami i własną bezbronnością. A jednak powinna zostać, była to winna Delaneyowi. Ich ostatnia rozmowa była pełna złości

i nasycona poczuciem zdrady. Za późno już na przeprosiny, ale pozostając na cmentarzu, Maggie mogła poczuć ową szczególną moc, by podjąć jakieś postanowienie, a nawet doznać oczyszczenia.

Wiatr smagał ją, kręcąc wyschniętymi liśćmi, które jak dusze unosiły się i płynęły między grobami. Wycie wichru, jego przeraźliwe jęki przyprawiały Maggie o dreszcze. Będąc dzieckiem, czuła wokół siebie obecność dusz zmarłych, zaczepiały ją, podśmiewały się z niej, szeptały do ucha, że zabrały jej tatę. Wtedy po raz pierwszy poczuła się niewiarygodnie samotna, i ta samotność przykleiła się do niej niczym wilgotna ziemia ściskana w dłoni. Ziemia, którą matka kazała jej rzucić.

– No, Maggie – słyszała dotąd jej słowa. – Zrób to wreszcie i będziemy mieć to z głowy – brzmiały zniecierpliwione słowa matki, bardziej zażenowanej niż zatroskanej bólem córki.

Wtem czyjaś ręka w rękawiczce dotknęła ramienia Maggie. Podskoczyła i z trudem powstrzymała się przed instynktownym sięgnięciem po broń.

– Przepraszam, agentko O’Dell. Nie chciałem pani wystraszyć. – Zastępca dyrektora Cunningham trzymał dłoń na jej ramieniu, patrząc prosto przed siebie.

Myślała, że jest jedyną osobą, która nie dołączyła do grupy zebranej przy świeżo wykopanym grobie, czarnej dziurze, która stanie się domem agenta specjalnego Richarda Delaneya. Dlaczego tak ryzykował, głupiec?

– To był dobry człowiek i świetny negocjator – stwierdził Cunningham, jakby czytał w jej myślach.

Chciała zapytać, dlaczego w takim razie ten ideał leży tam, a nie siedzi w domu z żoną i córkami, szykując się do oglądania sobotniej popołudniowej transmisji meczu piłki nożnej studenckiej ligi. Powiedziała jednak:

– Był najlepszy.

Cunningham nie mógł ustać spokojnie, wsadził ręce głęboko w kieszenie płaszcza. Maggie zdała sobie sprawę, że stanął w tej właśnie pozycji, by osłonić ją przed wiatrem, choć wiedziała, że nie zaproponuje jej swojego trencza, by nie wprawiać jej w zakłopotanie. Ale nie po to jej wypatrywał, żeby być parawanem. Zgadywała, że szef ma do niej sprawę. Po dziesięciu latach współpracy dobrze znała te ściągnięte wargi i zmarszczone brwi, to nerwowe przestępowanie z nogi na nogę, subtelne, acz czytelne znaki szczególne chłodnego zawodowca.

Czekała zatem, zdumiona, że on też najwyraźniej czeka na właściwy moment.

– Wiemy coś więcej o tych młodych ludziach? Do jakiej grupy należeli? – Próbowała go wybadać. Mówiła cicho, ale i tak byli na tyle daleko od reszty żałobników, że wiatr zagłuszał ich słowa.

– Na razie nie. Tak naprawdę to jeszcze dzieci. Chłopcy, którzy posiadali dość broni i amunicji, żeby zająć jakieś małe państwo. Jestem przekonany, że stoi za tym ktoś inny. Jakiś fanatyczny przywódca, który nie waha się poświęcać swoich ludzi. Wkrótce się dowiemy. Może coś się wyjaśni,

kiedy odnajdziemy właściciela tego domu letniskowego. – Poprawił okulary na nosie i natychmiast z powrotem wsadził rękę do kieszeni. – Jestem pani winien przeprosiny, O’Dell.

A więc o to mu chodzi. To dlatego tak się wahał. Jego osobliwe zachowanie zdumiało i zaniepokoiło Maggie. Pamiętała swój skurczony żołądek i ból w piersiach. Nie chciała o tym rozmawiać, nie życzyła sobie, by do tego wracał. Chciała myśleć o czymś zupełnie innym, o wszystkim, byle tylko nie o Delaneyu, który pada na ziemię. Wciąż słyszała chlupot jego mózgu i widziała fragmenty czaszki w czarnym worku.

– Nic mi pan nie jest winien. Nie wiedział pan – powiedziała w końcu po długiej przerwie.

Patrząc wciąż przed siebie, Cunningham odezwał się przyciszonym głosem:

– Powinienem był to sprawdzić, zanim panią tam wysłałem. Wiem, jakie to musiało być dla pani trudne.

Maggie zerknęła na niego. Miał ten sam stoicki wyraz twarzy co zawsze, tylko jeden z kącików ust drżał mu lekko. Przeniosła za nim spojrzenie na szereg umundurowanych mężczyzn, którzy właśnie wmaszerowali na cmentarz i stawali na baczność.

O Boże. Teraz się zacznie.

Kolana się pod nią ugięły, oblał ją zimny pot. Myślała tylko o ucieczce, była zła, że Cunningham tkwi obok niej. Lecz nawet nie dostrzegł jej zdenerwowania. Z uwagą przyglądał się repetowanej do salwy broni.

Maggie podskakiwała przy każdym wystrzale, zamykała oczy, żeby nie pamiętać i nie dopuścić za blisko przeklętych wspomnień. A mimo to słyszała w dalszym ciągu głos matki, która ją karci i ostrzega:

– Nawet nie próbuj płakać, Maggie, bo będziesz czerwona i spuchniesz.

A zatem nie płakała, i teraz też nie będzie płakać. Lecz gdy rozległ się dźwięk samotnej trąbki, wstrząsnęło nią i przygryzła dolną wargę. „Niech cię diabli, Delaney", chciała przekląć na cały głos. Już dawno doszła do przekonania, że Pan Bóg ma okrutne poczucie humoru. A może jest mu już wszystko jedno?

Tłum rozstąpił się nagle, by przepuścić spod zadaszenia małą dziewczynkę, drobną jasnoniebieską plamę, która wylała się z czarnego tła jak niebieski ptaszek wyfruwający spośród stada czarnych wron. Maggie od razu poznała młodszą córkę Delaneya, Abby, ubraną w niebieski płaszcz i w kapeluszu w tym samym kolorze. Jej babka, matka Delaneya, prowadziła ją za rękę. Szły prosto na nich, rujnując nadzieję Maggie na pozostanie z boku wydarzeń.

– Panna Abigail twierdzi, że musi niezwłocznie skorzystać z toalety – wyjaśniła pani Delaney, zbliżywszy się do nich. – Nie wiecie państwo czasem, gdzie tu jest toaleta?

Cunningham wskazał główny budynek cmentarny za ich plecami, schowany za niewielkim wzniesieniem i otaczającymi je drzewami. Pani Delaney spojrzała w tamtą stronę, jej twarz, cała pokryta czerwonymi plamami, przeistoczyła się w jedną wielką zmarszczkę, jakby po dniu

pełnym niekończącej się mordęgi, gdy brak już sił, kazano jej zdobyć jeszcze jedną górę.

– Ja ją zaprowadzę – zaoferowała się Maggie, nim zdała sobie sprawę, że jest zapewne najmniej spośród zebranych osób predestynowana do tego, żeby pocieszać to dziecko. Ale z toaletą mogła sobie jakoś poradzić.

– I co, Abigail? Pójdziesz do toalety z agentką O'Dell?

– Z agentką O'Dell? – Dziewczynka ściągnęła twarz, rozglądając się w poszukiwaniu osoby, o której mówiła jej babka. Raptem powiedziała: – Chodzi ci o Maggie, babciu? Ona ma na imię Maggie.

– Tak, wybacz, oczywiście, że chodzi mi o Maggie. To co, pójdziesz z Maggie?

Abby już ściskała jej dłoń.

– Tylko szybko – poprosiła, nie podnosząc wzroku, i energicznie ruszyła we wskazanym przez Cunninghama kierunku.

Maggie zastanawiała się, czy ta czteroletnia dziewczynka choćby w niewielkim stopniu zdaje sobie sprawę z tego, co odbywa się na cmentarzu. W każdym razie poczuła ulgę, że jej zadanie polega jedynie na walce z wiatrem i zdobyciu wzniesienia, dzięki czemu pozostawiała za sobą wszystkie wspomnienia i szept duchów lecących z wiatrem. Gdy udało im się wreszcie dotrzeć do budynku górującego nad rzędami białych krzyży i szarych nagrobków, Abby przystanęła i odwróciła się, patrząc w dal. Wiatr siekł jej niebieski płaszcz. Maggie widziała, że dziewczynka drży.

Czuła, jak kurczowo zaciska się na jej palcach mała drobna dłoń.

– Dobrze się czujesz, Abby?

Dziewczynka skinęła dwa razy, aż jej kapelusz podskoczył. Potem spuściła głowę.

– Żeby się tylko nie przeziębił – powiedziała.

Serce Maggie przestało bić na sekundę.

Co miała na to powiedzieć, jak wyjaśnić coś, co wymyka się rozumowi? Wobec tego wyzwania była kompletnie bezradna. Skończyła trzydzieści trzy lata i wciąż tęskniła za swoim ojcem, wciąż nie potrafiła pojąć, dlaczego go jej przed laty zabrano. Było to tak dawno, że powinna już do tej pory zaleczyć ranę, która jednak otwierała się przy każdym głupim sygnale trąbki czy na widok spuszczanej do ziemi trumny.

Nie zdążyła wymyślić żadnego pocieszenia, kiedy dziewczynka podniosła głowę i rzekła:

– Kazałam mamie, żeby mu dała ciepły koc.

Potem, jakby uspokoiło ją to przypomnienie, Abby obróciła się na powrót do drzwi i pociągnęła za sobą Maggie, gotowa dalej dążyć do swojego celu.

– Koc i latarkę – dodała. – Żeby miał ciepło i nie bał się ciemności. Dopóki Pan Bóg nie weźmie go do swojego domu.

Maggie uśmiechnęła się, na nic więcej nie było jej stać. Zdaje się, że mogłaby się nauczyć niejednej rzeczy od tej mądrej czterolatki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Waszyngton

Justin Pratt siedział na stopniach pomnika Jeffersona, udając, że daje odpocząć zmęczonym nogom. Taa, nogi go bolały, ale to nie z tego powodu potrzebował chwili samotności. Krążyli po tych wszystkich muzealnych obiektach już od kilku godzin, rozdając ulotki grupom roześmianych i wrzeszczących dzieciaków. Przyjechali do miasta w samą porę, akurat wypadał sezon jesiennych szkolnych wycieczek. Kręciło się tam chyba ponad pięćdziesiąt takich grup z całego kraju i wszystkie były równie wkurzające. Po prostu nie mógł uwierzyć, że jest ledwie rok czy dwa starszy od niektórych z tych idiotów.

A zatem Justin oddalił się na moment z dużo poważniejszych powodów niż głupie, obolałe, poobcierane stopy. Oto bowiem opadły go zakazane myśli, zakazane według słów wielebnego Josepha Everetta i jego zwolenników. Jezu, czy on się kiedykolwiek przyzwyczai do nazywania się jednym z nich, jednym z garstki wybranych? Pewnie nie, skoro samowolnie robi sobie przerwę i woli siedzieć i gapić się na cycki Alice Hamlin, niż kolportować słowo Boże.

Alice pomachała do niego, zupełnie jakby czytała w jego myślach. Poprawił się. Może powinien zdjąć buty, żeby

uwiarygodnić swoją wymówkę? A może ona już go rozgryzła? Na pewno nie miałaby nic przeciwko. No bo po co włożyła taki obcisły różowy sweterek? Zwłaszcza na podróż autokarem, kiedy mieli przed sobą cały dzień rozdawania ulotek z bożym posłaniem? A potem, za jakąś godzinę, miało się rozpocząć to pieprzone spotkanie modlitewne.

Jezu! Musi uważać na swój język.

Rozejrzał się, sprawdzając, czy przypadkiem któryś z małych kurierów Ojca nie podsłuchał jego myśli. W końcu Ojciec cholernie dobrze dał im do zrozumienia, że są dla niego przezroczyści. Gość ma chyba zdolności telepatyczne, czy jak to się tam nazywa, kiedy ktoś umie czytać w czyichś myślach. To cholernie przerażające.

Wziął do ręki jedną z ulotek, by pokazać Alice, że traktuje swoje zadanie poważnie i wcale nie zauważa żadnych cycków. Zgrabne, czterokolorowe ulotki robiły wrażenie wybijającym się słowem „Wolność”. Jak Alice nazwała ten rodzaj druku? Wytłoczony? Bardzo profesjonalnie. Była tam nawet barwna fotografia wielebnego Everetta, a z tyłu program przyszłych zgromadzeń modlitewnych w kolejnych miastach. Patrząc na tę broszurę, można by pomyśleć, że stać ich na coś więcej do jedzenia niż codzienna porcja fasoli z ryżem.

Kiedy spojrzał znów w stronę Alice, właśnie otoczyła ją następna grupa potencjalnych rekrutów. Słuchali jej uważnie, wpatrując się w jej twarz i wymowne szerokie gesty. Była trzy lata starsza od Justina, dorosła kobieta.

Podniecał się na samą myśl o niej. Nie była może najlepsza w tego rodzaju ulicznych akcjach, za to jej szeroka wiedza była godna pozazdroszczenia. Zadziwiała go. Na przykład znała na pamięć mnóstwo cytatów z Jeffersona. Wyrecytowała je, nim dotarli po stopniach, żeby przeczytać je na pomniku. Była nie do pobicia w historii, a o Jeffersonie wiedziała prawie wszystko. Że najpierw był sekretarzem czegoś tam, potem wiceprezydentem i wreszcie prezydentem. Jak ona zapamiętuje całe to pieprzone gówno?

To był zresztą tylko jeden z powodów, dla których Justin ją podziwiał. To dobry znak, że obchodzi go coś więcej niż para jej cycków, bo zazwyczaj w przeszłości nic więcej nie interesowało go u dziewczyn. Zresztą mógłby nawet spisać całą listę rzeczy, które lubił w Alice. Na przykład to, jak mówi o religii, bo brzmi to tak podniecająco, jakby relacjonowała jakiś pieprzony wyścig do nieba. Podobało mu się też, jak patrzy w oczy swoim rozmówcom i słuchaczom. Można by przysiąc, że w danej chwili stawali się dla niej jedynymi ludźmi na świecie. Alice Hamlin potrafiła sprawić, że maniakalny samobójca czuł się kimś specjalnym i zapominał, z jakiego powodu stanął na krawędzi. W każdym razie tak działała na Justina. Cokolwiek by powiedzieć, dwa miesiące temu i on znajdował się na krawędzi samobójstwa.

Kiepskie samopoczucie nie opuściło go zresztą na dobre, wciąż zdarzał mu się taki niepokój, coś pchało go, żeby o wszystkim zapomnieć i przestać się trudzić udawaniem,

że potrafi poskładać całe to gówno do kupy. Zwłaszcza ostatnio, odkąd Eric go opuścił i pojechał gdzieś z jakąś misją.

Prawdę mówiąc, czuł taką potrzebę tego ranka, gdy zastanawiał się, jak by tu wyjąć ostrza z plastikowej maszynki do golenia. Wiedział skądinąd, że cięcie wzdłuż nadgarstka, w przeciwieństwie do tego w poprzek, gwarantuje szybsze wykrwawienie się, a co za tym idzie szybszą śmierć. Większość ludzi chrzani takie historie, tnąc się w poprzek. Nie bałby się tego zrobić. Zrobienie sobie tatuażu kosztowałoby go pewnie dużo więcej bólu, niż sprawiłoby przecięcie żył.

Tymczasem Alice prowadziła ku niemu po schodach grupkę dziewcząt. Chciała go przedstawić potencjalnym adeptkom nowej wiary. Powiedziała im, że Justin każdą z nich bez trudu przekona do przyjścia na zgromadzenie, bo jest bardzo inteligentny. Dla Justina słowa nic nie znaczyły, zwłaszcza że przez całe swoje życie nasłuchał się ich aż nadto. Ale jeśli Alice coś mówiła, trudno było jej nie wierzyć. No więc nie miał nic przeciwko temu, żeby uchodzić za autorytet. Poza tym z przyjemnością patrzył na wspinające się po stopniach dziewczyny, choć oczywiście wolałby oglądać je od tyłu, ale i ten widok był znośny.

Dzień był dość chłodny, mimo to wszystkie trzy dziewczyny miały na sobie bluzki z krótkimi rękawami, jedna wystroiła się nawet w obcisły top bez rękawów, kusząco odkrywając brzuch. Był to fałszywy sygnał jej pozornego wyzwolenia, pozornego, bo nawet z tej

odległości Justin widział, że nie nosi kolczyka w pępku. Ale i tak było na co popatrzeć.

Gdyby tylko się zamknęły! Czy wszystkie licealistki chichoczą tak przeraźliwie piszczącymi, wysokimi głosami? Gdzie się one, kurwa, nauczyły, tego pisku? Działał mu na nerwy. Pomimo to wykrzywił twarz w uśmiechu i przytknął palec do daszka bejsbolowej czapki, co niestety wyzwoliło w dziewczynach nowy atak bezrozumnego chichotu, i to jeszcze o oktawę wyższego. Chyba wszystkie psy w promieniu wielu kilometrów zatkały sobie uszy.

– Justin, poznaj moje nowe koleżanki.

Alice i trzy dziewczyny przystanęły na wprost niego, na wysokości jego krocza. W jednej chwili zapomniał o obtartych piętach, a nawet o doskonałych cyckach Alice, w każdym razie co najmniej na kilka minut. Wysoka blondyna i jej niższa koleżanka zasłoniły oczy przed nagłym, krótkim błyskiem słońca. Trzecia z nich, niska, z ciemnymi oczami, z bliska wyglądała na starszą. Patrzyła mu śmiało w oczy, bez tego lęku, który onieśmielał blondynę i jej blond podpórkę.

– To jest Emma, a to Lisa i Ginny. Emma i Lisa pochodzą z Reston w Wirginii i są bliskimi przyjaciółkami. Ginny mieszka tutaj, w tym stanie. Poznały się dzisiaj, ale jak widzisz, wydaje się, jakbyśmy się znały od dawna.

Blondyny oczywiście znów zachichotały, a ta wyższa powiedziała:

– Tak naprawdę to ona nazywa się Alesha, ale nie znosi tego imienia, więc skróciłyśmy je do Lisa.

– A ja mam na imię Virginia – przyznała się ciemnooka. Zabrzmiało to, jakby ze sobą konkurowały i ciemnooka starała się być lepsza od nowych koleżanek.

– Żartujesz! – zawołały zgodnym, wypracowanym chórem blondynki.

– Mojemu tacie to się wydawało zabawne, bo pochodzimy z Wirginii. A poza tym to by mnie chyba zabił, gdyby wiedział, że wybieram się wieczorem na to spotkanie. On nienawidzi takich rzeczy. – Kierowała te słowa do Alice. I znowu, jak przy okazji uwagi o imieniu, zabrzmiało to bardziej jak wyzwanie niż zwyczajne stwierdzenie faktu.

Justin obserwował Alice, czekając na jej reakcję. Ta ciemnooka nie była cenną zdobyczą. Zastanawiał się, co skłoniło Alice do zaproszenia jej do wzięcia udziału w zbiorowej modlitwie. Przecież ta Ginny, a faktycznie Virginia, już pokazała im, że ma wątpliwości. To powinno zadziałać jak wielka czerwona flaga, podobnie jak wszelkie pytania. Ojciec nie znosił pytań.

– Nie zawsze możemy opierać się na naszych rodzicach i zawierzać im bez reszty, że prowadzą nas we właściwym kierunku – oznajmiła Alice z uśmiechem. Sama mówiła teraz jak matka.

Dziewczyna skinęła potakująco głową, udając, że doskonale wie, co Alice ma na myśli, bo jej nowa znajoma była zbyt fajna, żeby się jej przeciwstawiać.

Justin skrzyżował ramiona na piersi. Tyle tylko mógł zrobić, żeby nie zacząć wywracać oczami.

Wtem jakaś przepychanka u dołu schodów odwróciła ich uwagę. Dziewczęta zachwiały się na swoich cudacznych butach na platformach, uważając, żeby nie spaść w dół. Justin wstał i wszedł kilka stopni wyżej, żeby mieć lepszy widok. W dole młody chłopak w typie Jamesa Deana popychał starszego od siebie mężczyznę, próbując wyrwać mu z rąk aparat fotograficzny.

– No! Patrzcie na tego przystojniaka! – Ginny udało się jakimś cudem powiedzieć to bez pisku.

Justin usiadł z powrotem z westchnieniem, którego nikt nie zauważył. Całą uwagę dziewcząt pochłonął oczywiście ten pieprzony Brandon.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ben Garrison znał się co nieco na zadawaniu bólu. Dzieciak był młodszy i wyższy, za to Ben był silniejszy i zdecydowanie mądrzejszy. Gdyby przyłożył rękę do gardła temu w gorącej wodzie kąpanemu smarkaczowi i ścisnął we właściwym miejscu, gówniarz nie przeżyłby pięciu sekund.

– Żadnych pieprzonych dziennikarzy, Garrison. Ile razy mam ci to powtarzać? – wydzierał się na niego szczeniak.

Złapał leicę Bena, udało mu się pociągnąć pasek na szyi fotografa, na którym wisiał aparat, tak stary jak Ben, za to chyba mocniejszy. Do diabła, przeżył pod kopytami karibu w Manitobie, ocalał, gdy go wrzucono w piaszczystą wydmę w Egipcie. Więc bez trudu przetrwa atak jakiegoś rozwścieczonego religijnego fanatyka.

– A dlaczego niby żadnych dziennikarzy? Czego tak boi się ten twój nadzwyczajny przywódca? – podjudzał go Ben. Znał chłopaka z krótkiej wizyty, którą złożył w ich obozie u stóp Appalachów. Do diabła, nawet go polubił. Obserwował go trochę i zauważył, że gówniarz ma w sobie ogień, tylko nie ma pojęcia, w jakim celu go użyć.

Brandon rzucił się raz jeszcze na aparat, Ben zaś tym razem wyprowadził ku jego szczęce cios, który położył go na plecy. Teraz dzieciak miał twarz tak czerwoną jak ulizane gładko do tyłu ryże włosy. Podniósł wzrok na Bena

niczym byk zbierający się do ataku. Ben widział, jak chłopak rozdyma nozdrza i zaciska pięści.

– Daj spokój, mały. – Zaśmiał się i dał mu jeszcze kilka klapsów, by gówniarz pojął, że nie ma sensu podskakiwać. – Wielebny wyrzucił mnie ze swojej kryjówki, ale tak łatwo się mnie nie pozbędzie. Dlaczego wysyła smarkaczy do roboty dla dorosłych gości?

Brandon stał już z powrotem na nogach, z zaciśniętymi zębami i rękami szykując się do walki. Ben zobaczył w wyobraźni, jak z jego uszu idzie para, zupełnie jak w rysunkowych komiksach. Ale takie zapisane w dymkach „Ha!” i „Hu!” to za mało, żeby przestraszyć Bena Garrisona. Do diabła, przeżył strzałę aborygenów i maczetę Tutsi. I jak jego leica, był świadkiem kilku śmiertelnych walk, a ta na pewno do takich nie należy. W najmniejszym stopniu w niczym ich nawet nie przypomina. Biedny gówniarz. I na dodatek żałośnie przegrywa na oczach swoich kolesiów. Brakowało tylko wielebnego, żeby wskoczył pomiędzy nich i uratował duszyczkę tego małego zagubionego głupka.

Tymczasem zebrał się tłumek, wspinając się na stopnie, żeby lepiej widzieć szarpaninę. Wszyscy trzymali się jednak na dystans. Nawet ci młodzi, z grupy rudego, krążyli niczym psy w gorączce, ale takie tchórzliwe psy, które wolą schodzić przeciwnościom z drogi. Ben podrapał lekko zarośnięte policzki, znudzony już tą sytuacją. Całe popołudnie pstrykał fotki tym nimfetkom bez bioder o płaskich tyłkach. Kilka z nich rozpoznał. Za jedną szedł

nawet chwilę, licząc, że zrobi jej fotkę do „Enquirera”, żeby zawstydzić jej tatusia, który na pewno jest grubą rybą. Zostanie więc i zrobi kilka zdjęć na tym ich zgromadzeniu, z nadzwyczajnym, pieprzonym wielebnym Josephem Everettem w roli głównej. Nie powstrzyma go przed tym ta kiepska imitacja buntownika. Nie powstrzymają go inni cholerni sekciarze, zwłaszcza że uparli się korzystać z miejsca publicznego.

Wspiął się kilka stopni, zostawiając za sobą rudzielca, który prychał, tupał i udawał, że po chrześcijańsku nadstawia drugi policzek. W oddali widział tłum ciągnący do FDR Memorial [4].

Zdziwił się, że na spotkanie modlitewne Everett wybrał akurat Jefferson Memorial. Wprawdzie poglądy prezydenta Thomasa Jeffersona były bliskie ideologii Everetta, głoszącej wolność jednostki i ograniczoną władzę rządu. Ale, do diabła, czyż w National Capital Parks-Central nie realizują rządowych programów, które Everett odrzuca z taką odrazą? Tak, ten poczciwy duchowny jest skomplikowaną kupą gówna. Ben postanowił pokazać go światu takim, jakim jest naprawdę. I żaden rudy pętak mu tego nie zabroni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dowództwo FBI
Waszyngton

Maggie czekała, aż Keith Ganza skończy pracę, którą mu przerwała. Co prawda zdążył się już przyzwyczaić do tego, że wpada do jego laboratorium w głównej kwaterze FBI zapraszana i niezapraszana, najczęściej jednak bez zaproszenia. Marudził, ale Maggie wiedziała, że tak naprawdę wcale mu to nie przeszkadza, mimo że było późne sobotnie popołudnie i wszyscy już dawno udali się do domu.

Jako szef laboratorium kryminalnego FBI, Ganza widział przez ponad trzydzieści lat pracy dużo więcej, niż powinien zobaczyć jeden człowiek. Mimo to zachowywał niewzruszony spokój, choć patrząc na niego, można by pomyśleć coś przeciwnego. Maggie czekała więc, przyglądając się, jak ten wysoki chudzielec pochyla się nad mikroskopem, zastanawiając się jednocześnie, czy w ogóle widziała go kiedykolwiek w innym stroju niż biały fartuch laboratoryjny, a mówiąc ściśle: pognieciony fartuch laboratoryjny z przykrótkimi rękawami i pożółkłym kołnierzem.

To prawda, nie powinna tu przychodzić, tylko cierpliwie czekać na oficjalny raport, ale wewnętrzna siła czteroletniej

Abby umocniła ją w postanowieniu, by dociec, kto odpowiada za śmierć Delaneya. Na wspomnienie dziewczynki wyciągnęła cukierki z lukrecją, które dała jej Abby, i zaczęła odwijać papierek. Szelest zwrócił uwagę Ganzy, który zerknął na nią znad mikroskopu i połówkowych szkieł, osadzonych na czubku nosa. Spoglądał na nią z charakterystyczną zmarszczką, która rysowała się na jego twarzy niezmiennie, niezależnie od tego, czy opowiadał dowcip, mówił o dowodach, czy też, jak w tym wypadku, tylko patrzył poirytowany.

– Nic dzisiaj nie jadłam – wyjaśniła.

– W lodówce jest pół kanapki z sałatką z tuńczyka.

Zaproszenie było szczere i serdeczne, jednak Maggie nie była w stanie przełknąć niczego, co spoczywało na półce obok ludzkich tkanek i krwi.

– Dzięki, ale nie skorzystam. Za chwilę lecę na kolację z Gwen.

– I kupiłaś sobie cukierki, żeby jakoś dotrwać do tego czasu? – Kolejna zmarszczka.

– Nie. Córka Delaneya dała mi je na pogrzebie.

– Rozdawali tam cukierki?

– Jego córka mi je dała. Mogę ci już przerwać?

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze tego nie zrobiłaś?

Przyszła jej kolej na ściągnięcie brwi.

– Bardzo zabawne.

– W poniedziałek z samego rana wysyłam raport Cunninghamowi. Nie możesz poczekać?

Bez słowa rozwinęła łańcuszek cukierków, wyciągając go przed siebie, jakby chciała sprawdzić jego długość, po czym rozerwała go i połowę podała Ganzie. Wziął łapówkę bez wahania. Zadowolony zostawił mikroskop i zajął się cukierkiem, poszukując jednocześnie teczki z dokumentami.

– To była kapsułka z cyjankiem potasu, około dziewięćdziesiąt procent, z dodatkiem wodorotlenku potasu, odrobiną węglanu i nutką chlorku potasu.

– Czy trudno jest teraz zdobyć cyjanek potasu?

– Nie za bardzo, bo wiele branż przemysłowych z niego korzysta. Zazwyczaj stosuje się go jako środek czyszczący albo utrwalacz. Używa się go w produkcji tworzyw sztucznych, podczas procesu wywoływania zdjęć, a nawet do odkażania statków. W kapsule, którą wypluł ten chłopak, było jakieś siedemdziesiąt pięć miligramów cyjanku potasu, co przy prawie pustym przewodzie pokarmowym powoduje niemal natychmiastowy koniec. Po prostu ustaje oddychanie. Oczywiście wszystko to zaczyna się w momencie, gdy kapsułka rozpuszcza się, co moim zdaniem jest kwestią minut. Ta trucizna pochłania tlen ze wszystkich komórek. To mało przyjemna śmierć. Jej ofiary, walcząc z nią, niemal wywracają wnętrzności na zewnątrz.

– To nie lepiej wsadzić sobie lufę do ust? Przecież tak właśnie zabija się większość nastolatków. – Maggie dostała gęsiej skórki, wyobrażając sobie owe dwa rodzaje śmierci, Ganza zaś uniósł brwi, słysząc zniecierpliwienie i sarkazm w jej głosie.

– Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja. Z psychologicznego punktu widzenia o wiele łatwiej połknąć pigułkę niż nacisnąć spust, zwłaszcza jeżeli wcale ci się do tego nie pali.

– Czyli sądzisz, że to nie był pomysł tych chłopców?

– A ty?

– Chciałabym, żeby to było takie proste. – Przeczesała włosy palcami, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że jest potargana. – W tym domu znaleziono też aparat nadawczo-odbiorczy, więc najpewniej z kimś się kontaktowali, ale jeszcze nie wiemy z kim. A pod podłogą odkryto ogromny arsenał.

– Ach tak, arsenał. – Ganza otworzył teczkę z dokumentami i przekartkował je. – Udało nam się odnaleźć numery seryjne kilkunastu sztuk broni.

– Szybko. Jak rozumiem, to broń kradziona, a nie kupiona legalnie, mam rację?

– Niezupełnie. – Wyjął coś z teczki. – To ci się raczej nie spodoba.

– Dawaj.

– Broń pochodzi ze składu w Forcie Bragg.

– Czyli została skradziona.

– Tego nie powiedziałem.

– To co chcesz powiedzieć? – Podeszła, stając u jego boku i spoglądając mu przez ramię na dokument.

– Wojsko nie zgłosiło żadnego braku, nie byli tego świadomi.

– Jak to możliwe?

– Złożyli tę broń przed wielu laty, odesłali do magazynu. A więc osoba, która ją zdobyła, musiała posiadać jakieś bardzo ważne zezwolenie, dotarła do tej broni oficjalną drogą.

– Chyba żartujesz!

– Dalej jest jeszcze ciekawiej. – Podał jej kopertę z pieczątką archiwum i kazał jej otworzyć.

Maggie wyjęła z koperty kilka kartek. Znajdował się wśród nich dokument wydany przez stan Massachusetts, przyznający tytuł własności około pięciu hektarów ziemi oraz domu i prawo do korzystania z nabrzeża rzeki Neponset.

– Świetnie – rzuciła Maggie. – A więc ziemia została podarowana jakiejś organizacji non profit. Ci dranie potrafią zamazywać ślady.

– Normalka – stwierdził Ganza. – Wiele grup przestępczych przepuszcza swoją broń, pieniądze, budynki i ziemię fikcyjną drogą, na przykład przez organizacje non profit. Zwykle są to charytatywne fundacje lub związki wyznaniowe, które z litery prawa nie prowadzą żadnej działalności gospodarczej i utrzymują się z datków. Dzięki temu nie muszą płacić podatków i mogą zagrać na nosie rządowi, którego ponoć tak nienawidzą. Zwykle jednak tylko na tyle starcza im odwagi.

– Ale tej grupie nie chodzi o uchylanie się od podatku, oni są niebezpieczni. Ktokolwiek się za tym kryje, to jakiś maniak, który nie waha się poświęcić życia swoich ludzi... jeszcze dzieci. – Wciąż patrzyła na dokument. – I co to za

Kościół Duchowej Wolności? Nigdy o nim nie słyszałam. – Zerknęła na Ganzę, który tylko wzruszył ramionami. – W co się ten Delaney wpakował, do licha?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Szczerze mówiąc, Justin był zły, że musiał zostać na modlitwie. W końcu naharował się cały dzień, żeby zebrać ten tłum. Czy nie należy mu się za to odpoczynek? Był wykończony i umierał z głodu. Czy jest możliwe, by Ojciec jakimś cudem ich namierzył, gdyby po cichu wymknęli się z Alice? No tak, Alice na to nie pójdzie. Żyła tylko dla tych wyjców i zdaje się, że naprawdę wzięło ją to całe śpiewanie, klaskanie i obściskiwanie się. Chociaż i on nie miał nic przeciw temu ostatniemu. A tego wieczoru udało im się namówić do przyjścia kilka fajnych laseczek.

Brandon rozmawiał właśnie z blondynkami. Wskazywał przy tym na jedną z granitowych ścian, tę, na której wyryte były napisy: „Wolność Słowa”, „Wolność Religii”, „Wolność od Pożądania”, „Wolność od Strachu”. Justin słyszał je wielokrotnie z ust Ojca, zwłaszcza gdy ten rozkręcał się na temat rządu i jego knowań, służących podporządkowaniu sobie ludzi. Przez chwilę sądził nawet, że to właśnie wielebny jest autorem tych haseł.

Dziewczyny wyraźnie połykały słowa Brandona, cokolwiek im wciskał. Ta wysoka, Emma, bez przerwy zarzucała do tyłu włosy i przekrzywiała głowę w sposób, którego nastolatki uczą się z durnych babskich pism i stron internetowych. Pewnie i tam uczą się tego pieprzonego zalotnego chichotu.

– Hej, Justin.

Ktoś klepnął go w ramię. Odwrócił się i zobaczył Alice wraz z ciemnooką Ginny. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był ogromny bajgiel i puszka coli w rękach Ginny. Zapach bajgla wywołał burczenie w jego żołądku. Dziewczyny zaśmiały się zgodnie. Ginny podała mu obwarzanek.

– Chcesz kawałek?

Zerknął na Alice, czy aby nie ma nic przeciwko, ale ona patrzyła w innym kierunku, poszukując kogoś wzrokiem. Natychmiast przyszło mu do głowy, że szuka Brandona.

– Jednego gryza – odparł.

Pochylił głowę, wbił zęby w miękki precel trzymany przez Ginny i oderwał kawałek. Tak mu smakowało, że chciał poprosić o więcej, ale Ginny sama zajęła się jedzeniem, odgryzając dokładnie w tym miejscu, gdzie on, a potem oblizała wargi, patrząc mu prosto w oczy. Jezu! Ona się do niego przystawia! Sprawdził, czy Alice coś zauważyła, ale akurat machała do kogoś. Obejrzał się i zobaczył Ojca w otoczeniu kilku starszych kobiet i jednego czarnego mężczyzny. Tuż za nimi kroczyło trzech ochroniarzy postury Arnolda Schwarzeneggera.

Przyszło mu do głowy, że Ojciec przypomina bardziej gwiazdę filmową niż księdza. Wcześniej, w autokarze, widział nawet, jak Cassie, piękna czarnoskóra asystentka Ojca, nakłada mu na twarz podkład. Pewnie też czesze go. Ojciec naprawdę poświęcał się w imię tych spotkań modlitewnych. Na co dzień zaczesywał przydługie czarne

włosy do tyłu, ale tego dnia miał porządną fryzurę zakrywającą uszy i układającą się miękko na kołnierzu. Modnie, ale bez przesady. Potem, podczas spotkania, kiedy wpadał w jeden z tych swoich, jak je nazywał, „wzniosłych momentów”, kosmyki włosów spadały mu na czoło, przywołując w pamięci Justina obraz Elvisa Presleya w transie. Ciekawe, co powiedziałby Ojciec na takie porównanie. Zapewne nie miałby nic przeciw temu, żeby wzorem wielkiego rockmana nazywano go Królem.

Poza tym Ojciec przypominał też dobrze opłacanego dyrektora. Tego wieczoru miał na sobie popielaty garnitur, białą koszulę i czerwony jedwabny krawat. Jego garnitury zawsze sprawiały wrażenie drogich. Justin znał się na tym, tak samo ubrałby się jego ojciec. Pewnie wielebny dał za te ciuchy kilka tysięcy dolarów. Spinki przy mankietach były ze złota, do tego oczywiście rolex i złota spinka do krawata. Były to prezenty od zamożnych ofiarodawców. Justin wkurzał się na myśl o tym. Ciekawe, jakim cudem zawsze znajdował się ktoś, kto fundował kosztowną biżuterię, a gdy chodzi o papier toaletowy, to musieli zamiast niego używać kawałków starych gazet, i to zbyt małych, by zagnieść je w kulkę i strzelić gola w lidze szkolnej.

Słońce właśnie zaszło, na niebie pozostały tylko różowopurpurowe smugi, ale Ojciec nie zdjął przeciwsłonecznych okularów. Pozbył się ich dopiero wtedy, gdy podszedł do grupki Justina. Uśmiechnął się do Alice, wyciągając ku niej obie ręce i oczekując od niej identycznego gestu. Justin patrzył, jak ręce wielebnego

połknęły dłonie Alice, jak jego palce owinęły się wokół jej nadgarstków i pieściły je.

– Alice, moja droga, kim jest twój uroczy gość? – Ojciec uśmiechał się do Ginny, czarując ją wzrokiem.

Ginny musiała poczuć się dowartościowana jego uwagą. Niezdarnie usiłowała pozbyć się bajgla i puszki, instynktownie uznając, że przy wielebnym nie uchodzi stać z tak pospolitymi przedmiotami. Justin już chciał jej pomóc, kiedy odwróciła się i rzuciła cenny precel do pobliskiego kosza na śmieci. Zawiedziony Justin westchnął głęboko, ale z powodu hipnotyzującej obecności Ojca nikt na to nie zwrócił uwagi. Odsunął się więc na bok. Nie chciał ryzykować, że szurnie nim jeden z tych Szwarzeneggerów. Miał już za sobą to przykre doświadczenie.

Usiadł na ławce. Wszyscy wpijali się wzrokiem w Ojca, nie wyłączając Brandona i blondynek. Chociaż Brandon był chyba trochę wnerwiony. Może dlatego, że Ojciec odebrał mu widownię.

Wielebny ujął dłonie Ginny, tak samo jak zrobił to z Alice, ale wiedząc, że znajduje się w centrum uwagi, zrobił z tego jakąś pieprzoną ceremonię. Zaglądał dziewczynie w oczy, uśmiechał się i nie przestawał nadawać, jaka z niej piękna młoda kobieta. Ginny była jeszcze drobniejsza niż Alice, więc palce wielebnego owinęły się wokół jej przedramion.

Ta pełna sceptycyzmu Ginny, która bez końca powtarzała im, że jej ojciec wściekłby się, gdyby wiedział, gdzie spędza ten wieczór, rozpływała się teraz z rozkoszy. Justin musiał przyznać, że ten gość to niezły czaruś... prawdziwy wąż

kusiciel. I wtedy Ojciec podniósł głowę i spojrzał w jego stronę.

Jezu, przestraszył się Justin. Może ten facet naprawdę potrafi czytać w myślach?

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ginny Brier prawie nie słyszała dochodzących z dołu odgłosów śpiewu i klaskania. Szeleściły pod nią wyschnięte liście, drobna gałąź kłuła ją w udo. Ale ona skupiła się wyłącznie na Brandonie, który sapiąc niecierpliwie, mozolił się z guzikami jej bluzki.

– Uważaj, żebyś żadnego nie oderwał – szepnęła, na skutek czego jego palce pracowały jeszcze natarczywiej i mniej ostrożnie.

Kark miał mokry, lecz ona wciąż go głaskała, by nieco uspokoić chłopaka, choć z drugiej strony podobało jej się, że aż tak bardzo zajmuje go i podnieca. Co prawda pomyślała też, że może po prostu dawno tego nie robił i stąd ta gorączka. Albo tylko boi się, że ktoś go przyłapie? Na przykład ten cały wielebny? Z pewnością wpadłby wtedy w szał. Już wyobrażała sobie tę scenę, i taka perspektywa, prawdę mówiąc, jeszcze mocniej ją nakręcała.

Ale i tak najbardziej podobało jej się to, że ten niewiarygodnie zimny gość, który wlepiał w nią oczy przez cały wieczór, poszedł za nią, wziął ją za rękę i zaprowadził na tyły pomnika.

Ostre światło oświetlających obiekt reflektorów nie sięgało jednak na zalesiony teren ponad i poza granitową ścianą. Gdyby Ginny dobrze się wsłuchała, usłyszałaby wodospad w dole, lecz zamiast tego skoncentrowała się na

ciężkim oddechu Brandona. Nareszcie pokonał przeszkodę w postaci guzików i zabrał się do stanika, lecz szło mu marnie. Zniecierpliwiony gwałtownym ruchem wsadził rękę pod miseczkę biustonosza i przesunął go do góry nad piersi. Ginny chciała zaprotestować, ale on zamknął jej usta pocałunkiem.

Sięgnęła ręką w dół i rozpięła pasek spodni Brandona, potem sięgnęła do rozporka, gładko i z mistrzowską niemal wprawą. Ale on nie czekał, tylko pchnął Ginny na liście i sam rozpiął rozporek. Chciała, by chłopak trochę zwolnił, dlatego zaczęła coś szeptać mu do ucha i głaskać kark.

– Nie tak szybko, Brandon, pobawmy się trochę.

Ale było już za późno. Nawet dobrze w nią nie wszedł, a już eksplodował. Potem zaczął ją znowu pieścić, starając się złapać oddech. Sapaniem starał się zagłuszyć nieuniknione westchnienie rozczarowania Ginny. Wreszcie siadł, odsunął z czoła mokre włosy i zapiął rozporek, wszystko tak zwyczajnie, jakby po prostu ubierał się rano. Dziewczyna poczuła się niewidzialna. Dlaczego ci z pozoru fajni faceci tak szybko naciskają spust i na koniec okazują się kompletnie niewrażliwymi dupkami?

– To wszystko? – Nie zamierzała ukrywać niezadowolenia. Nie obchodziło jej, czy ktoś ją słyszy, choć jej głos nie miał szansy konkurować z wodospadem, wielebnym Ple-Ple ani ogłupiającymi oklaskami.

W końcu na nią spojrzał, jego piwne oczy ukryte w cieniu były czarne i puste. To było jeszcze gorsze niż stan niewidzialności. Pod jego spojrzeniem poczuła się brudna.

Przesunęła stanik na miejsce i obciągała spódnicę, zauważając przy okazji, że porwał jej majtki w kroku.

– Ty fujaro. – Pokazała mu jego dzieło. – I co ja mam teraz zrobić?

– Nie wiem. A co takie dziwki jak ty zwykle po tym robią?

Wbiła w niego zdumiony wzrok, zaszokowana jego słowami.

– Wiesz co, z ciebie naprawdę niezły drań!

Mogliby grać bez końca w tę grę słów, lecz Brandon odpowiedział jej w inny sposób, to znaczy walnął ją pięścią w twarz. Ginny upadła z powrotem na liście, krew zaczęła spływać jej po brodzie. Na czworakach odsunęła się od niego. Złość zamieniła się w strach.

– Zostaw mnie, bo zacznę krzyczeć.

Zaśmiał się, odrzucił głowę, unosząc ją ku gwiazdom, i roześmiał się jeszcze głośniej, jakby chciał udowodnić, że nikt jej nie usłyszy. Miał zresztą rację. Śpiew płynący z dołu sprawiał, że jego śmiech zabrzmiał niczym…

Podniósł jej torebkę, wytarł w nią rękę i odrzucił do Ginny.

– Nie zapomnij zapiąć bluzki przed zejściem na dół – powiedział niespodzianie spokojnie i grzecznie, niemal z powagą, ale tak chłodno, że przeszył ją dreszcz. Jak on to robi? Jak może tak odseparować się od tego, co działo się przed chwilą? I to tak szybko?

Chwyciła torebkę i jeszcze się odsunęła, w poszukiwaniu ochrony opierając się o drzewo. On zaś obrócił się i odszedł bez słowa tą samą ścieżką, którą tu się wspięli.

Z dołu płynął ku niej głos kobiecy, który zastąpił głos wielebnego, ale Ginny nie zwracała uwagi na słowa. Wkrótce rozpoczęły się nowe śpiewy, jeszcze głośniejsze, jakby rosnące w siłę wraz z zapadającą nocą. Pieśń mówiła o powrocie do domu, do lepszego miejsca. Co za banda durniów!

Ginny westchnęła głęboko. Boże, ale była głupia. Dałaby głowę, że ten Justin nigdy w taki sposób nie potraktuje dziewczyny. Dlaczego zawsze tak fatalnie wybierała? Zawsze tych złych... Może dlatego, że to wkurza jej ojca i szokuje tę kobietę, która wkrótce ma zostać jej macochą? Nie, ona ich wcale nie obchodzi, oni dbają wyłącznie o swój publiczny wizerunek, o swoją bezcenną reputację. W domu wydzierają się jedno na drugie, a poza domem robią do siebie słodkie miny. Jakie to żałosne! Przynajmniej Ginny kieruje się prawdziwymi uczuciami, idzie za tym, czego naprawdę pragnie.

Coś poruszyło się w krzakach za jej plecami. Czyżby Brandon jednak zmiękł i wraca, żeby ją przeprosić? Może nie jest takim dupkiem, może...

Ale zaraz uprzytomniła sobie, że poszedł ścieżką w drugą stroną. Rozejrzała się nerwowo, podnosząc się na nogi i mrużąc oczy w ciemności.

Coś się ruszało. W cieniu. O rety! To tylko gałąź.

Zanim umrze ze strachu, musi stąd zniknąć. Schyliła się po torebkę. Uciekać, uciekać z tego strasznego miejsca.

Coś świsnęło tuż przed nią, jakiś błyszczący sznur, który zakręcił się nad głową i zaraz zacisnął się na szyi. Nie

zdążyła go chwycić.

Próbowała krzyczeć, ale z jej ust wydostał się tylko zatrzymany w gardle jęk. Krztusiła się i z trudem łapała powietrze. Zaciskała palce na sznurze, a potem na rękach, które go trzymały. Wbijała paznokcie w skórę, raniąc samą siebie, i wciąż nie mogła oddychać. Nie była w stanie tego zahamować. Nie potrafiła powstrzymać tego zaciskania. Już osuwała się na kolana. Pod jej powiekami pojawiały się błyski. Zero powietrza. Nie da się oddychać. Stopy wyśliznęły się spod niej. Ciężar ciała spoczął na karku, huśtała się na sznurze.

Nie mogła odzyskać równowagi. Nic już nie widziała. Nie oddychała. Kolana odmówiły posłuszeństwa, ręce opadły bezwładnie, palce spazmatycznie wbiły się w skórę, ale to nic nie pomogło.

Ginny bezgłośnie błagała o wybawienie.

I została wysłuchana. Wybawiła ją ciemność.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Centrum Waszyngtonu

Gwen Patterson, czekając na Marca, przewiesiła torebkę z jednego ramienia na drugie. Mrużyła oczy w półmroku pubu, gdzie stare gazowe latarnie i kandelabry ze świecami tworzyły atmosferę dawnego saloonu. Wiedziała, że o tak późnej porze w sobotę w Old Ebbitt’s Grill będzie pusto, żadnych VIP-ów, którzy lubią tu przesiadywać. Dzięki temu łatwiej będzie zdobyć miejsce, a przy okazji zadowolić przyjaciółkę, Maggie O’Dell, która nie znosi politycznych klimatów stolicy.

O ironio to, co tak denerwowało Maggie, stanowiło żywioł Gwen. Nie wyobrażała sobie bardziej ekscytującego miejsca, uwielbiała swoją kamienicę w Georgetown i swoje biuro z widokiem na Potomac. Mieszkała tu ponad dwadzieścia lat i choć dorastała w Nowym Jorku, stolica stała się jej domem.

Marco, gdy tylko ją ujrzał, uśmiechnął się i pomachał, gestem przywołując do siebie.

– Tym razem była lepsza – oznajmił, wskazując na miejsce w końcu przejścia, gdzie siedziała Maggie. Stała przed nią szklaneczka scotcha.

– Nie po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, spóźnianie się to moja specjalność. – Gwen mrugnęła do jak zawsze

punktualnej przyjaciółki.

Maggie z uśmiechem przyglądała się, jak Marco z wprawą odbiera płaszcz od Gwen, a potem zabiera jej teczkę. Miał zamiar powiesić ją na mosiężnym ozdobnym wieszaku za stołem, ale ostatecznie uznał, że lepiej będzie oprzeć ją o ścianę.

– Co pani w niej nosi? – poskarżył się. – Chyba załadowała ją pani cegłami.

– Jesteś blisko. Te cegły to moja nowa książka.

– Ach... tak. Zapomniałem, że jest pani teraz nie tylko znaną terapeutką polityków i ekspertów, ale także sławną pisarką.

– Nie dam głowy za tę sławę – odparła, wygładzając spódnicę i zasiadając do stołu. – Wątpię, by „Badania nad kryminalną osobowością dorosłych mężczyzn” tak zaraz dostały się na listę bestsellerów „New York Timesa”.

Marco uniósł krzaczaste brwi, odgrywając wielkie zdziwienie.

– No no, taki poważny i trudny temat dla takiej małej i pięknej kobiety.

– Marco, dość już. Za każdym razem, kiedy mnie w ten sposób komplementujesz, zamawiam porcję sernika.

– Słodkie do słodkiego, pasuje jak ulał.

Przewróciła oczami. Marco poklepał ją po ramieniu i ruszył przywitać parę Japończyków, którzy czekali przy drzwiach.

– Wybacz – mruknęła Gwen. – Za każdym razem musimy przez to przejść.

– Chyba się opłaca, bo dał nam najlepsze miejsce.

Gwen objęła Maggie długim spojrzeniem. Przyjaciółka wyglądała na rozbawioną tym przekomarzaniem. A może to efekt whisky, bo przecież, gdy dzwoniła do niej wcześniej, mówiła ponurym, udręczonym głosem. Powiedziała, że jest w mieście i ma ochotę na wspólną kolację. Gwen zgadła, że Maggie przyjechała do pracy, jako że mieszkała w Wirginii, prawie godzinę drogi stąd, na przedmieściach stolicy, w nieprzyzwoicie bogatym miejscu. I rzadko zjawiała się w mieście, a już prawie nigdy pod wpływem nagłego impulsu.

– Jak ci poszło podpisywanie książki? – Sączyła powoli scotcha, a Gwen zastanowiła się, czy to jej pierwszy. Maggie natychmiast to zauważyła. – Nie przejmuj się tak. To pierwszy i jedyny. Przecież muszę jechać z powrotem do domu.

– Podpisywanie poszło dobrze. – Gwen uznała, że tym razem odpuści Maggie wykład na temat jej nowego zwyczaju. Ale prawdę mówiąc, martwiła się o nią. Rzadko widywała ją bez szklaneczki alkoholu. – Zawsze mnie dziwi, że aż tylu ludzi interesuje się skomplikowaną umysłowością kryminalistów. – Machnęła na kelnera i zamówiła kieliszek chardonnay. – Cały dzień jeździłam taksówkami, więc wypiłam więcej niż jeden.

– Oszustka.

Gwen ulżyło. A więc Maggie potrafi jeszcze żartować na ten temat, zwłaszcza po ich ostatniej wspólnej kolacji, kiedy Gwen bez ogródek zasugerowała przyjaciółce, że jej

permanentny kontakt z alkoholem wypływa z wewnętrznej konieczności, a nie ze zwykłej ochoty. Jedno spojrzenie Maggie wystarczyło, by zrozumiała, że ma się odczepić. Dobre sobie. Biedna Maggie była skazana na jej przyjaźń, a co za tym idzie – czy jej się to podoba, czy nie – na irytujący instynkt macierzyński piętnaście lat starszej przyjaciółki.

Swoją drogą Gwen, skądinąd wybitny psycholog, fenomenu owego instynktu nie tylko nie potrafiła zanalizować, ale choćby pojąć w ogólnym zarysie.

Poznały się przed wielu laty w Quantico, gdzie młodziutka agentka O’Dell zaczęła praktykę w laboratorium kryminalnym, a pani psycholog Patterson pracowała jako konsultant. Szybko się zaprzyjaźniły, ale nie tylko. Gwen, do tej pory przekonana, że absolutnie nie nadaje się na matkę, nagle przerodziła się w przysłowiową mamuśkę wilczycę, gotową wydrapać oczy każdemu, kto zagraża Maggie.

Była więc matką Maggie, a zarazem jej przyjaciółką i psychologiem. Nie nauczyła się jeszcze rozdzielać tych ról i być może nigdy się nie nauczy. Wiedziała jedno: Maggie potrzebuje troskliwego opiekuna, czy się z tym zgadza, czy nie.

– Co cię przyniosło do miasta? Jakieś ważne sprawy w kwaterze głównej?

Maggie pracowała w Quantico w Pomocniczym Wydziale Dochodzeniowym, więc rzadko wpadała do biur dowództwa FBI na Dziewiątej i Pennsylvania Avenue.

– Właśnie wracam od Ganzy. Ale wcześniej byłam w Arlington. Dziś odbył się pogrzeb agenta Delaneya.

– Och, Maggie, nie wiedziałam… Dobrze się czujesz?

– Oczywiście.

Padło to za szybko i zbyt pewnie, by było prawdą. Gwen czekała w milczeniu na dalszy ciąg. Maggie otworzyła jadłospis. Aha, więc trzeba będzie trochę pociągnąć ją za język. Żaden problem, w końcu Gwen była doktorem od ciągnięcia za język, zwanym również psychologiem.

– Kiedy zadzwoniłaś, odniosłam wrażenie, że chcesz pogadać.

– Bo właśnie pracuję nad sprawą, w której przydałaby mi się twoja opinia.

Gwen zajrzała przyjaciółce w oczy. To nie o tym myślała, dzwoniąc do niej. Ale w porządku, jeżeli Maggie chce rozmawiać o sprawach zawodowych i uniknąć tego, co ją naprawdę boli, ona poczeka.

– O co chodzi tym razem?

– O strzelaninę w domu letniskowym. Cunningham chce mieć profile psychologiczne chłopców z tego domu, żebyśmy mogli powiązać ich z jakąś organizacją, do której ewentualnie należą. Bo w końcu młodzi faceci nie zabijają się dobrowolnie.

– Aha. Tak, to oczywiste. Czytałam coś o tym w „Washington Times”.

– A psychologia kryminalna mężczyzn to twoja nowa specjalność – rzekła Maggie z uśmiechem, w którym Gwen zobaczyła dumę. – Z jakiego powodu grupa chłopaków

odkłada broń, łyka kapsułki z cyjankiem potasu i czeka na śmierć?

– Nie znając szczegółów, powiem ci tylko, że moim zdaniem nie był to ich pomysł. Zrobili to, wykonując rozkaz kogoś, kogo się bali.

– Bali? Dziwne... Dlaczego od razu powiedziałaś, że się bali? Czy nie mogli tego zrobić, bo głęboko wierzyli w swoją sprawę? Mamy przecież do czynienia z jakąś grupą, którą cementuje raczej ideologia, a nie strach... Czyż nie tak dzieje się w różnych sektach lub ekstremalnych organizacjach politycznych?

– W tym wieku nie wie się jeszcze, w co się naprawdę wierzy. Łatwo jest manipulować młodymi ludźmi, ich opiniami i ideałami. Zresztą da się to wyjaśnić. Takie abecadło. Nie chcę cię zanudzać, przecież znasz te sprawy. – Gwen nie chciała przemieniać się w uniwersyteckiego wykładowcę, chyba że Maggie sama o to poprosi.

– Nie znam. I nie zanudzasz. Zamieniam się w pilną studentkę, pani doktor.

– Okej. Tu nie chodzi tylko o wyższy poziom testosteronu. U chłopców występuje niższy poziom neuroprzekaźnika serotoniny, a właśnie serotonina hamuje agresję i impulsywność. To być może tłumaczy, dlaczego więcej mężczyzn niż kobiet, zwłaszcza dorosłych mężczyzn, rozwiązuje swoje problemy, popełniając samobójstwo, wpadając w alkoholizm albo strzelając na szkolnym boisku.

– Tłumaczy więc także instynkt, który nakazuje sięgnąć po karabin, kiedy jest się w pułapce pełnej broni, a wokół roi

się od wrogów. A oni położyli się i czekali na śmierć. – Maggie wzruszyła ramionami. – Czyli wracam do pierwszego pytania: dlaczego położyli się i czekali na śmierć?

– No to ja wracam do pierwszej odpowiedzi. – Gwen uśmiechnęła się. – Strach, oni się bali. Ktoś ich przekonał, że nie mają innego wyjścia. – Popatrzyła, jak Maggie tuli szklaneczkę z alkoholem. – Sama to wiesz, prawda? Przecież nie mówię ci nic nowego. Wiesz, jak to działa, przecież mówimy o abecadle. Więc dlaczego tak naprawdę chciałaś się ze mną spotkać? O czym naprawdę chcesz pogadać?

Zapadła cisza. Zazwyczaj Gwen nie pozwalała na tak przeciągłą ciszę.

– Szczerze mówiąc – Maggie sięgnęła po jadłospis – jestem bardzo, ale to bardzo głodna. – Podniosła jednak wzrok i w odpowiedzi na zmarszczone czoło Gwen wysiliła się na cienki uśmiech. – Chcę tylko pobyć trochę z przyjaciółką, okej? Nic więcej. Z kimś, kto żyje, oddycha i jest cudowną przyjaciółką, którą absolutnie kocham i podziwiam.

Tym razem Gwen zajrzała w brązowe oczy Maggie. Była w nich powaga, nawet odrobina wzruszenia, które kazało Maggie schować się za jadłospisem. Gwen zrozumiała, że przyjaciółka stara się ukryć swoją bezbronność, która za bardzo wypłynęła na powierzchnię, bezbronność, którą twarda Maggie O’Dell uczyła się zachowywać dla siebie

i kryć przed wzrokiem innych, nawet przed swoimi cudownymi, żyjącymi i oddychającymi przyjaciółmi.

– Radzę ci spróbować burgera z orzesznika – powiedziała Gwen, wskazując na menu.

– Burgera? Taki smakosz jak ty poleca burgera?

– Bo to nie jest byle burger, ale najlepszy burger w mieście.

Zobaczyła, że Maggie się uspokoiła. Jej uśmiech nie był już wymuszony. Niech jej będzie, Gwen pociągnie ją za język następnym razem. Tego wieczoru zjedzą burgery, wypiją parę drinków i będą po prostu żyjącymi, oddychającymi przyjaciółkami.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Musiał usiąść. Tym razem mgła zdawała się gęściejsza. A może wziął za dużo tej mikstury? Miała go tylko wzmocnić, pomóc mu lepiej widzieć w ciemności. Nie chciał czegoś takiego jak ta mgła. Musiał usiąść. Tak, usiąść i czekać, aż odpłynie sprzed jego oczu.

Usiądzie więc i skupi się na oddychaniu, jak go uczono. Nie będzie się złościł. Zaraz. Czy to naprawdę złość? Może frustracja. Rozczarowanie, tak, rozczarowanie, ale nie złość. Złość to negatywna energia, a on jest ponad to. Nie, to zwykła frustracja. Ostatecznie ma do niej powody. Był przekonany, że tym razem potrwa to dłużej. W końcu ona bardzo się starała. A on znów był niemal pewny, że za trzecim razem to widział. Tak, był zupełnie pewien, że widział to światło w jej oczach, to migotanie, ten błysk, ten moment, gdy życie ucieka z ciała. Owa sekunda, kiedy brała swój ostatni wdech. Tak, widział to, był tak blisko.

Teraz minie parę dni, może nawet tydzień, nim znowu spróbuje. Tracił już cierpliwość. Dlaczego, kurwa, poddała się tak szybko? Potrzeba mu tylko jeszcze jednej okazji. Był tak blisko. Tak blisko, że nie chciał dłużej czekać.

Ścisnął zeszyt, uspokajał się dotykiem miękkiej skórzanej oprawy. Usiadł na twardej ławce w mrocznym kącie dworca, nie zwracając uwagi na zgrzyt hamulców hydraulicznych, niekończące się stukanie obcasów,

przesuwające się ciała. Wszyscy się tak cholernie spieszyli do jakiegoś celu.

Skupiony na unoszącej się mgle, zamknął oczy i słuchał. Nienawidził hałasu. Jeszcze bardziej nienawidził zapachów: smrodu benzyny i tego czegoś, co śmierdzi jak przemoczone brudne skarpety. I zapachu ludzi. Tak, smrodu ludzkich ciał, tych dupków, którzy zostawili swoje kartonowe domy, żeby pożebrać tu o drobniaki. Bezwartościowe dupki.

Uniósł powieki, zadowolony, że widzi coraz wyraźniej. Mgła wreszcie gdzieś się ulotniła. Przypatrywał się jednemu z tych bezwartościowych dupków, który sterczał przy automacie i niecierpliwie zaglądał, czy nie wypadną z niego jakieś grosze. Czy to kobieta? Trudno powiedzieć. Zapewne postać miała na sobie wszystko, co posiadała, tych kilka warstw brudów, cały cholerny majątek ludzkiego śmiecia. Mankiety spodni ciągnęły się za nią, spowalniając jeszcze jej bezmyślne szuranie po kamiennej posadzce. Na głowie miała przekrzywioną podartą i rozciągniętą wełnianą czapkę, spod której wyglądały brudne jasne włosy sterczące niczym siano. Tchórz, tchórz. Żadnego instynktu przeżycia. Żadnej godności. Żadnej duszy.

Odłożył zeszyt na kolana, a ten otworzył się na stronie, gdzie zostawił zakładkę, niewykorzystany bilet lotniczy, którego ważność dawno wygasła. Był zagnieciony na rogach, wymięty. Chciał, żeby zeszyt przyniósł mu ukojenie, wyciszył wewnętrzny niepokój, to nienawistne rozedrganie, które nie pozwalało mu być sobą. Tak już bywało, słowa

prowadziły go i inspirowały, pokazywały kierunek i podpowiadały usprawiedliwienie. Jego dłonie już się uspokoiły.

Obciągnął mankiet koszuli, zakrywając zaschniętą krew. Nieźle go podrapała. Bolało jak diabli, ale da sobie z tym radę. Potem umyje ręce. Teraz potrzebuje poczucia spełnienia i uzasadnienia. Musi się uspokoić i znaleźć w sobie cierpliwość. A jednak jego myśli krążyły bezustannie wokół tego, że był tak blisko celu. Nie chciał już czekać. Żeby tylko znalazł jakieś rozwiązanie i nie musiał czekać.

I wtedy właśnie ta nędza w przekrzywionej czapce podstawiła mu pod nos śmierdzącą rękę w rękawiczce.

– Da pan dolara czy dwa?

Podniósł wzrok, spojrzał na jej umazaną gębę i uświadomił sobie, że jest dość młoda, może nawet była kiedyś atrakcyjna, nim pokryła się brudem i zgnilizną, nim przesiąkła kwaśnym smrodem. Patrzył w jej oczy – były czyste, krystalicznie niebieskie. I było w nich światło. Żadnej beznadziejnej rozpaczy. Jeszcze nie. Może więc wcale nie będzie musiał czekać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Newburgh Heights, Wirginia

Zimny wiatr szczypał Maggie, mimo to biegła dalej, witając go przyjaźnie. Śmierć Delaneya wywołała w niej emocje, których się nie spodziewała, na które nie była przygotowana. Pogrzeb przyjaciela uwolnił lawinę wspomnień z dzieciństwa, wspomnień, które z takim trudem po długiej walce zdołała odsunąć za bezpieczną granicę. Bitwa, jaką toczyła, żeby je tam zatrzymać, najpierw wyczerpała ją, a zaraz potem rozzłościła. Zdumiewające, jak bardzo męczące są te wspomnienia sprzed lat i jak wiele sił się traci, by zmieść je z powierzchni, głęboko ukryć, żeby nikt nie domyślił się, jak łatwo Maggie może eksplodować. Nikt poza Gwen.

Maggie wiedziała, że przyjaciółka wyczuła jej nastrój, choć tak skrzętnie się maskowała. To było jedno z przekleństw ich przyjaźni, przynosiło bowiem tyle samo spokoju co rozdrażnienia. Czasami zastanawiała się wręcz, czemu, do diabła, Gwen w ogóle ją znosi, a czasami nie chciała znać odpowiedzi na to pytanie. Była po prostu wdzięczna za mądrą, kochającą mentorkę, która – wystarczy, że raz spojrzała jej w oczy – i już wiedziała, jak bardzo się w niej gotuje. I zawsze potrafiła wzniecić w niej siłę i dobro, co już graniczyło z psychologiczną magią.

Przecież tego wieczoru Gwen zrobiła tak bez jednego choćby słowa. Oby teraz Maggie zdołała wytrwać przy tej sile.

Kiedy została psychologiem kryminalnym, przypuszczała, że nauczy się układać w odpowiednich przegródkach swoje uczucia i emocje, oddzielać nieodłącznie związane z pracą koszmary i obrazy od dnia codziennego, zdoła odseparować działalność agentki od życia osobistego. Wprawdzie w Quantico nie uczyli takich rzeczy, ale skoro tak właśnie postąpiła ze wspomnieniami i obrazami z dzieciństwa, dlaczego nie miałoby jej się udać z pracą? Problem w tym, że za każdym razem, kiedy zdawało jej się, że ma już tę technikę w małym palcu, któraś z przegródek zaczynała przeciekać. Wkurzała się tym jak diabli, zwłaszcza że Gwen zawsze wiedziała, o co chodzi, cokolwiek Maggie by robiła, żeby ukryć przed nią prawdę.

Przyspieszyła, Harvey biegł obok niej. Wielkie psisko nie mogło narzekać. Odkąd go przygarnęła, został jej cieniem. Biały labrador nieco przesadzał z tą swoją nadopiekuńczością, podskakiwał na dźwięki, których Maggie w ogóle nie słyszała, szczekał z równym zacięciem na listonosza i dostawcę pizzy. Ale Maggie oczywiście nie miała mu tego za złe.

Minionej wiosny pies był świadkiem, jak jego poprzednia właścicielka została porwana z domu przez seryjnego mordercę Alberta Stucky’ego. Wprawdzie Maggie wcześniej wsadziła go za kratki, ale zdołał uciec na wolność. Harvey stoczył walkę, ale nie był w stanie

powstrzymać porywacza. Przez całe miesiące, odkąd znalazł się u Maggie, wyglądał przez okna potężnego domu w stylu Tudorów, patrzył i czekał na swoją właścicielkę. Kiedy w końcu zrozumiał, że ona nie wróci, przykleił się do Maggie tak mocno, jakby obawiał się, że może stracić drugą panią.

Ciekawe, co by pomyślał Harvey, gdyby wiedział, że Albert Stucky porwał jego panią tylko dlatego, że przypadkiem poznała Maggie? I teraz agentka O'Dell musiała z tym żyć, jak z wieloma podobnymi sprawami, które nawiedzały ją nocami w koszmarnych snach. A przecież i to zdarzenie miało swoją szufladkę i powinno w niej siedzieć.

Oddychała miarowo, zgodnie z rytmem kroków i uderzeń serca, które wypełniały jej uszy. Biegła na granicy wytrzymałości, a kiedy poczuła, że jej nogi mają już dość, jeszcze przyspieszyła. Potem nagle zauważyła, że coś dzieje się z przednią łapą Harveya, który mimo to także nie zwalniał, bo za wszelką cenę chciał dotrzymać jej kroku, by znów nie zostać sam. Przystanęła gwałtownie, zaskakując psa nagłym szarpnięciem smyczy.

– Harvey. – Łapała oddech, a on czekał, przekrzywiając łeb. – Co ci się stało?

Pokazała palcem na jego łapę, a on skulił się przy ziemi, jakby nabroił i spodziewał się bury. W obie ręce delikatnie ujęła wielką łapę. Jeszcze jej dobrze nie uniosła, kiedy poczuła ukłucie. Głęboko między opuszkami tkwił rzep.

– Harvey. – Nie chciała, żeby to zabrzmiało jak nagana, ale pies jeszcze bardziej rozpłaszczył się na ziemi.

Podrapała go za uszami, żeby wiedział, że nic nie zawinił. Bardzo nie lubił, kiedy wyciągało mu się rzepy, wolał się wbić w jakiś kąt i cierpieć, ale Maggie nauczyła się robić to szybko i skutecznie. Złapała rzep paznokciami i pociągnęła jednym błyskawicznym ruchem. Pies natychmiast nagrodził jej palce wdzięcznym liźnięciem.

– Harvey, musisz mi jakoś dawać znać, jak tylko coś ci się przytrafi. Przecież umówiliśmy się, że żadne z nas nie będzie zgrywać bohatera.

Pies słuchał, nie przerywając lizania, z jednym uchem uniesionym nieco bardziej niż drugie.

– To jak, umowa stoi?

Podniósł łeb i szczeknął raz, za to głośno. Potem podniósł się, gotowy do dalszego biegu, machając żwawo ogonem.

– Może teraz trochę zwolnimy, co? – Zdawała sobie sprawę, że przesadziła. Przeciągnęła się i poczuła skurcz łydki. Tak, pozostałą część drogi pokonają spacerkiem, nie zwracając uwagi na przenikliwy wiatr, który przewiewał spocone ciało i przyprawiał Maggie o dreszcze.

Krągły pomarańczowy księżyc wyglądał zza linii sosen i grani, która oddzielała osiedle od reszty świata. Domy stały z dala od ulicy, tak hojnie otoczone przestrzenią, że trudno było z okien dostrzec sąsiada. Maggie bardzo to odpowiadało, mogła się tu bowiem dokładnie ukryć, a jej prywatność była ściśle strzeżona. Ciemność nadchodziła teraz co prawda szybko, nierozpraszana ulicznymi lampami. Maggie bała się trochę biegać po zmierzchu, w końcu nie brakowało różnych Albertów Stuckych. Nie pomagała

nawet świadomość, że akurat ten jeden nie żyje, że sama go zabiła, zwabiwszy w pułapkę. Dlatego wciąż zdarzało jej się biegać ze smith&wessonem wetkniętym za pasek.

Nim dobiegła do długiego zaokrąglonego podjazdu przed swym domem, dojrzała błysk przedniej szyby samochodu. Poznała czysty jak łza biały mercedes i już chciała zawrócić. Byłoby to możliwe, gdyby właściciel wozu nie spostrzegł jej. Tylko że Greg już machał do niej z ganku, przechylając się przez balustradę niczym właściciel domu.

– Trochę późno na bieganie, nieprawdaż? – Przywitał ją słowami, które brzmiały jak reprymenda, i Maggie skuliła się odruchowo, identycznie jak zrobił to wcześniej Harvey. Ten gest świetnie symbolizował panujące między nimi relacje, które zredukowane zostały do podstawowych instynktownych taktyk umożliwiających przeżycie. A Greg jeszcze się dziwił, że ona chciała rozwodu!

– Czego chcesz, Greg?

Wyglądał, jakby wyszedł ze stron eleganckiego magazynu. Miał na sobie ciemny garnitur, nawet w słabym świetle księżyca widziała, że nie ma na nim ani jednego zgniecenia. Swoje złotoblond włosy ułożył za pomocą pianki, zatem żaden kosmyk nie śmiał się wymknąć na wolność. Tak, jej wkrótce już eksmałżonek jest naprawdę przystojny, bez dwóch zdań. Zapewne wraca właśnie do domu z kolacji z przyjaciółmi albo wspólnikami. A może miał randkę, pomyślała, zastanawiając się, jak by to przyjęła. Z ulgą, stwierdziła bez wahania.

– Niczego – rzucił urażony, wycofując się na pozycje obronne, kolejny ruch taktyczny z jego arsenału. – Pomyślałem, że powinienem zajrzeć, sprawdzić, co słychać.

Kiedy się zbliżyli do siebie, Harvey zawarczał, by ostrzec intruza, że znalazł się na cudzym terytorium.

– Dobry Boże! – Greg gwałtownie się cofnął. Dopiero teraz dostrzegł zwierzę. – To jest ten twój pies?

– Dlaczego miałbyś sprawdzać, co u mnie słychać?

Ale Greg był teraz zajęty Harveyem. Maggie wiedziała, że nienawidzi psów, choć kiedy byli jeszcze razem, tłumaczył się, że jest uczulony na sierść. Ale teraz wydawał się uczulony wyłącznie na warczenie Harveya.

– Greg. – Zaczekała chwilę, aż zwróci na nią uwagę. – Po co przyjechałeś?

– Słyszałem o Richardzie.

Maggie wlepiła w niego wzrok, czekając, co jeszcze powie. Jednak nie doczekawszy się dalszych objaśnień, odezwała się:

– To się stało wiele dni temu. – Nie dodała, że gdyby naprawdę o nią się martwił, nie odkładałby tak długo tej wizyty.

– Taa, wiem. Słyszałem w wiadomościach, ale nie od razu skojarzyłem nazwisko. Dziś rano rozmawiałem ze Stanem Wenhoffem o sprawie, którą reprezentuję, i on mi powiedział, co się stało w kostnicy.

– Co takiego?! – Maggie nie wierzyła własnym uszom. Ciekawe, komu jeszcze Stan o tym opowiedział?

– On się o ciebie martwi, Maggie. No i wie, że jesteśmy małżeństwem.

– Rozwodzimy się.

– Ale jeszcze nie mamy rozwodu.

– Proszę cię, Greg, mam za sobą długi, ciężki tydzień i nie jestem w nastroju, żeby wysłuchiwać twojego kazania. Nie dziś wieczorem, okej? – Minęła go marszowym krokiem, zdecydowanie kierując się do drzwi wejściowych. Spuściła przy tym Harveya ze smyczy, żeby Greg zszedł im z drogi.

– Maggie, naprawdę wpadłem zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

– W porządku. – Otworzyła drzwi i czym prędzej przestawiła system alarmowy.

– Mogłabyś okazać choć odrobinę wdzięczności, przejechałem kawał drogi.

– Następnym razem najpierw zadzwoń.

Mało brakowało, a zatrzasnęłaby mu drzwi przed nosem, kiedy powiedział:

– To mogłaś być ty.

Zatrzymała się i oparła o framugę, patrząc Gregowi prosto w oczy. Jego idealne czoło zmarszczyło się, a w oczach zalśniła wilgoć, której nigdy dotąd nie widziała.

– Kiedy Stan powiedział mi o Richardzie... to... ja... – Choć mówił cicho i spokojnie, niemal szeptem, w jego głosie odezwały się emocje, których nie słyszała od lat. – Natychmiast pomyślałem, jak bardzo musiałaś to przeżyć.

– Potrafię się o siebie troszczyć, Greg. – Jej praca stanowiła nieustający temat małżeńskich dyskusji i sporów

przez ostatnich kilka lat. Maggie nie była w nastroju na żadne „a nie mówiłem”.

– Z pewnością Richard uważał tak samo, że sam się o siebie zatroszczy. – Greg podszedł do niej i wyciągnął rękę, jakby zamierzał dotknąć jej policzka, ale od razu zatrzymało go ostrzegawcze warknięcie Harveya. – Uświadomiłem sobie, jak bardzo mi wciąż na tobie zależy.

Maggie westchnęła i zamknęła oczy. Niech to szlag trafi! Nie chciała tego słyszeć. Otworzywszy oczy, zobaczyła, że Greg uśmiecha się do niej.

– Może pojechałabyś ze mną? Zaczekam, aż się pozbierasz.

– Nie, Greg.

– Spotykam się z bratem i jego nową żoną. Przenocujemy w ich hotelu.

– Greg, nie...

– Daj spokój, przecież wiesz, że Mel cię uwielbia. Na pewno bardzo się ucieszy, gdy cię zobaczy.

– Greg.

Chciała mu oświadczyć, że najpewniej już nigdy nie spotka się z nim ani z Melem. Że ich małżeństwo skończyło się i nie ma drogi powrotu. Rozwód naprawi pomyłkę, jaką popełnili przed laty, łącząc się ze sobą, choć nie odda straconego czasu.

Lecz te szare wilgotne oczy przemieniły jej złość w smutek. Pomyślała o Delaneyu i jego żonie Karen, która tak bardzo miała mu za złe jego pracę. Tak samo było z Gregiem i Maggie. Dlatego powiedziała:

– Może innym razem, dobra? Późno już, a ja jestem kompletnie wypluta.

– Dobra – odparł z wahaniem.

Przez chwilę bała się, że Greg ją pocałuje. Spuścił wzrok z jej oczu na wargi, i było to tak intensywne, że Maggie aż zesztywniała. I nagle uprzytomniła sobie, że wcale by się nie broniła, co ogromnie ją zdumiało. Co się z nią dzieje, do diabła?

No, nie ma co za bardzo się przejmować, pomyślała. Zresztą Harvey zaczął znowu powarkiwać, co skutecznie ukróciło intymne zapędy Grega.

Krzyknął na psa, potem uśmiechnął się znów do Maggie.

– Przynajmniej nie potrzebujesz ochroniarza. – Odwrócił się i ruszył w kierunku samochodu, lecz zaraz odwrócił się do niej. – Byłbym zapomniał. – Wyciągnął plik pogniecionych kartek z wewnętrznej kieszeni marynarki. – To pewnie wywiało z twoich śmieci. Straszny był dziś wiatr. – Z tymi słowy podał jej coś, co rozpoznała jako kilka podartych reklam, wyciągi z karty kredytowej i notatkę na temat subskrypcji „Smart Money”. – Może powinnaś mieć szczelniejsze pokrywy.

Jakie to typowe dla Grega, tego praktycznego i pedantycznego Grega, który nie przepuści żadnej okazji, żeby ją poprawić lub coś jej doradzić.

– Gdzie to znalazłeś?

– Pod tamtym krzewem. – Wskazał na wawrzyn rosnący wzdłuż jednej ze ścian domu i ruszył w stronę wozu. – Cześć, Maggie.

Pomachał jej i wsiadł do samochodu, a ona obserwowała to wszystko, bezbłędnie przewidując jego kolejne ruchy, choćby to, że przejrzy się w tylnym lusterku, a potem pogłaszcze swoją idealną fryzurę. Zaczekała, aż jego mercedes zjedzie na ulicę i zniknie jej z oczu, i wraz z Harveyem obeszła garaż. Natychmiast zapaliły się automatycznie włączane światła, ukazując dwa pojemniki na śmieci. Stały dokładnie tam gdzie zawsze, jeden przy drugim, bezpiecznie wsparte o ścianę, a każdy z nich miał szczelnie zamkniętą pokrywę.

Maggie zerknęła na zgniecione kartki. Podarła to, co ważne, żeby się potem nie denerwować. Zawsze była z tym ostrożna. A jednak fakt, że ktoś grzebał w jej śmieciach, bardzo niepokoił. Co takiego ktoś spodziewał się tam znaleźć?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Waszyngton

Ben Garrison wrzucił worek marynarski do mieszkania. Coś tam śmierdziało. Czyżby znowu zapomniał wyrzucić śmieci?

Przeciągnął się i stęknął głośno. Bolały go plecy, w głowie pulsowało. Pomasował prawą skroń, zdumiony, że wciąż znajduje ją na miejscu. Cholera! Bolało jak diabli. Dobrze chociaż, że włosy zakrywały to miejsce. Nie żeby się bardzo przejmował. Po prostu nie znosił, kiedy ludzie go wypytywali, choć nie był to ich interes. Na przykład ta wyszczekana stara dziwka w metrze, która siedziała obok niego. Wścibska suka cuchnęła jak śmierć. Dlatego wysiadł wcześniej, niż zamierzał, i złapał taryfę, którą przyjechał do domu. Rzadko pozwalał sobie na taki luksus. Taryfy są dla palantów.

Teraz miał tylko jedno marzenie: walnąć się na łóżko, zamknąć oczy i spać. Ale najpierw musi się upewnić, czy udało mu się zrobić jakieś dobre zdjęcia, bo inaczej nic z jego marzeń. Do diabła, sen też jest dla palantów.

Chwycił worek, wysypał jego zawartość na blat kuchenny i potężnymi dłońmi złapał trzy kasety z filmami, zanim stoczyły się na ziemię. Potem zaczął układać czarne

pojemniki według dat i godzin zanotowanych na pokrywkach.

Pięć z siedmiu rolek pochodziło z tego dnia. Nawet sobie nie zdawał sprawy, że tyle nastrzelał. Światło było jego największym problemem. Wokół pomnika w jednym miejscu było zbyt ciemno, w innym zaś aż raziło w oczy. Większość czasu spędził w różnych ponurych kątach, gdzie mimo ryzyka musiał posłużyć się lampą. Dobrze, że przynajmniej odpłynęły chmury, które podczas dnia zasłaniały niebo. Może więc szczęście zaczyna mu w końcu dopisywać.

W tym zawodzie tyle zależy od przypadku. Prowadził nieustanną walkę z przeciwnościami, starał się je choćby w niewielkim stopniu ograniczyć. Niestety, ciemność to ciemność i czasem nawet superfilm czy nowa lampa z podczerwienią nie przebiją się przez czerń.

Zebrał kasety z filmami i ruszył do garderoby, w której urządził sobie ciemnię. Wtedy rozdzwonił się telefon. Ben zawahał się, ale ostatecznie postanowił nie podnosić słuchawki. Przestał odpowiadać na telefony parę miesięcy temu, kiedy zaczął do niego wydzwaniać jakiś czubek. Mimo to przystanął, by wysłuchać automatycznej sekretarki, która włączyła się, prosząc o zostawienie wiadomości.

Ben czekał nerwowo, zastanawiając się, jaką bzdurę usłyszy tym razem. Tymczasem odezwał się znajomy głos:

– Garrison, mówi Ted Curtis. Mam twoje zdjęcia. Są dobre, ale moi chłopcy robią takie same. Potrzeba mi

czegoś nowego, czego nie ma nikt inny. Zadzwoń, jak będziesz miał coś takiego, okej?

Ben mało co nie rzucił kasetami o ziemię. Każdy palant chciał coś wyjątkowego, jakieś pieprzone rewelacje. Minęły już dwa lata od chwili, gdy jego zdjęcia martwych krów rozpętały tę całą historię o epidemii wąglika. Był zresztą już wcześniej na fali, jakby miał na drugie imię Szczęściarz. Tak przynajmniej tłumaczył sobie fakt, że akurat znalazł się blisko tamtego tunelu, kiedy księżna Diana zginęła w wypadku. A czy to nie szczęście pchnęło go do Tulsy w dniu wybuchu bomby w Oklahoma City? Zdążył tam dotrzeć w ciągu paru godzin i dzięki temu miał całą furę zdjęć na wyłączność, które natychmiast rozesłał kablem tam, gdzie najlepiej płacą.

Przez kilka kolejnych lat wszystko, co fotografował, zamieniało się w złoto, dzienniki i magazyny angażowały go bez przerwy. Ścigano go telefonami i wciąż się dopytywano, co ma na sprzedaż w danym tygodniu. A on miał tego towaru dużo, bo jeździł, gdzie chciał, i fotografował wszystko, co go interesowało: od walk plemion afrykańskich po żaby, którym wyrosły nogi z pieprzonych głów. Wyrywali mu cały materiał niemal tak szybko, że ledwie zdążył wywołać zdjęcia. Tylko dlatego, że to on był ich autorem.

Ale ostatnio sytuacja się zmieniła. Może najzwyczajniej w świecie rzeczka szczęścia podeschła. Był cholernie zmęczony czekaniem, aż coś się znowu wydarzy. Może czas samemu coś sprowokować? Jakąś ruchawkę pod Białym

Domem, jakiś pieprzny skandalik albo nawet skandal co się zowie…

Cholera, co za głupota. O czym on myśli? Ścisnął kasety w dłoni. Oby tylko coś tam znalazł.

Skręcając do ciemni, zauważył mrugające światełko automatycznej sekretarki, co znaczyło, że prócz Curtisa ktoś jeszcze zostawił wiadomość. Dobra, może Parentinowi albo Rubinsowi spodobają się zdjęcia, które odrzucił Curtis?

Nacisnął przycisk.

– Masz dwie nowe wiadomości – wyrecytował mechaniczny głos, grając mu na nerwach. – Dzisiaj o jedenastej czterdzieści pięć…

Ben zerknął na zegarek. A zatem ktoś dzwonił tuż przed jego powrotem.

Nastąpiło kliknięcie i chwila ciszy. Pewnie ktoś się pomylił. Potem jednak odezwał się uprzejmy głos młodej kobiety.

– Panie Garrison, mówi dział obsługi klienta Yellow Cub. Mam nadzieję, że był pan zadowolony z naszych usług dziś wieczorem.

Kasety z filmami wysypały się na podłogę i poturlały w różnych kierunkach, a Ben chwycił za słuchawkę. Wlepił wzrok w telefon. Żadna korporacja taksówkowa na tej planecie nie dzwoni do swoich pasażerów, żeby zapytać, czy im się przyjemnie podróżowało ich taryfą. Nie, to muszą być tamci. Czyli przestali mu robić durne kawały, natomiast

zaczęli go śledzić. I na dodatek chcą, żeby on o tym wiedział.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Justin Pratt czekał przed toaletą w McDonaldzie. Kto by przypuszczał, że o tej porze będą tu takie tłumy? Ale z drugiej strony gdzie, jak nie tu, przychodzą wszystkie zgłodniałe dzieciaki. Chrzaniony świat! Sam wiele by zrobił za big maca. Czując zapach frytek, zaczynał się ślinić i od razu bolał go żołądek.

Nieopatrznie zasugerował Alice, żeby coś przekąsili. I wiedział, że ona mu odmówi, zanim jeszcze zmarszczyła nos i rzuciła mu to swoje zirytowane spojrzenie. To właśnie w niej podziwiał, tę jej nieugiętą samodyscyplinę. Ale jakkolwiek by na to patrzeć, czy świat by się zawalił, gdyby wrzucili po jednym pieprzonym cheeseburgerze?

Przypomniał sobie, że musi panować nad swoim językiem. Rozejrzał się wokół siebie. Bez przerwy sprawdzał, czy ktoś nie podsłuchuje jego myśli, to już stało się obsesją. Coś z nim nie tak? Sam siebie przyprawiał o ciarki na plecach.

Stał się taki nerwowy, że sam w to nie wierzył. Całkiem jakby nie panował nad swoim ciałem i myślami. Podrapał się w brodę i przeczesał palcami tłuste włosy. Wkurzały go te kąpiele pod prysznicem na czas. Woda nigdy nie zdążyła się dobrze nagrzać, tego ranka jego dwie minuty minęły, zanim zdążył spłukać szampon z włosów.

Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. Co ona tak długo tam siedzi? Miał świadomość, że jego nerwowość

wynika po części z porzucenia papierosów i kawy. Żadnych papierosów, żadnej kawy, żadnych cheeseburgerów. Jezu! Tak kompletnie mu odbiło czy co?

I wtedy właśnie Alice wyłoniła się z toalety. Związała z tyłu długie jasne włosy, co podkreśliło jej porcelanową cerę i wydęte wargi, bez żadnych szminek czerwone jak wiśnie. Jej zielone oczy zabłyszczały jaśniej, kiedy spotkała się z nim wzrokiem, uśmiechnęła się do niego tak jak nikt nigdy się do niego nie uśmiechał. Nic się nie liczyło, żadne wyrzeczenia, jak długo ten piękny anioł uśmiechał się do niego w ten sposób.

– Brandon się nie pojawił? – spytała, a Justin w jednej chwili został wyrwany ze swoich fantazji.

– Nie, jeszcze nie. – Wyjrzał przez okno, udając, że też czeka na kolegę.

Prawdę mówiąc, zapomniał o Brandonie i wcale go nie obchodziło, czy się pojawi. W głowie mu się nie mieściło, że jego brat Eric mógł się tak zaprzyjaźnić z tym gościem. Brandon w niczym nie przypominał Erica. Justin nie miałby nic przeciw temu, żeby Brandon w ogóle zniknął z powierzchni ziemi. Miał go dosyć, tego jego luzactwa, tego zgrywania Casanovy i tej jego miny, która mówiła światu: „patrzcie i podziwiajcie, jaki jestem super”. I nie zmieniłby zdania, nawet gdyby się okazało, że Brandon przygotowuje się do roli kolejnego Ojca.

Justin nie rozumiał także i tego, po co Brandon łazi wszędzie za Alice. Mógł mieć każdą laskę, na którą przyszła mu ochota. Więc czemu nie odstawi się od Alice? Co

prawda Ojciec naciskał, żeby członkowie społeczności nigdy nie podróżowali samotnie, a Justin nie był jeszcze pełnoprawnym członkiem, zatem każdy, komu ewentualnie towarzyszył, i tak postrzegany był przez Ojca jako podróżujący w pojedynkę.

Eric usiłował mu wytłumaczyć wszystkie te reguły i niedorzeczności, ale Ojciec zaraz wysłał Justina do lasu, prawie na tydzień. Pompatycznie nazywał to rytuałem inicjacyjnym. Eric nie dyskutował z nim, a sam Justin wciąż nie pojmował, co ma wspólnego z inicjacją spanie na ziemi czy jedzenie zimnej fasoli z puszki.

I tak miał szczęście, bo zawędrował do Parku Narodowego Shenandoah, gdzie spotkał turystów, którzy go dobrze nakarmili. Martwił się trochę, że przybrał na wadze i nie wygląda tak jak powinien, czyli na wyniszczonego i przestraszonego. A tego właśnie spodziewał się po nim Ojciec po powrocie. Na szczęście gdy wrócił, Erica nie było, został wysłany z jakąś bardzo sekretną misją, o której nikt nie mówił Justinowi ani słowa. Nie znosił tych gównianych tajemnic. Dotyczyły różnych bzdur i były durne.

Alice usiadła w rogu sali. Justin zawahał się. Bardzo pragnął usiąść obok niej. Mógłby jej powiedzieć, że musi zmienić miejsce, by wypatrywać Brandona, ale Alice robiła to sama. Wypatrywała tak bacznie, że Justin znienawidził Brandona jeszcze bardziej. Cholera, dlaczego tak bardzo pochłaniał jej uwagę.

W końcu wślizgnął się na siedzenie naprzeciw Alice. Rozejrzał się po sali, czy nikomu nie przeszkadza, że zajęli

miejsca, niczego przedtem nie zamawiając. Przybywający w dużej liczbie wieczorni klienci napychali brzuchy śmieciowym jedzeniem. Już dawno minęła pora kolacji, nic więc dziwnego, że burczało mu w brzuchu. Kęs precla Ginny to wszystko, co zjadł od lunchu. Zresztą ten gumowy ryż z fasolą, którym został wcześniej nakarmiony, przyklejał się tylko do ścian żołądka, lecz tak naprawdę nie zaspokajał głodu. Jak oni mogą każdego dnia jeść to gówno? Na dodatek, ponieważ byli w trasie, dzisiaj dostali swoje porcje na zimno. Fuj! Wciąż miał w ustach ten paskudny smak.

Alice zdjęła kurtkę, bo pewnie doszła do wniosku, że to może potrwać. Justin zrobił to samo, starał się tylko nie gapić na jej niewiarygodne cycki. Jednak nie mógł przestać myśleć o tym, że dziewczyna wygląda bardzo podniecająco w obcisłym różowym sweterku.

Sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła pękaty skórzany woreczek. Rzuciła go na stolik, a monety odpowiedziały jej dźwięcznie. Justin zastanowił się, czy nie poprosić choćby o colę. W końcu Alice wydała tylko ćwierćdolarówkę na telefon, zresztą bardzo ważny dla ich zadania. Co prawda udało jej się połączyć jedynie z automatyczną sekretarką i zostawiła krótką wiadomość. Mówiła jakimś dziwacznym szyfrem na temat jazdy taksówką.

Justin nie próbował nawet tego zrozumieć. Bo tak szczerze mówiąc, miał w nosie całą tę ich politykę i religię. A także ich przygotowania do podróży. Chciał jednego – być blisko Alice. Swoją drogą nie miał żadnego lepszego miejsca na tym świecie.

W domu nie było go już od miesiąca i bardzo wątpił, by jego rodzice przejęli się tym choćby odrobinę. Kto wie, może wcale nie zauważyli jego nieobecności. Bo kiedy zniknął Eric, zachowywali się, jakby nic się nie zmieniło. Ojciec powiedział tylko, że Eric jest wystarczająco dorosły, żeby samemu o siebie zadbać. Ale Justin nie miał ochoty myśleć teraz o rodzicach. Nie w chwili, kiedy siedzi na wprost jedynej osoby, dzięki której czuje się kimś wyjątkowym.

Alice posłała mu kolejny uśmiech, tym razem wskazując ponad jego ramieniem.

– Oto i on.

Brandon przysiadł się zaraz do niej, zajmując zbyt dużo miejsca i przyciskając ją do ściany. Chyba jej to nie wadziło. Justin zacisnął pięści i trzymał je na kolanach pod stołem.

– Przepraszam za spóźnienie – mruknął Brandon. Justin wiedział, że to wierutne kłamstwo. Tacy faceci jak Brandon mówią „przepraszam” równie często co inni „jak się masz?”.

Przyglądał się wysokiemu rudzielcowi, podobnemu do Jamesa Deana, tego nieżyjącego aktora, który grał buntowników. Brandon kręcił głową, obejmując wzrokiem wszystko i wszystkich prócz siedzącej z nim pary. Justin spojrzał przez ramię. Czyżby Brandon bał się… że ktoś go śledzi? Bo tak to, do diabła, wyglądało. Jego spojrzenie krążyło po sali. Można by przypuścić, że się czegoś naćpał, lecz Justin wiedział, że to niemożliwe. Brandon tylko

udawał buntownika, bo w rzeczywistości nie śmiałby przeciwstawić się Ojcu. A Ojciec zabraniał narkotyków.

– Musimy wracać do autokaru – powiedziała Alice. – Będą na nas czekać.

– Pozwól mi złapać oddech. – Brandon zobaczył sakiewkę z pieniędzmi i wyciągnął rękę. – Napiłbym się czegoś.

Justin sądził, że Alice zaprotestuje na swój łagodny, ale stanowczy sposób. Tymczasem tylko patrzyła na ręce Brandona. Wtedy zobaczył, co powstrzymało jej słowa. Lewy kciuk Brandona był czymś umazany. Czymś ciemnoczerwonym, co bardzo przypominało krew.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Reston, Wirginia

R.J. Tully naciskał guzik pilota, przeskakując z jednego kanału telewizyjnego na drugi. Nic z tego, co widział na ekranie, nie było w stanie odwrócić jego uwagi od zegara na ścianie, który właśnie pokazywał dwadzieścia minut po północy. Emma się spóźniała. To kolejny wieczór, kiedy nie wróciła o wyznaczonej porze. Nie, nie będzie już miłym tatuśkiem, niezależnie od jej wyjaśnień. Teraz zamieni się we wrednego ojca. Gdyby tylko potrafił zdystansować się od swoich uczuć.

W takie właśnie wieczory najbardziej brakowało mu Caroline. To pewnie znak, że rodzicielstwo wytrąciło go kompletnie z równowagi. Bo w końcu czy normalny zdrowy mężczyzna nie powinien raczej tęsknić za seksownymi długimi nogami swojej eks albo nawet za jej lasagne, za które dałby się zabić? Można by wyliczyć całą listę rzeczy, za którymi powinien tęsknić. A on chciałby, żeby siedziała teraz obok niego i zapewniała go, że ich córce nie dzieje się żadna krzywda.

Caroline miała zawsze mnóstwo pomysłów na ukaranie Emmy i zawsze wybierała ten, który doprowadzał córkę do największej złości. Sięgała po najprostsze rozwiązania, na przykład kazała Emmie przez cały miesiąc sortować

skarpetki wszystkich domowników. Coś podobnego nie wpadłoby mu do głowy i za milion lat. Ale sortowanie skarpetek było dobre dla ośmioletniej Emmy, która wypuszczała się rowerem poza wyznaczone dla niej granice. Teraz była już piętnastolatką, która prawie w ogóle nie słucha, co się do niej mówi, więc wymyślenie niegłupiej formy zdyscyplinowania jej wydawało mu się nadzwyczaj trudne.

Przeciągnął dłonią po twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej senność i wrzący w nim gniew. Był już po prostu zmęczony, dlatego tak się zirytował. Zostawił na ekranie wiadomości stacji Fox i wymienił pilota na paczkę chipsów kukurydzianych, która leżała na małym stoliku kupionym z drugiej ręki. Musiał się w tym celu wyprostować, i wtedy zobaczył resztki niedawno pochłoniętych przekąsek, które wysypały się z fałd T-shirta z logo drużyny Cleveland Indians. Rety! Co za bajzel! Mimo to nawet nie próbował tego sprzątnąć. Zatonął z powrotem w fotelu. Ciekawe, jak daleko jeszcze posunie się w swojej żałosnej indolencji? Czy jest coś bardziej godnego pożałowania niż spędzanie sobotniego wieczoru przed telewizorem, podjadając śmieciowe jedzenie?

To wszystko przez Caroline, która zadzwoniła do niego tego dnia. To go wytrąciło z równowagi. Nie, raczej wkurzyło. Caroline chciała, żeby Emma spędziła z nią Święto Dziękczynienia. W poniedziałek zamierzała wysłać bilety lotnicze przez FedEx.

– Przecież to było ustalone wcześniej – mówiła. – Emma już nie może się doczekać.

Wszystko zostało ustalone, ale poza nim, bez jego wiedzy. Ostatecznie to jemu przyznano opiekę nad Emmą, na co zresztą Caroline zgodziła się z wdzięcznością, bo uznała, że nastoletnia córka to zawalidroga w jej nowej pracy i grach miłosnych. Wiedziała, że Tully przeciwstawi się wyjazdowi córki, a ona nie będzie miała żadnego prawa, żeby postawić na swoim. A więc, oczywiście, zaplanowała wszystko z Emmą, nakręcając dziewczynę, posługując się nią niczym pionkiem. W ten sposób pozbawiła go możliwości protestu. Ta kobieta prowadzi w końcu agencję reklamową, która odnosi międzynarodowe sukcesy, nic więc dziwnego, że jest mistrzynią manipulacji.

Odkładając na bok własne uczucia, Tully pomyślał, że Emma powinna spędzać pewien czas z matką. Co tam, zawsze o tym wiedział. Są bowiem takie sprawy, o których córka może rozmawiać tylko z matką, do których on czuł się zupełnie nieprzygotowany, nie wspominając już o potwornym zażenowaniu. Caroline nie należy do najbardziej odpowiedzialnych osób na świecie, ale z pewnością kocha Emmę. Może więc Tully tylko dlatego użala się nad sobą, bo będzie to pierwsze od dwudziestu lat Święto Dziękczynienia, które przyjdzie mu spędzić samemu.

Wtem trzasnęły drzwi samochodu. Tully wyprostował się, chwycił pilota i wyłączył głos w telewizorze. Kolejne trzaśnięcie drzwi samochodu, tym razem na pewno na jego podjeździe. Okej, musi teraz przybrać poważną minę, tę,

która powie Emmie: „bardzo mnie zawiodłaś”. Ale zaraz, na jaką karę się zdecydował? Cholera! Nic nie wymyślił. Zanurzył się głębiej w fotel, a usłyszawszy klucz w zamku, postanowił udawać, że właśnie ogląda dziennik.

Z przedpokoju dobiegał tupot dwóch par stóp. Obrócił się i zobaczył, że za Emmą idzie mama Aleshy. O rety! Co się tym razem stało?

Podniósł się, otrzepał okruchy z T-shirta i dżinsów, przeczesał włosy palcami i szybko otarł wargi. Pewnie wygląda koszmarnie. Pani Edmund za to wyglądała jak zwykle nieskazitelnie.

– Proszę wybaczyć, że pana nachodzę, panie Tully.

– Ależ gdzie tam, bardzo jestem wdzięczny, że odwiozła pani Emmę o tej porze. – Patrzył na córkę i nie mógł ustalić, czy jest speszona, czy może zdenerwowana. Ostatnio żenowało ją wszystko, co powiedział lub zrobił w obecności jej znajomych albo ich rodziców.

– Wstąpiłam tylko, żeby poinformować pana, że to z mojej winy Emma wraca tak późno.

Tully nie spuszczał wzroku z córki. Z tej dziewczyny jest prawdziwa intrygantka, całkiem jak jej matka. Czyżby namówiła panią Edmund do takich wyznań? Skrzyżował ręce na piersi i skierował całą uwagę na drobną blondynkę, lustrzane, choć już postarzałe odbicie jej córki. Myli się, jeśli ma nadzieję wybronić Emmę bez dalszych usprawiedliwień.

Czekał więc. Pani Edmund przez chwilę bawiła się paskiem torebki, potem odsunęła z twarzy kosmyk włosów.

Ludzie nie zachowują się nerwowo, jeśli nie czują się winni. Tully nie miał zamiaru przerywać niepokojącej ciszy. Uśmiechał się do pani Edmund i czekał.

– Dziewczynki zamiast do kina wolały się wybrać na takie spotkanie w mieście, przy FDR Memorial. Nie widziałam żadnych przeciwwskazań. Ale potem zrobiły się zupełnie dzikie korki. Nienawidzę jeździć po centrum. Kilka razy zgubiłam drogę. – Urwała i spojrzała na niego, jakby chciała sprawdzić, czy może już skończyć. Ciągnęła jednak: – Potem nie mogłam ich znaleźć. Umówiłyśmy się, gdzie je odbiorę. Dzięki Bogu, że nie padało, ale te korki…

Tully uniósł dłoń.

– Cieszę się, że nic się nie stało. Raz jeszcze bardzo dziękuję, pani Edmund.

– Och, proszę mi mówić Cynthia.

Widział, jak Emma przewróciła oczami.

– Bardzo dziękuję, Cynthio. – Odprowadził ją do wyjścia, czekając na schodach, aż dotrze bezpiecznie do samochodu. Alesha pomachała do niego z daleka, potem dołączyła do niej matka, i o mały włos nie wpadły przez to na skrzynkę na listy.

Kiedy wrócił do środka, Emma siedziała na jego miejscu, przewiesiła jedną nogę przez ramię fotela i skakała po kanałach. Wziął od niej pilota, wyłączył telewizor i stanął na wprost córki.

– Kazałaś pani Edmund jechać taki kawał drogi do centrum? A co z kinem?

– Na wycieczce poznałyśmy fajnych ludzi. Zaprosili nas na to spotkanie. A poza tym wcale nie kazałyśmy pani Edmund, żeby nas zawiozła. Ona sama chciała.

– To prawie godzina jazdy. Co to było za spotkanie? Rozdawali alkohol i narkotyki czy co?

– Tata, wyluzuj. To było spotkanie religijne. Dużo klaskania i śpiewania.

– A co was, do licha, skłoniło, żeby się tam pchać?

Emma siadła prosto i zaczęła zdejmować buty, jakby nagle ogarnęło ją śmiertelne znużenie i musiała się natychmiast położyć do łóżka.

– Już ci mówiłam, spotkałyśmy tych ludzi na wycieczce i powiedzieli nam, żebyśmy przyszły. Zresztą to nudy. W końcu łaziłyśmy wokół pomnika i gadałyśmy z jakimiś gośćmi.

– Czyli z chłopakami.

– Z chłopakami i dziewczynami.

– Emmo, spacerowanie o tej porze może być niebezpieczne.

– Tam były całe tłumy, tata. Dziesiątki załadowanych autokarów. Prawdziwi fanatycy zwiedzania, którzy pocierają kawałki papieru o ścianę, odbijając sobie te napisy, i wypstrykują całe filmy lichymi aparatami.

Tully wiedział o istnieniu kilku nocnych turystycznych tras zwiedzania miasta. Więc Emma raczej nie kłamie. Byli pewnie równie bezpieczni jak w samym środku dnia. Poza tym przy tych obiektach mają chyba całodobową ochronę.

– Wiesz, zabawny byłeś z tą panią Edmund. – Uśmiechnęła się do niego. – Myślałam przez chwilę, że ją uziemisz. – Zachichotała i Tully nie umiał powstrzymać uśmiechu.

No i w końcu obydwoje parsknęli śmiechem, a potem zjedli resztę kukurydzianych chipsów. Siedzieli do późnej nocy i oglądali drugą połowę „Okna na podwórze” Hitchcocka na kanale klasyki filmowej. Było miło, przyjemnie i rodzinnie.

Tak, jego córka była zdecydowanie córką Caroline. Zawsze wiedziała, który guzik nacisnąć, zawsze wiedziała, jak zakręcić innymi, by wyjść na swoje. Tully nie miał szans w tej nieustannej podjazdowej wojnie. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek poradzi sobie z samotnym rodzicielstwem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Justin udawał, że śpi. W przerobionym greyhoundzie wreszcie zrobiło się cicho, szum silnika był mile widzianą kołysanką. Dzięki Bogu. Koniec z pieprzonym wyśpiewywaniem idiotycznego „Kumbaya”. Już ta przeciągająca się w nieskończoność modlitwa z „Chwalcie Pana” i „Prawa Jahwe” wystarczająco go wykończyła. Głowa by mu pękła, gdyby musiał jeszcze wysłuchiwać tych bzdetów podczas trzygodzinnej jazdy do domu.

Odchylił siedzenie do tyłu możliwie najdalej, żeby spod przymkniętych powiek mieć oko na Brandona i Alice, którzy siedzieli razem w rzędzie za nim po drugiej stronie przejścia. W autokarze było ciemno, świeciły się tylko światła podłogowe. Ledwie widział w mroku sylwetkę Alice, jej głowę zwróconą w stronę okna. Tkwiła w tej samej pozycji od chwili, gdy opuścili Waszyngton i nawet gdy cała reszta pasażerów wyła jak najęta, wargi Alice poruszały się tylko wtedy, gdy od czasu do czasu odwracała się do tyłu. Poza tym patrzyła przez okno. Może tak bardzo przeszkadzała jej obecność Brandona? Hej, jest dla niego jakaś nadzieja, co?

Mógł ze swojego siedzenia bez problemu obserwować rudzielca. Wbijał wzrok w jego dłonie. Lepiej dla niego, żeby trzymał te swoje pieprzone łapska z dala od Alice. Momentami, w światłach mijanych samochodów, Justin

widział przelotnie jego twarz. Absolutne zadowolenie. Pieprzone zadowolenie. Jakby gość nie miał żadnych problemów. Justina wciąż wkurzało, że Brandon wepchnął się do autokaru, odsuwając go na bok, i padł na siedzenie obok Alice, jakby było podpisane jego nazwiskiem. Drań brał, co chciał, i do głowy mu nigdy nie przyszło, żeby prosić.

W pewnej chwili Justin dosłyszał jakieś szepty. Odwrócił się i zobaczył Ojca, który wyszedł z prywatnej części autokaru. Podobno była tam nawet łazienka i łóżko, żeby mógł odpocząć. Teraz szedł powoli między rzędami siedzeń, trzymając się oparć, by nie stracić równowagi. W szarości ciemnego autobusu wyglądał bardzo zwyczajnie. Więc jak to w końcu jest? Gość chodził po wodzie, a tu nagle musi się podtrzymywać, żeby nie upaść w głupim autobusie?

Justin wcisnął głowę w oparcie swojego fotela, przesuwając się nieco. Nie chciał, by ktokolwiek zobaczył, że nie śpi, dlatego pochrapywał nawet cicho.

Przez szparki oczu zobaczył, że Ojciec się zatrzymuje, stając tuż nad jego głową. Nie był jednak w stanie stwierdzić, czy na niego patrzy.

Potem usłyszał szept:

– Brandon, przesiądź się na kilka minut do przodu obok Darrena. Muszę porozmawiać z Alice.

Brandon wstał posłusznie i ruszył bez słowa. Justin miał ochotę się uśmiechnąć. No i dobrze, nie będzie drań choć przez chwilę przeszkadzał Alice. Może Ojciec zauważył, że Brandon ma bzika na jej punkcie. W końcu głosił w swoich

kazaniach, że celibat jest koniecznym warunkiem wypełnienia ich misji. To oczywiście bzdura, ale Justin był już świadkiem kary wymierzonej nieposłusznym członkom społeczności. A para, którą przyłapano w pierwszym tygodniu po przyjściu Justina, wciąż spotykała się z ostracyzmem pozostałych.

– Alice, chciałbym ci pogratulować – mówił Ojciec przyciszonym głosem, który dochodził jednak do Justina. – Świetnie się spisałaś, namawiając młodzież na nasze spotkanie.

– Justin i Brandon mi pomagali. – Alice szeptała, ale radar Justina był wystarczająco czuły. Uwielbiał ten jej miękki, czuły, słodki głos, który brzmiał jak śpiew ptaka, jak melodia, niezależnie od wypowiadanych przez nią treści.

– To takie charakterystyczne dla ciebie, że dzielisz się sukcesem z innymi.

– Taka po prostu jest prawda. Pomagali mi.

Ojciec zaśmiał się krótko śmiechem, który Justin słyszał po raz pierwszy. Swoją drogą nie pamiętał, żeby w ogóle słyszał śmiech Ojca.

– Moja droga, zdajesz sobie sprawę, jak jesteś niezrównana?

Justin rozciągnął wargi w uśmiechu, uradowany, że ktoś prócz niego dostrzegł ten ważny fakt. Za to Alice skrzywiła się, jakby była niezadowolona. Nie przesadza z tą skromnością? Do diabła, musi się w końcu nauczyć przyjmować komplementy, czyż nie?

I nagle zobaczył, co tak uciszyło Alice. W słabym świetle mijanych wozów dostrzegł prawą rękę Ojca na jej udzie. Nie ruszył głową, tylko otworzył szeroko oczy, żeby lepiej widzieć. Tak, łajdak wślizgiwał się paluchami między uda Alice, przesuwając się w stronę krocza. O cholera!

Poczuł zimny pot na całym ciele, panika ścisnęła mu piersi. Spojrzał znowu na jej twarz, tym razem Alice go zauważyła. Prawie niedostrzegalnie pokręciła głową, przekazując mu stanowcze „nie". Najpierw pomyślał, że przeznaczone jest dla Ojca, ale facet był wyraźnie skupiony na swoim celu. A zatem owo „nie" było dla niego.

O kurwa! Jej twarz mówi do Justina, że nie podoba jej się ta sytuacja, a mimo to nie pozwala mu jej przerwać?

Gówno! Musi coś zrobić. Nie widział już ręki Ojca, zrobiło się zbyt ciemno, droga opustoszała. Z ruchu ramienia wielebnego zgadywał, że dostał się do Alice. Może nawet jego pieprzona ręka sięgnęła już jej majtek.

Justin oparł z powrotem głowę o fotel. Musi coś zrobić. Kurwa! Musi pomyśleć. Raptem podjął decyzję. Szarpnął się i obrócił, zaczął się kołysać, jakby nawiedził go jakiś senny koszmar. Potem rzucił się naprzód z okrzykiem:

– Przestań. Nie rób tego!

To wystarczyło, żeby wszyscy się obudzili. Kilka osób odwróciło się, kilka wstało, żeby zobaczyć, co się dzieje. Justin potrząsnął głową, przecierając oczy.

– Przepraszam. Widocznie miałem zły sen, nic mi nie jest.

Zerknął na Ojca. Wielebny patrzył na niego z wściekłością widoczną nawet w mroku. Wstał i krzyknął na Justina, jakby

chciał, żeby wszyscy byli świadkami jego niezadowolenia. Ciekawe, jak usprawiedliwi swoją złość z powodu jego sennego koszmaru? Oczywiście nikt inny nie dowie się, dlaczego naprawdę wpadł w taką furię. Justinowi wcale nie zależało, żeby inni to wiedzieli. Cieszył się, że pieprzony napaleniec musiał przerwać swoje manewry. Wzruszył tylko ramionami. Potem poprawił się na siedzeniu, odsuwając się od przeszywającego, pełnego potępienia wzroku Ojca, mrucząc przy tym jakieś przeprosiny do pryszczatego dupka, swojego sąsiada.

Wreszcie usłyszał, że Ojciec zawraca do siebie. Zaczekał jednak, aż zamknęły się drzwi jego przedziału, i wtedy dopiero obejrzał się na Alice. Znowu zwróciła twarz ku oknu, ale, jakby czytając w jego myślach, zerknęła na niego przez ramię i raz jeszcze powoli pokręciła głową, tym razem bez tego wyrazu bólu na twarzy. Nie była jednak szczęśliwa, o nie. Była bardzo zmartwiona, a może nawet zaniepokojona.

Justin zrozumiał, że czekają go poważne kłopoty z Ojcem, ich tak zwanym pieprzonym opiekunem dusz. Jak ten gość ma się opiekować ich duszami, jak ma ich wieść na spotkanie z Panem, skoro nie potrafi trzymać przy sobie swoich pieprzonych łap?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Niedziela
24 listopada
Hotel Hyatt Regency Crystal City
Arlington, Wirginia

Maggie ponownie spojrzała na zegarek. Matka spóźniała się już kwadrans. No cóż, pewne rzeczy się nie zmieniają. Czym prędzej skarciła się za tę myśl, bo matka jednak próbowała się zmienić. Zdaje się, że jej nowi znajomi mają na nią dobry wpływ. Od pół roku skończyły się popijawy i spartaczone próby samobójcze. Kathleen nigdy dotąd nie osiągnęła tak dobrego wyniku, ale Maggie pozostała sceptyczna.

Jej matka rzadko opuszczała Richmond, ale ostatnio co dwa tygodnie wyruszała w jakieś całkiem nowe miejsce. Poprzedniego wieczoru Maggie zdumiała się jej telefonem, a jeszcze bardziej zaskoczyło ją, że dzwoniła z hotelu Crystal City Hyatt. Nie przypominała sobie, kiedy ostatnio Kathleen bawiła w stolicy. Tym razem oznajmiła, że przyjechała na jakieś spotkanie religijne. Przez moment Maggie spanikowała, że zostanie zaproszona do wspólnej modlitwy. Teraz zastanawiała się, dlaczego przypuszczała, że śniadanie z matką będzie mniej kuriozalne. No i dlaczego po prostu nie odmówiła?

Popijała powoli wodę, żałując, że to nie scotch. Kelner uśmiechał się do niej współczująco z drugiego końca sali, bez słów przekazując komunikat: „Przykro mi, że ktoś panią wystawił do wiatru”. Postanowiła, że jeśli matka się nie zjawi, zamówi jaja na bekonie i tost oraz szklaneczkę scotcha zamiast soku pomarańczowego.

Odłożyła na bok serwetkę, którą wciąż składała i rozkładała, i po raz któryś z kolei przetarła oczy, by spędzić z nich zmęczenie. Spała ledwie dwie godziny, walcząc z koszmarami. Śniła jej się głowa Delaneya, która eksploduje raz za razem. Boże, jak ona nie znosi pogrzebów! Nawet niewinna akceptacja śmierci ojca przez Abby nie uchroniła jej przed koszmarami. Zły sen, który zadecydował o tym, że już nie zasnęła, dotyczył jej samej: wrzucała nieskończoną liczbę garści ziemi do jakiejś czarnej dziury. Był to wyczerpujący i nieustający proces. A gdy zerknęła w dół, zobaczyła, że ziemia, którą rzuca, błyskawicznie zamienia się w robaki rozłażące się po twarzy jej ojca, po jego szeroko otwartych, patrzących na nią oczach. Ojciec miał na sobie ten głupi brązowy garnitur i był uczesany inaczej niż zwykle.

Zamrugała i potrząsnęła głową, żeby pozbyć się tych obrazów. Rozejrzała się za kelnerem. Nie było sensu rezygnować ze scotcha. I wtedy właśnie w drzwiach wypatrzyła matkę. Początkowo jej nie poznała, przeniosła wzrok w bok, bo atrakcyjna brunetka w długiej granatowej sukni i jasnoczerwonym szaliku była kimś obcym. Kiedy jednak ta właśnie kobieta pomachała do niej, Maggie ją

rozpoznała. Kathleen zwykle nosiła jakieś absurdalne kombinacje, które potwierdzały tylko, jak bardzo jej na niczym nie zależy, natomiast zbliżająca się do stolika kobieta wyglądała na wyrafinowaną damę.

– Cześć, kotku – powiedziała słodkim głosem, którego Maggie też nie poznała, choć była w nim znajoma chrypka, spadek po dwóch paczkach papierosów dziennie. – Musisz koniecznie zobaczyć mój pokój – dodała z entuzjazmem. – Jaki wielki! Wielebny Everett był tak miły i pozwolił nam zostać tu na noc. Jest taki dobry dla Emily, Stephena i dla mnie.

Maggie nawet nie zdążyła wypowiedzieć zdumionych słów powitania, a jej matka już zajęła miejsce. Przy stoliku natychmiast pojawił się kelner.

– Mają panie ochotę rozpocząć dzień od jakiegoś soku i kawy czy może drinka?

– Na razie wystarczy woda – odparła Maggie, patrząc na matkę i czekając, jak zareaguje na propozycję przedpołudniowego drinka. Dawniej pora dnia nie miała dla niej żadnego znaczenia.

– Czy to woda z kranu? – Kathleen O’Dell pokazała na szklankę stojącą przed córką.

– Tak sądzę – odparł kelner. – Ale nie jestem pewien.

– Może mi pan podać wodę butelkowaną? Najlepiej z Kolorado.

-F1 Z Kolorado?

– Tak, poproszę butelkę źródlanej wody. Najlepiej z Kolorado.

– Tak, psze pani. Zobaczę, co da się zrobić.

Kiedy kelner znikł, matka przechyliła się przez stół i szepnęła do Maggie:

– W wodzie z kranu jest pełno chemii. Dodają do niej różne obrzydlistwa, od których dostaje się raka.

– Kto dodaje?

– Rząd.

– Mamo, ja pracuję dla rządu.

– Oczywiście że nie, kochanie. – Kathleen wyprostowała się z uśmiechem, wygładzając serwetkę na kolanach.

– Mamo, FBI to agencja rządowa.

– Ale ty ich przecież nie lubisz, Maggie. Nie należysz do… – Zniżyła głos i szepnęła: – Do tej zmowy.

– Bardzo proszę, psze pani. – Kelner postawił kryształową szklankę, wypełnioną aż po brzeg wodą i ozdobioną plasterkiem cytryny. Jego wysiłki wywołały zmarszczkę na czole sceptycznie nastawionej Kathleen O’Dell.

– No dobrze, ale skąd mam wiedzieć, że to jest butelkowana źródlana woda, skoro przyniósł mi ją pan w szklance?

Kelner spojrzał na Maggie, szukając u niej pomocy, ale ta powiedziała tylko:

– Poproszę o scotcha. Bez wody.

– Już się robi. Jeden scotch bez wody i jedna butelka wody źródlanej.

– Najlepiej z Kolorado.

Mężczyzna rzucił Maggie pełne irytacji spojrzenie, jakby czekał na dalsze polecenia. Uwolniła go, mówiąc:

– Mój scotch może być skądkolwiek.

– Oczywiście. – Skrzywił się w udanym uśmiechu i zniknął.

Ledwie się oddalił, matka znowu przechyliła się przez stół i podjęła szeptem:

– Jest chyba bardzo wcześnie, za wcześnie na alkohol.

Maggie z trudem się opanowała i nie odpowiedziała matce, że odziedziczyła to po niej. Zacisnęła zęby i zgniotła nerwowo serwetkę pod stołem.

– Źle dzisiaj spałam – próbowała się wytłumaczyć.

– No to powinnaś napić się kawy. Zawołam go. – Kathleen zaczęła szukać wzrokiem kelnera.

– Nie, mamo, przestań.

– Potrzeba ci trochę kofeiny. Wielebny Everett mówi, że kofeina w umiarkowanych dawkach ma właściwości lecznicze. Mała dawka ci pomoże. Przekonasz się.

– Nie chcę kawy. Prawdę mówiąc, nie lubię kawy.

– Och, gdzie on się podział?

– Mamo, daj spokój.

– Jest przy tamtym stole. Zaraz...

– Mamo, przestań. Po prostu chcę tego cholernego scotcha.

Ręce Kathleen zatrzymały się w pół drogi.

– No... dobrze. – Położyła je na kolanach, jakby dostała po nich od córki.

Maggie nigdy nie rozmawiała z nią w taki sposób. Skąd jej się to wzięło? Kathleen poczerwieniała, Maggie starała się przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek wcześniej widziała ją zażenowaną, choć jej przeszłość obfitowała w wydarzenia,

które by to usprawiedliwiały. Na przykład wtedy, gdy córka musiała wciągać półprzytomną matkę na trzecie piętro albo gdy Kathleen budziła się w kałuży wymiocin.

Maggie odwróciła wzrok, czekając na kelnera i rozmyślając nad tym, jak przetrwa to śniadanie. Wolałaby być gdziekolwiek, byle nie tu.

– Pewnie nie spałaś przez tego psa – stwierdziła matka, jakby nad stołem nie wisiała żadna ciemna chmura przeszłości.

– Nie, to przez tę moją rządową robotę.

Kathleen spojrzała na Maggie i znowu się do niej uśmiechnęła.

– Wiesz, co sobie właśnie pomyślałam, kochanie? – Jak zwykle zmieniała temat, była ekspertem, jeśli chodzi o unikanie konfrontacji. – Właśnie sobie pomyślałam, że powinnyśmy urządzić uroczystą kolację z okazji Święta Dziękczynienia.

Maggie popatrzyła na nią. Nie, na pewno żartuje.

– Przygotuję indyka, z tymi wszystkimi dodatkami. Będzie zupełnie jak za starych dobrych czasów.

Stare dobre czasy! To chyba jakaś kpina, choć wszystko wskazywało na to, że Kathleen mówi całkiem serio. Maggie nie była pewna, czy jej matka potrafi odróżnić ogon indyka od głowy.

– Zaproszę Stephena i Emily. Najwyższy czas, żebyś ich poznała. A ty możesz przyjść z Gregiem.

Aha, to jednak nie żarty. I na pewno coś się za tym kryje. Oczywiście, jak mogła nie przewidzieć, że to nadejdzie?

– Mamo, wiesz, że to niemożliwe.

– Co u Grega? Tęsknię za nim. – Kathleen O’Dell ciągnęła tę swoją grę, jakby Maggie nie powiedziała ani słowa.

– Mam nadzieję, że ma się dobrze.

– Chyba ze sobą rozmawiacie?

– Tylko o podziale naszego wspólnie zgromadzonego majątku.

– Och, kochanie, powinnaś go po prostu przeprosić. Jestem przekonana, że Greg przyjąłby cię z powrotem.

– Słucham? Za co miałabym go przepraszać?

– Sama wiesz.

– Nie wiem.

– Za to, że go zdradziłaś z tym kowbojem z Nebraski.

Maggie ścisnęła serwetkę, żeby nie wybuchnąć.

– Nick Morrelli nie jest kowbojem. I nie zdradziłam Grega.

– Może nie fizycznie.

Kathleen przykuła ją wzrokiem, więc nie mogła się odwrócić. Nigdy nie wspominała matce o Nicku Morrellim, ale widać zrobił to za nią Greg. Poznała Nicka rok wcześniej, był wówczas szeryfem z małej mieścinie w Nebrasce. Wspólnie ścigali przez tydzień mordercę małoletnich chłopców. Od tamtej pory Maggie nie mogła sobie tego szeryfa wybić z głowy, a stało się to jeszcze trudniejsze, gdy Nick zamieszkał w Bostonie i został asystentem prokuratora okręgowego w Suffolk. Ale i tak się z nim nie widywała. Prawdę mówiąc, uparła się, żeby się nie kontaktowali, póki nie sfinalizuje sprawy rozwodowej. I mimo tego, co do niego czuła, rzeczywiście jeszcze z nim

nie spała. Nie zdradziła więc Grega, a przynajmniej nie w potocznym znaczeniu tego słowa. Być może zdradziła go w swoim sercu.

To nieważne. To nie jest sprawa matki. Jak ona po tym wszystkim, co zrobiła córce, śmie bezceremonialnie grzebać w jej tajemnicach? Absolutnie nie miała do tego prawa, choć oczywiście uważała, że jest inaczej.

– Złożyliśmy już papiery rozwodowe – poinformowała wreszcie z nadzieją, że to zakończy temat.

– Ale chyba jeszcze ich nie podpisaliście?

Maggie nie spuszczała wzroku z Kathleen, z jej zafrasowanej twarzy, w równym stopniu zdumiona tym zatroskaniem, jak skonsternowana. Czyżby matka szczerze próbowała się zmienić? Czy naprawdę się o nią martwi? A może tylko rozmawiała z Gregiem i zgodziła się być jego cichym wspólnikiem? Czyżby to był prawdziwy powód pomysłu na Święto Dziękczynienia?

– Podpiszemy czy nie, to i tak nic już między nami nie zmieni.

– Nie, jasne, że nie. Jeżeli będziesz się upierać przy tej swojej rządowej pracy, oczywiście.

No i doczekała się. Subtelne, ale jakże efektywne dźgnięcie w samo serce. O wiele bardziej skuteczne niż policzek. Prawda jest taka, że to Maggie jest winna i to ona odpowiada za rozwód. A do tego, zdaniem jej matki, wszystko da się naprawić, jeśli wyrazi skruchę i zmiecie z widoku wszelkie problemy. Nie ma potrzeby ich rozwiązywać, wystarczy zmieść je sprzed oczu. W końcu

czyż nie jest to specjalność Kathleen O’Dell? To, czego nie widać, nie istnieje.

Maggie potrząsnęła głową i posłała uśmiech kelnerowi, który właśnie wrócił i postawił przed nią szklaneczkę bursztynowego płynu. Podniosła szklankę i zamoczyła usta, nie zwracając uwagi na zmarszczone czoło świeżo odnowionej matki. Tak. Niektóre rzeczy się nie zmieniają.

Zadzwoniła jej komórka, Maggie obróciła się, żeby ją wyjąć z żakietu powieszonego na oparciu krzesła. Tylko dwa dzwonki i cała restauracja wraz z jej matką marszczyła teraz czoła.

– Maggie O’Dell.

– Mówi Cunningham. Przepraszam, że dzwonię w niedzielę rano.

– Nic nie szkodzi, sir. – Ten nowy, przepraszający Cunningham wkrótce zacznie grać jej na nerwach. Wolała swojego dawnego szefa.

– Znaleziono zwłoki na terenie federalnym, lokalna policja już tam jest, ale proszono mnie, żeby zajrzał tam ktoś z waszego wydziału.

– Jestem w Crystal City Hyatt. Proszę mi tylko powiedzieć, gdzie mam być. – Czuła, że matka już ma jej za złe. Miała ochotę łyknąć scotcha, ale go odstawiła.

– Spotka się pani z agentem Tullym przy FDR Memorial.

– Przy pomniku?

– Tak. Czwarta galeria. Z miejscowych sprawę prowadzi… – Słyszała, jak szef przewraca strony. – Prowadzi detektyw Racine.

– Racine? Julia Racine?

– Tak mi się zdaje. Jakiś problem, agentko O’Dell?

– Nie, sir, wszystko w porządku.

– To dobrze. – Urwał bez pożegnania, znak, że dawny Cunningham wciąż żyje.

Maggie włożyła żakiet i wyciągnęła dwudziestodolarówkę za śniadanie, którego jeszcze nie zamówiła, a potem spojrzała na matkę.

– Wybacz, muszę lecieć.

– Tak, słyszałam. Twoja praca. Ona zrujnuje ci jeszcze niejedno w życiu, prawda?

Maggie nie szukała nawet właściwej odpowiedzi, tylko chwyciła scotcha i wychyliła do dna. Mruknęła „do widzenia” i wyszła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Obóz Everetta
U stóp Appalachów

Justina Pratta zbudził nagły wrzask muzyki. Poderwał się gwałtownie i o mały włos nie spadł z wąskiego wojskowego łóżka polowego. Gdyby tak się stało, zleciałby na głowy kilku innych członków społeczności wyciągniętych w swoich śpiworach. Tak, powinien być wdzięczny, że ma własne łóżko w tej ciasnocie, która mieści ponad dwadzieścia osób. Po okresie próbnym – kiedykolwiek się to diabelstwo skończy – z pewnością wyląduje na podłodze z całą resztą.

To zresztą bez znaczenia, biorąc pod uwagę, że niemal wcale nie dają im spać, tylko co rusz budzą tą koszmarną muzyką ryczącą z głośników. „Naprzód, żołnierze Chrystusa!”. Brzmiało to jak stara zjechana płyta. Nie, nie powinien narzekać, już raczej będzie okazywał wdzięczność, przynajmniej do powrotu Erica. Potem już sobie razem przemyślą, co zrobić. Może wybraliby się stopem na Zachodnie Wybrzeże? Chociaż nie bardzo wiedział, jak przeżyliby bez jednego pieprzonego grosza. A może wróciliby do domu? Gdyby tylko zdołał przekonać Erica, bo bez niego nie ruszy się na krok.

Przetarł zaspane oczy. Niech to cholera! Czuł się, jakby wcale nie spał. Z przyzwyczajenia rzucił okiem na

nadgarstek, zapominając, że kosztowny seiko, prezent od dziadka, został wraz z innymi przedmiotami skonfiskowany, oczywiście dla dobra Justina. Jak widać, informacja o mijających godzinach mogła posłać go prosto do piekła.

Justin podejrzewał, że Ojciec pozbawia ich wszystkich przedmiotów mających wartość materialną lub użytkową, by ich od siebie uzależnić. I tak się właśnie działo. Zależeli od niego we wszystkim, od pieprzonego ryżu do skrawków gazety używanej zamiast papieru toaletowego.

– Wstawaj, Pratt. – Ktoś mocno potrząsnął go za ramię.

Justin zacisnął pięści. Od razu wiedział, że to Brandon. Chciałby chociaż raz przyłożyć w tę gładką arogancką buźkę. Zamiast tego ściągnął czystą bieliznę i skarpetki ze sznurka w rogu. Brandon był tak łaskawy, że podzielił się z nim tym sznurkiem. Można było odnieść wrażenie, że nawet kawałek pieprzonego sznurka jest tu rzadkim luksusem. Skarpetki jeszcze nie wyschły, co znaczyło, że Justin będzie miał cały dzień zimne stopy.

Ubierał się powoli, podczas gdy inni już gnali pod prysznice. Justin widział przez małe pojedyncze okno tworzącą się kolejkę. Ciągnęła się aż za rogiem betonowego budynku. Przeczesał palcami tłuste włosy. Chrzanić to! Może potem uda mu się cichaczem wskoczyć pod prysznic. Miał dość wystawania w kolejkach. Poza tym umierał z głodu, żołądek przypominał głośnym burczeniem, że Justin nie miał nic w ustach od lunchu poprzedniego dnia.

Ruszył zatem do stołówki, rozglądając się po drodze przez ogrodzony teren pieprzonego kompleksu. Tak to nazywali,

kompleks. Przedtem słyszał to określenie tylko jeden jedyny raz, kiedy w telewizji mówili o Kennedych i ich posiadłości, którą właśnie tak nazwano. Więc kiedy Eric powiedział mu o tym kompleksie, Justin wyobraził sobie coś w tym stylu, z domkami dla służby, stajniami i ogromnym domem mieszkalnym. Ale tu było raczej jak w wojsku – surowe budynki, beton i metal, otoczone drzewami, położone na odludziu w dolinie Shenandoah.

W południowej części zgromadzono chrust i drzewa z korzeniami, które wyrwano z ziemi buldożerem, żeby oczyścić teren pod kompleks. Chociaż nie było to zbyt dobrze pomyślane. Wykopano na przykład za płytkie studnie i wiele budynków nie miało wody. Zresztą zawsze brakowało ciepłej wody. A gorąca? O tej nawet nie było mowy.

W ogóle wszystko to wyglądało jak jedna wielka prowizorka. Justin słyszał plotki, że Ojciec buduje gdzieś nowy kompleks, jakiś raj, który zresztą im wszystkim obiecywał. Ale po ostatniej nocy nie wierzył już temu dupkowi, ani jednemu jego słowu. Ten zboczeniec to pieprzony hipokryta. Swoją drogą wcześniej też mu nie ufał. Justin nigdy nie był zbyt ufny, wręcz przeciwnie. Już w pierwszym tygodniu pobytu powinien był wiedzieć, że z tego faceta niezły oszust, i tyle.

Pierwszego tygodnia Eric zabrał go ze sobą na spotkanie, które Ojciec nazywał „rytuałem oczyszczenia”. Wszyscy musieli wyznać na piśmie swoje najbardziej zawstydzające postępki, a także swoje największe lęki. No i rzecz jasna

należało to potem podpisać własnym imieniem i nazwiskiem.

– Nikt więcej nie ujrzy tych wyznań – zapewniał Ojciec jak zwykle gładko i hipnotycznie. – A podpisy to tylko ćwiczenie dla was, żebyście wzięli odpowiedzialność za waszą przeszłość i spojrzeli w twarz waszym lękom.

Następnie kazał im wrzucić kartki do czarnego, porysowanego metalowego pudełka. Poproszono Justina o ich zebranie, a gdy już to zrobił, polecono, by złożył je za potężnym drewnianym krzesłem Ojca, które wyglądało jak tron. Z obu jego stron stali potężni ochroniarze. Pod koniec dnia Ojciec przyniósł czarne, pełne tajemnic pudełko, i wrzucił do niego zapaloną zapałkę. Tak więc sekretne wyznania spłonęły. Przyjęto to z westchnieniami ulgi. Ale Justin natychmiast zauważył, że na tym drugim czarnym pudełku nie było żadnych zarysowań.

Kiedy później powiedział Ericowi o cudownym zniknięciu porysowanego pudełka, brat mało nie urwał mu głowy.

– Czasami trzeba po prostu mieć wiarę. Jeśli nie potrafisz tego zaakceptować, nigdy nie będziesz do nas należeć. – Był bardzo zdenerwowany i mówił tonem, jakim nigdy nie zwracał się do brata. Justinowi wydało się nawet, że Eric wcale nie jego chce przekonać, ale próbuje przekonać samego siebie.

Przeskakując kozły do rąbania drewna, przechodząc przez drewniane szczapy i mijając jakieś archaiczne sprzęty, Justin na skróty szedł do stołówki. Nie mógł sobie wybić z głowy, że za złote spinki do koszuli Ojca można by kupić

wózek widłowy i pozbyć się tego żenującego starego traktora z pordzewiałym pługiem przyczepionym z tyłu.

W pewnej chwili doleciał do niego smród śmietnika i nagle pożałował, że biegnie na skróty. Nic dziwnego, że wszyscy omijali to miejsce. Wracając zatem zakolami na główną drogę, zobaczył paru mężczyzn, którzy za stosami śmieci kopali ziemię. Może wreszcie zakopią ten śmierdzący gnój? Przystanął i wtedy przekonał się, że mężczyźni chowają do ziemi coś, co przypomina kasy pancerne.

– Hej, Justin.

Odwrócił się, Alice machała do niego zza stosu drewna. Próbowała pokonać ten labirynt. Jej miękkie włosy lśniły w porannym słońcu, miała na sobie czyste świeże ubranie. Jej skarpetki na pewno nie były mokre. Justin pożałował nagle, że nie skorzystał z przysługujących mu dwu minut pod prysznicem. Alice patrzyła na niego, a na jej twarzy pojawił się ten słodki wyraz troski.

– Co robisz, Justin? Tam nie wolno nikomu chodzić.

– Chciałem pójść na skróty.

– Chodź tutaj, znikajmy stąd, zanim ktoś nas zauważy. – Wzięła go za rękę, ale on ani drgnął.

– Co ci faceci tam robią?

Spojrzała na niego ze znaczącą zmarszczką na czole, zmrużyła oczy i zasłoniła je przed słońcem wolną ręką, patrząc we wskazanym przez niego kierunku.

– Nie twoja sprawa.

– A więc nie wiesz?

– Nieważne. Proszę, lepiej będzie, jeśli cię tu nie przyłapią.

– Bo co? Nikt nie będzie ze mną rozmawiał przez parę tygodni? A może odbiorą mi moją rację gumowego ryżu i fasoli.

– Justin, przestań.

– Powiedz mi, co oni tam zakopują, to grzecznie sobie pójdę bez jednego słowa.

Puściła jego rękę, raczej ją odepchnęła, a on zdał sobie sprawę, że głupio się zachował. Była jedyną ważną osobą w jego życiu, a on tak ją wkurza, zupełnie jakby zapomniał, ile Alice dla niego znaczy.

– Zakopują pieniądze, które zebraliśmy w czasie wczorajszego spotkania.

Pod koniec każdego spotkania puszczano w ruch sześć wiklinowych koszy z prośbą o „wyraz wdzięczności” Bogu, jak nazywał to Ojciec. Zazwyczaj z koszy dosłownie się przelewało.

– Co to znaczy, po co je zakopują?

– Zakopują wszystkie pieniądze, które uda nam się zebrać.

– Zakopują je w ziemi?

– Nic im się nie stanie. Wkładają do tych pojemników środek na mole, żeby banknoty nie uległy zniszczeniu.

– Ale dlaczego je zakopują?

– A co mają z nimi zrobić? Bankom nie można wierzyć, bo kontroluje je rząd. Sekretarki automatyczne i przelewy elektroniczne są także monitorowane przez rząd, który może zabrać twoje pieniądze, kiedy tylko mu się spodoba.

– No dobra, to czemu ich nie zainwestować, na przykład w giełdę?

– Justin, co ja mam z tobą zrobić? – Alice poklepała go po ramieniu, uśmiechając się przy tym, jakby powiedział kiepski dowcip. – Giełda jest także pod kontrolą rządu. Nie uczyłeś się na historii o Wielkim Kryzysie? – Mówiła do niego swoim nauczycielskim tonem, ale przynajmniej zniknęły jej zmarszczki. – Zawsze gdy notowania giełdy gwałtownie spadają, dzieje się tak za sprawą rządu, który kradnie ciężko zarobione pieniądze obywateli i każe im wszystko zaczynać od nowa.

Justinowi jakoś nigdy nie przyszło to do głowy. Owszem, jego ojciec wpadł w niezłą furię, kiedy stracił pieniądze na giełdzie, słyszał też bluzgi sąsiada, którego ponoć wykiwał makler, lecz Alice wiedziała o tych sprawach naprawdę dużo. Ale cóż, nigdy nie był dobry ani z historii, ani z ekonomii. Wzruszył więc tylko ramionami, udając, że wszystko rozumie, a kiedy Alice znów wzięła go za rękę, pozwolił się poprowadzić, ciesząc się dotykiem jej delikatnej skóry. Chciał spytać ją o minioną noc. O Ojca i jego zboczone działania. Z drugiej jednak strony wcale nie miał ochoty do tego wracać. Wolał zapomnieć, że coś takiego się wydarzyło. Może lepiej będzie, jeśli oboje zapomną.

W drodze do stołówki Justin postanowił, że później spróbuje oszacować, ile pieniędzy znajduje się w tym dole. Nie mógł przestać myśleć, kto jeszcze o tym wie. Może

wcale nie będą musieli z Erikiem podróżować stopem, kiedy już zdecydują się stąd odejść.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

FDR Memorial
Waszyngton

Ben Garrison włożył z powrotem rękawiczki i klepnął tył aparatu, zamykając w nim nową rolkę filmu. Nie miał ochoty tracić ani chwili, ani też dawać detektyw Racine okazji, żeby zmieniła zdanie. Podszedł bliżej, skupiając się na twarzy denatki. Wyglądała tak spokojnie, zupełnie jak pogrążona we śnie, choć siedziała wsparta o drzewo. Fascynował go siny odcień skóry. Ciekawe, czy to z powodu chłodu poprzedniej nocy, czy też może jest to reakcja na uduszenie?

Jeszcze bardziej fascynujące były muchy, setki much, nachalnych i niezwracających uwagi na działania policjantów i detektywów, którzy badali teren, robiąc przez to sporo zamieszania. Były ogromne i czarne, nie takie zwyczajne domowe muchy. Zdawało się, że zajęły wszystkie otwory w ciele zabitej, zwłaszcza te, gdzie było ciepło i wilgotno, na przykład oczy i uszy. Ożywiły też ciemne włosy łonowe. W ich gęstwinie Ben dostrzegał już mlecznoszare jajeczka.

Śmierć i jej rytuały oraz wszelkie naturalne procesy, które się z nią wiążą, nieodmiennie go zdumiewały. Nieważne, ile ciał już widział, fascynacja pozostała ta sama. Niecałe

dwadzieścia cztery godziny wcześniej to ciało było ciepłe i pulsowało życiem, coś w nim mieszkało. W Nowej Kaledonii starzy ludzie nazywali to „cień duszy”. Eskimosi z Bering Strait mówili po prostu „dusza”. Teraz, cokolwiek to było, zniknęło. Rozmyło się w powietrzu, pozostawiając pustkę, dziurawy kadłub na pożarcie robakom.

Czytał gdzieś, że ludzkie zwłoki, jeśli zostaną wystawione na żer insektów podczas upalnego lata, po tygodniu tracą około dziewięćdziesięciu procent wagi. Insekty są z pewnością przewidywalne i skuteczne. Szkoda, że to samo nie dotyczy ludzi. Jego praca byłaby wtedy o wiele łatwiejsza.

– Hej, patrz, gdzie leziesz! – wrzasnął na niego umundurowany gliniarz.

– Facet, do diabła, kim ty jesteś? – spytał z kolei gość w granatowej kurtce i bejsbolowej czapce. Bardziej przypominał trzeciego gracza na bazie niż glinę. Ben nie odpowiedział i dalej robił zdjęcia, a wtedy gość chwycił go za łokieć. – Kto tu wpuścił tego człowieka?

– Co się tak, kurwa, spieszysz? – Ben wyrwał się i natychmiast unieruchomiło go dwóch mundurowych. Teraz dopiero zobaczył litery na plecach kurtki tego gościa: FBI. Cholera, skąd miał wiedzieć? Gość wyglądał na pieprzonego harcerzyka.

– W porządku. – Racine przyszła mu wreszcie z odsieczą. Do jej idealnie wyprasowanych spodni przykleiły się liście, a krótkie jasne włosy splątał wiatr. – Znam go. Robił dla nas dokumentację na miejscach zbrodni, zanim został wielkim

artystą. Steinberga jeszcze nie ma. Jest na drugim końcu miasta, przy innym wypadku. Musimy zrobić trochę zdjęć, bo zaraz zacznie padać. Do cholery, mieliśmy szczęście, że przypadkiem Garrison znalazł się w pobliżu.

Policjanci uwolnili Bena, popychając go przy tym, żeby sobie zapamiętał, że tak nie musi być zawsze. Sprawdził swój aparat, czy czegoś nie popsuli. Dupki. Robi im pieprzoną przysługę, a oni traktują go jak jakieś gówno.

– Dobra, chłopaki, przedstawienie skończone – powiedziała Racine do ludzi z laboratorium kryminalnego, którzy przestali czołgać się po trawie, żeby się trochę pogapić. – Spieszmy się, żeby nie zmyło śladów. To dotyczy także ciebie, Garrison.

Skinął głową, ale nie zwracał na nią specjalnej uwagi. Właśnie zaobserwował, że niezależnie od tego, gdzie stoi, oczy martwej kobiety zdają się za nim podążać. To pewnie jedno z tych dziwacznych złudzeń, co? A może przypadkiem wpada w paranoję?

– Hej, fotograf! – zawołał agent FBI. – Zrób to.

Facet stał za Benem, wskazując miejsce na ziemi, jakieś półtora metra od ciała.

– Nazywam się Garrison. – Ben czekał, aż facet spojrzy mu w oczy, a kiedy tak się stało, dał mu jasno do zrozumienia, że nie będzie go słuchał, dopóki nie zostanie potraktowany z należnym szacunkiem.

Facet przystawił palce do daszka czapki, zasalutował i uśmiechnął się.

– I akurat przypadkiem znalazłeś się w pobliżu, czy tak powiedziała detektyw Racine?

– Taa. A co? Robiłem zdjęcia pomnika.

– W niedzielę rano?

– Najlepsza pora. Nie kręcą się wtedy żadne dupki, których bardzo bawi, jak mi zepsują zdjęcie. Słuchaj, ja wam pomagam, tak? Może przestaniesz mi zawracać dupę? – Ben mówił spokojnie, powściągając złość, choć miał wielką chęć powiedzieć temu wałowi, żeby się pieprzył.

– Okej, panie Garrison. Czy byłby pan tak uprzejmy sfotografować te ślady w błocie? – Pokazał mu dokładnie miejsce. Facet był wysoki, około metra osiemdziesięciu wzrostu, nieco tyczkowaty, zarazem jednak nieźle zbudowany. Jego wzrok i sarkazm w głosie powiedziały Benowi, że nie wolno z nim przesadzać. Cholerny agencik. Ben zerknął na jego kurtkę, ciekaw, gdzie też schowana jest w niej broń. Dałby głowę, że dupek nie byłby takim chujowym macho bez nabytego za rządową forsę glocka.

– Nie ma sprawy – powiedział w końcu. Objął wzrokiem wskazane miejsca i natychmiast zobaczył trzy nieduże okrągłe odciski w ziemi, tworzące trójkąt. Dzieliło je od siebie jakieś dwadzieścia centymetrów.

– Co tam macie? – Racine dołączyła do nich, zaglądając Benowi przez ramię. W tej samej chwili poczuł pierwsze krople deszczu, które spadły mu na kark.

– Nie jestem pewien – odparł agent. – Coś tu leżało. A może to jakiś znak.

– Jezu, Tully, tobie w głowie tylko seryjni mordercy, co? Może zabójca postawił na ziemi walizkę.

– Na małej okrągłej nóżce? – zaśmiał się Ben i zrobił jeszcze kilka zdjęć.

– Wszyscy jesteście pieprzonymi ekspertami – zirytowała się Racine.

Odwrócony do niej plecami Ben uśmiechnął się. Lubił ją denerwować, bo przepadał za jej seksownie wydętymi wargami.

– Starczy tych fotek, Garrison. Bądź tak miły i oddaj mi film.

Wyciągała do niego rękę. Wcale się nie kwapił, by spełnić jej polecenie.

– Jeszcze nie sfotografowałem ciała ze wszystkich stron. Zostało mi kilka wolnych klatek.

– Na pewno wystarczy to, co masz. Poza tym przyjechał koroner. – Pomachała do niewysokiego, pękatego mężczyzny w marynarce w kurzą stopkę i wełnianej czapce, który szedł ku nim po zarośniętym stoku. Posuwał się ostrożnie, drobnymi krokami, bez przerwy patrząc na swoje stopy. Z niedużą czarną torbą przypominał Benowi postać z komiksu.

– No dawaj, Garrison. – Racine opuściła ręce wzdłuż bioder. Może sądziła, że dzięki temu wygląda bardziej stanowczo.

Jej biodra były chłopięco szczupłe, a mając tak długie nogi, nosiła pewnie męskie spodnie. Braki w biodrach nadrabiała biustem. Ben zagapił się właśnie na jej piersi. Za

każdym razem, kiedy ją widział, podniecało go połączenie miękkich piersi z twardym rewolwerem. Ciekaw był, czy Racine zdawała sobie z tego sprawę i czy była z tego zadowolona, bo jakoś nie zapinała kurtki. Stała w tej samej pozie, udając zniecierpliwienie, choć zarazem nie odmawiała mu widoku, na jaki miał ochotę.

– Garrison, nie mam dla ciebie całego pieprzonego dnia.

Niechętnie przewinął film i otworzył aparat, a następnie podał jej rolkę.

– Nie ma sprawy. Są ciekawsze miejsca.

Wcisnęła film do kieszeni i natychmiast zapięła kurtkę. No tak, dostała to, co chciała, więc koniec przedstawienia.

– Jesteś mi coś winna, Racine. Co powiesz na kolację?

– Świetnie, Garrison, tyle że w twoich marzeniach. Przyślij mi rachunek. – Odwróciła się w stronę zbliżającego się koronera, odsyłając Bena, jakby był jej lokajem albo jakimś innym niewidzialnym palantem.

Ben podrapał się po zarośniętych policzkach. Czuł się jak ostatni frajer. Niewdzięczna suka. Któregoś dnia skończy się ta jej zabawa z facetami, bo wreszcie trafi na lepszego od siebie i spokornieje. Tak to najczęściej bywa.

Swoją drogą chodziły słuchy, że Racine tak samo traktuje kobiety. Cholerna, bezwzględna, wyuzdana suka. Ben zaczął wyobrażać sobie to i owo i znów się podniecił.

Agencik patrzył na niego. Czas się zmywać. W końcu już zdobył to, co chciał.

Ruszył ścieżką w dół, nie patrząc pod nogi. Wiedział, jak iść, żeby się nie pośliznąć. Nim skręcił za granitowe głazy,

obejrzał się przez ramię. Racine i reszta zajęci byli rozmową z koronerem. Ben wsadził rękę głęboko do kieszeni i wymacał gładką powierzchnię kasety. Uśmiechając się, ścisnął w dłoni rolkę filmu. Naiwna Racine. Nie przyszło jej do głowy, że wystrzelał więcej niż jeden film.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Maggie natychmiast odetchnęła, a zaraz potem zaczęła zastanawiać się nad swym pokręconym charakterem. Cóż, wychodzi na to, że woli oglądać zwłoki niż jeść śniadanie z własną matką. Z pewnością jest to śmiertelny grzech, za który przyjdzie jej smażyć się w piekle, albo uderzy w nią piorun z burzowej chmury, która właśnie zbierała się nad jej głową.

Pokazała swoją odznakę umundurowanemu policjantowi, który blokował chodnik obok centrum informacyjnego. Skinął głową, a ona zgięła się wpół i przeszła pod żółtą taśmą. Była tu po raz pierwszy, choć pomnik-muzeum ukończono w 1997 roku. Przypuszczała, że nie różni się w tym względzie od większości mieszkańców przedmieść stolicy. Kto ma czas na zwiedzanie poza wakacjami? No a jeśli już robiła sobie wakacje, oczywiście nie zostawała w mieście.

W odróżnieniu od innych miejsc poświęconych pamięci amerykańskich prezydentów, FDR Memorial to prócz samego monumentu także drzewa, kaskady wodne, trawiaste polany, ogrody i altany. Przechodząc przez galerie i sale, Maggie niemal nie zwracała uwagi na rzeźby i brązy, tylko wpatrywała się wnikliwie w granitowe ściany i występy nad i za nimi. Uderzyło ją, jak wiele tu drzew i krzewów. Z dołu teren wyglądał jak prywatny raj dla

każdego potencjalnego mordercy. Czyżby projektantom nie wpadło to do głowy, czy może to ona, po latach czytania w myślach zbrodniarzy, stała się tak cyniczna?

Przystanęła przy wielkiej, wykonanej z brązu podobiźnie Roosevelta. Sprawdziła rozmieszczenie reflektorów punktowych wokół rzeźby, zastanawiając się, jak daleko sięga ich światło. Kiedy zacznie się ściemniać, powinna uzyskać odpowiedź. Granitowe ściany miały wysokość od trzech do czterech i pół metra, zatem wątpliwe, by światła sięgały drzew i krzewów rosnących powyżej, za ścianą. Z miejsca, w którym się znajdowała, trudno byłoby jej dostrzec kogoś pomiędzy drzewami, a spadająca kaskadami woda zagłuszała niemal całkowicie wszystkie dźwięki. Owszem, słyszała jakieś niewyraźne głosy dobiegające z góry i spomiędzy krzaków, gdzie pracowali detektywi, ale nikogo nie widziała. Żadnego ruchu.

– Ten mały pies nazywa się Fala.

Wzdrygnęła się. Obok niej stał mężczyzna z aparatem fotograficznym powieszonym na szyi.

– Słucham?

– Prawie nikt tego nie wie, ten pies był ulubieńcem Roosevelta.

– Muzeum zostało zamknięte dziś rano – powiedziała, i natychmiast zobaczyła złość na twarzy mężczyzny.

– Nie jestem jakimś pieprzonym turystą, tylko dokumentuję miejsce zbrodni. Proszę spytać Racine.

– Okej, nie wiedziałam.

Miał wybuchowy temperament i wcale się z tym nie krył. Od razu reagował, jak coś było mu nie na rękę. Maggie przyglądała się jego zarostowi i zmierzwionym włosom, wytartym na kolanach dżinsom i czubkom błyszczących, drogich kowbojskich butów. Mógłby uchodzić za turystę czy podstarzałego studenta college'u.

– No i widzisz, potrafię oceniać ludzi w tempie migawki. I właśnie się zastanawiam, co tu robi taka laska jak ty. Myślałem, że Racine nie lubi konkurencji. – Teraz on wpatrywał się w nią, obejmując ją wzrokiem.

– To nowy zwyczaj w policji. Lubimy mieć co najmniej jedno wsparcie.

– Proszę?

– Jestem wspierającą laską.

Uśmiechnął się, choć był to raczej uśmieszek niż uśmiech, a jego oczy powędrowały raz jeszcze tą samą drogą.

– To tak jak z fotografami – ciągnęła. – Każdy posterunek policji musi mieć półkę rezerwowych. Wie pan, jak to jest. – To „pan" wypowiedziała z szacunkiem, zbyt wielkim szacunkiem. – Na przykład trzeba mieć jakiegoś bezrobotnego reportera na gwizdek, którego się przyzywa, kiedy profesjonalny fotograf nawalił.

Spojrzał jej w oczy, tym razem znów wściekły. Taki z niego policyjny fotograf jak z niej policyjna laska. Co sobie myśli ta Racine, do diabła? A może tu tkwi problem? Racine, jak zwykle, nie myśli.

– Mam dość takiego traktowania! – krzyknął, wymachując rękami, jakby chciał jej pokazać, ile musiał znieść. – Robię

wam, dupki, przysługę, i co dostaję w zamian? Po chuja mi to gówno. Spływam stąd.

Nie czekał na odpowiedź. Zakręcił się na obcasach wypucowanych butów i wymaszerował dumnym krokiem, który przekonał Maggie, że facet miał coś obiecane za zerwanie się z łóżka. Nie wiedziała tylko co. Może Racine coś mu przyrzekła, jakieś „małe coś za coś”. Ta kobieta opanowała to z prawdziwą maestrią. Maggie dobrze pamiętała ich ostatnią wspólną pracę. Wspomnienie tego niesmacznego doświadczenia było zbyt świeże, żeby się go pozbyć. Niewiele brakowało, by została wplątana w owo „małe coś za coś” Julii Racine.

– O’Dell! – zawołał ktoś z góry. Agent Tully przechylał się przez występ skalny. – Chcę, żebyś zobaczyła ciało, zanim je zapakują.

– Którędy najlepiej?

– Za czwartą galerią są toalety. Obejdź je, a potem się cofnij. – Wskazywał jakieś miejsce, którego nie widziała, było bowiem za dużo granitowych ścian. Znalazła drogę, idąc wzdłuż kolejnego muru i wodospadu, potem wspięła się ścieżką, która wyglądała na całkiem nową.

Czekali już na nią, trzymając się w pewnej odległości od ciała, choć Stan Wenhoff niecierpliwił się, żeby zająć się swoją robotą. Zespół laboratorium pakował już swoje zdobycze w plastikowe worki. Maggie rozumiała ich pośpiech, choć dopiero po chwili rozległ się cichy grzmot.

Dziewczyna siedziała wsparta o drzewo, plecami do występu skalnego. Jej głowa zwisała, odkrywając głębokie

rany z jednej strony szyi. Mimo brudnożółtej masy w kąciku jednego oka, zdawało się, że patrzy. Nie podchodząc bliżej, Maggie wiedziała, że w oku dziewczyny zagnieździły się już robaki. Nogi miała wyciągnięte przed siebie w rozkroku. Czarne muchy o lśniących grzbietach wzięły już w posiadanie jej nozdrza i krocze.

Dziewczyna miała na sobie tylko biustonosz, wciąż zapięty, ale podciągnięty w górę, pod nim widniały jej drobne białe piersi. Kawałek szarej klejącej taśmy zaklejał jej usta. Krótkie, czarne potargane włosy zaśmiecone były wyschniętymi liśćmi i sosnowymi igłami. Koszmarny widok, choć złożone razem dłonie denatki leżały spokojnie na kolanach, tuż pod gniazdem much. Ten gest nasunął Maggie myśl o modlitwie. Czyżby coś znaczył?

– Nie mamy wiele czasu, agentko O’Dell. – Stan pierwszy wyraził swoje zniecierpliwienie.

Biedny Stan. Kolejne poranne wezwanie, i to w ciągu niecałego tygodnia.

Tully stał obok niej, pokazując coś na ziemi.

– Są tu jakieś dziwne, okrągłe ślady.

Nie zobaczyła ich od razu. Wyglądało to, jakby coś upadło, choć nie mogło to być nic ciężkiego. Ot, ślady ledwie odciśnięte na powierzchni.

– Kojarzy ci się z czymś? – spytał.

– Nie, a powinno?

– Chyba tak, ale nie wiem z czym.

– Tully jest dzisiaj w potwornie ponurym nastroju. – Julia Racine podeszła z drugiej strony Maggie. Z rękami

wspartymi na biodrach uśmiechnęła się do niej. – Już dopatruje się seryjnego mordercy.

Maggie rzuciła raz jeszcze wzrokiem na ślady, podniosła się i zerknęła na ciało dziewczyny, po czym przeniosła spojrzenie na Racine.

– Wydaje mi się, że agent Tully ma rację. Sądząc po tym, co tu widzę, powiedziałabym, że ten dopiero zaczyna. Początkujący seryjny morderca.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

– Moim zdaniem to gwałt, tylko gwałciciel posunął się za daleko.

Tully zmrużył oczy na słowa Racine, ale wiedział, że nie musi oponować. Należało spokojnie poczekać, aż zrobi to O’Dell.

– Skoro tak myślisz, to po co wezwano tu agenta Tully’ego i mnie? Żebyśmy sobie popatrzyli?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Racine wzruszyła ramionami i podniosła kołnierz swojej kurtki, kiedy odezwało się echo kolejnego grzmotu. – To teren federalny.

– Więc powinni byli wezwać kogoś z miejscowego biura. To nie tłumaczy, dlaczego wezwano nas na konsultacje.

Tully podniósł wzrok na kłębiące się burzowe chmury. O’Dell miała rację. Obydwoje specjalizują się w analizie kryminalnej, przygotowują portrety psychologiczne, zwłaszcza seryjnych morderców i wielokrotnych przestępców. To nie detektyw Racine, to ktoś inny uznał, że należy zadzwonić do Cunninghama. Ktokolwiek to był, nie raczył wprowadzić Racine w temat, choć była odpowiedzialna za śledztwo. Bez sensu…

– Tu miała miejsce przepychanka. – Racine, pragnąc udowodnić swoją teorię, wskazała na zgniecione, wdeptane w ziemię liście. Ludzie z laboratorium poświęcili sporo czasu na zebranie materiału z tego właśnie miejsca.

– Nie widzę śladów walki. – O’Dell przykucnęła na skraju strefy i przyglądała się, niczego nie dotykając. – Ktoś tu leżał, to pewne. Może nawet się turlał. Trawa i liście są zgniecione. Ale nie widać powyrywanej trawy, śladów obcasów ani naruszonej ziemi, a takie rzeczy pozostawia po sobie zwykle walka, o której mówisz.

Detektyw Racine warknęła pod nosem, a Tully natychmiast pomyślał, że to bardzo nieeleganckie. Zachowywały się jak walczące koguty, niczym dwóch facetów, którzy założyli się, który z nich nasika dalej.

– Słuchaj, O’Dell, wiem co nieco, jak wygląda miejsce, gdzie dokonano gwałtu. – Racine powiedziała to głosem świadczącym o tym, że jej cierpliwość się kończy. – Zostawiając dziewczynę w tej pozycji, facet chciał ją dodatkowo poniżyć.

– O, doprawdy?

Tully odwrócił się. O Jezu! Zaczyna się. Rozpoznał ten sarkazm, bo sam kilka razy padł jego ofiarą.

– A nie przyszło ci do głowy, że ten łajdak zostawił ją tak, żeby coś tu zmienić? – spytała z kolei O’Dell.

– Zmienić? Celowo, żeby nas zmylić?

Stojąc plecami do obu kobiet, Tully przewrócił oczami. Miał nadzieję, że O’Dell nie westchnie znacząco. To detektyw Racine tu rządzi. Czy Maggie nie potrafi się z tym pogodzić?

– Może upozował ciało – mówiła dalej O’Dell, powoli, jak do małego dziecka – żeby odwrócić od siebie podejrzenia.

Racine prychnęła.

– Wiesz, w czym tkwi twój problem, O’Dell? Przeceniasz zbrodniarzy. Większość z tych gnoi to półgłówki. Przyjmuję to jako zasadę w mojej pracy.

Tully oddalił się. Nie mógł tego znieść ani chwili dłużej. Z początku trochę się tym bawił, ale już przestało go obchodzić, kto wygra ten konkurs sikania, choć wszystkie pieniądze postawiłby na O’Dell. Podszedł do Wenhoffa, który kończył badanie.

– Możemy określić czas zgonu?

– Mogę zgadywać z dużym prawdopodobieństwem na podstawie stężenia pośmiertnego, temperatury w odbycie i inwazji pierwszych pasożytów – cały czas odganiał natarczywe muchy – że stało się to niecałe dwadzieścia cztery godziny temu. Może około dwunastu. Muszę zrobić dodatkowe badania. I dowiedzieć się, jak zimna była miniona noc.

– Dwanaście godzin? – Tully posiadał wystarczającą wiedzę, by ocenić, że ma do czynienia ze świeżym morderstwem. I nagle poczuł skurcz żołądka. – Czyli to się mogło stać ostatniego wieczoru, na przykład między ósmą i północą?

– Tak bym to widział. – Wenhoff podniósł się z wielkim wysiłkiem i wezwał dwóch mundurowych. – Można ją pakować, ale jest sztywna jak deska. Uważajcie, żeby jej czegoś nie złamać.

Tully zszedł im z drogi. Nie chciał widzieć, jak podnoszą dziewczynę z pozycji siedzącej i pakują do czarnego worka. Patrzył przed siebie, przez polanę między drzewami.

W oddali dostrzegł grupę turystów, którzy szli wzdłuż Vietnam Wall. Autokary okrążały policyjną blokadę, żeby minąć FDR Memorial i prześliznąć się wokół Lincoln Memorial. Poprzedniego wieczoru Emma i jej przyjaciółka były tu, myślał. Szły tymi samymi ścieżkami. Czy zabójca przyglądał się im, zanim wybrał swój cel? Do diabła, ta dziewczyna nie była wiele starsza od Emmy.

– Tully. – O'Dell przestraszyła go, stając niespodzianie obok niego. – Wybieram się do kostnicy. Stan od razu zajmie się autopsją. Chcesz się tam ze mną spotkać czy umawiamy się na jutro?

Dotarła do niego ledwie połowa jej słów.

– Tully? Nic ci nie jest?

– Nic. W porządku. – Przetarł twarz dłonią, żeby zasłonić czającą się na niej panikę. – Spotkajmy się w kostnicy.

Maggie stała wciąż i patrzyła na niego, widocznie był mało przekonujący. Najlepiej zmylić O'Dell, zmieniając temat.

– Co z tobą i Racine? Mam nieodparte wrażenie, że się znacie.

Odwróciła wzrok, od razu wiedział, że trafił w samo sedno. Ona tymczasem powiedziała:

– Po prostu za nią nie przepadam.

– Dlaczego?

– Musi być jakiś szczególny powód?

– Nie znam cię aż tak dobrze, ale wydaje mi się, że jesteś osobą, która musi mieć jakiś powód, żeby kogoś nie lubić.

– Masz rację – odparła, dodając zaraz: – Nie znasz mnie aż tak dobrze. – Ruszyła, rzucając jeszcze przez ramię: – To widzimy się w kostnicy, okej? – Nie patrzyła już na niego, pomachała mu tylko, mówiąc w ten sposób, że są umówieni i że koniec tematu „O'Dell i Racine". Tak, był już pewny, że poznały się wcześniej.

No i teraz, kiedy wszyscy się pakowali, także policjanci ze zwłokami dziewczyny, mógł nareszcie pozwolić sobie na nudności. Podszedł do krawędzi i spojrzał w dół na Potomac Park. Tym razem grzmot rozerwał niebo – jakby dotąd czekał z szacunkiem – i deszcz lunął na ziemię.

Tully stał nieporuszenie, obserwując, jak turyści w dole szukają schronienia lub otwierają parasole. Jemu deszcz nie wadził. Uniósł ku niemu twarz, chłodząc się i zmywając mdłą lepkość, która objęła jego ciało. Tak, miał teraz w głowie tylko jedno. Jezu drogi, czy jego córka mogła zostać ofiarą tego drania?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Maggie zrzuciła skórzane czółenka i na pończochy wcisnęła plastikowe ochraniacze. Włożyła czółenka na śniadanie z matką w Crystal City Hyatt, nie wybrałaby ich do pracy. Stan tylko patrzył w milczeniu. Może nie chciał się niepotrzebnie narażać. W końcu Maggie bez przypominania włożyła okulary, które zwykle zostawiała na czubku głowy. Mimo wszystko Stan odnosił się do niej inaczej niż zwykle. Był wyciszony, ani razu nie burknął ani nie westchnął ciężko. Jeszcze nie. Czyżby się bał, że ją znowu zdenerwuje?

Musiała przyznać, że nie czuła się najlepiej, znajdując się znowu w tym miejscu. Bez większego wysiłku wywoływała obraz szarego pośmiertnego oblicza Delaneya. Swoją drogą potrafiła to zrobić wszędzie, na zawołanie, a zatem powrót do kostnicy niczego nie zmieniał. Tak przynajmniej sobie wmawiała. Musi przestać rozmyślać o zmarłym przyjacielu. Co prawda nie chodzi wyłącznie o niego. Chodzi o te wszystkie straszne wspomnienia uwolnione przez jego śmierć. Wspomnienia ojca, które po tak wielu latach wciąż ją psychicznie pustoszyły, i co gorsza sprawiały, że czuła się opuszczona i bardzo samotna.

Wiedziała, że sfinalizowanie rozwodu z Gregiem niebezpiecznie zbliży ją do utraty jakichkolwiek związków rodzinnych, które starała się stworzyć. Ale czy rzeczywiście

się starała? Gwen wciąż jej powtarza, że trzyma na dystans zbyt wiele osób, którym na niej zależy. Czy tak właśnie stało się z nią i Gregiem? Czy trzymała na dystans własnego męża, nie dając mu dostępu do swoich najbardziej wrażliwych miejsc? Może jej matka ma rację, może to z jej winy rozpadło się to małżeństwo?

Przeszedł ją dreszcz. Co za pomysł! Jak mogła pomyśleć, że jej matka ma w czymkolwiek rację.

Dołączyła do Stana. Zaczął już zewnętrzne badanie zwłok dziewczyny, robiąc pomiary. Pomagała mu w niewdzięcznych zajęciach: obracaniu ciała i pobieraniu płynów ustrojowych. Dobrze było skupić się na czymś konkretnym, znanym i konstruktywnym. Pracowała już ze Stanem wystarczająco wiele razy, żeby wiedzieć, co jej wolno, a kiedy ma stać z boku i tylko patrzeć.

Ostrożnie zdjęła papierowe torebki z dłoni dziewczyny i zaczęła wyskrobywać brud zza jej paznokci. A było co wyskrobywać. Zwykle znaczyło to, że zachowany został materiał do zbadania DNA napastnika, dzięki czemu będzie można go zidentyfikować. Oglądając szyję denatki, Maggie zobaczyła na niej kilkanaście horyzontalnych lekko zakrzywionych śladów otarcia pomiędzy głębokimi krwawymi śladami podwiązania i wieloma zadrapaniami. Horyzontalne ślady prawdopodobnie świadczyły o tym, że komórki skóry pod paznokciami to w dużej mierze skóra ofiary wydrapana przy próbie pozbycia się duszącego ją sznura.

Stan zrobił tyle polaroidów, że zapełnił nimi korkową tablicę nad kranem. Potem zdjął rękawiczki i po raz trzeci, odkąd rozpoczęli pracę, wyszorował ręce, nakładając na nie potem emulsję ochronną i wmasowując ją w skórę przed wsunięciem kolejnej pary rękawiczek. Maggie przyzwyczaiła się już do tego dziwacznego rytuału, a jednak od czasu do czasu przypominał jej dotkliwie o krwi na jej własnych rękawiczkach. Zapowiadało się, że to będzie właśnie jeden z tych dni.

– Przepraszam za spóźnienie – rzucił agent Tully od drzwi. Z wahaniem zatrzymał się w progu. Dosłownie ociekał wodą. Nawet daszek bejsbolówki był kompletnie przemoczony. Zdjął czapkę i potrząsnął mokrymi włosami. Maggie sądziła początkowo, że Tully jest taki niezdecydowany, bo kapie z niego woda, co byłoby zresztą niedorzeczne, ponieważ podłoga była tam z cementu, ze strategicznie umieszczonymi odpływami, przeznaczanymi dla dużo paskudniejszych płynów niż woda deszczowa. Ale zaraz potem przekonała się, że na kogoś czekał. Tuż za nim pojawiła się detektyw Julia Racine, tak sucha i świeża, jakby przybyła tu z całkiem innego świata niż Tully.

– Jesteśmy już wszyscy? – spytał Stan z nieobecnym dotąd zrzędliwym pomrukiem.

– Tak. Jesteśmy już wszyscy i jesteśmy gotowi – wyśpiewała Racine, zacierając dłonie, jakby zebrali się na partyjkę towarzyskiego pokera.

Maggie zupełnie wyleciało z głowy, że Racine będzie obecna podczas autopsji. Ale to w końcu była jej sprawa,

oczywiste zatem, że się pojawiła. Poprzednim razem, gdy pracowały wspólnie, Racine przydzielono do sekcji przestępstw seksualnych. Maggie zastanawiała się teraz, czy pani detektyw uczestniczyła kiedykolwiek w autopsji. I raptem poczuła wielki zapał do pracy.

– Ochraniacze na buty, maski, wszystko znajdziecie w szafie – sucho poinformował Stan. – Nikt się tu nie zbliży bez odpowiedniego stroju, zrozumiano?

– Żaden problem. – Racine zrzuciła krótką skórzaną kurtkę i ruszyła do szafy.

Tully ciągnął się za nią, wolno zdejmując kurtkę i wieszając ją wraz z czapką nad jednym z odpływów. Kilka razy zerknął na ciało dziewczyny. Maggie zrozumiała, że się myliła. Czyżby to Tully pierwszy raz uczestniczył w autopsji?

Nim przeniesiono go do Quantico, zajmował się przez kilka lat analizami kryminalnymi w Clevelandzie. Widział niejedną zbrodnię i niejedno miejsce zbrodni, ale tylko na zdjęciach albo na kasetach wideo. Sam przyznał kiedyś, że przed sprawą Alberta Stucky'ego nie był obecny w wielu miejscach zbrodni. A zatem możliwe, że do tej pory nie brał udziału w autopsji. Niech to szlag! A miała nadzieję, że to Racine wyrzyga swoje śniadanie.

– Agencie Tully. – Maggie chciała odwrócić jego uwagę od zwłok. – Czy na pewno nie znaleziono na miejscu zbrodni żadnego dokumentu tożsamości?

Widziała, że zerknął na Racine, ale detektyw jakoś dziwnie zwlekała z wyborem fartucha, jakby miała przed

sobą cały asortyment rozmiarów, a tymczasem wszystkie fartuchy były na nią za duże albo o wiele za duże. Maggie wiedziała, że to trudne zadanie zajmie jej jeszcze z dziesięć minut. Kiedy Tully zdał sobie sprawę, że Racine jest zbyt zaabsorbowana, żeby udzielić odpowiedzi, podszedł do Maggie, po drodze wyciągając z suszarki czysty fartuch i wkładając go.

– Znaleźli jej torebkę, ale bez żadnego dowodu tożsamości. Jej ubrania były poskładane i razem z torebką ukryte jakieś dziesięć metrów od ciała.

Brak dokumentu poświadczającego tożsamość ofiary nie zdziwił Maggie. Mordercy często pozbywali się takich śladów, w nadziei że jeśli nie da się zidentyfikować ofiary, podobny kłopot policja będzie mieć z mordercą. Zdarzali się też szaleńcy, którzy zabierali takie dokumenty jako trofeum.

– Ubrania były poskładane? Cóż za pedancik z tego gwałciciela – powiedziała Maggie do wiadomości Racine, która obróciła głowę i zmarszczyła brwi. A zatem jednak ich słuchała.

– Majtki dziewczyny były podarte w kroku – dodała zaraz z satysfakcją pani detektyw. Przydreptała do stołu, wsadzając okulary na nastroszone jasne włosy.

Maggie czekała, aż Stan to zauważy i skarci ją, ale zajęty był wyciąganiem gniazd much z włosów łonowych denatki. Maggie postanowiła się skoncentrować, by nie dać się zbić z tropu. Kontynuowała wybieranie brudu zza paznokci ofiary, pakując to, co udało jej się wyskrobać, i opisując, z którego palca pobrano materiał.

Poza tym co ją to w ogóle obchodzi, czy Racine upiera się przy swojej teorii o gwałcicielu, który posunął się za daleko? To nie jej problem, że lokalna policja nie zorientowała się dotąd, iż ma niekompetentnego detektywa. A jednak to ma znaczenie, jeżeli Maggie zostanie przy tej sprawie choćby w roli konsultanta. Do tej pory czuła niesmak po ich ostatniej wspólnej pracy. Mało brakowało, by z powodu błędów Racine wniesiono przeciw nim oskarżenie.

Maggie odgarnęła kosmyk włosów ze spoconego czoła. Przyłapała panią detektyw na tym, że ją podgląda. Odwróciła wzrok.

Szczerze mówiąc, poza tą jedną sfuszerowaną sprawą i plotkami niewiele wiedziała o Julii Racine. Pewnie nie miała prawa osądzać tej kobiety, ale jeśli w plotkach było choć źdźbło prawdy, detektyw Racine reprezentuje znienawidzony przez nią typ kobiety, zwłaszcza w instytucjach wymiaru sprawiedliwości, gdzie takie gierki prowadzą często do czyjegoś nieszczęścia, a nawet śmierci.

Od pierwszego dnia swoich kontaktów z medycyną sądową Maggie ciężko harowała, żeby traktowano ją na równi z mężczyznami, natomiast Racine posługiwała się atrybutami swojej płci jak swoistą łapówką, środkiem do celu, jakby z tytułu kobiecości należały się jej większe prawa. O’Dell nienawidziła takich babsztyli. Teraz, czując na sobie wzrok Racine, wściekała się w milczeniu. Tej idiotce wciąż się wydaje, że to skuteczna taktyka, i to również w stosunku do niej, a przecież poprzednie

spotkanie powinno było nauczyć czegoś panią detektyw, przekonać ją, że czarowaniem i flirtowaniem nic u niej nie wygra. Maggie podniosła głowę i kiedy spotkały się wzrokiem, Racine wcale nie przeniosła spojrzenia gdzie indziej. Patrzyła jej prosto w oczy, i to na dodatek z uśmiechem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Ben Garrison rozwiesił mokre odbitki na krótkim sznurze do prania w swojej ciasnej ciemni. Pierwsze dwa filmy raczej go rozczarowały, za to ten... Ten mu zaparł dech. Znowu wskoczył na siodło. Może nawet doprowadzi do tego, że będą o niego walczyć, dlatego nie wolno mu tracić ani chwili. Z wrażenia czuł mrowienie w palcach, a w płucach bolało go od oparów chemikaliów. Musi odpocząć, uzbroić się w cierpliwość.

Zabrał ze sobą jedną z odbitek, zamykając drzwi od ciemni i kierując się w stronę lodówki. No jasne, była pusta. W zasadzie nie dostrzegł w niej nic prócz stałego asortymentu przypraw, owocu kiwi, który leżał tam Bóg wie od kiedy, pojemnika z tajemniczym paskudztwem i czterech butelek budweisera z długimi szyjkami. Chwycił jedną z nich, zdjął kapsel i wrócił do kuchennego blatu, żeby podziwiać swoje arcydzieło w gównianym fluorescencyjnym świetle.

Raptem przerwało mu pukanie do drzwi. Kogo niesie, do diabła? Rzadko miewał gości, był też przekonany, że nauczył swoich wścibskich sąsiadów, by się od niego odczepili. Jego twórczość to praca z zegarkiem w ręku. Nie wolno mu przeszkadzać, kiedy moczy odbitki w utrwalaczu albo wywołuje film. Kompletny brak szacunku. Co jest nie tak z tymi ludźmi?

Otworzył wszystkie trzy zamki, a potem drzwi.

– O co chodzi? – warknął, aż drobna siwowłosa kobieta cofnęła się i chwyciła balustrady. – Pani Fowler. – Podrapał się w brodę i oparł o framugę drzwi, zasłaniając widok wędrującym oczom gospodyni. Zdaje się, że jednak nie wychował sobie jeszcze wszystkich w tej starej ruinie. – Tak, pani Fowler? Co mogę dla pani zrobić? – Potrafił być miły, kiedy należało.

– Panie Garrison, właśnie tu przechodziłam, sprawdzałam, co się dzieje z panią Stanislov, tą z końca korytarza. – Jej paciorkowate oczy krążyły wokół niego, byle tylko choć zerknąć do wnętrza mieszkania.

Kilka tygodni wcześniej uparła się, żeby towarzyszyć hydraulikowi, który naprawiał Benowi cieknący kran. Jej ptasia głowa kręciła się wkoło, żeby zobaczyć, ile się da: afrykańskie maski na ścianie, boginie płodności z brązu, które dekorowały jego bibliotekę, i inne egzotyczne drobiazgi, które zgromadził podczas swoich podróży. To było w czasach, kiedy pieniądze wpływały na jego konto nieprzerwanym strumieniem, i nie było takiego zdjęcia, za które „Newsweek”, „Time” czy „National Geographic” nie zapłaciłyby najwyższej stawki. Był najbardziej rozchwytywanym młodym fotoreporterem. Teraz, gdy miał ledwie trzydziestkę na karku, spisano go na straty. Ale on im jeszcze pokaże.

– Jestem w tej chwili bardzo zajęty, pani Fowler. Pracuję. – Mówił uprzejmie, krzyżując ramiona na piersi, żeby

powściągnąć irytację, i czekał, aż kobieta dojrzy jednak tę irytację przez swoje trójogniskowe okulary.

– Właśnie sprawdzałam, co u pani Stanislov – powtórzyła, machając wychudłą ręką w stronę drzwi w końcu korytarza. – Cały tydzień czuła się źle i w ogóle nie wychodziła. Wie pan, krąży wirus grypy.

Jeżeli spodziewa się od niego wyrazów współczucia, to będą tak sterczeli całą noc, pomyślał. To przekraczało granice jego lizusostwa, niezależnie od tego, że mieszkanie kosztowało grosze. Wyprężył się i czekał. Krążył myślami wokół pozostawionego w kuchni zdjęcia. Ponad trzydzieści prób, żeby w końcu uchwycić ten obraz. Ten…

– Panie Garrison?

Drobna spiczasta twarzyczka przypominała mu pomarszczone kiwi w lodówce.

– Tak, pani Fowler? Naprawdę muszę wracać do pracy.

Patrzyła na niego powiększonymi trzykrotnie oczami. Ściągnęła cienkie wargi, a skóra zmarszczyła się wręcz nieprawdopodobnie. Zepsute kiwi. Musi pamiętać, by je wyrzucić.

– Nie wiem, czy to ważne, ale może chciałby pan o tym wiedzieć?

– O czym pani mówi? – Jego uprzejmość miała swe granice, a ona już je przekroczyła.

Gdy nagle cofnęła się, Ben zrozumiał, że ją przestraszył. Wcale mu nie było przykro, wręcz przeciwnie.

Tymczasem nieszczęsna staruszka wskazała ręką na paczkę, która stała przy jego drzwiach. Zanim pochylił się,

żeby ją podnieść, drobne stopy pani Fowler szurały już w dół schodów.

– Dziękuję, pani Fowler! – zawołał za nią z uśmiechem, uprzytamniając sobie, że brzmi jak Jack Nicholson w „Lśnieniu”. Ona oczywiście tego nie wie. Stara nietoperzyca pewnie wcale go nie usłyszała.

Pakunek był lekki, owinięty w zwykły brązowy papier. Ben potrząsnął nim. Nic nie zabrzęczało, nie było też żadnych naklejek, tylko jego nazwisko napisane czarnym flamastrem. Czasami laboratorium fotograficzne z końca ulicy przysyłało mu materiały, ale nie przypominał sobie, żeby ostatnio coś u nich zamawiał. Nie znalazł jednak innego wytłumaczenia dla tej przesyłki. Czyżby z powodu frustracji, która ostatnio go dręczyła, tracił pamięć?

Położył pakunek na blacie w kuchni, wziął nóż i zaczął rozcinać papier. Kiedy zdjął wieko pudełka, zobaczył w środku coś dziwnego. Wyglądało to jak brązowe orzeszki ziemne. Nie myśląc chwili dłużej, wsadził rękę do środka.

Zawartość pudełka zaczęła się ruszać.

Czyżby był tak wykończony albo nawdychał się za dużo odczynników?

Brązowe orzeszki ożyły! Cholera jasna! Zaczęły się rozłazić po ścianach pudełka. Kilka weszło mu na dłoń. Ben zaczął machać rękami i zrzucił pudełko na podłogę, uwalniając w ten sposób setki karaluchów, które rozbiegły się pospiesznie po podłodze, ruszając do pokoju.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

– Czy znaleziono coś, czym mógł ją udusić? I co z kajdankami? – Maggie pokazała Tully’emu i Racine nadgarstki dziewczyny, patrząc wyłącznie na swojego kolegę. Otarcia na nadgarstkach niezaprzeczalnie pochodziły od kajdanek.

Tym razem Tully nie oglądał się już na Racine, za to zrobiła to Maggie, i widziała, że pani detektyw chce usłyszeć odpowiedź, ale się do tego nie przyzna. Tully wyciągał okulary i jakieś kartki spod fartucha, plątały mu się przy tym ręce. Typowy Tully, zauważyła Maggie. Włożył okulary i zaczął przeglądać swoje notatki. Był to wielce oryginalny zbiór: jakaś ulotka, złożona koperta, rachunek ze sklepu i koktajlowa serwetka.

– Nie było kajdanek – odparł wreszcie i dalej szukał czegoś na skrawkach papieru.

Maggie zrobiło się przykro, że jest taki zdenerwowany. Zwykle to on był zrelaksowany, ona zaś w gorącej wodzie kąpana, nerwowa, nieprzewidywalna. R.J. Tully był zrównoważony, najpierw myślał, potem działał. Wkurzało ją, że jest teraz taki spięty. Coś było nie tak. Musiało chodzić o coś więcej niż debiut przy autopsji.

– Wiesz, Tully – powiedziała – że robią takie fajne rzeczy ze złączonych kartek papieru? To się nazywa notes. Warto

zapamiętać to słowo. Bez problemu kupisz sobie taki mały notes, żeby ci się zmieścił w kieszeni.

Najpierw ściągnął brwi, a potem powrócił do notatek.

– Bardzo śmieszne. Mój system działa doskonale.

– Jasne, że działa, dopóki nie wydmuchasz nosa. I po kartotece Tully’ego!

Racine zaśmiała się.

– Hm. – Stan Wenhoff nie miał czasu na żarty. Przysunął się do Maggie, prosząc ją o pomoc przy przełożeniu zwłok na drugi bok. Chciał sprawdzić, czy nie ma tam jakichś ran szarpanych.

– Czemu ma taki czerwony tyłek? – spytała Racine. – Całe ciało jest sine, a tyłek czerwony. Czy to normalne? – Spróbowała się zaśmiać, ale wyszedł z tego nerwowy chichot.

Stan westchnął, wypuszczając chyba cały zapas powietrza na ten dzień. Nie należał do najbardziej cierpliwych reprezentantów swojego zawodu i nie lubił niczego tłumaczyć. Maggie była przekonana, że gdyby tylko było to możliwe, powiesiłby na drzwiach tabliczkę z napisem: „Wstęp wzbroniony”.

Przewrócili ciało na bok. Stan odwrócił się, żeby zdjąć rękawiczki, i zaczął swoje rytualne szorowanie rąk.

– To się nazywa livor mortis albo plamy opadowe – wyjaśniła Maggie, przekonana, że Wenhoff nie udzieli odpowiedzi.

Przyglądała się i czekała, żeby jej przerwał. Tymczasem on kiwnął głową, pozwalając jej kontynuować.

– Kiedy ustaje praca serca, krew przestaje krążyć. Wszystkie czerwone ciałka krwi zostają ściągnięte przez siłę grawitacji do najniżej położonego miejsca. Komórki krwi pękają i przenikają do tkanki mięśniowej. Po jakichś dwu godzinach wygląda to jak tutaj, jeden wielki czerwony placek. Pod warunkiem, że ciało nie było ruszane.

– No! – Maggie poczuła na sobie wzrok Racine. – Czy to znaczy, że umarła, siedząc?

Maggie nie pomyślała o tym wcześniej, ale Racine chyba miała rację. A więc zabójca doprowadził do tego, że dziewczyna znalazła się w takiej właśnie pozycji, i dopiero potem ją zamordował. Po co tak się trudził? Przecież byłoby mu dużo łatwiej, gdyby powalił ofiarę na ziemię.

Maggie spojrzała na koronera, żeby potwierdził lub zaprzeczył obserwacji Racine. A gdy cisza przeciągała się, Stan zrozumiał, że to właśnie na niego czekają. Obrócił się, wciągając nową parę rękawiczek.

– Wstępnie mogę powiedzieć, że tak. Chociaż jestem zdziwiony. Ta czerwień jest taka różowawa. Musi się tym zająć toksykolog, sprawdzić, czy nie ma jakiejś trucizny.

– Trucizny? – Racine po raz kolejny zaśmiała się nerwowo. – Stan, ta dziewczyna została uduszona, to oczywiste.

– Naprawdę, pani detektyw? Dla pani to takie oczywiste?

– No, może nie do końca.

Stan wziął skalpel, a Racine otworzyła szeroko oczy. Maggie wiedziała, że nadszedł moment, którego urodziwa detektyw obawiała się najbardziej. Koroner zaczął robić cięcie Y.

– Zaczekaj – zatrzymała go Maggie, jednak wcale nie po to, by ratować Racine. Koniecznie chciała coś sprawdzić. Jeśli dziewczyna wciąż żyła, kiedy ją sadzano, to może wcale nie uduszenie spowodowało jej zgon. – Pozwolisz, że obejrzymy ślady na szyi?

– W porządku. A więc zobaczmy ślady na szyi. – Wenhoff westchnął po raz kolejny i celowo w taki sposób odłożył skalpel na tacę, żeby zadźwięczał, uderzając o pozostałe metalowe narzędzia.

Robił wszystko, żeby panować nad swoim zniecierpliwieniem, które zdradzała jego pulchna, nienaturalnie zaróżowiona twarz. Na cofającej się linii włosów na czole zalśniły kropelki potu. Stan był przyzwyczajony pracować po swojemu, co najwyżej w obecności milczących widzów. Jego zgoda na propozycję Maggie była oznaką najwyższego szacunku. Odsunął się od stołu, dopuszczając ją do badania.

– Czy na pewno nie zostało na miejscu zbrodni nic, co mogło zostać wykorzystane do uduszenia dziewczyny? – spytała Tully’ego.

Tully zerknął na Racine. Tym razem to ona miała udzielić odpowiedzi.

– Nic. Nie miała na sobie nawet rajstop. Pasek od torebki jest czysty, bez śladów. Morderca musiał zabrać ze sobą narzędzie zbrodni.

Kiedy Maggie znalazła to, czego szukała, wzięła przezroczystą taśmę z rogu biurka. Ściągnęła rękawiczki,

żeby oderwać kawałek taśmy, trzymając ją ostrożnie za dwa końce.

– Stan, mógłbyś przekrzywić jej głowę, żebym lepiej widziała szyję?

Patolog poruszył głową dziewczyny, jakby miał do czynienia z manekinem. Stężenie pośmiertne usztywniło mięśnie, które po kolejnych dwudziestu czterech godzinach ponownie zwiotczeją. Wyglądało to tak, jakby Stan traktował zmarłą bez należytego szacunku, a była to po prostu konieczność.

Na szyi widniało kilka śladów duszenia, niektóre zachodziły na siebie, jedne były głębsze, inne płytsze. Szyja młodej dziewczyny, która nie wiedziała jeszcze, co to zmarszczki, przypominała trójwymiarową mapę drogową. Prócz śladów duszenia były też potężne otarcia i siniaki, w miejscach, gdzie zapewne morderca kładł swoje ręce.

– Dlaczego twoim zdaniem tak się musiał namęczyć, żeby wreszcie dopiąć swego? – spytała Maggie, niespecjalnie spodziewając się trafiającej w sedno odpowiedzi.

– Bo dziewczyna dała mu nieźle popalić – zasugerowała Racine.

Denatka była niewysoka, poniżej metra sześćdziesięciu, i Maggie wątpiła, by była zdolna do stanowczej obrony.

– Może jemu wcale nie zależało, żeby szybko osiągnąć ostateczny cel. – Tully zdumiał Maggie swoją nieśmiałą uwagą. Stał blisko, zaglądał jej przez ramię.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzał tylko spowodować, by straciła przytomność? – spytała Racine.

Maggie starała się nie dać zbić z tropu. Przycisnęła przezroczystą taśmę do skóry dziewczyny, wpychając ją do jednego z głębszych śladów duszenia.

– Mógł się podniecać, patrząc na jej powolne umieranie – mówił dalej Tully, dokładnie powtarzając myśli Maggie, która zaraz podjęła:

– To by tłumaczyło, dlaczego umarła w pozycji siedzącej. Może to także część jego chorej gry.

– Co robisz z tą taśmą? – zainteresowała się Racine.

A więc pani detektyw przyznaje się nareszcie, że jest coś, czego nie wie. Maggie uniosła taśmę, a Stan podstawił slajd, żeby mogła ją do niego przyczepić. Kiedy taśma była już zabezpieczona, Maggie podniosła ją do światła.

– Zależnie od tego, czym posłużył się morderca, czasami udaje się zebrać jakiś materiał ze śladów po duszeniu.

– Zakładając, że używał sznura albo kawałka materiału – dodał Tully.

– Jakiegokolwiek materiału, nawet nylonu. To nie była raczej tkanina. Ale jest tu coś dziwnego. Wygląda jak brokat.

– Brokat? – zainteresował się Stan.

Podała mu slajd i pochyliła się z powrotem nad szyją dziewczyny.

– Musiał użyć czegoś cienkiego i mocnego. – Maggie włożyła świeżą parę rękawiczek. – Zapewne sznurka. Sznurka do bielizny. – Przyglądała się szyi z obu boków. – Nie widać śladów żadnego węzła.

– Czy to coś znaczy? – spytał Tully.

– To może nam pomóc, pod warunkiem, że nie jest debiutantem. Możemy porównać to z tym, co mamy już w naszym archiwum. Zdarza się, że mordercy za każdym razem używają tego samego rodzaju węzła. To właśnie dzięki temu udało się zidentyfikować Dusiciela z Bostonu. Przy wszystkich trzynastu ofiarach posługiwał się tym samym węzłem.

– O'Dell, ty to znasz te wszystkie detale dotyczące seryjnych morderców – znów zaatakowała ją Racine.

Maggie wiedziała, że w gruncie rzeczy miał to być taki ot sobie żarcik, ale mimo wszystko odwarknęła:

– Nie zaszkodziłoby, gdybyś też coś na ten temat wiedziała. Bo mordercy to wiedzą. – Powiedziawszy to, natychmiast pożałowała swoich słów.

– Może powinnam skoczyć do Quantico i wziąć u ciebie kilka lekcji.

No, cudnie, pomyślała Maggie. Tego jej tylko brakowało – uczyć Julię Racine. A może ona naprawdę na to liczy? Czyżby miała ambicję zostać agentką FBI? Maggie odsunęła od siebie tę myśl, koncentrując się na denatce.

Przejechała palcem wskazującym po głębokiej czerwonej szramie. I wtedy zobaczyła guz. A raczej nie guz, tylko opuchliznę w dołku na szyi.

– Moment. Stan, zaglądałeś jej do gardła?

– Jeszcze nie. Ale i tak musimy zrobić odcisk zębów, jeśli nie ma dokumentu tożsamości.

– Moim zdaniem ona ma coś w gardle.

Zawahała się. Obaj mężczyźni i Racine pochylili się nad ciałem, patrząc uważnie. Gdy tylko Maggie udało się otworzyć usta dziewczyny, poczuła jakiś zapach. Słodki zapach migdałów. Raz jeszcze niezdecydowanie spojrzała na Stana.

– Czujesz to?

Koroner wciągnął powietrze. Maggie zdawała sobie sprawę, że nie każdy wyczuje tę woń, najwyżej jakieś pięćdziesiąt procent ludzi. Odpowiedź, ze znakiem zapytania, nadeszła od Tully'ego.

– Cyjanek?

Maggie głęboko wsadziła palec wskazujący do ust dziewczyny, a po chwili wyjęła częściowo rozpuszczoną kapsułkę. Stan już trzymał otwarty plastikowy woreczek.

– Jakaś mania ostatnio z tym cyjankiem potasu czy co? – powiedział, i zaraz zauważył ostrzegawcze spojrzenie Maggie.

– Co za szalony sukinsyn podaje ofierze kapsułkę z cyjankiem, kiedy ją już udusił? A może to cyjanek spowodował zgon? – zniecierpliwiła się Racine. Nie zauważyła wymiany spojrzeń między Maggie i Wenhoffem, którzy rozpoznali czerwono-białą kapsułkę. Była ona jeszcze w takim stanie, że pozostał ślad marki, ten sam, który miały kapsułki znalezione u chłopców z domu letniskowego w poprzednim tygodniu.

– Jeszcze tego nie wiem – odparł w końcu Stan.

Był już mocno poirytowany, ale jednak utrzymał język za zębami. Dobrze odczytał spojrzenie Maggie. Jeżeli istnieje

jakiś związek między tamtymi chłopcami a tą dziewczyną, Racine i tak wkrótce się o tym dowie. Lecz na razie była to jedna z niewielu informacji, które udało im się zachować wyłącznie dla siebie i ukryć przed mediami. Maggie chciała, żeby tak pozostało jak najdłużej.

– Miała usta zaklejone taśmą – kontynuował Stan. – Taśmą izolacyjną.

– Pewnie wsadził jej do ust kapsułkę i zakleił je taśmą, kiedy już straciła przytomność – mówił Tully, starając się znaleźć wyjaśnienie, dlaczego kapsułka była częściowo rozpuszczona. Żeby tak się stało, gruczoły ślinowe dziewczyny musiały jeszcze przez jakiś czas pracować.

Maggie popatrzyła na niego. Widziała, że i on zidentyfikował kapsułkę, i odgadł, co się działo. A więc tylko Racine była nieświadoma. Niezły plan gry. Maggie nie czuła się ani trochę winna, że zataja pewne fakty przed panią detektyw, zwłaszcza po ich poprzednim wspólnym doświadczeniu.

– Chyba przesadził – uznała Racine.

– Albo chciał się zabezpieczyć. – Wenhoff grał dalej.

– Nie chciałabym przeszkadzać waszej burzy mózgów – wtrąciła Maggie – ale jest jeszcze coś. Stan, mógłbyś mi podać kleszcze?

Otworzyła usta dziewczyny tak szeroko, jak tylko pozwalały szczęki zmarłej, i mrużąc oczy, usiłowała wypatrzyć, co zatyka gardło w połowie drogi. W końcu wyciągnęła coś zakrwawionego i pogniecionego, ale mimo wszystko dającego się rozpoznać.

– Zdaje się, że znalazłam dokument tożsamości – stwierdziła Maggie, pokazując prawie kompletnie zniszczone prawo jazdy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tully popijał colę, ciesząc się chwilą przerwy. Wenhoff poszedł z prawem jazdy siedemnastoletniej denatki i jej odciskami palców na górę do laboratorium. Tully był pewien, że Virginia Brier nie była wcześniej notowana, nie uciekała z domu, w ogóle nic z tych rzeczy. Jej wydepilowana skóra i ślady listopadowej opalenizny świadczyły raczej o tym, że nie można jej zaliczyć do typowych ofiar wysokiego ryzyka. Nie była prostytutką, wyrzutkiem ani bezdomnym dzieckiem ulicy. Domyślał się, że dziewczyna pochodzi z przyzwoitego domu, ze średniej lub wyższej klasy. Gdzieś tam rodzice czekają wciąż na jej powrót do domu i popadają w szaleństwo, bo za wcześnie jeszcze, by zgłosić zaginięcie. Przypomniał sobie, jak czekał na Emmę poprzedniego wieczoru. Spóźniła się tylko dwadzieścia minut, ale...

– Hej, Tully? – O'Dell patrzyła na niego z troską. – Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku. Jestem tylko zmęczony, wczoraj wieczorem się zasiedziałem.

– Tak? A co, gorąca randka? – Racine usiadła na pustym blacie, długie nogi pozwoliły jej zrobić to jednym gładkim ruchem.

– Oglądaliśmy z córką „Okno na podwórze".

– Z Jimmym Stewardem i Grace Kelly? Uwielbiam ten film. Nie wiedziałam, że jesteś żonaty, Tully.

– Rozwiedziony.

– Och, wybacz. – Racine posłała mu uśmiech, jakby się ucieszyła.

Zwykle w takich wypadkach ludzie mamroczą jakieś przeprosiny, czego zresztą też nie rozumiał.

Przeniósł wzrok na O'Dell. Udawała, że jest zajęta woreczkami z dowodami i nie zwraca uwagi na flirtowanie Racine. Tak przynajmniej sądził Tully: że Racine z nim flirtuje. Nigdy nie był w tym dobry, często zdarzało się, że nawet tego nie dostrzegał. Dobrze chociaż, że O'Dell stara się być miła dla pani detektyw, jakby chciała w ten sposób wynagrodzić jej to, że została przed nią zatajona pełna wiedza o kapsułkach z cyjankiem. Zresztą nie był wcale przekonany, czy dobrze robią, ukrywając to przed nią. Przecież to Racine prowadzi tę sprawę, a oni są tylko konsultantami.

Wciąż nie mógł dociec, dlaczego Cunningham i ich wydział w ogóle zostali włączeni w tę sprawę. Kto do niego zadzwonił i co wiedział? Czyżby ktoś od razu zasugerował, że istnieje jakiś związek pomiędzy tą dziewczyną a tamtymi pięcioma młodymi mężczyznami? A jeśli tak, kto to był i skąd miał takie informacje? To nie mógł być nikt z miejscowej policji, skoro Racine nic o tym nie wiedziała.

W dalszym ciągu dokuczały mu nudności, chociaż cola trochę pomogła. Wszystko było w porządku, dopóki koncentrował się na sprawie, a nie na tym, że jego Emma

mogła znaleźć się na miejscu tej dziewczyny. Zastanawiał się, czym wyróżniała się zmarła, czym zwróciła na siebie uwagę mordercy.

– Hej, wy tam! – zawołała Racine. – Powiedzcie mi, co już wiecie.

Tully strzelił wzrokiem w stronę O'Dell. Czy Racine domyśliła się, że coś przed nią ukrywają? Zanim którekolwiek z nich zdecydowało się na odpowiedź, Racine dodała:

– Mamy akurat chwilę, powiedzcie mi coś o tym facecie, muszę zaraz lecieć i zacząć szukać tego psychola. Jesteście w końcu od portretów psychologicznych, to powiedzcie mi, za kim mam się uganiać.

Tully uspokoił się, mało co nie odetchnął głośno. O'Dell ani drgnęła. Była dobra, zaimponowała mu. Nie znali się zbyt długo, ale wiedział już, że O'Dell kłamie lepiej od niego. Prawdę mówiąc, gdy trzeba, robi to wręcz rewelacyjnie. Pozwoli jej zatem pierwszej odpowiedzieć pani detektyw.

– Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że jest to ktoś dobrze zorganizowany.

Racine skinęła głową.

– O tym to akurat coś wiem, możesz mi oszczędzić elementarnych wiadomości. Chodzi mi o szczegóły.

– Dużo za wcześnie na szczegóły – odparła O'Dell.

Tym razem Tully rozumiał, że O'Dell niczego nie ukrywa, jest po prostu ostrożna. Może zbyt ostrożna. Ostatecznie

byli Racine coś winni. Postanowił więc włączyć się w tę rozmowę.

– Moim zdaniem facet ma dwadzieścia pięć do trzydziestu lat. Ponadprzeciętna inteligencja. Zapewne posiada stałą pracę i dla tych, którzy go znają, jest człowiekiem zgodnie współżyjącym z ludźmi. Niekoniecznie samotny, może trochę arogancki, samochwała.

Racine otworzyła niewielki notes i zapisywała jego słowa, choć były to tylko klasyczne podręcznikowe ogólniki, czyli dokładnie to, czego sobie nie życzyła.

– Wie co nieco na temat policyjnych procedur – dodała O’Dell, stwierdzając widocznie, że wyjawienie tego niczym im nie grozi. – Prawdopodobnie lubi używać kajdanek. Wie także, jak się identyfikuje zwłoki, a również to, że opóźnienie identyfikacji może opóźnić odnalezienie mordercy.

Racine podniosła na nią wzrok.

– Chwila. Co powiedziałaś? Że to może być były gliniarz?

– Niekoniecznie, ale ktoś, kto trochę wie, co policja robi na miejscu zbrodni – powiedziała O’Dell. – Niektórzy z nich fascynują się tym. To część zabawy w kotka i myszkę. Ich wiedza na temat dochodzeniowych procedur może brać się z pokazów, jakie urządza policja, a nawet z powieści kryminalnych.

Tully uznał, że Racine najpewniej czuła się usatysfakcjonowana, w każdym razie wciąż pilnie notowała. Ani ona, ani O’Dell nie próbowały przy tej okazji popisywać

się czy walczyć o pierwszeństwo. Cieszyło go zawieszenie broni, choćby było jedynie tymczasowe.

– Znaczące jest, w jakiej pozycji pozostawił ciało. Sądzę, że chodziło mu o coś więcej niż świadomość kontroli nad dziewczyną i poczucie, że jest silniejszy. – O'Dell popatrzyła na Tully'ego, sprawdzając, czy chce się włączyć ze swoimi przypuszczeniami. Kiwnął głową, żeby kontynuowała. – Możliwe – podjęła zatem – że pragnął tylko wzbudzić w nas podziw dla swego dzieła, uważam jednak, że kryje się za tym coś więcej. To może być jakiś symbol.

– Na miejscu zbrodni powiedziałaś, że mógł to zrobić dla zmyłki.

– O mój Boże, Racine! A więc naprawdę mnie słuchałaś? – Uśmiechnęły się do siebie, ku wielkiej uldze Tully'ego.

– Te okrągłe odciski w ziemi też coś znaczą – przypomniał im. – Ale nie mam pojęcia co. W każdym razie jeszcze nie.

– Aha, i jest mańkutem – dodała Maggie, jakby nagle jej się przypomniało.

Tully i Racine podnieśli na nią wzrok, spodziewając się jakichś wyjaśnień.

O'Dell podeszła do ciała i wskazała prawą stronę twarzy denatki.

– Tutaj, wzdłuż jej szczęki, jest szrama. Ma pęknięte w kąciku usta, musiała krótko krwawić. To jej prawa strona, co znaczy, że jeśli napastnik stał do niej przodem, uderzył ją z lewej na prawą, prawdopodobnie lewą pięścią.

– Nie mógł tego zrobić prawą ręką? – spytał Tully, usiłując przetestować możliwe scenariusze wydarzeń.

– Raczej tylko teoretycznie, bo byłoby to wykonane w nienaturalny sposób. – Maggie zademonstrowała, o co jej chodzi, machnąwszy prawą ręką w jego stronę. Od razu zrozumiał. – To skaleczenie – ciągnęła – wygląda jak uderzenie. Według mnie pięścią. – Zacisnęła lewą dłoń i raz jeszcze się zamachnęła. – Zdecydowanie lewą pięścią do prawej strony szczęki.

Podczas owej demonstracji Tully zauważył, że Racine obserwuje ją w milczeniu, z prawdziwym zdumieniem, a może nawet podziwem. Potem wróciła do notowania. O'Dell to umknęło. Nie zwracała uwagi na panią detektyw. Zawsze tak się działo, kiedy ktoś ją podziwiał. Zazwyczaj wkurzała go swoim pośpiechem i skłonnością do przekraczania regulaminu, kiedy było to dla niej wygodne, ale jej umiejętność wzbudzania podziwu i szacunku innych bez zadzierania nosa była jedną z tych rzeczy, za które ją lubił.

– Jeszcze coś – powiedziała O'Dell do Racine – i nie mówię tego, żeby cię wkurzyć. To nie jest jednorazowa sprawa. Ten facet to powtórzy, i wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że robił to wcześniej. Musimy koniecznie sprawdzić nasz rejestr.

Za ich plecami otworzyły się drzwi. Zaskoczeni zerwali się na równe nogi i odwrócili, by ujrzeć bladą twarz Stana Wenhoffa. Trzymał w ręku wydruk komputerowy.

– No, dzieci, to wpadliśmy w niezły burdel. – Otarł pot z czoła. – To córka Henry'ego Franklina Briera... cholernego senatora Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Obóz Everetta

Justin Pratt poczuł, że ktoś szturcha go łokciem w bok, i zdał sobie sprawę, że się zdrzemnął. Spojrzał na Alice, która siedziała obok niego po turecku, jak wszyscy inni członkowie społeczności, ale jej głowa i oczy zwrócone były przed siebie, jej plecy były proste. Dwoma palcami postukiwała w jego kolano, w ten łagodny sposób mówiąc mu, żeby nie spał.

Chciałby powiedzieć jej, że ma gdzieś wszystko to, co ma tego wieczoru do powiedzenia Ojciec. Po poprzedniej nocy życzył sobie, żeby Alice też miała to gdzieś. Jezu! Ledwie żył. Przecież wolno mu chyba słuchać z zamkniętymi oczami. Powieki zaczęły mu opadać, i znów poczuł uszczypnięcie. Wyprostował plecy i przetarł twarz, przyciskając gałki oczne kciukiem i palcem wskazującym. Kolejny kuksaniec. Jezu!

Spojrzał na Alice, ale ta ani na centymetr nie zmieniła swojej jakże poprawnej pozycji, z pełną zachwytu uwagą śledząc słowa Ojca. Może podobało jej się, co jej robił wczoraj wieczorem. Może ją podniecił, a to, co Justin wziął za skrzywienie, było wyrazem orgazmu? Cholera, jest zwyczajnie przemęczony. Nie będzie wracał myślą do tamtej nocy. Siadł prosto i złożył ręce na kolanach.

Ojciec jak zwykle nadawał na władzę, to był jego ulubiony temat rzeka. Justin musiał przyznać, że facet częściowo ma rację. Pamiętał, jak dziadek mówił jemu i Ericowi o knowaniach rządu i różnych takich. Jak na przykład rząd zamordował Johna Kennedy'ego. Albo że ONZ chce zapanować nad światem. Ojciec Justina mawiał wówczas: „Staremu się śrubki poluzowały", ale Justin go kochał i podziwiał. Jego dziadek był bohaterem wojennym. Został odznaczony przez Kongres za uratowanie całego oddziału w Wietnamie. Justin widział ten medal, a także zdjęcia i listy, jeden był od prezydenta Lyndona Johnsona. Fajne to było, ale dziadek tym wszystkim bezgranicznie pogardzał. Justin kochał też dziadka za jeszcze jedną rzecz, która ich zresztą łączyła: żaden z nich nie był w stanie zadowolić ojca Justina. Niestety dziadek zmarł przed rokiem i teraz Justin był na niego wściekły, że go tak zostawił. Wiedział, że to idiotyzm. To nie wina dziadka, ale bardzo mu brakowało starego. Nie miał z kim pogadać, zwłaszcza teraz, kiedy Eric gdzieś zniknął.

Wiedział, że Eric też tęskni za dziadkiem, chociaż taki był z niego macho, że sam by się do tego nie przyznał. Jakieś niecałe trzy tygodnie po pogrzebie Eric rzucił Brown University. To wtedy w domu rozpętało się piekło.

– Przepraszam, czy ja cię nudzę? – głos Ojca huknął przez salę.

Justin natychmiast wyprostował się, choć zdawało się, że nie może już siedzieć bardziej prosto. Poczuł, że Alice

ściska go za kostkę. Jej paznokcie wbijały się w jego skarpetkę i skórę.

Cholera jasna! No i ma kłopot. Alice ostrzegała go, że tych, którzy rozmyślają o niebieskich migdałach podczas kazania Ojca, spotyka kara. Ale w końcu co mu tam. Niech go Ojciec wyśle znowu do lasu. Będzie okazja, by wreszcie stąd zwiać. Na nic mu całe to gówno. Może nawet spotka gdzieś w drodze Erica.

– Odpowiedz mi – domagał się Ojciec, kiedy w sali ucichło. Nikt nie śmiał spojrzeć na winnego. – Czy to, co mówię, jest dla ciebie takie nudne, że wolisz spać?

Justin podniósł wzrok, gotowy na przyjęcie kary, ale oczy Ojca patrzyły na lewo od niego. Starszy mężczyzna siedzący obok Justina zaczął drżeć nerwowo. Justin widział, jak ściska brzeg niebieskiej roboczej bluzy. Rozpoznał w nim faceta z ekipy budowlanej. Nic dziwnego, że biedak spał. Robotnicy harowali niemal na okrągło, przebudowując mieszkanie Ojca przed zimą. Było to niezrozumiałe i głupie, skoro niedługo wszyscy mieli przenieść się do jakiegoś raju na ziemi. Koledzy budowlańca na pewno odezwą się w jego obronie i przypomną Ojcu, ile godzin dziennie pracują. A jednak nie, wszyscy milczeli i czekali, co dalej.

– Martin, powiedz mi, co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Chyba…

– Wstań, kiedy do mnie mówisz.

Podczas takich spotkań wszyscy siedzieli na podłodze. Justin nie rozumiał, dlaczego tylko Ojciec ma prawo

siedzieć na krześle. Alice usiłowała mu wyjaśnić, że chodzi o to, aby nikt nie przewyższał Ojca podczas kazania. Gdyby nie jej poważna, niemal uroczysta mina, roześmiałby się jej w nos.

– Są pośród nas zdrajcy! – wrzasnął Ojciec. – Pewien dziennikarz chce nas zniszczyć obrzydliwymi kłamstwami. To nie jest pora, żeby spać. Nikt nie ma prawa dać się przyłapać we śnie. Powiedziałem: wstań!

Justin patrzył, jak stary mężczyzna rozplata nogi i ciężko gramoli się do góry. Współczuł mu, po trzech godzinach siedzenia po turecku on też miał obolałe mięśnie. Mężczyzna przypominał mu dziadka, taki chudy i niewysoki, ale za to żylasty. W rzeczywistości był pewnie silniejszy i młodszy, niż sugerowała to jego zniszczona skóra. Spojrzał na Justina i szybko odwrócił wzrok, przypominając tym gestem, że nie wolno mu na niego patrzeć. Kątem oka Justin widział, że pozostali posłusznie siedzieli twarzą zwróceni w stronę Ojca i ze spuszczonym wzrokiem.

– Martin, marnujesz nasz czas. Może zamiast wyjaśnienia trzeba ci przypomnieć, co się dzieje, kiedy ktoś marnuje czyjś czas. – Ojciec machnął na swoich dwu ochroniarzy, którzy zniknęli za tylnymi drzwiami. – Podejdź tu. I przyprowadź ze sobą Aarona.

– Nie, chwileczkę… – zaprotestował Martin, idąc przed siebie i ostrożnie stawiając kroki, by wymijać ludzi siedzących na podłodze. – Możesz mnie ukarać – powiedział – ale zostaw w spokoju mojego syna.

Mimo to blondwłosy Aaron o równie jasnej karnacji szedł już w stronę Ojca. Justin ocenił go na swoje lata, choć chłopak był niski i żylasty jak jego ojciec i dziwnie chętny, by mu asystować.

– Martin, wiesz dobrze, że tu nie ma ojców i synów. Matek ani córek. Braci ani sióstr. – Głos Ojca był znów spokojny, łagodny. – Wszyscy należymy do jednej rodziny.

– Oczywiście, chciałem tylko... – Budowlaniec urwał, widząc wracających ochroniarzy, którzy nieśli coś, co wyglądało jak wielka długa pończocha albo szlauch.

Raptem pończocha się poruszyła.

– Cholera! – mruknął Justin pod nosem i szybko rozejrzał się, z radością stwierdzając, że nikt go nie słyszał. Wszyscy jęknęli z wrażenia. Bo tak naprawdę ochroniarze przynieśli ze sobą największego pieprzonego węża, jakiego Justin miał okazję widzieć w swoim życiu.

Na salę wróciła cisza. Zerknął na twarz Ojca, który uśmiechał się, patrząc na reakcję zebranych i kiwając głową z satysfakcją. Nagle spotkał się wzrokiem z Justinem i jego uśmiech zamienił się w nieprzyjazny grymas. Justin natychmiast odwrócił wzrok i pochylił głowę. Jezu! Czy jednak będzie miał kłopoty? Czekał, aż usłyszy z ust Ojca swoje imię, jego serce łomotało o żebra. Czy w tej pieprzonej ciszy to słychać?

– Aaronie! – zawołał tymczasem Ojciec gromkim głosem. – Chcę, żebyś wziął tego węża i umieścił go na szyi Martina.

Sala zamarła w jeszcze głębszej ciszy, jakby wszyscy jednocześnie wstrzymali oddech.

– Ojcze… – Głos Aarona zabrzmiał jak głos małego chłopca. Justin wzdrygnął się. Głupi smarkacz. Nie pokazuj swoich słabości. Nie pokazuj mu, że się boisz.

– Aaronie, jestem zdumiony – powiedział wielebny słodko, na co Justin wzdrygnął się jeszcze bardziej. – Czy pamiętasz, jak przyszedłeś do mnie tydzień temu i powiedziałeś, że jesteś gotowy zostać jednym z moich żołnierzy? Jednym z naszych rycerzy sprawiedliwości?

– Tak, ale…

– Więc przestań kręcić i zrób, co mówię! – krzyknął Ojciec, aż cała sala podskoczyła.

Aaron przeniósł wzrok z Ojca na Martina, a potem na węża. Justin nie mógł uwierzyć, że smarkacz wciąż się waha. Jaki w końcu miał wybór, jeśli nie chciał mieć węża na własnej szyi? Pewnie to tylko test. Tak, to taki sprawdzian. Justin nie znał dobrze Biblii, ale czy to nie tam było coś o ojcu, który miał zabić własnego syna? I wtedy w ostatniej chwili Bóg go powstrzymał. Teraz pewnie chodzi o to samo.

Wciągnął głęboko powietrze, ale to wyjaśnienie nie przyniosło mu ulgi. Czuł tylko paznokcie Alice, które wbijały się coraz mocniej w jego kostkę.

Aaron wziął węża do rąk. Martin, który stał dotąd bez ruchu, zaczął płakać. Płakał tak gwałtownie, że aż cały się trząsł, natomiast Aaron i jeden z ochroniarzy owinęli mu węża wokół szyi i ramion.

– Nie możemy dać się przyłapać we śnie – powtórzył Ojciec. Jego głos znowu był spokojny, jakby właśnie

prowadził jeden ze swoich wykładów. – Nasi wrogowie są bliżej, niż wam się zdaje. Tylko ci z nas, którzy są silni, gotowi na wszystko i postępują zgodnie z naszymi regułami, będą w stanie przeżyć.

Justin zastanowił się, czy choć jedna osoba z sali słucha w tej chwili słów Ojca. Sam miał z tym trudności, bo jego serce swym łomotem zagłuszało słowa, kiedy obserwował, jak nabrzmiewa twarz Martina, przybierając odcień purpurowej czerwieni. Mężczyzna wbił paznokcie w skórę węża, bo jego strach przed śmiercią był większy niż strach przed gadem.

– Wystarczy jeden człowiek – mówił tymczasem Ojciec – żeby nas zdradzić, żeby nas zniszczyć.

Justin nie mógł w to wszystko uwierzyć. Ojciec nawet nie patrzył na Martina. Przecież z całą pewnością przerwie to lada chwila. Czy ten test nie trwa już zbyt długo? Oczy starego mężczyzny zaczęły się zapadać, język zwiesił się z ust. Głowa mu zaraz pęknie, pomyślał Justin. Pęknie mu i rozerwie się na strzępy po całej sali.

– Musimy pamiętać… – Ojciec urwał i spojrzał na kałużę tworzącą się u jego stóp. Martin zsikał się w spodnie. Ojciec podniósł jedną nogę, krzywiąc się z obrzydzeniem. Dał znak swoim ochroniarzom.

– Zabierzcie węża – polecił im, jakby chodziło mu tylko o to, żeby sobie bardziej nie zapaskudzić butów.

Dopiero dwu ochroniarzy z pomocą Aarona dało sobie radę ze ściągnięciem węża z szyi skazańca. Martin padł, gdzie stał. Ojciec mówił dalej, jakby nigdy nic. Przestąpił

przez zwiotczałe ciało i odwrócił się do niego plecami. Martin oddalił się na czworakach.

– Musimy pamiętać, że nie ma takich więzów ani takich lojalności, które byłyby ważniejsze niż dobro naszej misji. Musimy uwolnić się od wszelkich pożądań świata materialnego.

Wydawało się, że Ojciec adresuje te słowa do ściśle określonych wybrańców, a zwłaszcza do kobiety, która siedziała z przodu. Justin poznał ją, należała do bliskiego otoczenia Ojca, do grupy jakichś dwunastu osób, które zawsze jeździły autokarem na spotkania modlitewne. Wszyscy oni mieszkali i pracowali na zewnątrz obozu i jeszcze nie zostali członkami społeczności. Alice wyjaśniła Justinowi, że ci ludzie mają ważne powiązania, które mogą się przydać podczas wypełniania misji, a przy tym w oczach Ojca do końca jeszcze się nie sprawdzili.

Kiedy spotkanie dobiegło końca, Justin widział, jak Ojciec podchodzi do tamtej kobiety, podaje jej obie ręce, pomagając wstać, i przytula ją. Pewnie ją maca i obściskuje. Pomyślał przy okazji, że kobieta w granatowej sukience i jasnoczerwonym szaliku wygląda jak jedna z przyjaciółek mamy z klubu golfowego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

To właśnie o tej porze każdego wieczoru Kathleen O’Dell tęskniła za kieliszkiem bourbona, wymieszanego – ale nie w shakerze – z martini albo nawet kropelką brandy. Patrzyła na tacę, na której stał porcelanowy czajnik o złotym brzegu, na wielebnego Everetta, który nalewa herbatę do filiżanek, dla niej, dla Emily, dla Stephena i w końcu dla siebie. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak bardzo nie znosi herbaty. Nieważne, czy jest ziołowa, z cytryną i miodem, czy z cukrem. Już sam zapach herbaty przyprawiał ją o mdłości.

Herbata przypominała jej pierwsze tygodnie piekła, kiedy rzuciła alkohol. Ojciec zaglądał do niej wówczas kilka razy w tygodniu, poświęcając swój cenny czas na to, żeby zaparzyć czajniczek specjalnej herbaty, którą przywieziono na statku z jakiegoś egzotycznego miejsca w Ameryce Południowej. Twierdził, że te liście posiadają magiczną moc. Kathleen przysięgłaby, że wywołują halucynacje, bolesne błyski rażącego światła przed oczami. Potem na dodatek przewracało jej się w żołądku. Za każdym razem Ojciec cierpliwie stał nad nią i mówił, że Bóg ma wobec niej inne plany, a dokładniej mówił to do tyłu jej głowy, kiedy w łazience wymiotowała czy raczej rzygała do nieprzytomności.

Teraz uśmiechała się do niego, kiedy podał jej filiżankę, udając, że właśnie tego pragnie. Tak wiele zawdzięcza temu człowiekowi, a on nie prosi o nic w zamian. Udawanie, że smakuje jej herbata, jest w takiej sytuacji doprawdy niewielkim poświęceniem.

Siedzieli na wprost buzującego w kominku ognia, na miękkich skórzanych fotelach, które Ojciec otrzymał od zamożnego donatora. Wszyscy pili herbatę. Kathleen podniosła filiżankę do ust. Niewiele rozmawiali. Wciąż byli pod wrażeniem wystąpienia Ojca. Nikt nie wątpił, że Martin zasłużył sobie na taką nauczkę. Jak on śmiał zasnąć w czasie kazania!

Kathleen czuła, że Ojciec na nich patrzy, na swoich „ambasadorów w świecie zewnętrznym", jak ich nazywał. Każdy z nich miał ważną rolę do odegrania, każdemu przypisane zostało zadanie, które tylko on mógł wykonać. W zamian za to Ojciec poświęcał im swój czas i obdarzał zaufaniem, co było rzadkie i wyjątkowe. Miał masę obowiązków. Tylu ludzi oczekiwało, że uleczy ich rany i uratuje dusze. Między cotygodniowymi spotkaniami i codziennymi kazaniami ten człowiek nie miał prawie czasu dla siebie. Tyle zajęć, tyle oczekiwań, a wszystko spoczywało na jednej głowie.

– Jesteście dziś tacy cisi. – Uśmiechał się do nich z wygodnego dużego fotela stojącego przy kominku. – Czy tak wstrząsnęła wami dzisiejsza lekcja?

Wymienili szybko spojrzenia. Kathleen popijała herbatę małymi łykami, nagle wolała to niż wyrwanie się z jakimś

niewłaściwym słowem. Zerkała znad brzegu filiżanki. Wcześniej, podczas kazania, Emily mało co nie zemdlała. Prawie bezwładnie oparła się o Kathleen, kiedy wąż boa zaciskał się na szyi Martina, zmieniając jego twarz w nadęty czerwony balon. Wiedziała jednak, że Emily za nic by się do tego nie przyznała.

A Stephen, ze swoją łagodną i... Zaraz, miała już nie myśleć o nim w taki sposób. W końcu to inteligentny mężczyzna i na pewno ma inne zalety, które nie mają nic wspólnego z jego... Cóż, z jego preferencjami seksualnymi. Widziała, że Stephen też przeżył szok i teraz nie potrafił wydusić słowa. Może dlatego Ojciec zwrócił swoje spojrzenie właśnie na nią i patrzył jej w oczy, jakby do niej adresował swoje pytanie. Patrzył przyjaźnie, życzliwie, sprawiając, że czuła się znowu jak ta jedyna, wybrana osoba, której opinia jest dla niego istotna.

– Tak, to było wstrząsające – powiedziała zatem i zobaczyła, że Emily wytrzeszcza oczy, jakby miała za chwilę znowu stracić przytomność. – Ale rozumiem, że to było ważne. Bardzo mądrze postąpił Ojciec, wybierając węża – dodała.

– Dlaczego tak uważasz, Kathleen? – Nachylił się, zachęcając ją do wyjaśnień, jakby chciał usłyszeć, co czyni go takim mądrym. Jakby tego dotąd nie wiedział.

– No cóż, to przecież wąż przyczynił się do zdrady Ewy i wyrzucenia z raju, tak jak zaśnięcie Martina mogło zdradzić nas i zniszczyć nasze nadzieje na zbudowanie nowego raju.

Zadowolony Ojciec kiwnął głową, a potem wynagrodził Kathleen klepnięciem w kolano. Jego dłoń zatrzymała się tam chwilę dłużej niż zwykle, palce znalazły się na jej udzie, pieszcząc ją i rozgrzewając. Zrobiło jej się tak ciepło, że czuła, jak moc wielebnego przenika przez rajstopy, przez skórę. Aż ją ciarki przeszły.

Potem wreszcie zabrał rękę i przeniósł uwagę na Stephena.

– A skoro już mowa o naszym raju, czego się dowiedziałeś o możliwościach transportu do Ameryki Południowej?

– Jest tak, jak Ojciec przypuszczał. Trzeba by to zrobić etapami. Jakieś dwadzieścia, trzydzieści osób jednocześnie.

– Ameryka Południowa? – nie zrozumiała Kathleen. – Dotąd wydawało mi się, że jedziemy do Kolorado.

Stephen unikał jej wzroku. Był zmieszany, jakby przyłapano go na wyjawieniu jakiejś strategicznej tajemnicy. Kathleen spojrzała więc na Ojca, by u niego znaleźć odpowiedź.

– Oczywiście, że jedziemy do Kolorado. To tylko plan rezerwowy. Nikt o nim nie wie, ta informacja nie powinna wyjść poza ten pokój – poinstruował ją. Wpatrywała się w jego twarz, sprawdzając, czy go nie rozgniewała, ale Ojciec się uśmiechał. – Tylko waszej trójce mogę naprawdę ufać.

– A więc jedziemy do Kolorado? – Kathleen zakochała się w przezroczach, które im pokazywał. Były to wiosenne pejzaże pełne pięknych drzew i polnych kwiatów. A co ona

wie o Ameryce Południowej? To pod każdym względem taka daleka kraina, taka prymitywna.

– Tak, oczywiście – zapewnił Ojciec ponownie. – Ten drugi plan przygotowujemy na wypadek, gdybyśmy musieli opuścić Stany. – Widocznie wciąż nie miała przekonanej miny, ponieważ ujął jej dłonie, a zrobił to tak delikatnie, jakby brał kruche płatki róż. – Musisz mi zaufać, moja droga. Nigdy nie dopuszczę do tego, żeby komukolwiek z was stała się krzywda. Są jednak ludzie źli i podli, nędzne służki szatana, którzy zagnieździli się w mediach oraz rządzie, i którzy byliby bardzo szczęśliwi, gdyby zdołali nas unicestwić.

– Na przykład taki Ben Garrison – powiedział Stephen, wykrzywiając twarz w nieznanym Kathleen grymasie, który wywołał uśmiech Ojca.

– Tak, tacy ludzie jak Ben Garrison. Już po dwóch dniach, które spędził z nami, odkryliśmy jego prawdziwe intencje, ale nie jesteśmy pewni, co udało mu się zobaczyć ani czego się dowiedział. I jakie kłamstwa przekaże teraz światu.

Wciąż trzymał dłonie Kathleen, a nawet zaczął je pieszczotliwie głaskać, w dalszym ciągu zwracając się do Stephena.

– Co wiemy o domu letniskowym? Skąd agenci FBI dowiedzieli się o jego istnieniu?

– Nie jestem jeszcze pewien. Może od kogoś, kto kiedyś był z nami, ale odszedł, wybierając drogę zdrady?

– Być może.

– Straciliśmy wszystko – kontynuował Stephen, wlepiając wzrok w dłonie, niezdolny spojrzeć w oczy Ojca.

– Wszystko?

Stephen tylko pokiwał głową.

Kathleen nie miała pojęcia, o czym oni mówią. Ale Ojciec często rozmawiał ze Stephenem o tajnych misjach, które jej nie dotyczyły. W tej chwili mogła myśleć wyłącznie o tym, że duże ręce Ojca głaszczą jej drobne dłonie, pozwalając jej czuć się kimś wyjątkowym, a jednocześnie za bardzo ją rozgrzewając. I nagle poczuła się niezręcznie. Chciała zabrać swoje ręce, ale to nie byłby dobry ruch. Ojciec wyrażał swoim gestem wyłącznie serdeczność, podkreślał bliskość. Jak ośmieliła się w ogóle zakładać inaczej? Czuła, że czerwienieją jej policzki.

– Mamy jeden problem – rzekł Stephen.

– Tak, wiem, zajmę się tym. Musimy... – Ojciec zawahał się, jakby szukał właściwego słowa. – Musimy przyspieszyć nasz wyjazd?

Stephen wyciągnął jakieś papiery, w tym mapę, podszedł do Ojca i przyklęknął na jednym kolanie, pokazując swoje materiały. Kathleen przyglądała się Stephenowi, skupiając się na jego gestach. Wysoki i szczupły, z gładką brązową skórą, chłopięcymi rysami i bystrym umysłem, nieustannie ją zdumiewał. Sprawiał wrażenie potulnego i cichego, jakby zawsze czekał na pozwolenie zabrania głosu. Ojciec uważał, że Stephen jest niezastąpiony, ale przy tym zbyt skromny, czym sobie szkodzi, zbyt nieśmiały i trochę za bardzo pospolity w swoich manierach, żeby się wybić. Należał do

ludzi, którzy giną w tłumie. Kathleen była ciekawa, czy to mu pomaga, czy też przeszkadza w codziennej pracy.

Usiłowała przypomnieć sobie, co Stephen robi na Kapitolu. Spędzała liczne godziny na rozmowach z nim oraz z Emily, a jednak tak mało o nich wiedziała. Zdaje się, że Stephen zajmuje jakieś kluczowe stanowisko. Słyszała, jak wspominał coś o swoich przepustkach, rzucał nazwiskami senatorów i ich asystentów, z którymi już miał okazję rozmawiać albo z którymi będzie wkrótce miał kontakt. Niezależnie od tego, jaką miał pracę, najwyraźniej był bardzo przydatny Ojcu i Kościołowi.

Stephen przedstawił już Ojcu swoje papiery, wstał i wrócił na miejsce. Kathleen uświadomiła sobie, że nie słuchała ich wymiany zdań. Spojrzała na twarz Ojca. Czy to zauważył? Jego oliwkowa karnacja i zarośnięte policzki dodawały mu powagi, wyglądał starzej niż na swoje pięćdziesiąt lat. Pod oczami i w kącikach ust zrobiły mu się nowe zmarszczki. No cóż, żył w tak wielkim stresie. To za dużo jak na jednego człowieka. Sam im to często powtarzał, ale zaraz dodawał, że nie ma wyboru, że to Bóg go wybrał, by poprowadził ich ku lepszemu życiu. Wreszcie zabrał swoje ręce i położył je na kolanach. Kathleen sądziła najpierw, że złożył je do modlitwy, dopóki nie spostrzegła, że gniecie skraj marynarki.

– Ci, którzy chcą nas zniszczyć, są z każdym dniem coraz bliżej – powiedział przyciszonym głosem, jakby powierzał im tajemnicę. – Znam sposoby, żeby pozbyć się niektórych z naszych wrogów, natomiast innych, choć tylko na pewien

czas, można powstrzymać. Wszystko to, co było złożone w domu letniskowym, miało służyć naszej obronie, naszemu bezpieczeństwu. Jeśli wszystko zostało stracone, musimy znaleźć inny sposób, żeby zdobyć takie samo zabezpieczenie. Musimy chronić się przed tymi, którzy chcą nas unicestwić. Przed tymi, którzy zazdroszczą mi mojej mocy. Najbardziej martwi mnie, że czuję zdradę we własnych szeregach.

Emily aż stęknęła. Kathleen miała ochotę klepnąć ją po ręce. Czy ona nie widzi, że Ojcu i tak jest ciężko? Potrzeba mu ich siły i wsparcia, a nie paniki. Nie była jednak pewna, co Ojciec rozumie przez ową zdradę. Była świadkiem, jak niektórzy członkowie opuszczali społeczność, kilku zrobiło to całkiem niedawno. W tym oczywiście ten fotoreporter, który udawał, że jest zagubioną duszą, by się do nich dostać.

– Każdego, kto mnie ukrzyżuje, spotka kara. – Ojciec nie był zły, mówiąc te słowa, tylko głęboko zasmucony. Zerkał na nich, jakby apelował o pomoc, choć ten silny, cudowny człowiek nigdy nie poprosiłby o wsparcie, a już na pewno nie zrobiłby tego sam. Kathleen gorąco pragnęła jakoś go pocieszyć.

– Liczę na waszą trójkę – ciągnął. – Tylko wy możecie mi pomóc. Nie możemy dać się zniszczyć. Nie możemy nikomu ufać. Nie wolno nam pozwolić, żeby ktoś zburzył nasz Kościół. – Spokój z wolna przeradzał się w gniew. Ojciec zacisnął pięści, twarz z oliwkowej zrobiła mu się purpurowa, lecz jego głos pozostał spokojny. – Każdy, kto

nie jest z nami, jest przeciwko nam. Ci, którzy są przeciwko nam, zazdroszczą nam naszej wiary, zazdroszczą naszej wiedzy i specjalnych łask, którymi obdarzył nas Bóg.

Uderzył pięścią w ramię fotela, aż Kathleen podskoczyła. Ale uszło to jego uwagi i mówił dalej, jakby gniew wziął w nim górę. Nie widziała go jeszcze w takim stanie, piana ciekła mu z kącika ust, kiedy grzmiał:

– Zazdroszczą mi mojej władzy, chcą mnie zniszczyć, bo znam zbyt wiele ich sekretów. Chcą zniszczyć wszystko, co z takim trudem zbudowałem. Jak oni mają czelność sądzić, że mnie przechytrzą? Że mnie pokonają? Przecież wybrał mnie Bóg Światłości, Stwórca i Pan Wszelkiego Bytu. Widzę już koniec naszych wrogów, nadejdzie w ognistej kuli, jeśli tylko poważą się mnie tknąć.

Skrępowana i nieruchoma Kathleen patrzyła na niego. Może właśnie nastąpiła jedna z tych proroczych iluminacji Ojca? Opowiadał im o swoich wizjach, o dreszczach i wstrząsach, o rozmowach z Bogiem, ale nikt ich jeszcze nie widział. Czy właśnie z czymś takim mają teraz do czynienia? Czy to z tego powodu nabrzmiały mu żyły na skroniach i zacisnął zęby? Czy tak wygląda podczas swoich rozmów z Bogiem? Skąd miała wiedzieć, przecież wieki temu przestała rozmawiać z Bogiem. Stało się to w tym samym czasie, kiedy zaczęła wierzyć w moc Jacka Danielsa i Jima Beama.

Ojciec posiadał jednak jakąś niepospolitą moc, rzadko spotykaną wiedzę, mediumiczne zdolności. Jakże inaczej mógłby tak przenikliwie odgadywać ludzkie lęki? Skąd

wiedziałby tyle o mediach i o rządzie, skąd znałby fakty, które trzymane są w ścisłej tajemnicy?

Była zaszokowana, kiedy pierwszy raz usłyszała z jego ust, że rząd dodaje do wody rozmaite związki chemiczne, na przykład fluor, po to tylko, żeby wywołać u ludzi raka, albo że rząd zaszczepia zdrowe krowy szczepionką z bakterią coli, powodując ogólnonarodową panikę. Że to rząd instaluje podsłuch w telefonach komórkowych i sekretarkach automatycznych, żeby kontrolować każdy ruch swoich obywateli. Nawet paski magnetyczne na kartach kredytowych zawierają, jak się dowiedziała, środki, które pozwalają kontrolować ich użytkowników. Teraz, w dobie Internetu, okazało się na domiar złego, że rząd może zaglądać do naszych domów, kiedy tylko jesteśmy podłączeni.

Początkowo trudno jej przychodziło uwierzyć w to wszystko, ale za każdym razem Ojciec czytał im artykuły ze źródeł, które nazywał bezstronnymi, na przykład z rozmaitych czasopism medycznych, które potwierdzały jego teorie.

Kathleen nie znała wielu ludzi tak mądrych jak ojciec Everett. Nie była do końca pewna, czy zależy jej na uratowaniu swojej duszy, za to zdecydowanie liczyło się dla niej to, że po raz pierwszy od dwudziestu lat znowu w coś uwierzyła i że przebywa w otoczeniu ludzi, którym na niej zależy. Stała się integralną częścią pewnej społeczności, niepodzielnym elementem czegoś większego i ważniejszego niż ona sama. Nigdy dotąd tego nie doświadczyła.

– Kathleen?

– Tak, Ojcze?

Dolewał im herbatę, marszcząc brwi na widok jej prawie pełnej filiżanki. Nie wygłosił jednak kazania na temat uzdrawiających właściwości owego napoju, spytał tylko:

– Co możesz mi powiedzieć o śniadaniu z córką?

– Och, no tak, było miło – skłamała. Nie chciała przyznać się, że nawet nie złożyły zamówienia, bo Maggie raptem wyskoczyła, zostawiając ją samą. – Zaproponowałam jej, żebyśmy urządziły wspólnie obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

– I co? Mam nadzieję, że się nie wykręciła żadną pilną ekspertyzą psychologiczną dla FBI? – Wydawał się bardzo zatroskany jej relacją z córką. Miał już tyle rozmaitych problemów na głowie, że Kathleen poczuła się winna.

– Nie, wręcz przeciwnie. Bardzo się rozochociła – skłamała po raz drugi, żeby mu sprawić przyjemność. W końcu często powtarzał im, że cel uświęca środki. Nie mogła mu dokładać zmartwień. Poza tym z Maggie też się ułoży, zawsze się w końcu jakoś układało. – Tak się cieszę, przygotuję prawdziwy świąteczny obiad. Bardzo dziękuję, że Ojciec mi to zasugerował.

– To ważne, żebyście odbudowały wasze rodzinne relacje – powiedział.

Od paru miesięcy zachęcał ją do tego. Chwilami czuła się trochę zdezorientowana, bo Ojciec często podkreślał, że członkowie społeczności muszą uwolnić się od swoich rodzin. Nawet tego wieczoru, z Martinem i Aaronem,

powiedział przecież, że pośród nich nie ma ojców i synów, nie ma matek i córek. Kathleen wierzyła jednak, że Ojciec musi mieć jakiś ważny powód, kiedy tak na nią naciska, i z pewnością robi to dla jej dobra. Zapewne chodzi mu o to, żeby pogodziły się, zanim wyjadą do Kolorado. Tak, o to chodzi. Żeby Kathleen czuła się tam prawdziwie wolna.

I w tym momencie nagle pomyślała, skąd Ojciec wie, że Maggie jest psychologiem kryminalnym i pracuje dla FBI. Z pewnością sama mu o tym nie mówiła. Swoją drogą nie potrafiła zapamiętać, jak nazywa się stanowisko jej córki. Cóż, Ojciec widocznie dowiedział się tego sam, z własnych źródeł. Uśmiechnęła się, zadowolona, że tak bardzo mu na niej zależy, skoro zdobył się na taki wysiłek. Teraz musi się postarać, żeby Maggie przyszła na ten obiad z okazji Święta Dziękczynienia, jeśli tyle znaczy to dla Ojca Everetta.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Newburgh Heights, Wirginia

Maggie oparła czoło o zimną szklankę i patrzyła na krople deszczu spływające po szybie kuchennego okna. Na duże, ustronne podwórze opadały pasma mgły, przywodząc na myśl wirujące duchy. To śmieszne, przecież nie wierzyła w duchy. Wierzyła w to, co poznawalne rozumem, w rzeczy czarno-białe, które można zobaczyć, dotknąć i zbadać. Szarość jest dla niej zbyt skomplikowana.

A jednak za każdym razem, kiedy widziała czyjeś zwłoki, za każdym razem, gdy pomagała je kroić i wyciągać z nich to, co było wcześniej pulsującym życiem organem, dodawała sobie pewności – a może nadziei – że istnieje coś poza życiem doczesnym, coś, czego nikt nie widzi, nikt nie rozumie, coś, co ulatuje z pozostawionej na sczeźnięcie skorupy ciała. Jeśli tak się dzieje, to dusza Ginny Brier znajduje się teraz w innym miejscu, może razem z duszą Delaneya i ojca Maggie, i wszyscy troje dzielą się doświadczeniami swoich ostatnich koszmarnych chwil, krążąc w smugach mgły wokół derenia na jej podwórzu.

Jezu drogi! Chwyciła szklaneczkę scotcha z blatu kuchennego i wypiła do dna, starając się przypomnieć sobie, ile szklaneczek opróżniła już od powrotu z kostnicy. Potem uznała, że to bez znaczenia. Poza tym wolała ten

znajomy lekki zawrót głowy niż niepokojącą pustkę, której nie dało się zepchnąć na boczne tory.

Nalała zatem następną szklaneczkę scotcha, zauważając przy okazji ścienny kalendarz, który wisiał obok niewielkiej korkowej tablicy. Tablica była pusta, kilka pinezek tkwiło w niej samotnie. Czyżby nie istniała ani jedna cholerna rzecz, o której powinna sobie przypominać? Na ściennym kalendarzu wciąż królował wrzesień. Przewróciła kartki, znajdując listopad. Od Święta Dziękczynienia dzieliło ją ledwie parę dni. Czy matka poważnie mówiła o tym obiedzie? Maggie nie pamiętała, żeby spędzały razem święta, choć pewnie kiedyś tak było, i zapewne była to katastrofa. W banku jej wspomnień tkwiło całe mnóstwo świąt, które najchętniej wyrzuciłaby z pamięci. Na przykład wigilia Bożego Narodzenia sprzed czterech lat, którą spędziła na twardej sofie przed oddziałem intensywnej terapii w szpitalu Świętej Anny. Podczas gdy większość ludzi robiła ostatnie zakupy albo składała życzenia bliskim i znajomym, jej matka przygotowała sobie mieszankę czerwonych i zielonych pigułek, a potem popiła to starym dobrym Jimem Beamem.

Stała przy oknie, patrząc, jak mgła połyka kąty podwórka. Ledwie widziała już sosny, które otaczały dom. Przypominały jej strażników olbrzymów, stojących ramię w ramię, chroniących ją szczelnym murem. W dzieciństwie często towarzyszyło jej poczucie zagubienia i bezbronności, czemu więc miałaby teraz, kiedy dorosła, szukać sposobu, żeby panować nad swoim życiem, żeby się bronić? Owszem,

dzięki temu była ostrożna, nieufna i sceptyczna. Albo, jak mówi Gwen, stała się niedostępna dla wszystkich, którym na niej zależy. Co z kolei przypomniało jej o Nicku Morrellim.

Oparła czoło o szybę. Nie chciała myśleć o Nicku. Usłyszane rano oskarżenia matki wciąż bolały, ponieważ było w nich więcej prawdy, niż Maggie chciała przyznać nawet przed samą sobą. Od tygodni nie rozmawiała z Nickiem, od miesięcy się nie widzieli. Oznajmiła mu, że nie chce się z nim spotykać, dopóki nie zakończy sprawy rozwodowej.

Spojrzała na zegarek, łyknęła scotcha i sięgnęła po słuchawkę. Mogła zatrzymać się w każdej chwili, mogła wyłączyć się, zanim on odbierze. Albo tylko powiedzieć „cześć” i zaraz zakończyć rozmowę. W końcu co jej szkodzi usłyszeć jego głos?

Jeden sygnał, drugi, trzeci... Zostawi krótką, przyjacielską wiadomość na sekretarce. Czwarty sygnał... piąty.

– Halo? – odezwał się kobiecy głos.

– Tak – powiedziała Maggie, nie poznając owego głosu. Może źle się połączyła. Już od miesięcy nie wybierała tego numeru. – Czy zastałam Nicka Morrellego?

– Och – powiedziała kobieta. – Czy pani dzwoni z biura? Czy to pilne?

– Nie, jestem znajomą. Zastałam Nicka?

Kobieta zamilkła, nie wiedząc, być może, jaką informację podać znajomej. Ostatecznie odparła:

– Hm… jest pod prysznicem. Może chce pani coś przekazać, a on oddzwoni później?

– Nie, w porządku. Zadzwonię innym razem.

Kiedy odłożyła słuchawkę, wiedziała, że prędko nie zadzwoni.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Reston, Wirginia

Tully liczył, że instynkt go zmylił. Miał nadzieję, że jest nadopiekuńczym ojcem, który po prostu przesadza. Tak właśnie sobie powtarzał, ale zanim opuścił kostnicę, zrobił kopię prawa jazdy Virginii Brier oraz zdjęcia, które się tam znajdowało, i wcisnął do tylnej kieszeni.

Zadzwonił do Emmy, uprzedzając ją, że wróci później. Dodał też, że jeśli chciałaby zaczekać na niego z kolacją, kupi po drodze pizzę. Z przyjemnością usłyszał prośbę o pizzę z dużą ilością pepperoni. A więc zjedzą razem posiłek. Może nawet sprawi im to przyjemność. Ich umiejętności kulinarne ograniczały się do grillowanych kanapek z serem i zupy. Czasami Tully odważnie rzucał na grilla kawałki mięsa, ale niestety nigdy nie wiedział, co zrobić, żeby się nie skurczyły i nie zamieniły w spalone krążki hokejowe.

Ich niewielki bungalow z dwoma sypialniami w Reston, w stanie Wirginia, w niczym nie przypominał piętrowego kolonialnego domu, w którym mieszkali w Clevelandzie. Caroline uparła się, że chce zatrzymać dom. A teraz Tully zastanawiał się, czy Emma zechce w ogóle do Reston wrócić po Święcie Dziękczynienia, po krótkich wakacjach w swoim dawnym pokoju. Ich bungalow dopiero od

niedawna stał się prawdziwym domem, chociaż przeprowadzili się tu przed rokiem. Tully – choć narzekał bez końca na trudy ojcostwa – nie wyobrażał już sobie tego domu, nowego miasta i pracy – bez Emmy.

Dzięki córce bungalow nie wyglądał ani nie pachniał jak kawalerski przytułek, mimo że przebijając się do kuchni przez zabałaganiony salon, Tully zawsze się głowił, co tak naprawdę różni bałagan kawalerski od młodzieńczego. Może po prostu lubi mieć obok siebie rzeczy, które świadczą o obecności kobiety, choćby takie, jak ta różowa lampa na półce bibliotecznej, czerwone rolki wystające spod kanapy czy uśmiechnięte twarze na magnesach przyczepionych do lodówki, które nie były przecież w jego stylu.

– Cześć, tata.

Emma powitała go w drzwiach. Nie oszukiwał się jednak, to siła pizzy ją przyciągnęła, a nie jego najdroższa obecność.

– Cześć, słodki groszku. – Pocałował ją w policzek. Był to gest, który tolerowała wyłącznie wtedy, kiedy byli bez świadków.

Na szyi miała słuchawki, owoc kompromisu, który osiągnęli po długim marudzeniu i ciągłym przypominaniu z jego strony. Warto było, choć i tak słyszał dudniącą w słuchawkach muzykę. Muzykę, na którą w zasadzie nie mógł się skarżyć, ponieważ sam od czasu do czasu lubił posłuchać rozwalającego uszy rocka, tyle że w wykonaniu Rolling Stonesów, Doorsów czy Led Zeppelinów.

Emma wyjęła papierowe talerze i plastikowe kubki. Bo jaki jest sens w kupowaniu gotowych dań, jeśli trzeba potem zmywać naczynia? Tully dzielił pizzę na kawałki, Emma zaś nalewała pepsi. Nie potrafił zdecydować, w którym momencie poruszyć temat nieżyjącej dziewczyny.

– Jemy w kuchni czy idziemy do pokoju? – spytała córka, biorąc do rąk swój talerz i kubek.

– Do pokoju, ale nie włączamy telewizora.

– Okej.

Ruszył za nią, a kiedy usiadła na podłodze, poszedł jej śladem, choć wciąż pobolewało go biodro. Agentka O'Dell nigdy nie skarżyła się na swoją bliznę, pamiątkę po legendarnym seryjnym zabójcy Albercie Stuckym. Nigdy nie widział tej koszmarnej szramy. Bo była koszmarna, mówiono bowiem, że cięcie szło przez cały brzuch, jakby morderca zamierzał wypatroszyć Maggie. Teraz mieli z O'Dell coś wspólnego, jako że Tully zyskał własną bliznę. Nie pozwalała mu zapomnieć o kuli, którą Albert Stucky wpakował w niego poprzedniej wiosny, kiedy ścigali go razem z O'Dell.

Kula spaskudziła mu co nieco, ale mimo wszystko nie porzucił codziennego porannego biegu. Ostatnio bardziej przypominało to jogging niż bieganie, co przyznawał z wielką niechęcią. Ta jedna kula zrobiła mu sporo szkody, na przykład pozbawiła możliwości siedzenia na podłodze po turecku bez uczucia pieczenia i kłucia w mięśniach. Ale są rzeczy warte drobnego poświęcenia, a jedzenie pizzy na

podłodze w towarzystwie córki bez wątpienia do nich należy.

– Mama dzwoniła – oznajmiła Emma, jakby zdarzało się to co dzień. – Powiedziała, że rozmawiała już z tobą o Święcie Dziękczynienia i że się na wszystko zgodziłeś.

Tully zacisnął zęby. Wcale się nie zgodził na wszystko, ale Emma nie musi o tym wiedzieć. Patrzył, jak córka odgarnia kosmyk jasnych włosów z twarzy, z dala od roztopionego sera, który spływał z pizzy.

– A ty chcesz spędzić Święto Dziękczynienia w Clevelandzie? – zapytał.

– Chyba tak.

Była to typowa odpowiedź Emmy, cień obojętności połączony z tym wzruszeniem ramion, znaczącym: „I tak nigdy nie zrozumiesz”. Żałował, że dawno temu ktoś go nie uprzedził, że do prawdziwego rodzicielstwa nie wystarczy nawet dyplom z psychologii. Może dlatego lubił swoją pracę. Przygotowywanie portretów psychologicznych morderców było niczym w porównaniu z rozgryzaniem duszy nastolatek.

– Nie musisz jechać, jeśli nie masz ochoty. – Łyknął pepsi, ćwicząc się w sztuce obojętności, którą jego córka opanowała do perfekcji.

– Ona już wszystko zaplanowała i w ogóle.

– Nie szkodzi.

– Mam tylko nadzieję, że go nie zaprosi.

Tully nie był pewien, kim jest ten nowy „on”. Może nawet nie chciał wiedzieć. Od ich rozwodu przewinęło się już

kilku.

– Musisz to zrozumieć, Emmo. Jeśli pojawił się ktoś nowy w życiu twojej mamy, to mama pewnie zechce, żeby świętował razem z wami.

Jezu! Nie do wiary, broni Caroline, jej prawa do pieprzenia się z kolejnym facetem. Na samą tę myśl ogarnęła go złość, i co gorzej – stracił apetyt. Przed dwoma laty, któregoś pięknego dnia jego żona stwierdziła, że już go nie kocha, że namiętność w ich związku wygasła, i że ona wobec tego musi odejść. To chyba najlepszy sposób na zniszczenie ego mężczyzny, kiedy żona mówi mu, że musi od niego odejść, bo już go nie kocha ani nie pożąda.

– A ty?

Przez chwilę Tully zapomniał, o czym tak naprawdę mówili.

– To znaczy?

– Co ty będziesz robił w Święto Dziękczynienia?

Popatrzył na nią, potem wziął kawałek pizzy, czując, że obojętność go opuszcza. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Jego córka martwi się, jak tata spędzi Święto Dziękczynienia! Czy mogło go spotkać coś lepszego?

– Zaplanowałem sobie bardzo rozrywkowy dzień. Całe popołudnie spędzę w piżamie, oglądając mecze.

Emma ściągnęła brwi.

– Nienawidzisz młodzieżowej ligi.

– No to może wybiorę się do kina.

Roześmiała się tak bardzo, że aż musiała odstawić kubek pepsi, żeby jej nie rozlać.

– Co w tym śmiesznego?

– Sam, z własnej woli, pójdziesz do kina? Tata, daj spokój. Bądź poważny.

– Prawdę mówiąc, muszę popracować. Mamy teraz bardzo pilną i ważną sprawę. Właściwie to chciałem o tym z tobą porozmawiać.

Wyjął z tylnej kieszeni fotokopię prawa jazdy i podał ją Emmie.

– Znasz może tę dziewczynę? Nazywa się Virginia Brier.

Emma popatrzyła bacznie, po czym odłożyła kartkę na bok i zabrała się do kolejnego kawałka pizzy.

– A co, ma jakieś kłopoty?

– Nie, nie ma kłopotów. – Tully'emu ulżyło. A zatem Emma nie zna tej dziewczyny. Oczywiście, zwyczajnie mu odbiło. Przecież w sobotni wieczór były tam setki ludzi.

Nie zdążył się jednak całkiem uspokoić, kiedy Emma zaczęła znowu:

– Nie lubi, jak się do niej mówi Virginia.

– Co?

– Każe na siebie mówić Ginny.

Jezu Chryste! Chwyciły go mdłości.

– Więc znasz ją?

– Poznałyśmy ją z Lisą w sobotę, na wycieczce. Aha, była też na tym wieczornym spotkaniu. Mocno nas wkurzyła, bo flirtowała z takim chłopakiem, który spodobał się Lisie. Naprawdę jest super i dobrze się z nami bawił, dopóki ten ksiądz nie zaczął się lepić do Ginny.

– Zaczekaj, co to za chłopak?

– Nazywa się Brandon. Był z Alice, Justinem i tym księdzem.

Tully wstał i podszedł do miejsca, gdzie zostawił swoją kurtkę. Zaczął opróżniać kieszenie i w końcu znalazł ulotkę, którą podniósł z ziemi obok FDR Memorial. Podał ją Emmie.

– Czy to ten ksiądz? – Wskazał na kolorowe zdjęcie z tyłu druku.

– Taa, ten sam. Wielebny Everett – przeczytała z ulotki. – Ale oni wszyscy mówią do niego „Ojcze”. Dziwnie jakoś. Bo nie jest ich ojcem, nie?

– Nie ma w tym nic dziwnego, Emmo. Katolicy w ten sposób zwracają się do swoich duchownych. To taki tytuł, tak samo jak pastor czy wielebny albo pan.

– Wiem, ale dla nich to nie był żaden tytuł. Mówili o nim, jakby był ich ojcem, bo jest ich szefem. Mówi im, co mają robić, a oni się go słuchają.

– A ten Brandon, widziałaś może, żeby oddalał się gdzieś z Ginny?

– Żeby byli sami?

– Tak.

– Tata, tam była masa ludzi. Poza tym z Lisą wyszłyśmy przed końcem. Strasznie było nudno, tylko śpiewali i klaskali.

– Myślisz, że potrafiłabyś dokładnie opisać Brandona?

Emma spojrzała na niego uważnie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że istnieje jakiś związek między pytaniami o Ginny i pracą ojca.

– Taa, chyba tak – powiedziała, już nie obojętna, raczej zaniepokojona. – A więc jednak Ginny ma jakieś kłopoty?

Zawahał się, nie wiedział, czy powiedzieć jej wszystko. Nie była już co prawda małą dziewczynką, istniało też prawdopodobieństwo, że dowie się wszystkiego z telewizji. Nie uda mu się uchronić jej przed prawdą, choćby był najbardziej nadopiekuńczym ojcem na świecie. A ona miałaby mu za złe, gdyby ją okłamał.

Przeszedł przez pokój i wziął ją za rękę, a potem powiedział:

– Ginny nie żyje. Została zamordowana w sobotę w nocy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Poniedziałek
25 listopada
Akademia FBI
Quantico, Wirginia

Maggie zerknęła na agenta Tully’ego. Oboje obserwowali, jak agentka Bobbi LaPlatz kreśli ołówkiem linie na papierze. Cudownym sposobem w jej szkicowniku pojawił się cienki, chudy nos.

– I jak, podobny? – spytała Emmę Tully, która siedziała obok niej, z rękami na kolanach, wiodąc wzrokiem za ręką Bobbi.

– Chyba tak, ale usta nie są dobre. – Emma zerknęła na ojca, jakby czekała na jego uwagi. Skinął jej głową.

– Za cienkie? – spytała LaPlatz.

– Nie chodzi mi o kształt. No wie pani, on wyglądał, jakby się nigdy nie uśmiechał. Miał taką… zmarszczkę, ale nie ze złości. Jakby uważał się za twardziela, a taki się nie uśmiecha. – Odrzuciła do tyłu włosy i ponownie spojrzała na Tully’ego. – Czy to ma jakiś sens? – spytała, obracając się znowu do agentki LaPlatz, ale kierując jeszcze pytający wzrok na ojca, zanim przeniosła go na papier.

– Tak sądzę. Pozwól, że spróbuję. – Ręka LaPlatz wróciła do pracy, wykonując szybkie, krótkie pociągnięcia. Linia tu,

druga tam, i już zmieniła całą twarz swoim zwyczajnym ołówkiem, magiczną pałeczką ze śladami jej zębów.

Maggie znowu ujrzała na czole Tully'ego tę charakterystyczną zmarszczkę. Zauważyła ją już wcześniej, zanim zaczął ją rozcierać, jakby można było pozbyć się jej w ten sposób. Kiedy wpadł do pokoju Maggie, był więcej niż zmartwiony. Najlepsze określenie, jakie przyszło jej do głowy, to „zagubiony".

Jego córka, Emma, nigdy dotąd nie była w Quantico, lecz ten ranek, niestety, nie miał być przeznaczony na zwiedzanie miejsca pracy ojca. Dziewczyna sprawiała wrażenie, że radzi sobie z tą sytuacją, za to Tully cały się trząsł. Wciąż postukiwał palcem. Kiedy nie rozcierał zmarszczki na czole, poprawiał okulary na nosie. Milczał, nie odezwał się słowem, odkąd agentka LaPlatz usiadła do pracy. Od czasu do czasu jego wzrok wędrował z twarzy materializującej się na papierze ku Emmie. Znalazł w kieszeni na piersi jakąś kartkę i zaczął ją składać w harmonijkę. Robił to na wyczucie, nie patrząc, jakby jego palce były od niego niezależne.

Maggie doskonale wiedziała, dlaczego jej zwykle powściągliwy partner wygląda, jakby przedawkował kofeinę. Nie chodziło mu tylko o to, że Emma znała zamordowaną, ale że była obecna na tym samym spotkaniu co Ginny. Na jakimś spotkaniu modlitewnym w sobotni wieczór. Zapewne z tego powodu był taki zdenerwowany na miejscu zbrodni i podczas autopsji. Musiał obsesyjnie

zastanawiać się, ile brakowało, żeby Emma stała się celem mordercy.

– I jak teraz? – spytała LaPlatz.

– Lepiej. Mogłabym to zobaczyć w kolorze? – Emma obejrzała się na Tully’ego, spodziewając się od niego odpowiedzi.

– Oczywiście. – LaPlatz wstała z krzesła. – Przeskanuję to do komputera. Lubię zaczynać od tradycyjnych metod, ale skoro uważasz, że jest już dobrze, pozwólmy, żeby komputer trochę się tym pobawił. – Ruszyła do drzwi z Emmą u boku. Zatrzymała się w chwili, gdy Tully podnosił się na nogi. – Może tu poczekacie – powiedziała zwyczajnie, patrząc znacząco na Maggie i Tully’ego.

Kiedy Tully mimo to zamierzał im towarzyszyć, Maggie położyła mu rękę na ramieniu. Popatrzył na jej dłoń jak obudzony ze snu lunatyk.

– Zaczekamy – rzekł. Usiadł dopiero wtedy, gdy drzwi się zamknęły.

Maggie stała przed nim, oparta o stół, przyglądając mu się. Nie zważał na to wcale, chyba nawet jej nie widział. Odpłynął gdzieś daleko, do drugiego pokoju, gdzie była Emma, albo do miejsca zbrodni.

– Bardzo nam pomoże.

– Co? – Podniósł wzrok, jakby dopiero zdał sobie sprawę z obecności Maggie.

– Emma może nam dostarczyć podpowiedzi, kim jest morderca.

– Taa, wiem. – Potarł brodę i po raz enty poprawił okulary.

– Dobrze się czujesz?

– Ja? – spytał zdziwiony.

– Wiem, że się o nią martwisz, Tully, ale chyba wszystko z nią okej.

Zawahał się, zdjął okulary i przetarł oczy.

– Po prostu się o nią martwię. – Okulary wróciły na miejsce. Wyjął znowu ulotkę, złożoną tym razem inaczej niż poprzednio, co dodało nowych zmarszczek twarzy mężczyzny na zdjęciu. – Czasami mi się wydaje, że się w ogóle nie nadaję na ojca.

– Emma jest dzielną, mądrą dziewczyną, która przyszła nam pomóc w śledztwie. I znakomicie sobie radzi, jest spokojna i skrupulatna. Sądząc choćby po tym, powiedziałabym, że jako ojciec robisz świetną robotę.

Podniósł na nią wzrok, spojrzał jej w oczy i wysilił się na niewyraźny uśmiech.

– Taa? Uważasz, że nie widać, jak bardzo wciąż improwizuję?

– Jeśli improwizujesz, niech to zostanie między nami, dobra? Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że są takie sprawy, takie tajemnice, które mogą dzielić tylko partnerzy?

Nareszcie jego twarz przeciął prawdziwy uśmiech.

– Tak powiedziałem? Nie wierzę, że mógłbym zatrzymać coś w tajemnicy.

– Może mam na ciebie zły wpływ. – Zerknęła na zegarek i zaczęła się zbierać. – Muszę lecieć ratować Gwen z rąk ochrony. Spotkamy się w sali konferencyjnej.

– Hej, Maggie?

– Tak?

– Dzięki.

Przystanęła w drzwiach i rzuciła mu krótkie spojrzenie przez ramię, tyle tylko, żeby popatrzeć mu w oczy, i natychmiast się uspokoiła, nie widząc w nich już tego wyrazu, jaki ma sarna w światłach samochodowych reflektorów.

– Nie ma za co, partnerze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Gwen Patterson spieszyła w górę schodami Jefferson Building. Jak zwykle była spóźniona. Kyle Cunningham i Pomocniczy Wydział Dochodzeniowy od roku nie prosili jej o konsultacje. Wiedziała, że tym razem prośba o jej obecność wyszła od Maggie. Wiele czasu upłynęło od jej ostatniej wizyty w Quantico, tak dużo, że spodziewała się ostrej kontroli przy wejściu. Ale widać Maggie zadbała o to, żeby jej dane zostały zaktualizowane. Zatrzymała się przy recepcji, żeby się wpisać. Młoda kobieta siedząca przy komputerze powstrzymała ją, zanim Gwen wzięła do ręki długopis.

– Doktor Patterson?

– Tak.

– Proszę bardzo. – Kobieta wręczyła jej identyfikator dla gości. – Ale proszę się wpisać tutaj, z godziną wejścia.

– Tak, oczywiście. – Gwen podpisała się, zerkając na identyfikator. Było tam jej nazwisko z doktorskim tytułem, a nawet „doktor nauk humanistycznych” na końcu, zamiast zwyczajnie „gość”. Maggie bardzo się starała, żeby czuła się jak w domu. Gwen mimo to nie była przekonana, że wniesie coś nowego do sprawy.

Cunningham musi być zdesperowany, myślała, skoro zgodził się na prośbę Maggie, żeby Gwen włączyła się w śledztwo. Nie miał zwyczaju odwoływać się do ludzi

z zewnątrz. Na początku tak, ale nie teraz, odkąd FBI jest tak skrupulatnie kontrolowane. Gwen znała Cunninghama wystarczająco dobrze, żeby usłyszeć w jego głosie nutę desperacji, kiedy do niej zadzwonił. Spytał, czy zechciałaby podzielić się z nimi swoimi nowymi badaniami i doświadczeniem. Odpowiedziała mu przypomnieniem, że ma u siebie w dziale znakomitych agentów, w tym Maggie, którzy powiedzą mu to samo, jeśli nie więcej, o tym, jak pracuje umysł dorosłego mordercy płci męskiej.

– Ale jako osoba z zewnątrz możesz nam wskazać coś, co umyka naszej uwagi – odparł. – Już się tak przecież zdarzało, kiedy nam pomagałaś w przeszłości. Mam nadzieję, że i w tym wypadku twoja magia sprawi cuda.

Pochlebstwo. Gwen uśmiechnęła się, przypinając plakietkę. Cunningham potrafił być diablo czarujący, kiedy chciał. Potem jeszcze raz uważnie przeczytała plakietkę i ściągnęła brwi: „Członek grupy do zadań specjalnych”.

Zadanie specjalne. Nie znosiła tego określenia. Śmierdziało biurokracją. Media już czepiały się każdej informacji, jaka ukazała się na temat tej sprawy, ścigając biednego senatora Briera zarówno w jego domu, jak i na Kapitolu. Kiedy Gwen wpadła rano do biura, jej asystentka, Amelia, odebrała już wcześniej telefony z „Washington Timesa” i „Posta” z pytaniem o udział Gwen. Skąd oni, do cholery, tak błyskawicznie o wszystkim się dowiadują? Od telefonu Cunninghama nie minęło jeszcze dwanaście godzin.

Prawdopodobnie właśnie z tego powodu spotkanie zorganizowano w Quantico, a nie w mieście. Zabójstwo córki senatora – już nie wspominając, że stało się to na terenie federalnym – uzasadniało federalne śledztwo. Gwen zdziwiło mimo wszystko, że to właśnie Cunninghamowi powierzono kierowanie tą grupą do zadań specjalnych. Żałowała, że nie zdołała wczoraj skontaktować się z Maggie, mogłaby bowiem uzyskać kilka informacji, których nie otrzymała od jej szefa.

– Gwen, jesteś.

Maggie szła w jej kierunku. Świetnie wyglądała w bordowych spodniach i takim samym żakiecie oraz białym sweterku z golfem. Gwen dopiero teraz zobaczyła, że przyjaciółka odzyskała kilogramy zgubione minionej zimy. Wyglądała teraz na silną i zdrową, a nie jak bezdomne wyniszczone stworzenie, które zrobił z niej Albert Stucky.

– Cześć, mała – powiedziała, obejmując ją serdecznie jedną ręką, bo drugą miała zajętą teczką i parasolką.

Wiedziała, że Maggie ledwie toleruje ten gest, ale tego ranka oddała jej uścisk. A kiedy się odsunęła, Gwen trzymała dalej dłoń na jej ramieniu, by Maggie jej nie uciekła. Przesunęła rękę ku jej twarzy, delikatnie uniosła jej brodę i przyglądała się uważnie. Maggie zniosła i to, nawet uśmiechnęła się, kiedy Gwen badała wzrokiem jej zaczerwienione oczy, podpuchnięte cienie zakryte makijażem. Miał oszukać tych, którzy nie potrafią dobrze czytać w twarzy tej bardzo zamkniętej w sobie kobiety.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś nie spała.

Maggie jednak odsunęła się od Gwen, jak zwykle.

– W porządku. – Patrzyła to w jedną, to w drugą stronę, byle tylko jej oczy przestały być poddawane oględzinom.

– Nie oddzwoniłaś do mnie wczoraj – powiedziała Gwen spokojnie, bez pretensji, jakby nic takiego się nie stało.

– Bo długo biegaliśmy z Harveyem.

– Chryste! Maggie, wolałabym, żebyś nie biegała po nocy.

– Nie byłam sama. – Maggie ruszyła przed siebie korytarzem. – Chodź, Cunningham czeka.

– Wiem. Przez ściany czuję, jak patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem.

Gwen mimowolnie poprawiła fryzurę, która oczywiście była bez zarzutu, i wygładziła i tak gładką spódnicę. Maggie ją na tym przyłapała, spotkały się wzrokiem.

– Wyglądasz jak zwykle znakomicie – powiedziała Maggie.

– No cóż, nie co dzień spotykam się z senatorem Stanów Zjednoczonych.

– Dobra, dobra – powiedziała Maggie z dozą sarkazmu, który wywołał uśmiech na twarzy Gwen.

Oczywiście wiedziała, że Maggie się na to nie nabierze. Klientami Gwen było tylu pracowników ambasad, Białego Domu i członków Kongresu, że mogłaby zawiązać własną polityczną klikę. Jej przyjaciółka była za to niewyspana, pewnie wciąż przeżywa śmierć kolegi. Po takim wstrząsie może się rozwinąć nawet lekka depresja. Ale skoro Maggie potrafi się zdobyć na ciętą odpowiedź, to dobry znak.

Drzwi otworzyło im dwu rekrutów w niebieskich koszulkach polo. Maggie tylko skinęła im głową, natomiast

jej przyjaciółka uśmiechnęła się i podziękowała. Szły kolejnym korytarzem, Gwen wiedziała, że mają przed sobą długą drogę. Pomyślała, że nie zaszkodzi raz jeszcze spróbować dowiedzieć się, czy Maggie naprawdę nic nie dolega.

– A jak poszło wczorajsze śniadanie z twoją matką?

– Dobrze.

Za krótka i za szybka odpowiedź. A więc o to chodzi. Wszystko jasne.

– Dobrze? Naprawdę?

– Nie zjadłyśmy śniadania.

Grupa oficerów w zielonych koszulkach polo i spodniach khaki przesunęła się na bok, robiąc im przejście. Przywykłej do tłoku i hałasu miasta Gwen zawsze zdawało się, że w Quantico traktują ją z uprzejmością przewyższającą najwyższy punkt na skali Richtera. Maggie zaczekała na nią przy następnych drzwiach, zanim skręciły w kolejny korytarz.

– Pozwól, że zgadnę – ciągnęła Gwen, jakby im nie przerwano. – Matka się nie pokazała.

– Nie, pokazała się, Boże, i to jak się pokazała. To ja musiałam wyjść wcześniej, prawdę mówiąc z powodu tej sprawy.

Gwen poczuła, że budzi się jej instynkt macierzyński. Znów wystawiał swój paskudny łeb, bo znów stawała się nadopiekuńcza wobec młodszej przyjaciółki. Bała się zadać pytanie, na które chyba i tak znała odpowiedź. A jednak zapytała:

– Co masz na myśli, mówiąc, że się pokazała? Chyba nie była pijana?

– Możemy pogadać o tym później? – rzuciła Maggie, pozdrawiając dwu mężczyzn w garniturach o bardzo oficjalnym wyglądzie.

Gwen rozpoznała w nich agentów. Tak, to pewnie nie najlepsze miejsce ma pranie brudnej rodzinnej bielizny. Skręciły w następny korytarz, który akurat był całkiem pusty. Gwen postanowiła z tego skorzystać.

– Tak, możemy pogadać później. Powiedz mi tylko, co miałaś na myśli.

– Jezu! Czy ktoś ci już mówił, że jesteś upierdliwa?

– Oczywiście, wciąż to słyszę, ale musisz przyznać, że to jedna z moich mniej dokuczliwych wad.

Wiedziała, że Maggie się uśmiecha, choć patrzyła przed siebie, nie pokazując twarzy.

– Chce, żebyśmy spędziły razem Święto Dziękczynienia.

Tego Gwen się nie spodziewała. Zapadła cisza, a kiedy się przeciągała, Maggie zerknęła na nią.

– Ja też w ten sposób jej odpowiedziałam – rzekła z uśmiechem.

– No cóż, mówiłaś jakiś czas temu, że matka stara się zmienić.

– Tak, zmieniła znajomych, ubranie i fryzurę. Wielebny Everett pomógł jej zmienić sporo rzeczy, i to wiele z nich na lepsze. Ale nieważne, co teraz robi i jakie transformacje przechodzi, przeszłość pozostaje ta sama.

Dotarły do końca korytarza. Maggie wskazała na ostatnie drzwi na prawo.

– To tutaj.

Gwen żałowała, że nie mają jeszcze chwili czasu. Gdyby się tak wiecznie nie spóźniała, może byłoby inaczej.

Weszły do sali konferencyjnej. Mężczyzna siedzący u końca stołu podniósł się z widocznym wysiłkiem i wsparł się na lasce. Za nim poszli inni, agent Tully, Keith Ganza, którego Gwen znała jako szefa laboratorium FBI, i zastępca dyrektora Cunningham. Detektyw Julia Racine poruszyła się niecierpliwie na krześle. Maggie zignorowała niezręczne wysiłki kolegów i szła przed siebie, prosto do senatora, wyciągając do niego rękę.

– Senatorze Brier, agentka specjalna Maggie O’Dell, a to jest doktor Gwen Patterson. Proszę wybaczyć spóźnienie.

– Nic nie szkodzi.

Przywitał się z nimi mocnym uściskiem dłoni, jakby nadrabiał w ten sposób słabość niesprawnej lewej nogi. Gwen pamiętała, że była to konsekwencja wypadku samochodowego, a nie, jak donosiła prasa podczas ostatnich wyborów, uraz z lat wojny.

– Przykro mi z powodu pańskiej córki, senatorze – powiedziała Gwen i zobaczyła, że się wzdrygnął. Czuł się niezręcznie z emocjami, jakie wzbudziły jej proste kondolencje.

– Dziękuję – rzekł cicho tonem, któremu brakowało siły jego uścisku.

Wyglądałby nienagannie, gdyby nie cienie pod oczami. Ubrany był w kosztowny granatowy garnitur, śnieżnobiałą koszulę i czerwony jedwabny krawat ze złotą spinką z inicjałami. Gwen chciała pomóc mu jakoś wrócić do równowagi i zauważywszy cztery litery wygrawerowane na spince, napomknęła:

– Bardzo ładna spinka. Czy wolno zapytać, co znaczą te inicjały?

Senator spojrzał w dół, jakby musiał sobie przypomnieć.

– Ależ proszę, to prezent od mojego asystenta. Powiedział, że to mi pomoże w podejmowaniu ważnych decyzji. W przeciwieństwie do niego nie bardzo wierzę w takie rzeczy, ale to w końcu prezent.

– A inicjały? – dopytywała się Gwen, nie zwracając uwagi na zniecierpliwioną minę Cunninghama.

– To akronim słów: „Co by zrobił Jezus”.

– Zaczynajmy – wezwał ich do porządku Cunningham, zapraszając, by zajęli miejsca. Nie chciał tracić więcej czasu na błahe rozmowy.

Gwen zajęła krzesło obok senatora. Zauważyła przy tym, że Maggie obeszła stół i siadła obok Keitha Ganzy, omijając puste krzesło w sąsiedztwie Racine. Siedziała za to teraz vis-av-vis pani detektyw. Racine posłała jej uśmiech i skinęła głową. Maggie odwróciła wzrok. Gwen nie pamiętała, skąd bierze się ta niechęć Maggie do Racine. Miało to coś wspólnego z poprzednim śledztwem, przy którym wspólnie pracowały, ale nie tylko. Było coś więcej. Co takiego? Patrzyła badawczo na panią detektyw, usiłując

sobie to przypomnieć. Racine była młodsza od Maggie, miała dwadzieścia kilka lat, co najwyżej zbliżała się do trzydziestki. Znając obyczaje panujące w policji, można było stwierdzić jedno: nadzwyczaj szybko dochrapała się swojej funkcji.

– Senatorze, w imieniu nas wszystkich pozwolę sobie wyrazić panu współczucie z powodu pańskiej straty – zaczął Cunningham, przerywając myśli Gwen.

– Dziękuję, doceniam to, Kyle. Wiem, że moja obecność jest sprzeczna z waszymi obyczajami. Nie chcę wam wchodzić w drogę, chciałbym jednak włączyć się w miarę możliwości w wasze działania. – Obciągnął mankiety koszuli i oparł dłonie na stole. Był to nerwowy gest człowieka, który stara się nie rozpaść na kawałki. – Muszę się w to włączyć.

Cunningham kiwnął głową, a zaraz potem zaczął otwierać teczki z dokumentami i rozdawać je zebranym.

– Tu mamy wszystko, co wiemy do tej pory.

Nie zaglądając nawet do papierów, Gwen wiedziała, że znajdzie w nich wyłącznie ogólną wersję prawdziwych wydarzeń. Będzie musiała poczekać, żeby usłyszeć szczegóły. Zaczęła się wiercić na krześle, bo bardzo nie lubiła być nieprzygotowana. Zastanawiała się, dlaczego Cunningham nie wyznaczył spotkania z senatorem na później, kiedy już grupa przedyskutuje okoliczności morderstwa i wysnuje pierwsze wstępne wnioski. Czyżby nie miał wyboru? Gwen czuła, że jest coś w tej sprawie, co przekracza normalne, zgodne z regulaminem procedury.

Zerknęła na Cunninghama. Ciekawe, czy w istocie to on tu dowodzi.

Przekartkowała dokument i od razu stwierdziła, że pełno w nim dość mętnych określeń. Czas i powód zgonu podano w wielkim przybliżeniu, większość informacji pozbawiona była istotnych detali. Wiedziała też, że niezależnie od tego, jak wiele dyrektor Mueller obiecał senatorowi Brierowi i w jak nadzwyczajne przywileje go zaopatrzył, ojcu zmarłej dziewczyny prawda i tak zostanie oszczędzona. Cunningham zrobi wszystko co w jego mocy, by osłabić makabryczne szczegóły. Gwen rozumiała go. Senator czy nie, żaden ojciec nie powinien usłyszeć przerażających, brutalnych relacji o ostatnich minutach życia swojej córki.

– Chciałbym zadać wprost jedno ważne pytanie. – Senator odsunął dokumenty, ale nie podniósł wzroku. – Czy ona... została zgwałcona?

Gwen objęła spojrzeniem twarze wszystkich obecnych, którzy unikali jak ognia wzroku senatora. To zjawisko było dla niej fascynujące w mężczyznach, bliskich krewnych zabitych dziewcząt i kobiet, mężach, synach, braciach czy ojcach. Ich ukochane kobiety mogły zostać pobite lub pocięte do nieprzytomności, torturowane, okaleczone i brutalnie zamordowane. Jakimś dziwnym sposobem żadne z tych okrucieństw nie wydawało im się tak straszne jak gwałt. Ten rodzaj zbezczeszczenia nie mieścił im się w głowie.

W pokoju konferencyjnym zapanowała cisza. W końcu przerwała ją Maggie.

– Na podstawie naszych badań nie da się tego stwierdzić z całą pewnością.

Senator Brier popatrzył na nią, a potem potrząsnął głową.

– Proszę mnie nie oszczędzać. Muszę to wiedzieć.

Musi, i to jak diabli. Gwen zacisnęła zęby, spotykając się wzrokiem z Maggie. Maggie z kolei przeniosła pytające spojrzenie na Cunninghama. Ten zaś siedział, patrząc wprost przed siebie, z dłońmi splecionymi na stole. Nic nie wskazywało na to, by zamierzał powstrzymać agentkę O'Dell.

Ciągnęła zatem:

– Znaleźliśmy męskie nasienie w jej pochwie, ale nie było żadnych śladów otarcia, żadnych siniaków. Czy jest możliwe, że Ginny była z kimś wcześniej tego wieczoru?

Gwen zauważyła, że Cunningham jednak rzucił Maggie ostrzegawcze spojrzenie. Najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania z jej strony, lecz ona nie oglądała się już na niego. Skupiona na senatorze, czekała na odpowiedź. Na usta Gwen cisnął się uśmiech. Brawo, Maggie. Senator był podenerwowany. Łatwiej i chętniej rozmawiałby o ewentualnym zgwałceniu córki niż o jej normalnym życiu seksualnym.

– Nie wiem tego na pewno. Może lepiej poinformowane w tym względzie są jej koleżanki.

– Ta informacja bardzo by nam pomogła – kontynuowała Maggie, mimo że Cunningham kręcił się na krześle na drugim końcu stołu.

– Ale to chyba niemożliwe, żeby zrobił to jakiś jej chłopak. – Senator pochylił się do przodu i zacisnął pięść, zgniatając kartkę papieru. – To kompletnie absurdalne.

– Oczywiście, sir. Zgadzamy się z panem w całej pełni – włączył się Cunningham. – Agentka O'Dell miała na myśli co innego. – Spojrzał na Maggie, Gwen poznała ten grymas, który niedostrzegalnie zmieniał jego zazwyczaj stoickie oblicze. – Prawda, agentko O'Dell?

– Tak, oczywiście – odparła potulnie, uspokajając Gwen. – Chodziło mi o to, że będziemy musieli ustalić, czy Virginia odbyła tego wieczoru stosunek seksualny za swoją zgodą. Bo jeśli nie, to nasienie będzie istotnym dowodem w poszukiwaniu sprawcy.

Senator skinął głową, potem odchylił się nieco, może o dwa, a może pięć centymetrów. Gwen pomyślała, że zapewne identycznie zachowuje się w senacie, zawsze gotowy, zawsze czujny.

– Jeśli można coś dodać na ten temat, senatorze – odezwał się Cunningham, poprawiając okulary i wspierając łokcie na stole. – Muszę pana zapytać, czy zna pan kogoś albo wie pan o kimś, kto chciałby skrzywdzić pana albo pańską córkę?

Senator zatrząsł się, zaskoczony. Potarł czoło, jakby oddalał od siebie ból głowy. Kiedy po chwili odpowiedział, w jego głosie słychać było wyraźne drżenie.

– Więc twierdzi pan, że to nie był przypadek? Że to mógł być ktoś, kogo Ginny znała?

Krzesła zaskrzypiały pod ciężarem wiercących się ciał. Palce nerwowo szeleściły papierami. Nawet Gwen, nie wiedząc wiele o sprawie, rozumiała, że niezależnie od tego, czy mordercą jest jakiś szalony narzeczony dziewczyny, czy ktoś obcy, nikt przy tym stole nie wierzy, że Virginia Brier znalazła się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Nikt, prócz senatora Briera, który albo wierzył, że to był przypadek, albo wmawiał to sobie ze wszystkich sił. Gwen zauważyła, jak Brier zaciska dłonie, czekając na dość oczywistą odpowiedź Cunninghama.

– Nie wiemy jeszcze nic na pewno, senatorze, dopiero będziemy sprawdzać wszystkie możliwości. W związku z tym bardzo by nam się przydała lista wszystkich znajomych pańskiej córki, wszystkich, którzy mogli ją widzieć albo z nią rozmawiać w sobotę, a nawet w piątek.

W tym momencie ktoś cicho zapukał do drzwi, po czym do sali wszedł wysoki przystojny czarnoskóry mężczyzna, przepraszając i kierując się prosto w stronę senatora. Nachylił się i szepnął coś do ucha swojemu szefowi. Wyglądało na to, że był to normalny gest przyjęty w ich stosunkach. Zgromadzeni przy stole czekali w milczeniu.

Senator skinął głową i nie podnosząc wzroku na swojego asystenta, powiedział:

– Dziękuję, Stephen. – Spojrzał na Cunninghama, a potem wstał, opierając się na wyciągniętej ręce młodego mężczyzny. – Wybacz, Kyle. Muszę wracać na Kapitol. Oczekuję od ciebie informacji na bieżąco.

– Oczywiście, senatorze. Jak tylko się czegoś dowiemy, przekażę panu wszystkie szczegóły, które powinien pan znać.

Senator Brier wydawał się usatysfakcjonowany. Gwen uśmiechnęła się, słysząc formułkę użytą przez Cunninghama: „wszystkie szczegóły, które powinien pan znać”. Cunningham powinien być politykiem. Jest w tym dobry, mówi ludziom to, co chcą usłyszeć, nie mówiąc tak naprawdę kompletnie nic.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Richmond, Wirginia

Kathleen O’Dell odsunęła na bok papiery i sięgnęła po filiżankę z kawą. Wypiła łyk, zamknęła oczy i wypiła jeszcze jeden łyk. To jest o niebo lepsze od tej paskudnej herbaty. Chociaż wielebny Everett miałby jej za złe, gdyby wiedział, ile już kofeiny wlała dzisiaj w swój organizm, a jeszcze nie minęło południe. Ale czyż można od niej oczekiwać, że porzuci jednocześnie alkohol i kofeinę?

Raz jeszcze przejrzała papiery. Stephen bardzo skrupulatnie zdobył dla niej wszystkie potrzebne formularze. Gdyby tylko dało się je jakoś szybciej wypełnić. Komu przyszłoby do głowy, że tyle wysiłku będzie ją kosztował transfer jej skromnych zasobów: lichych groszy i rachunku oszczędnościowego wraz z emeryturą Thomasa. Wprawdzie była niewielka, ale sprawiła przyjemność wielebnemu, kiedy się o niej dowiedział. To było wtedy, gdy oświadczył Kathleen po raz kolejny, że stanowi integralną część jego misji. Że Bóg mu ją przysłał jak specjalny dar. Nigdy dotąd nie była integralną częścią niczego ani nikogo, nie wspominając już o tak ważnej osobie jak wielebny Everett.

Cały ranek zszedł jej na sprawdzaniu i układaniu rachunków. Nie było to dla niej proste zadanie, wszak nie

miała w tym żadnej wprawy, ale wreszcie ogarnęła całość. I zdała sobie sprawę, że nigdy niczego nie miała zbyt wiele. Ale też nigdy wiele się nie spodziewała, tyle tylko, żeby jakoś przetrwać. To jej w zupełności wystarczało.

Po śmierci Thomasa sprzedała dom i cały dobytek, żeby wyjechać z Maggie jak najdalej i jak najszybciej. Liczyła na to, że zabezpieczy ją też polisa na życie męża, i rzeczywiście żyły sobie całkiem wygodnie i spokojnie w małym mieszkanku w Richmondzie. Żyły skromnie, ale Maggie nie chodziła głodna i miała co na siebie włożyć.

Kathleen rozejrzała się po swoim obecnym mieszkaniu, słonecznej sypialni, której niedawno dodała jasnych i radosnych barw, jakich nie widziała wcześniej przez zamglone skacowane oczy. Nie tknęła alkoholu od dziesięciu miesięcy, dwu tygodni i... spojrzała na kalendarz... i czterech dni. Co prawda wciąż nie przychodziło jej to łatwo. Sięgnęła znowu po kubek z kawą i upiła łyk.

Kalendarz przypomniał jej również, że Święto Dziękczynienia zbliża się wielkimi krokami. Zerknęła na zegarek. Musi zatelefonować do Maggie. Wielebny Everett powiedział, że to ważne, by zjadły razem świąteczny rodzinny obiad. Przecież mogą to zrobić, choćby tylko raz. Czy jeden wspólnie spędzony dzień musi być aż tak trudny do zniesienia? Przecież już im się to zdarzało. Spędziły razem mnóstwo różnych świąt, co prawda Kathleen nie potrafiła sobie akurat żadnego z nich dokładnie przypomnieć. Święta zazwyczaj spędzała we mgle.

Raz jeszcze popatrzyła na zegarek. Jeśli zadzwoni w ciągu dnia, u Maggie odezwie się sekretarka automatyczna.

Pomyślała o śniadaniu z poprzedniego dnia. Ta dziewczyna kręciła się przy stole, jakby nie mogła się doczekać, kiedy nareszcie wyjdzie. Kathleen nie była wcale przekonana, że córka została wezwana do pracy. Może po prostu nie miała ochoty przebywać w towarzystwie własnej matki ani minuty dłużej? Jak do tego doszło? Co sprawiło, że zostały wrogami? Nie, nie wrogami, ale też nie przyjaciółkami. I dlaczego nie potrafią ze sobą rozmawiać?

Ponownie przeniosła wzrok na tarczę zegarka. Siedziała w milczeniu, bębniąc palcami po kartce, po czym spojrzała na telefon stojący na blacie kuchennym. Jeśli zadzwoni, kiedy Maggie jest w pracy, będzie mogła tylko zostawić wiadomość. Siedziała tak jeszcze chwilę ze wzrokiem wlepionym w aparat. No dobrze, to nie będzie łatwe, ale ona nie jest tchórzem. Wstała i podeszła do blatu. Zostawi wiadomość. Podniosła słuchawkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Maggie wstała, żeby rozprostować nogi, i automatycznie zaczęła swój rytualny spacer. Prawdziwe spotkanie nastąpiło dopiero w chwili, gdy senator znalazł się w swojej limuzynie i ruszył do centrum. Wtedy to nieocenzurowane raporty i fotografie zjawiły się na stole w pokoju konferencyjnym obok kubków z kawą, puszek pepsi, butelek wody i kanapek, które Cunningham zamówił z kafeterii.

Stara sztalugowa tablica, którą Cunningham tak lubił, była już niemal zapełniona. Z jednej strony znajdowały się na niej następujące słowa:

Taśma klejąca

Kapsułka cyjanku

Ślad spermy

Ślady po kajdankach: brak kajdanek na ciele ofiary

Ślad po uduszeniu: prawdopodobnie sznur z brokatem

Prawdopodobnie DNA spod paznokci

Miejsce zbrodni: wyreżyserowane

Niezidentyfikowane okrągłe ślady na ziemi

Z drugiej strony pod nagłówkiem „Niepotwierdzone” widniała krótsza lista, stanowiąca pierwszy zarys portretu psychologicznego sprawcy:

Mańkut

Zorganizowany, choć ryzykant

Zna procedury policyjne

Przygotowany: przyniósł ze sobą broń

Może mieć dobry kontakt z otoczeniem, ale nie szanuje innych

Czerpie satysfakcję z patrzenia na cierpienia ofiary

Silne poczucie własnej wartości i własnych praw, wygórowane ambicje

Cunningham zdjął marynarkę i zabrał się do pracy natychmiast po wyjściu senatora Briera, ale jak dotąd nie wyjaśnił im, dlaczego obradowali w Quantico, a nie w kwaterze głównej FBI. Podobnie nie raczył im wytłumaczyć, dlaczego stanął na czele stworzonej w nadzwyczajnym trybie grupy do zadań specjalnych, a nie jak nakazywałaby rutyna, złożonej z agentów specjalnych ze stołecznego biura, ani też czemu w ogóle poproszono pracowników Wydziału Pomocniczego o włączenie się i obejrzenie miejsca zbrodni, nie informując ich jednak, że ofiara jest córką senatora Stanów Zjednoczonych. Nie raczył im rozjaśnić sytuacji w żadnej z tych kwestii, a nikt, w tym także Maggie, nie miał ochoty ciągnąć go za język.

Wiele rzeczy przed nimi zataił, za to ze trzy razy powtórzył, że żadna informacja związana ze sprawą nie może wyjść poza ich szóstkę, bez żadnego wyjątku. Wszyscy byli zawodowcami. Wszyscy znali reguły. No, może prócz Racine. Maggie zastanawiała się, czy Cunningham jej ufa. Może ma wątpliwości, i dlatego wstrzymuje się z wyjaśnieniami? Oczywiście nie może się pozbyć Racine, bo grupa specjalna musi mieć kogoś z lokalnej policji,

a skoro Racine została przydzielona do sprawy, było logiczne, że będzie z nimi współpracować.

– Zdaniem Wenhoffa zgon nastąpił na skutek uduszenia rękami – powiedział Keith Ganza.

Cunningham znalazł na tablicy napis „ślady po uduszeniu” i dopisał: „uduszenie za pomocą rąk”.

– Uduszona rękami? A co ze śladami po podwiązaniu? – spytał Tully, pokazując szyję młodej kobiety na zdjęciach z autopsji.

Keith sięgnął po kilka z tych zdjęć, wziął do ręki jedno i popchnął je do Tully’ego.

– Widzisz te siniaki i te pionowe półksiężyce? Siniaki powstały pod uciskiem kciuków. Półksiężyce zostawiły jego palce, a te poziome ślady zrobiła ona. Siniaki i otarcia są w idealnej pozycji, żeby złamać kość gnykową. To ta kość u podstawy języka. – Pokazał to miejsce na jednym ze zdjęć. – Mamy tutaj też złamania chrząstek krtani i tchawicy. Wszystkie świadczą o uduszeniu rękami i nadmiernej sile.

– Facet z całą pewnością posługiwał się jakimś sznurkiem. – Racine podniosła się i przez ramię Tully’ego spojrzała na zdjęcia. – Po jakie licho miałby nagle dusić ją rękami?

Maggie zauważyła, że Racine pochyla się tak mocno, iż jej piersi ocierają się o plecy Tully’ego. Odwróciła się i napotkała wzrok Gwen. Oczy przyjaciółki mówiły jej, że dokładnie zna myśli Maggie, a zmarszczka na czole Gwen przestrzegła ją, żeby nie próbowała wyskakiwać ze swoim sarkazmem.

– Może posłużył się rękami, kiedy zakończył tę swoją chorą grę doprowadzania jej do nieprzytomności i budzenia na nowo. Może bardziej ufał swoim rękom i sądził, że w ten sposób skuteczniej zakończy swoje dzieło – rzekła Maggie, po czym odwróciła się i wyjrzała przez okno. Pamiętała szyję dziewczyny i nie musiała patrzeć na zdjęcia. Potrafiła bez trudu przywołać przed oczy wydarzenia, które doprowadziły do tego, że ta szyja stała się czarno-sina, niemal w takim kolorze, jaki przybrało właśnie niebo, napuchnięte od ciemnych chmur. O szyby zaczął postukiwać drobny deszcz. – Może sznur był dla niego za mało osobisty – dodała, nie patrząc na zebranych.

– Za to ona potraktowała to na tyle osobiście, że poczęstowała go paznokciami – oznajmił Ganza, natychmiast przywołując uwagę Maggie. – Większość komórek skóry pod paznokciami ofiary należy do niej, ale udało jej się drapnąć napastnika kilka razy. Wystarczy do zbadania jego DNA. Sprawdzamy teraz, czy mamy do czynienia z tym samym DNA co w spermie.

– No a co z tą kapsułką cyjanku? – pytała dalej Racine. – I tym zaróżowieniem skóry? Stan mówił, że mogła je spowodować trucizna.

Maggie odwróciła się i zerknęła na Tully’ego. Potem oboje spojrzeli na Cunninghama. No właśnie, co z tą kapsułką? Unikali rozmowy o prawdopodobnym związku pomiędzy śmiercią córki senatora i pięcioma młodymi samobójcami z lasu w Massachusetts. To nie może być zbieg okoliczności, zresztą Maggie nie wierzyła w coś takiego.

Ktoś zadał sobie sporo trudu, by mieć pewność, że oni dostrzegą ten związek. Ktoś być może chciał zwrócić ich uwagę na swój czyn, a raczej na swoją zemstę.

– Trucizna faktycznie zostawia takie różowawe zabarwienie. W tym przypadku część cyjanku przedostała się do organizmu, ale bardzo niewiele – odpowiadał Keith, choć chyba tylko Racine była zainteresowana.

– A więc… – odezwała się pani detektyw, pocierając czoło, jakby bardzo głęboko myślała. – A więc po co ją dusił, skoro już dał jej ten cyjanek i zakleił usta? Czy tylko ja uważam, że to bez sensu?

– Kapsułka to tylko zagranie na efekt – powiedział w końcu Cunningham, mówiąc tak, jakby rzucał jakieś banalne stwierdzenie. Wytarł dłonie z kredy i wziął kanapkę z szynką. Ugryzł ją, nawet na nią nie patrząc, skupiony na wykresach i raportach policyjnych rozłożonych na stole.

Racine, siadłszy na powrót, poruszyła się niecierpliwie.

– Na pewno pani słyszała o wypadkach w Massachusetts. – Cunningham w dalszym ciągu nie patrzył na panią detektyw, tylko przeglądał raporty. – Pięciu młodych mężczyzn popełniło samobójstwo, zażywając identyczne kapsułki z cyjankiem, zanim otworzyli ogień do agentów ATF i FBI. Z jakiegoś powodu ktoś chce, abyśmy zauważyli, że ma to związek z córką senatora Briera.

Racine poderwała się i popatrzyła po twarzach zebranych. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że tylko dla niej jest to nowa informacja.

– I wszyscy, cholera, wiedzieliście o tym od początku?

– Informacja na temat cyjanku jest poufna, jak na razie udało się utrzymać ją w tajemnicy przed mediami.

Racine usiadła, słysząc jego ton.

– I tak ma pozostać, detektywie Racine. Rozumie pani?

– Oczywiście. Ale jeśli mam być członkiem tej grupy specjalnej, oczekuję, że będę na bieżąco o wszystkim informowana.

– To sprawiedliwy układ.

– Więc to było morderstwo z zemsty? – Nie pozwoliła sobie już odebrać głosu.

Maggie była pod wrażeniem. Przeniosła spojrzenie za okno, gdy Racine popatrzyła w jej stronę.

– Na tym etapie nie możemy odrzucić takiego motywu – odparł Cunningham między dwoma kęsami kanapki.

– Może powie mi pan teraz, skąd pan o tym wiedział, zanim doszliśmy, że chodzi o córkę senatora?

– Słucham?

Maggie spojrzała na Cunninghama, Racine zadała bowiem głośno pytanie, które wszystkich po cichu dręczyło. Ta kobieta ma faktycznie więcej odwagi niż rozumu.

– Dlaczego poproszono o współpracę Wydział Pomocniczy? – pytała dalej, niewzruszona stanowiskiem Cunninghama ani jego kwaśną miną. Maggie pomyślała, że jeśli Racine rzeczywiście ma ambicje dostania się do FBI, to właśnie w tej chwili pozbawia się istotnych referencji.

– Zabójstwo na terenie federalnym należy do służb federalnych – odrzekł swoim najchłodniejszym, najbardziej

autorytatywnym tonem zastępca dyrektora – i dlatego FBI odpowiada za to śledztwo...

– Taa, tyle to sama wiem. Ale skąd Wydział Pomocniczy? – Racine nie poddawała się. Maggie zerknęła, co zrobi Cunningham. Wszyscy patrzyli na niego, czekając na jego reakcję.

Przesunął do góry okulary i rozejrzał się.

– Wczoraj rano otrzymaliśmy anonimowy telefon – zdradził wreszcie, wbijając ręce w kieszenie i opierając się o podium obok tablicy. – Ktoś dzwonił z automatu w muzeum. Powiedział tylko tyle, że znajdziemy coś interesującego w FDR Memorial. Dodzwonił się bezpośrednio do mnie.

Wszyscy milczeli, czekając na dalsze słowa szefa.

– Nie wiem, dlaczego wybrał akurat mnie – dodał Cunningham po chwili, nikt bowiem, nawet Racine, nie poważył się zadać mu kolejnego pytania. – Może wiedział, że byłem na miejscu zbrodni w Massachusetts. – Przeniósł wzrok na Maggie. – Zacytowano panią w „Timesie", więc łatwo wyciągnąć z tego wniosek, że zajmujemy się tą sprawą.

Maggie zaczerwieniła się, żałując, że cokolwiek powiedziała. Tamtego ranka, kiedy pogrążona w rozmyślaniach schodziła po schodach J.Edgar Hoover Building, zaskoczył ją dziennikarz z tej gazety. Zapytał o agenta Delaneya. Nie była w stanie ukryć złości i rzuciła mu po prostu, że złapią tych, którzy odpowiadają za tę zbrodnię. Nie powiedziała nic więcej, ale w wieczornym

wydaniu „Washington Times” ukazał się artykuł, w którym dziennikarz przedstawił ją jako psychologa kryminalnego, sugerując, że jej wydział jest zaangażowany w sprawę.

– Nic się nie stało. – Cunningham uspokajał ją, machając ręką. – Dla nas liczy się, żeby znaleźć tego łajdaka. Agencie Tully, jak poszło z Emmą i agentką LaPlatz?

– Moim zdaniem dobrze. – Maggie zauważyła, że Tully wrócił już do siebie. Wyjął kopię rysunku z teczki i położył na zagraconym stole. – Nie wiemy, czy ten Brandon ma z tym coś wspólnego, w każdym razie tamtego wieczoru Emma na pewno widziała go z Ginny Brier. Agentka LaPlatz rozsyła w tej chwili jego portret pamięciowy faksem do wszystkich organów ochrony porządku publicznego w promieniu stu kilometrów, z notatką, że facet jest pilnie poszukiwany w celu przesłuchania.

– Przesłuchania i zapewne dobrowolnego badania DNA. Musimy go znaleźć, detektywie Racine – rzekł Cunningham, biorąc do ręki rysunek. – Może roześle pani kilku policjantów z tym portretem, żeby sprawdzili, czy w sobotę rano nikt nie widział Brandona w okolicy muzeum. Niewykluczone, że jest to nasz tajemniczy rozmówca telefoniczny.

Racine przytaknęła posłusznie.

– Musimy się także dowiedzieć, co to za grupa, do której należeli ci chłopcy z Massachusetts. Do tej pory nic nie mamy. – Spojrzał na Gwen. – Jeden z nich przeżył, ale jak dotąd nie chciał z nikim rozmawiać. A zapewne posiada

ważne informacje. Mogłaby pani spróbować się z nim porozumieć?

– Oczywiście – odparła Gwen bez wahania.

Tully wyciągnął ulotkę, którą Maggie widziała u niego już wcześniej. Wciąż była złożona w harmonijkę, więc Tully próbował ją wygładzić, prasując ręką stronę ze zdjęciem mężczyzny.

– Byłbym zapomniał. Znalazłem to obok pomnika w sobotę rano. To ulotka tej grupy, która w sobotę wieczorem zorganizowała spotkanie modlitewne. Emma uważa, że Brandon należy do tej grupy. Jeśli Wenhoff nie myli się co do czasu zgonu, morderstwo zostało popełnione wtedy, gdy na dole trwało jeszcze spotkanie.

Cunningham wyciągnął się nad stołem, żeby się przyjrzeć ulotce. Maggie odwróciła wzrok od okna.

– To jest to – oznajmiła, czytając napis drukowanymi literami. – Kościół Duchowej Wolności. Właśnie ta organizacja non profit jest właścicielem domu letniskowego w Massachusetts.

– Jest pani pewna?

Skinęła głową, szukając wzrokiem potwierdzenia u Ganzy. Wszyscy wstali i zaczęli uważnie przyglądać się ulotce. Maggie spojrzała na mężczyznę na fotografii, przystojnego, ciemnowłosego, koło pięćdziesiątki, o aparycji gwiazdora filmowego. Potem przeczytała podpis pod zdjęciem i jej żołądek przewrócił się do góry nogami. Wielebny Joseph Everett. Jezu! Człowiek, który być może stoi za tymi zbrodniami, jest wybawcą jej matki!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Justin nie mógł uwierzyć własnym oczom. W porównaniu z pozostałymi zabudowaniami, dom Ojca przypominał pieprzony pałac. Był tam kominek i kosztowne skórzane fotele. Półki uginały się pod książkami, podczas gdy członkom społeczności wolno było posiadać wyłącznie Biblię. Na ścianach wisiały oprawione dzieła sztuki, okna zaś zdobiły udrapowane zasłony. Misa ze świeżymi owocami, kolejna rzadkość, stała na ręcznie rzeźbionym stole przy sofie, obok puszka pepsi. Cholera! A Alice kazała mu wierzyć, że takie rzeczy jak pepsi to antychryst albo jeszcze coś gorszego.

Usiadł w jednym ze skórzanych foteli i czekał, jak poleciła mu Cassie, osobista asystentka Ojca. Powinien się denerwować, że się tu znalazł... no, że został tu „przyzwany”. Tak powiedział Darren, kiedy po niego przyszedł, na pewno powtarzając za Ojcem. Taki głupek jak Darren nie wymyśliłby sam takiego słowa.

Słyszał głos Ojca w pokoju obok, który służył mu za biuro. Ojciec najwyraźniej z kimś rozmawiał, a jednak tylko jego głos unosił się w przestrzeni. Pewnie rozmawia przez telefon, pomyślał Justin. Oho, kolejna niespodzianka. Bo musiał to być telefon komórkowy, skoro w obozie nie było cholernej linii telefonicznej.

– To mi się nie podoba, Stephen – mówił Ojciec.

Tak, rozmawia przez telefon, bo Justin nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

– Jak to się mogło stać? – pytał dalej Ojciec zniecierpliwionym głosem. Nie czekał na wyjaśnienia. – Tym razem popełnił wielki błąd.

Justin ciekaw był, kto schrzanił sprawę. Potem dobiegł go znowu głos Ojca:

– Nie, nie, już się zajęliśmy Brandonem, nie martw się o niego. Już nie powtórzy tego błędu.

Brandon? A zatem to ten złoty młodzieniec skrewił? Justin uśmiechnął się pod nosem, ale na krótko, bo zaraz przypomniał sobie, że w pokoju mogą być zainstalowane kamery.

Starał się siedzieć nieruchomo, ale jego wzrok wciąż krążył po zadziwiającym pokoju. Biuro, sypialnia, ogromny pieprzony salon. Ojciec miał też własną łazienkę. Ciekawe, czy ma tam pieprzoną wannę z masażem i... O cholera, nawet o tym wcześniej nie pomyślał – ten gość ma pewnie papier toaletowy. I to nie jakiś tam papier toaletowy, ale biały, miękki, miły w dotyku. I może brać prysznic dłużej niż dwie minuty. Na samą myśl o tym Justin przeczesał włosy palcami. Tego ranka udało mu się spłukać szampon, zanim skończyła się woda. Może wreszcie się tego nauczy. Ale nigdy nie nauczy się szczotkować zębów bez wody. Ohydny smak antyseptycznej pasty pozostawał mu w ustach przez cały dzień.

– Justin. – Ojciec bez uprzedzenia wśliznął się bezszelestnie do pokoju. Miał na sobie czarny sweter

z golfem i ciemne, świeżo wyprasowane spodnie.

Justin podskoczył na dźwięk jego głosu, potem automatycznie poderwał się na nogi, zastanawiając się, czy teraz będzie musiał siedzieć na podłodze. Czyż Alice nie mówiła mu, że głowa Ojca musi znajdować się ponad głowami jego słuchaczy? A może ta zasada obowiązuje tylko podczas spotkań? Cholera jasna! Szkoda, że przed przyjściem nie pogadał o tym z Alice.

– Usiądź – powiedział Ojciec, wskazując krzesło. – Od sobotniego wieczoru zamierzałem się z tobą rozmówić. – Siadł na skórzanym fotelu na wprost Justina.

Chłopak patrzył na jego twarz, szukając oznak gniewu czy tego skrzywienia, które opanował po mistrzowsku, tego, które zamienia człowieka w kamień i pewnie pozbawia kobiety płodności. Kto wie, jakie moce tkwią w tym gościu? Tymczasem oblicze Ojca było wprawdzie bardzo poważne, ale spokojne i przyjazne.

– Wiem, że to, co, jak ci się wydaje, widziałeś w autokarze w sobotę wieczorem, musiało cię zażenować.

O cholera! A więc jednak będą o tym rozmawiać. Justin poruszył się nerwowo, krzesło zaskrzypiało.

– Byłem zaspany – zaczął nieporadnie.

– Tak, właśnie tak sądziłem. I pewnie dlatego mogłeś sobie mylnie zinterpretować to, co widziałeś. – Ojciec oparł się wygodnie i skrzyżował nogi, kładąc prawą stopę na lewym kolanie, a przy tym absolutnie panując nad sytuacją. – Wiesz, muszę bezustannie testować swoich zwolenników.

Wystarczy tylko jeden słaby człowiek pośród nas, i możemy zostać zniszczeni.

Justin potakiwał, udając, że rozumie tę bezsensowną gadkę.

– Nie myśl, że sprawia mi to przyjemność, czasami też wygląda to dziwnie dla tych, którzy w pełni tego nie rozumieją. Ale nikt nie może być zwolniony z takiego testu. Nikt, nawet nasza słodka droga Alice. – Złożył ręce, jakby zastanawiał się, czy mówić dalej. – Nie wiesz wszystkiego o Alice. Nikt nie zna jej do końca.

Justin musiał przyznać, że faktycznie nie wie wiele o przeszłości Alice. Nigdy z nim o tym nie rozmawiała, nigdy nie wspominała o swojej rodzinie, choć ciągle próbowała nakłonić go do zwierzeń na temat jego bliskich. Dopiero po wielu dniach prób i namów zdołał z niej wyciągnąć, że ma dwadzieścia lat, czyli jest od niego o trzy lata starsza. Teraz, myśląc o niej, zdał sobie sprawę, że nie wie nawet, gdzie się urodziła i dorastała.

– Alice miała wiele problemów, kiedy do nas dołączyła. Rodzice wyrzucili ją z domu. Nie miała dokąd pójść. Wiedziałem, że jest w niej dobro, które trzeba wydobyć na zewnątrz, i dlatego zająłem się nią ze specjalną troską. Ale w jej przeszłości są takie sprawy, takie rzeczy… cóż, powiem ci tylko jedno. Była przyzwyczajona, że za usługi seksualne dostaje wszystko, na co ma ochotę.

Justinowi ścisnął się żołądek. Ojciec patrzył mu badawczo w oczy, upewniając się, że chłopak go zrozumiał.

– Wiem, że trudno w to uwierzyć. – Ojciec był chyba usatysfakcjonowany wyrazem oczu Justina. Kręcił głową, jakby sam też wciąż nie mógł dać temu wiary. – Rozumiem twoje zdezorientowanie. Patrząc na nią, widząc, jakie zrobiła postępy, wydaje się wprost nieprawdopodobne, że w przeszłości była dziwką.

Justin mało co nie skrzywił się na to określenie. Zamrugał powiekami i przełknął głośno ślinę. Zaschło mu w ustach i nagle wydało mu się, że w pokoju zapanował nieznośny upał. Przypomniał sobie obcisły różowy sweterek Alice, który miała na sobie w sobotę. Od razu pomyślał wtedy, że ten strój jest niestosowny na tę okazję. Potem przypomniał sobie jeszcze, jak potrząsała głową, kiedy Ojciec trzymał rękę w jej kroczu. Ale jej twarz była tak zbolała, w jej oczach widział strach. Czy sobie to tylko wymyślił? Czy ona po prostu bała się, że nie zda tego testu? Jezu drogi!

– Teraz rozumiesz, dlaczego posłużyłem się akurat takim testem w stosunku do Alice. Musiałem upewnić się, że wyrosła już ze swojego poprzedniego życia, że nie kusi i nie prowadzi do zguby członków naszej społeczności. Że rozumie, iż ma wiele innych zalet do zaoferowania bliźnim. Dlatego powierzyłem jej zadanie rekrutacji, jest za nie odpowiedzialna. Pragnę, by doświadczyła, czym jest prawdziwy sukces, osiągnięty za pomocą innych środków niż te, które wykorzystywała w poprzednim życiu. Zwycięża dzięki swoim talentom, a nie ciału.

Justin nie miał pojęcia, co powiedzieć. Ojciec nie spuszczał z niego wzroku, czekał, ale jakiej odpowiedzi od

niego oczekiwał?

– Nie wolno ci o tym nigdy nikomu mówić, Justinie. To, co przed chwilą usłyszałeś, nie może wyjść poza ściany tego pokoju. Rozumiesz?

– Jasne, nikomu nie powiem.

– Nawet Alice. Załamałaby się, gdyby wiedziała, że ktoś jeszcze zna jej przeszłość. Mogę ci zaufać, Justinie?

– Taa, jasne. To znaczy... tak, może mi Ojciec zaufać.

– To dobrze. – Uśmiechnął się. Justin nie przypominał sobie, żeby Ojciec kiedykolwiek się do niego uśmiechał. Swoją drogą było to całkiem miłe. – Wiedziałem, że można ci ufać. Jesteś dobrym człowiekiem, tak jak twój brat Eric.

Justin patrzył na Ojca, zastanawiając się, czy wie, że spędził czas swojej próby w towarzystwie turystów. Ale Ojciec przyglądał mu się z powagą, patrzył ciepło i życzliwie.

– Nie powtarzaj tego nikomu, nawet swojemu bratu, ale już w dniu, kiedy zjawiłeś się u nas, wiedziałem, że to Bóg cię tu przysłał.

– Bóg mnie przysłał?

– Tak. Nie jesteś taki jak inni. Widzisz więcej i wiesz więcej. Nie dasz się łatwo ogłupić.

Może ten gość rzeczywiście potrafi czytać w myślach? Justin przełknął ślinę i skinął głową.

– Zostałeś zesłany przez Boga, żeby odegrać kluczową rolę w naszej misji. Bóg przysłał cię w darze. Jesteś błogosławieństwem bożym.

Justin zgłupiał. Zamurowało go, czuł natomiast... Do diabła, poczuł się kimś wyjątkowym. Nigdy nie słyszał, żeby Ojciec mówił komuś podobne słowa.

– Dlatego właśnie chcę, żebyś dołączył do moich żołnierzy. Mam przeczucie, że będziesz nieprzeciętnym żołnierzem. – Zbliżył się do Justina i szepnął: – Potrzebuję twojej pomocy, Justinie. Są tacy, którzy chcą mnie zniszczyć, nawet tutaj, pośród nas. Czy zechcesz mi pomóc?

Justin niewiele wiedział o żołnierzach Ojca, poza tym, że byli traktowani inaczej niż pozostali, no i nagradzani za swoją pracę. Eric był żołnierzem i napawało go to wielką dumą. Justin usiłował sobie przypomnieć, czy ktoś mówił mu do tej pory, że jest potrzebny. Takie słowa sprawiły, że poczuł się lepiej, dużo lepiej.

Ojciec czekał na jego reakcję.

– Taa – powiedział bez większych wątpliwości. – Taa, chyba mogę pomóc.

– To dobrze. Znakomicie. – Ojciec się uśmiechał, klepnął Justina po kolanie, potem rozsiadł się wygodnie. – Brandon i ja zabieramy grupę do Bostonu na inicjację. Chciałbym, żebyś do nas dołączył.

– Jasne, dobra. – Nie miał pojęcia, w co się pakuje, ale może to dobry pomysł, żeby na jakiś czas odsunąć się od Alice. Przemyśli sobie wszystko, co usłyszał od Ojca. Poza tym perspektywa wyjazdu bardzo go podniecała. Eric byłby z niego dumny, gdyby wiedział.

– A Eric... kiedy wróci?

– Na dniach – odparł Ojciec, raptem przenosząc wzrok za okno, jakby uciekał gdzieś myślami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

John F. Kennedy Federal Building
Boston, Massachusetts

Kiedy strażnik powiadomił więźnia o przybyciu gościa, Eric od razu wiedział, że Ojciec przysłał kogoś, kto ma go zabić. Usiadł przy grubej szklanej ściance działowej i patrzył na drzwi po drugiej stronie, ciekawy, kim okaże się egzekutor. Lecz oto w drzwiach pojawił się jego najlepszy przyjaciel, Brandon. Najpierw zatrzymał się do kontroli przy strażniku, potem pomachał na powitanie do Erica, aż wreszcie usiadł na żółtym plastikowym krześle, przysuwając się możliwie najbliżej barierki. Brandon był świeżo ogolony, dzikie, rude włosy ujarzmił żelem, zaczesał i przykleił do głowy. Uśmiechając się do Erica, podniósł słuchawkę.

– Cześć, brachu – powiedział ściszonym głosem. – Dobrze cię tu traktują? – Wędrował wzrokiem dokoła, byle tylko nie natknąć się na oczy Erica. Wówczas Eric już wiedział. To Brandon przybył jako wysłannik śmierci.

Po pierwszych dniach przesłuchań, gdy Eric odmawiał odpowiedzi, wsadzili go do pojedynczej celi. Nie wiedzieli, że ofiarowują mu tym samym to, czego tak bardzo pragnął – samotność i spokój. Po wielu miesiącach spędzonych pośród ludzi, gdy nie mógł się ruszyć, nie ciągnąc za sobą jakiegoś

ogona, pojedyncza cela była nagrodą, nie karą. Ale nie powie tego Brandonowi. To by mu tylko dało dodatkowy powód, żeby pragnąć jego śmierci.

– W porządku – rzekł Eric, chociaż zapewne nie było tego słychać w jego tonie.

– Podobno żarcie jest tu jeszcze gorsze niż to gówno, którym nas karmią każdego dnia. – Brandon zaśmiał się tak jakoś z przymusem.

Czy zapomniał już, że Eric to rozpozna? Czy naprawdę wierzył, że naciągnie go na jakieś wyznania? Tak, Ojciec jest sprytny. Oczywiście wysyła na robotę najlepszego przyjaciela Erica. Cóż za słodka poetycka sprawiedliwość. To zupełnie jakby wysłać Judasza, żeby zdradził Jezusa, albo Kaina, żeby zabił Abla.

– Da się zjeść.

Brandon rozejrzał się, potem przybliżył się do szyby. Eric nie ruszył się z miejsca, siedział wyprostowany na twardym plastikowym krześle. To jest to. Ale jak… jak on go zabije?

– Eric, co tam się, do diabła, stało? Czemu nie wziąłeś kapsułki? – Brandon mówił wciąż szeptem, w którym dała się jednak wyczuć złość.

Eric spodziewał się tego. Nieważne, czy zdobędzie się na szczerość w tej rozmowie, Brandon i tak nigdy go nie zrozumie, ponieważ sam by się nie zawahał. Dla Ojca połknąłby kapsułkę z cyjankiem. A teraz również się nie zawaha, tylko zlikwiduje swojego najlepszego przyjaciela, którego jedynym grzechem jest to, że chce żyć.

– Wziąłem ją – zdobył się na słabą obronę.

Nie skłamał albo powiedział częściową prawdę. Poza tym czy Ojciec nie uczył ich, że należy kłamać, oszukiwać i kraść, o ile tylko cel uświęca tak drastyczne środki? Cóż, celem Erica było jego własne życie. Wtem uświadomił sobie coś po raz pierwszy. Jaki był głupi, jaki ślepy, że wcześniej o tym nie pomyślał! Ani Brandon, ani Ojciec nie mają zielonego pojęcia, co działo się po wymianie strzałów. Nie wiedzą, o co pytali go agenci, i co im powiedział. Skąd mogą wiedzieć? Wiedzą jedynie, że pozostał przy życiu i znalazł się pośród wrogów.

Ale może nie obchodzi ich wcale, co się stało, tak jak nie obchodzi ich jego los, w innym bowiem wypadku Ojciec dużo wcześniej przysłałby kogoś do niego. Nie, oni boją się tylko jego zeznań, choć tak niewiele miał do powiedzenia. Bo co niby mógł zdradzić agentom FBI? Że Ojciec ich oszukał? Że bardziej zależy mu na broni i własnym bezpieczeństwie niż na tych, którzy za nim idą? Zresztą czemu FBI miałoby tego wysłuchiwać?

– Nie rozumiem – szepnął Brandon. – Te kapsułki konia by powaliły.

Eric spojrzał mu w oczy. Widział, że Brandon mu nie wierzy. Nerwowo zacisnął zęby, jedną ręką ściskał mocno słuchawkę, drugą położył na wąskiej półce.

– Może w mojej było mniej trucizny – powiedział Eric, kłamiąc w dalszym ciągu. – Lowell ładował ich dziesiątki, może nie wcisnął do wszystkich po równo. – Nawet sam Eric nie dał się przekonać swojemu pozbawionemu emocji głosowi.

Brandon rzucił wzrokiem dokoła. Dwa krzesła dalej pochlipywała potężna siwowłosa kobieta. Zbliżył się do szyby, tym razem nie fatygował się, żeby ukryć wściekłość.

– Nie pieprz! – wypluł cicho.

Eric nawet nie mrugnął. Nie odpowiedział, potrafił milczeć. Milczał przez całe dwa dni, kiedy prokuratorzy i agenci FBI wrzeszczeli mu w twarz. Siedział prosto i cicho, powtarzając sobie, że nie może nawet drgnąć. I tak też się zachowywał przez cały czas, choć serce tłukło się o żebra, choć zwyczajnie, po ludzku, odczuwał strach.

– Wiesz, jaki los spotyka zdrajców – wyszeptał Brandon do słuchawki i tym samym wzrokiem, którym patrzył mu przed chwilą w oczy, przyszpilił go do krzesła. Bo oczy Brandona stały się czarne, puste i złe.

Taka była siła nienawiści.

– Czekaj na znak zapowiadający twój koniec – rzekł Brandon – i pamiętaj, że to może nadejść każdego dnia.

Następnie wysłannik Ojca rzucił słuchawkę na widełki, szurnął do tyłu krzesło, którego metalowe nogi zaskrzypiały, rysując podłogę, i oddalił się swoim zwykłym, spokojnym, pewnym krokiem, żeby nikt nie zorientował się, że przed chwilą przekazał Ericowi wyrok śmierci.

Eric powinien czuć ulgę, że przeżył wizytę Brandona, lecz zamiast tego poczuł mdłości. Wiedział, do czego zdolny jest Ojciec. Ten człowiek posiada niespotykaną moc. Wszyscy, którzy w przeszłości opuścili społeczność, byli dla niego zdrajcami. Każdy, kto odchodził, stawał się renegatem i zaprzańcem, godnym większej nawet pogardy niż

zdeklarowani i jawni słudzy szatana, jak choćby ci agenci FBI. Eric słyszał mnóstwo opowieści na ten temat, sam też obserwował podobne wypadki.

Ostatnia była Dara Hardy. Opuszczając społeczność, tłumaczyła się, że jej matka zachorowała na raka i że chce jej towarzyszyć w ostatnich chwilach życia. Ojciec obstawał przy swoim, że gdyby to była prawda, Dara przyjęłaby jego szlachetną propozycję i sprowadziła matkę do obozu. Chociaż Ojciec zabraniał zażywania jakichkolwiek leków, utrzymując, że chodzenie do lekarza to egoistyczne pobłażanie sobie. W końcu on też potrafi leczyć i zajmuje się swoimi owieczkami. Dara Hardy mimo wszystko odeszła. Dokładnie tydzień później zginęła w wypadku samochodowym. Jej matka umarła w pełnej rozpaczy samotności.

Eric zastanawiał się, jaki wypadek wymyślą dla niego. Może współwięzień przypadkiem poparzy go pod prysznicem? Albo któryś ze strażników pomoże Ericowi, by popełnił samobójstwo, wieszając go w celi? Jedno było pewne: śmierć przyjdzie z rąk człowieka, po którym najmniej by się tego spodziewał. Tak samo jak aniołem śmierci został jego najlepszy przyjaciel. Jak ma teraz przeżyć w tej wrogiej jaskini lwa, bez przerwy oglądając się za siebie?

Lecz to nie wróg pragnie jego śmierci, ale człowiek, który nawet jeśli go zabije, będzie nadal nazywał się wybawcą jego duszy. Nie, jeszcze inaczej – właścicielem jego duszy,

a nie jej wybawcą. Bo taką cenę płacili wszyscy, którzy zdecydowali się pójść za Ojcem. Płacili własną duszą.

Po raz pierwszy Eric ucieszył się, że Justin nie żyje, że został zredukowany do garści trudnych do zidentyfikowania kości. Teraz Ojciec nie będzie już mógł ich rozdzielić ani zwaśnić, jak skutecznie czynił to z wieloma innymi rodzinami. I być może nie zdążył skraść Justinowi duszy. Jeśli tak, to Justin jest prawdziwym szczęściarzem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

– Nie wiesz przecież, czy to ten sam Joseph Everett – mówił Tully, stając w drzwiach i patrząc, jak O’Dell stuka palcami po klawiaturze komputera.

– Nie spodziewam się, żeby na terenie Wirginii działało dwóch wielebnych Josephów Everettów – odparła, nie odwracając wzroku.

Tully, usłyszawszy niepokój w jej głosie, pomyślał: „Znowu się zacznie”.

Za każdym razem, gdy w głosie O’Dell pojawiał się ten ton, a w oczach to szczególne spojrzenie, jakby miała jakąś specjalną osobistą misję do spełnienia, zaczynał się denerwować. Ostatnim razem, kiedy to się zdarzyło, oboje skończyli w płonącym budynku. Wprawdzie O’Dell uratowała mu wtedy życie, ale najpierw dostał kulkę w udo.

Zaraz się jednak nieco uspokoił, bo prawdopodobnie zbliżali się do konkretnych odpowiedzi, co dobrze wróżyło na najbliższą przyszłość. Może tym razem obejdzie się bez szaleńczych, niemal samobójczych akcji? Pomyślał też z czułą satysfakcją o Emmie, która tak dzielnie poradziła sobie rano. O’Dell miała rację, jego córka jest odważną i mądrą dziewczynką. Zanim agentka LaPlatz zaoferowała się, że odwiezie Emmę do domu, Tully wprawił swoją dzielną córkę w zażenowanie uściskiem i słowami wyrażającymi ojcowską dumę.

Patrzył teraz, jak O’Dell otwiera na ekranie jakiś dokument i zaczyna go przeglądać. Przeniósł wzrok na doktor Patterson, która siedziała na fotelu. Maggie upchnęła ten mebel w maleńkim pokoju, a Tully kilka razy zastał ją, jak zwinięta w kłębek spała na nim. Wszystkie pokoje Wydziału Pomocniczego były ciasne, ale w pokoju O’Dell wykorzystany został każdy centymetr przestrzeni. Półki od podłogi do sufitu, małe schowki, w których trzymała stosy dokumentów, zamiast zaśmiecać nimi krzesła i podłogę, tak więc jej biuro wyglądało przytulnie i nie było ponad wszelką miarę przeładowane. Przeciwnie niż jego służbowy pokój, który przypominał magazyn maniakalnego archiwisty, i tylko wąskie kręte ścieżki prowadziły do biurka.

Doktor Patterson zdjęła buty na obcasach. Tully przyglądał się, jak Gwen siada na podkulonych nogach, przy okazji podciągając spódnicę. Miała świetne nogi. Szczupłe w kostkach, mocne, gładkie uda. Jezu drogi! Co z nim jest? Odwrócił wzrok, jakby przyłapano go na zdrożnym podglądactwie.

Gwen Patterson zazwyczaj okropnie go wkurzała. Odnosił wrażenie, że w niczym się nie zgadzają. Kiedy poprzednio pracował razem z O’Dell, wpadli na chwilę do wielkiego domu Maggie w Newburgh Heigths, gdzie doktor Patterson pilnowała psa O’Dell. Postanowili zamówić coś do jedzenia. Jeśli go pamięć nie zawodzi, pokłócił się z Patterson, czy zamówić chińszczyznę, czy pizzę. Wywiązała się ostra dyskusja o wartościach odżywczych różnych potraw.

Oczywiście Patterson przemawiała z pozycji eksperta, co zawsze czynią tak zwani smakosze. Zirytowała go jak diabli. Co nie znaczy, że teraz nie doceniał jej świetnych nóg. Może przez to całe wspominanie Caroline w czasie weekendu nakierował się na...

O'Dell przerwała mu jego rozproszone myśli.

– Mam coś. Dokument sądowy z 1972 roku. To prawie trzydzieści lat temu. Everett miał wtedy około dwudziestki.

– Nie wiemy jeszcze, czy jest w to zamieszany.

– Cunningham tak uważa, bo inaczej nie wysyłałby ciebie i Gwen do Bostonu, żebyście przesłuchali tego chłopaka, który przeżył. I nie zawahał się, kiedy poprosiłam o spotkanie z kimś z organizacji Everetta. Na przykład z jakimś byłym członkiem. Powiedział mi, że zadzwoni do senatora Briera i zapyta, czy może mu pomóc.

O'Dell siedziała do nich plecami, czytając z ekranu, natomiast doktor Patterson przebywała gdzieś daleko, relaksująco masując skronie i poruszając ramionami. Na Tully'ego działała jak płachta na byka. W końcu poddał się i podszedł do O'Dell.

– Wycieczka do Bostonu niewiele przyniesie – stwierdził. – Chłopak nie chciał mówić już w tamtym domu, a był wtedy śmiertelnie przerażony. Nie wyobrażam sobie, żeby nagle zaczął sypać, kiedy ma ciepłe miejsce do spania i trzy posiłki dziennie.

– Dlaczego sądzi pan, że podejrzany zaczyna mówić wyłącznie ze strachu? – odezwała się Patterson, nie przerywając masowania skroni.

Teraz, stojąc poza zasięgiem jej wzroku, Tully mógł zerknąć bezpiecznie na lśniące, rudawoblond włosy. Była naprawdę atrakcyjną kobietą. Nagle podniosła na niego wzrok.

– No jak, czemu pan uważa, że tylko strach motywuje ludzi do mówienia?

– W tej grupie wiekowej strach działa najskuteczniej.

O'Dell zerknęła przez ramię.

– Gwen, zdaje się, że wczoraj właśnie tak mi mówiłaś.

– Niezupełnie. Strach zazwyczaj powoduje, że przestają widzieć inne wyjście, choć uwolniony instynkt podpowiadałby im walkę. Tu jednak instynkt nie działał swobodnie, bo został stłumiony przez strach. Ale jak rozumiem, ten chłopak wypluł swoją kapsułkę z cyjankiem, co mówi mi, że strach nie był w jego wypadku decydujący.

– Niekoniecznie – włączył się Tully, zdając sobie sprawę, że zaczyna bronić swojego stanowiska. Dlaczego ona mu to robi? Zazwyczaj tak się nie zachowywał, nie szedł na udry. Ale teraz Patterson i O'Dell czekały na jego wyjaśnienia. – Pani zdaniem fakt, że chłopak wypluł kapsułkę, może świadczyć o tym, że chciał zostać przy życiu i walczyć. Ale może też zwyczajnie bał się śmierci. Czy to wykluczone?

– Osoba, która przekonała tych chłopców do połknięcia trucizny, musiała ich wcześniej absolutnie przekonać, że będą torturowani, a potem zostaną zabici, jeśli dadzą się wziąć żywcem. – Doktor Patterson skończyła seans relaksacyjny, wyprostowała już nawet nogi. – Ten chłopak z nadzieją czeka teraz na nagrodę w niebie.

– Naprawdę? I mówi to pani, nie zamieniwszy z nim jeszcze ani słowa?

– No dobra, już. – O’Dell uniosła ręce niczym kapłanka pokoju. – Przestańcie, nie jesteście na ringu. Może powinnam z wami pojechać do Bostonu? Bo sobie łby pourywacie.

– Ty musisz porozmawiać z matką – odparła Gwen, nie spuszczając wzroku z Tully’ego, jakby przygotowywała kolejną ofensywę.

– To mi obiecajcie, że się nie pozabijacie. – O’Dell uśmiechnęła się.

– Na pewno nic nam nie będzie – zapewniła Gwen, oddając jej uśmiech.

Maggie twardo czekała na potwierdzenie Tully’ego.

– Nic nam nie będzie – powtórzył, pragnąc jak najszybciej zmienić temat, ponieważ nawet jeśli Patterson zmusiła go do przyjęcia postawy obronnej, nie wiedziała, że wciąż ma podciągniętą spódnicę. Odwrócił się w stronę monitora. – Co znalazłaś?

– Nie mam zielonego pojęcia, czy to ten sam Joseph Everett, ale to się może zgadzać. Facet w wieku dwudziestu lat w Arlington, w stanie Wirginia, został oskarżony o gwałt na dziewiętnastoletniej studentce drugiego roku dziennikarstwa Uniwersytetu Stanu Wirginia.

W tym momencie zadzwonił telefon. Maggie sięgnęła po słuchawkę.

– O’Dell, słucham.

Tully udawał, że czyta z ekranu, byle nie zwracać uwagi na Patterson z podciągniętą spódnicą.

– Na jakiej podstawie tak myślisz? – spytała O’Dell, po czym zamilkła, jednak rozmówca nie miał wiele wyjaśnień do zaoferowania. – Okej, zaraz będę.

Odłożyła słuchawkę.

– To Racine – oznajmiła, przekręcając krzesło w stronę komputera. – Wydrukuję to – powiedziała do Tully’ego, klikając ikonę. – Wydaje jej się, że ma coś, co powinnam zobaczyć.

Położyła akcent na „wydaje jej się” i powiedziała to z takim przekąsem, że Tully znów zapytał:

– Co jest z wami?

– Mówiłam ci już. Nie ufam jej.

– Nie. Mówiłaś, że jej nie lubisz.

– Na jedno wychodzi – powiedziała, zabierając z drukarki dwie kopie i podając jedną Tully’emu, a drugą składając dla siebie. – Mógłbyś przed wyjściem sprawdzić, czy to ten sam Everett?

– Jasne. Jeśli był oskarżony o gwałt, nie powinienem mieć z tym kłopotu.

– Niestety nic więcej nie mamy. – Uniosła swoją kopię. – Nie ma innych dokumentów. Dziewczyna wycofała oskarżenie. – Włożyła żakiet, przystanęła i spojrzała na Tully’ego, a potem na Gwen. – Everett już wtedy musiał być dobry w zastraszaniu ludzi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wiedział, że nie powinien brać mieszanki między morderstwami. Jeśli będzie stosował ją dla poprawy nastroju, może osłabić czy wręcz zniweczyć jej działanie, a jednak potrzebował czegoś, żeby się uspokoić. Żeby zwalczyć tę złość i strach... nie, nie strach. Nie przestraszą go. Na to nie pozwoli. Chcieli go powstrzymać, zablokować jego misję. Ale on nie da się złapać. Jest od nich silniejszy. Potrzeba mu tylko czegoś, co by mu o tym przypomniało. Tylko o to chodziło. O przypomnienie.

Usiadł zatem i czekał. Wiedział, że może liczyć na specjalne efekty egzotycznej mieszanki, jej uzdrawiającą moc, jej ukrytą siłę. Brał już podwójną dawkę, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Teraz pragnął jedynie siedzieć w spokoju i cieszyć się psychodelicznym spektaklem światła, który zawsze pojawiał się przed jego oczami. Tak, kiedy już wzmocnił się i pobudził wzrost adrenaliny, pojawiała się feeria świateł, które zjawiały się w jaskrawych błyskach i rozpętywały świst w głowie. Błyski wyglądały jak maleńkie anioły, które przyjęły formę gwiazd, pomykając z jednej strony pokoju w drugą. Było to skończone piękno.

Wziął do ręki zeszyt i pieścił gładką skórzaną oprawę. Jak by sobie bez niego poradził? To on budził w nim gorączkę,

namiętność, złość, pożądanie, on niósł usprawiedliwienie. I on też wszystko uzasadni.

Zamykając oczy, oddychał głęboko. Rozkoszował się ciepłem, które rozchodziło się w jego ciele. Tak, teraz był gotowy do następnego kroku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Księżyc wyjrzał na stołeczne niebo w chwili, gdy Maggie parkowała swoją toyotę na pustym parkingu. Widziała już powiewającą na wietrze i blokującą wejście na wiadukt żółtą taśmę, którą oznacza się miejsce zbrodni. Kilku policjantów krążyło w okolicy, ale nie dostrzegła wśród nich Racine. Laboratorium na kółkach minęło ją, kiedy połknęła ostatni kęs kolacji kupionej w barze dla kierowców, frytki i solidnego hamburgera. Wyszła z samochodu i strzepała sól z dzianinowej bluzki, potem zmieniła żakiet na granatową kurtkę FBI.

Sięgnęła pod przednie siedzenie i wyciągnęła krótkie kalosze, które włożyła na skórzane buty. Miała zamiar wziąć podręczny zestaw laboratoryjny, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Wóz koronera stał przy betonowej ścianie, tuż przy wejściu na wiadukt, więc nie było sensu wkurzać Stana jeszcze bardziej, niż już to zrobiła.

A jednak idąc w tamtą stronę, nie zdziwiła się, gdy zamiast Stana ujrzała Wayne’a Prasharda, który wyłonił się z wejścia na wiadukt. Stan miał już pewnie w tym tygodniu dosyć wezwań po godzinach, poza tym nie fatygowałby się osobiście dla jakiejś bezdomnej kobiety. Maggie nie wiedziała też, skąd wzięło się przekonanie Racine, że powinna tu przyjechać. Miała tylko nadzieję, że to nie jakaś sztuczka. Kto wie, co zamyśla Racine.

Prashard powitał Maggie skinieniem głowy, otwierając tył swojego wozu.

– Nie pozwoliła mi niczego dotknąć, dopóki ty tego nie zobaczysz, cholera.

– Miło cię widzieć, Wayne.

– Przepraszam. – Skrzywił się w uśmiechu, jego twarz buldoga pomarszczyła się przyjaźnie. – No wiesz, ona czasem tak człowiekowi zalezie za skórę, wiesz, o czym mówię?

Tak, doskonale wiedziała, ale w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła. Nie zamierzała wdawać się w tego typu plotkarskie rozmowy, za to Prashard wręcz przeciwnie. Niezrażony milczeniem Maggie, dodał:

– Dawniej taka nie była.

– Naprawdę? – Maggie jakoś nie wyobrażała sobie innej Racine.

– Teraz stara się dać wszystkim do zrozumienia, że to ona tu rządzi. Zanim została detektywem, była całkiem miła – mówił, wyciągając z tyłu wozu worek na ciało. – Może nawet trochę z tym przesadzała, wiesz, co mam na myśli. – Zerknął na Maggie i puścił do niej oko.

Nie odpowiedziała na jego zaproszenie do zmieszania pani detektyw z błotem. Nie lubiła Racine, lecz nigdy nie poniżała się do głupich plotek na temat innych oficerów służb porządkowych, i nie miała zamiaru wdawać się w to teraz. Niestety wyglądało na to, że Prashard zna jedną czy nawet dwie historyjki o urodziwej policjantce i teraz chciał

się nimi podzielić. Co tam chciał, on się do tego wprost palił.

Maggie odwróciła się, zamierzając odejść.

– Nie wiem – powiedziała. – Nie znałam jej, zanim została detektywem. – I z tymi słowy opuściła go. Na tak demonstracyjne zachowanie Prashard mógł odpowiedzieć tylko milczeniem.

Idąc w stronę wejścia do tunelu pod wiaduktem, Maggie rozglądała się wokół. Słyszała dobiegający z góry hałas samochodów i widziała błyski ich świateł między barierkami. Zapach benzyny ulatniał się z dworca autobusowego po drugiej stronie pustego parkingu. Silniki pracowały, a kilku mechaników samochodowych wchodziło i wychodziło z greyhoundów. Sześć zepsutych wozów stało w rzędzie wzdłuż ogrodzenia z łańcucha, zasłaniając bezpośredni widok na wejście pod wiadukt.

Poza miejscem, gdzie pracowali mechanicy, było niewiele światła. Raczej ciemno, głośno i dość pusto. Maggie zastanawiała się, co mogło kogoś skłonić, by dobrowolnie tam się wybrać, może poza tym, że łuk z betonu, a raczej tunel, chronił przed wiatrem i zimnem. Tak, to miejsce mogło przyciągnąć kogoś, kto szuka dobrej lokalizacji dla swojego domu z kartonów. A także kogoś, kto szuka ofiary.

– O, świetnie, że jesteś. – Pokazała się Racine i uniosła taśmę, żeby Maggie mogła pod nią przejść.

Maggie poczuła zapach zwłok, gdy tylko weszła do tunelu. Racine prowadziła. Stąpała ostrożnie, omijając dwóch laborantów, z których jeden czołgał się z latarką, szczotką

i plastikowymi woreczkami, podczas gdy drugi ustawiał kilka lamp punktowych.

Z drugiej strony łuku tunelu, oparta o zimną ścianę z betonu, siedziała naga kobieta, sztywna i sina w ostrym świetle punktowych lamp. Miała szeroko otwarte oczy, w kącikach oczu zadomowiły się już larwy robaków. Jej głowa przekrzywiła się na bok, odkrywając kilka śladów duszenia na szyi. Brudna, wymazana twarz była spuchnięta, usta zaś zaklejone taśmą. Ręce leżały złożone na podołku, z nadgarstkami zwróconymi ku górze, jakby martwa kobieta chciała pokazać miejsca, w których odcisnęły się kajdanki. Maggie zauważyła też, że ręce były czyste, żadnych śladów po igle. A zatem nie sprowadzono jej tu obietnicą narkotyków. Nie było również kartonowych pudeł, wózka sklepowego ani żadnych rzeczy osobistych, poza starannie złożonymi łachmanami jakiś metr dalej.

– I co myślisz?

Maggie uświadomiła sobie, że Racine na nią patrzy i czeka.

– Ciało jest niemal tak samo upozowane.

– Identycznie, cholera – powiedziała Racine. – Chociaż mam przeczucie, że tym razem nie znajdziemy żadnego dokumentu wciśniętego do gardła.

– Tak, ona nie pasuje do ofiar naszego sprawcy – stwierdziła Maggie, przycupnąwszy na wprost denatki, żeby się lepiej przyjrzeć. Patrzyła prosto w puste oczy zmarłej. Kobieta nie żyła na pewno ponad trzydzieści sześć godzin, bo stężenie pośmiertne ustąpiło i ciało ponownie

zwiotczało. Maggie stwierdziła to sama, unosząc rękę ofiary i ostrożnie ją opuszczając.

– Jasny szlag, nie ruszaj mi sztywniaków – rzucił Prashard, wchodząc do tunelu i stając blisko ściany.

– Ona nie jest już sztywna. Nie żyje od dość dawna. Jakie są twoje sugestie? – nie podnosząc się, spytała Maggie.

– Moim zdaniem jakieś czterdzieści osiem godzin, ale to tylko przypuszczenia, ponieważ nie pozwolono mi jej jeszcze, cholera, dotknąć. – Strzelił wzrokiem w Racine, która w ogóle go nie zauważała. Wciąż patrzyła na Maggie.

– Zobacz to – powiedziała Racine, wyjmując miniaturową latarkę i kierując światło na ziemię.

Maggie wstała i podeszła do Racine. Jakieś półtora metra od ciała znajdował się odcisk w kształcie okręgu, choć wewnątrz koła i wokół niego było zamiecione, jakby ktoś starał się zetrzeć ten i inne ślady.

– Pieczątka Tully’ego – powiedziała Racine. – Nie wiem, co to jest, cholera, ale powiedz mi, że to nie ten sam ślad, który znaleźliśmy wczoraj rano obok pomnika.

Maggie rozejrzała się raz jeszcze. Tak, podobieństwo było zbyt duże, żeby to był przypadek.

– Czterdzieści osiem godzin, to znaczy, że została zamordowana w sobotnią noc. Ale dlaczego najpierw wybrał sobie na cel i zamordował córkę senatora, a potem jakąś przypadkową bezdomną kobietę?

– Może po prostu ten gość to jakiś pojebaniec? – zasugerowała Racine.

– Nie, to jest bardzo dobrze przemyślane i zorganizowane. – Maggie spojrzała na Prasharda. – Wayne, mógłbyś jej zajrzeć do ust?

– Tutaj?

– Tak. To nam bardzo pomoże i przyspieszy sprawę, jeśli przekonamy się, czy tam coś jest.

– No nie wiem. – Prashard wzruszył ramionami i przekrzywił głowę, jakby Maggie kazała mu wykonać pełną autopsję pod gołym niebem. – Tak się nie robi.

– Och, nie chrzań, Prashard! – krzyknęła Racine. – Zrób to i już.

Ku zdumieniu Maggie koroner natychmiast wyjął ze swojej torby lateksowe rękawiczki i kleszcze, a następnie sztywno pochylił się nad ciałem, zamiast przyklęknąć.

Maggie zerknęła na Racine, która nie była ani zadowolona, ani zła z powodu Prasharda. Podeszła do niego, skrzyżowała ręce na piersi i czekała z miniaturową latarką, żeby zaświecić do gardła ofiary. Wtem do tunelu wpadło światło księżyca i oświetliło całą twarz zmarłej, aż jej oczy zalśniły.

– Jezu święty! – zawołała Racine. – Aż mnie ciarki przeszły. – Spojrzała na Maggie, która starała się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio była pełnia. Chyba właśnie się zbliża. Czy to coś znaczy?

– Czego dokładnie szukamy? – spytał Prashard, odklejając taśmę z ust denatki, centymetr po centymetrze, żeby nie naruszyć skóry. Maggie podstawiła plastikowy woreczek, żeby Wayne wrzucił doń taśmę.

– Powinna tam być kapsułka – odparła Racine. – Sprawdź wnętrze policzków.

– To znaczy trucizna?

– Prashard, po prostu sprawdź! – Była naprawdę zdenerwowana.

Udało mu się w końcu rozewrzeć usta denatki, ale zanim włożył tam palec w rękawiczce, zaczęły się z nich wysypywać drobne monety.

– Co, do licha? – Racine zaświeciła latarką, tak że nawet stojąca za nią Maggie widziała to bardzo wyraźnie.

Jama ustna kobiety była niczym czarna, sfatygowana maszyna wypełniona lśniącymi monetami, które wypluwała, jakby ktoś właśnie zgarnął pulę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Wtorek
26 listopada
Boston, Massachusetts

Ze swojego narożnego apartamentu w Ritz-Carlton Ben Garrison miał widok na park Boston Common z jednej strony i Charles River z drugiej. Ten komfortowy apartament był nagrodą, która należała mu się od dawna, i oby przyniósł mu szczęście i zapowiadał same dobre rzeczy w przyszłości. Ben nie był przesądny, ale wierzył, że odpowiednie nastawienie ma ogromną moc sprawczą. W końcu nie ma nic złego w odrobinie przyjemności, a potem postara się, żeby było jeszcze lepiej. Dzięki temu wszystko, z czym musi się borykać, okaże się warte zachodu. Na przykład jakieś durne telefony i przesyłka z karaluchami to drobiazg w porównaniu z tym, z czym musiał się zmierzyć w przeszłości.

Pamiętał, jak kilka lat wstecz mieszkał w przeciekającym jednoosobowym namiocie, w śmierdzącym, pełnym szczurów magazynie w Kampali, w Ugandzie. Przez kilka miesięcy uczył się języka suahili, żeby móc się porozumieć z tubylcami i zyskać ich zaufanie. Ten wysiłek mu się opłacił. W krótkim czasie zdobył zdjęcia, które rozpętały

sprawę szalonego naukowca, ściągającego bezdomnych z ulic Kampali do swoich radykalnych eksperymentów.

Ben wciąż miał część z tych zdjęć na ścianach swojej ciemni. Jedna z kobiet, żeby wyżywić piątkę swoich dzieci, pozwoliła owemu tak zwanemu naukowcowi odciąć sobie zupełnie zdrowe piersi. Pozostała jej po tym blizna, która wyglądała tak, jakby jakiś szaleniec odrąbał jej biust maczetą. Stary mężczyzna sprzedał z kolei swoje prawe ucho za paczkę papierosów.

Ben wybrał wówczas czarno-biały film, żeby wydobyć detale i faktury naturalnym bocznym światłem. Kiedy wywołał kliszę, dla podkreślenia dramatycznego efektu wziął do odbitek papier wysokiej klasy, dzięki czemu czerń nabrała głębi i jedwabistości, a biel stała się oślepiająca. Za pomocą tej swoistej magii przekształcił ohydne ludzkie blizny w prawdziwą sztukę.

Był geniuszem w wychwytywaniu beznadziei, przelotnego błysku rozpaczy. Jeśli tylko czekał cierpliwie, zawsze udawało mu się dojrzeć to w oczach modela. Tak, prawdziwie po mistrzowsku rejestrował na filmie emocje, od przerażenia do zazdrości, od strachu do złości. W końcu oczy są oknami duszy, a Ben wiedział, że któregoś dnia utrwali na filmie i duszę. Tylko cierpliwości.

W tamtym czasie zarówno „Newsweek”, jak i „Time” rozpracowywały historię szalonego naukowca, ale żadne z pism nie dysponowało zdjęciami, nie miał ich nikt prócz Bena. Kiedy zamienił te zdjęcia na niezłą garść forsy, nagrodził się tygodniem na jachcie z jakąś kelnereczką,

której imię nie zapisało się w jego pamięci. Za to pamiętał śliczną wytatuowaną różę na jej zgrabnym małym tyłku. Miał nawet jej zdjęcie na ścianie ciemni, a dokładnie zdjęcie tego tatuażu. To było dawno, w czasach kiedy szybki seks nakręcał go i na jakiś czas satysfakcjonował. Ale nic nie może się równać z gorączką ostatnich paru tygodni.

Oczywiście najbardziej ucieszyłby się, widząc gładką buźkę pieprzonego Everetta, kiedy w końcu odwiedzi go FBI. Ostatecznie nawet ta Racine i banda jej glin jaskiniowców jakoś się w tym połapią, i to wkrótce. Chociaż jeśli federalsi zorganizują najazd na obóz Everetta, śledztwo nie będzie już potrzebne. A jeżeli wielebny domyśla się, że grozi mu aresztowanie, to z pewnością jego zaślepione owieczki są już przygotowane do posłusznego samobójstwa, tak samo jak podczas nalotu na ten gówniany dom letniskowy nad Neponset River.

Ben usłyszał o kapsułkach z cyjankiem od agenta, który brał udział w tamtych wydarzeniach. Jeszcze parę drinków i facet wyjawiłby więcej szczegółów, ale Benowi w zupełności wystarczyły kapsułki. Poza tym sam je widział, kiedy spędził dwa dni w obozie Everetta, w tym bunkrze z betonu, który bardziej przypominał więzienie niż raj, jak nazywał to wielebny.

Ben odkrył także, że Everett ma wystarczająco dużo materiałów wybuchowych, żeby zrobić całkiem sporą dziurę w Appalachach. Szalone w tym wszystkim było to, że nie zamierzał ich wykorzystać w jakimś ataku terrorystycznym. To samo dotyczyło zresztą broni zgromadzonej w domu

letniskowym. Żadnych zbrodniczych planów, żadnej konspiracji, o nie. Wszystko to miało służyć wyłącznie obronie jego pieprzonych fortyfikacji, w razie gdyby ktoś śmiał się tam dostać i zabrać stadko wielebnego. To byłoby jakieś skrzyżowanie Kool-Aid Jima Jonesa [5] i bomby Tima McVeigha [6]. Ależ bałagan mieliby federalsi do sprzątnięcia. No i nieźle by się musieli tłumaczyć, bo trupów byłoby tu w bród. Rekordowa jatka bez dwóch zdań. Waco wyglądałoby przy tym jak dziecinada.

No, ale najpierw musieliby pokonać wszystkie pułapki Everetta. Dupek zapełnił cały las niespodziankami na podobieństwo Wietkongu. Ben zastanawiał się, czy wyrzucono go z wojska między innymi za to, że robił pociski z gwoździami i nasycone łatwopalnymi chemikaliami chodniki ze sztucznej trawy. Na dodatek pomysłowy wielebny ustawił wokół swojego terenu znaki, które mówiły na przykład: „Ci, którzy przeżyją, zostaną zgładzeni”, lub: „Wejście poza ten znak wyłącznie na własne ryzyko”.

Widząc owe znaki, Ben postanowił dostać się do obozu jako zagubiona dusza, a nie jako dziennikarz, który węszy w lesie. Kilka tygodni przed rozpoczęciem gry wysmarował się błotem jak członkowie plemienia Trzy Wzgórza z Mozambiku, pokrywając całe ciało mazią, której przepis jakimś cudem zapamiętał ze swoich podróży. Nawet ochroniarze Everetta, byli mistrzowie świata w zapasach, nie zauważyli, jak wśliznął się przez wysoką trawę i zlał z pniem drzewa. Wiele się nauczył podczas tamtej wizyty.

Przede wszystkim że nikt nie może się stamtąd wydostać ani tam wejść, nie ryzykując odstrzelenia głowy.

Ben spojrzał na zegarek. Miał jeszcze sporo czasu. Z tego, co słyszał podczas wieczornego spotkania w sobotę, chłopcy Everetta będą gotowi dopiero za jakieś parę godzin. Postanowił zadzwonić do obsługi hotelowej. Może nawet wypróbuje tę wannę z masażem. Zrobi sobie przyjemność, zabawi się chwilę, a potem wraca do roboty.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

John F. Kennedy Federal Building
Boston, Massachusetts

Gwen Patterson przyglądała się, jak agent Tully walczy z ich torbami, wywlekając je z bagażnika taksówki, a kierowca stoi sobie spokojnie obok niego. A nawet poucza Tully'ego, tak samo jak wtedy, kiedy ich sobie wybrał na lotnisku w Bostonie, celując w nich sękatą prawą ręką, która ponoć uniemożliwia mu dźwiganie. Tully'emu to nie przeszkadzało. Poprosił tylko o rachunek, wsadzając ręce do kieszeni płaszcza. Po chwili wyłowił jakiś zwitek i oddzielił banknoty dolarowe od pomiętych rachunków i dwóch serwetek z McDonalda.

Gwen czekała, a jej cierpliwość zdecydowanie się wyczerpywała. Chciała sama otworzyć torebkę i zapłacić, żeby nie marnować czasu. I tak straciła już dwa dni, zgadzając się pomóc FBI i Kyle'owi Cunninghamowi. Jak to się dzieje, że kiedy któryś z jej kolegów napisze książkę, to zaraz Matt Laurel albo Katie Couric zapraszają go na wywiad? Ona też napisała książkę, i co dostała w zamian? Wywiad z nieletnim mordercą!

Sięgnęła po swoją małą torbę podróżną, ale Tully ją wyprzedził.

– Nie trzeba, ja wezmę – uparł się, wsadzając torbę pod ramię i wieszając na drugim ramieniu pasek od jej torby z laptopem, a na koniec wziął swój worek.

Nie sprzeczała się z nim, tylko pierwsza ruszyła schodami, pozwalając mu wyminąć ją na ostatnim odcinku, żeby mógł postawić bagaże i otworzyć ciężkie drzwi. Zastanawiała się, czy w jego rozumieniu miała to być rekompensata za stwierdzenie Maggie, że nie mogą jechać razem, ponieważ bez przerwy będą sobie skakać do oczu. Niezależnie od powodów jego rycerskości, Tully rzeczywiście był miły i uprzejmy od chwili, kiedy wsiedli na pokład samolotu.

Maggie zapewniała ją wielokrotnie, że Tully to porządny, inteligentny i przyzwoity facet, który chce tylko dobrze wywiązywać się ze swoich obowiązków. Dodawała zawsze, że jest po prostu trochę zielony, spędził bowiem sporą część niedługiego stażu w FBI za biurkiem w Clevelandzie. Za to można ufać jego instynktowi i szczerym pobudkom. A jednak ten wysoki tyczkowaty agent miał w sobie coś, co drażniło Gwen.

Zdawała sobie sprawę, że to jego dobre maniery rodem ze Środkowego Zachodu tak bardzo jej działają na nerwy. Może jest zbyt przyzwoity, żeby był prawdziwy. Zbyt uczciwy. Za bardzo w stylu harcerzyka. Taki facet, co to nigdy nie przekroczy prędkości ani nie wypije o jednego drinka za dużo. Taki facet, który zawróci, żeby otworzyć drzwi kobiecie, lecz nie myśli o tym, żeby trzymać banknoty w portfelu ani wyczyścić buty. Może dlatego z taką zawziętością wciąż próbowała go zdenerwować. Może

chciała zetrzeć tę maskę spokojnego, grzecznego harcerzyka, lub choćby trochę ją naderwać, i zobaczyć, co jest pod spodem, odkryć jego prawdziwe oblicze. Czyżby to lata pracy w zawodzie psychologa zrobiły z niej taką cyniczkę?

– Doktor Patterson?

Gwen i Tully zatrzymali się i spojrzeli w górę na mężczyznę, który przechylał się przez balustradę pierwszego piętra. Kiedy stwierdził, że trafnie ją rozpoznał, zbiegł po schodach krokiem sportowca. Gwen z miejsca wiedziała, zanim jeszcze się przedstawił, że to Nick Morrelli, mężczyzna, który sprawił, że Maggie rumieniła się na samo wspomnienie jego nazwiska. Teraz Gwen zrozumiała, dlaczego tak się działo. Był jeszcze przystojniejszy, niż wynikałoby to z opisu przyjaciółki, po prostu modelowy przykład wysokiego, ciemnowłosego przystojniaka, o mocnej szczęce, ciepłych niebieskich oczach i tych cholernych dołeczkach, które towarzyszą uśmiechowi i łamią babskie serca.

– A pan to zapewne Nick Morrelli – powiedziała, wyciągając do niego rękę, kiedy znalazł się na dole. – Gwen Patterson.

– Agent R.J. Tully. – Żeby uwolnić rękę, Tully odstawił bagaże, przy okazji o mały włos nie upuszczając torby Gwen.

– Proszę mi dać jedną – powiedział zaraz Nick, pomagając Tully’emu ściągnąć pasek laptopa z ramienia. – Prokurator okręgowy Richardson nie wrócił jeszcze z sądu, więc

jesteście państwo skazani na mnie. Zaprowadzę was na górę, gdzie zostawimy bagaże w bezpiecznym miejscu. Pojedziemy windą. – Poprowadził ich do dalszej części holu, gdzie znajdowały się windy, i nacisnął guzik. – Jak minął lot?

– Dobrze – odparła Gwen. Nie znosiła takiego pustego gadania, ale Nick wydawał się szczerze zainteresowany, więc zaspokoiła jego ciekawość. – Lunch był kiepski, mam nadzieję, że czeka pan na nas z dobrą kawą.

– Po drugiej stronie ulicy jest Starbucks. Zaraz kogoś poślę. Na co mają państwo ochotę?

– Mokka wystarczy. – Uśmiechnęła się do Nicka, przeciskając się obok niego, kiedy trzymał drzwi windy. Zauważyła, że Tully jej się przygląda, i to ze zmarszczonym czołem. Dobrze wiedziała, co to znaczy. Trudno, niech sobie będzie zniesmaczony jej flirtowaniem. Zasłużyła sobie tą podróżą przynajmniej na filiżankę dobrej kawy.

– A pan, agencie Tully?

– Zwykłą kawę poproszę – powiedział jakby z pretensją. Gwen patrzyła, jak Tully wciska się w kąt windy, wlepiając wzrok w numery nad drzwiami. Gdzie się podział uprzejmy harcerzyk?

Teraz Gwen robiła to samo, to znaczy patrzyła na podświetlone cyfry wskazujące kolejne piętra, i nagle poczuła się jakoś niezręcznie między tymi dwoma mężczyznami, zmieszana i odpowiedzialna za napięcie, jakie między nimi powstało.

– Co u Maggie? – spytał Morrelli, także nie spuszczając wzroku z coraz to kolejnych cyfr.

– W porządku. – Czekała na dalsze pytania, lecz bez skutku. Może było mu głupio wypytywać ją w obecności Tully’ego? Zerknęła na niego, zastanawiając się, czy wie o Nicku i Maggie. Chociaż tak naprawdę nic wielkiego się nie zdarzyło, a Maggie sama nie wiedziała, co zrobić z tym przystojnym asystentem prokuratora okręgowego.

Od kiedy Nick zamieszkał w Bostonie, a Maggie w Newburg Heights, nie mieli wiele okazji do spotkań. Nie widzieli się już od miesięcy, a Maggie od dawna nawet o nim nie wspomniała. Nie zareagowała również, słysząc, że Nick poprowadzi tę sprawę, a Gwen będzie się z nim widzieć. Nie prosiła przyjaciółki o przekazanie żadnej wiadomości.

Gwen wiedziała, że procedura rozwodowa przeciąga się i że Maggie celowo powstrzymuje się przed związkiem z Nickiem albo, posługując się jej słowami, przed „robieniem bałaganu”. Było jednak coś więcej, co przyjaciółka przed nią ukrywała. Dlaczego właściwie Maggie tak przy tym obstaje? Ma spore problemy z nawiązywaniem bliskich kontaktów i nie chce dostrzec tego faktu. Nazywa to profesjonalnym dystansem i wymawia się pracą, kiedy Gwen zarzuca jej, że trzyma wszystkich za progiem.

– Odkąd się tu znalazł, miał tylko jednego gościa – poinformował ich Nick, a Gwen musiała wrócić myślą do

celu swojej wyprawy. – Nie chciał rozmawiać z obrońcą z urzędu i ani razu nigdzie nie dzwonił.

– Kim był gość? – spytał Tully.

– Dokładnie nie wiem. Prokurator okręgowy Richardson osobiście prowadzi tę sprawę. Nie znam szczegółów, ponieważ nie byłem w to włączony. Zdaje się, że ten gość wpisał się jako kolega z college'u.

Drzwi windy otworzyły się, Nick znów przytrzymał je dla Gwen. Tully został w tyle, wciśnięty w kąt, potem ruszył za nimi wolno, jakby nie chciał niczyjej pomocy, kiedy Nick prowadził ich gwarnym korytarzem. Gwen nienawidziła tych męskich walk o terytorium. Gdyby jej tu nie było, przerzucaliby się wynikami meczów piłkarskich i udawali starych dobrych kumpli.

– Skąd wiedział, że on tu jest? – pytał dalej Tully, w końcu zrównawszy się z nimi.

– Słucham?

– Skąd ten kolega z college'u wiedział, że Pratt tu jest, skoro Pratt nigdzie nie dzwonił?

Nick zwolnił i zerknął na Tully'ego przez ramię. Jak stwierdziła na podstawie jego miny Gwen, żałował, że nie zdążył zdobyć więcej informacji na temat tej sprawy. Miała ochotę stanąć w jego obronie, a jednocześnie zastanawiała się, czy Tully kiedykolwiek starał się zrobić na kimś dobre wrażenie przy pierwszym spotkaniu.

– Dobre pytanie. Dowiem się i odpowiem panu – rzekł wreszcie Nick. – No, jesteśmy. – Pokazał im drzwi na końcu korytarza.

Tym razem Tully był po właściwej stronie i złapał za klamkę, nie dając Nickowi szansy. Otworzył szeroko drzwi, zapraszając swych gości do środka. Gwen mało nie przewróciła oczami. Zrezygnowała, bo pewnie potraktowałby to jako zachętę do dalszych potyczek.

– Jest już gotowy na spotkanie z wami – wyjaśniał Nick – ale jeśli chcecie trochę odpocząć…

– Nie – przerwała mu Gwen. – Szkoda czasu.

Nick zaprowadził ich kolejnym korytarzem do drzwi, przy których stał umundurowany strażnik.

– Będziemy z agentem Tullym przy drzwiach obok – powiedział Nick, wskazując jej owe drzwi. – Burt zostanie tutaj, więc gdyby coś się działo lub gdyby pani chciała skończyć i wyjść, proszę tylko powiedzieć słowo, dobrze?

– Dziękuję, Nick. – Posłała mu uśmiech, licząc, że go tym uspokoi. – Znam procedurę, proszę się nie martwić. Nic mi nie będzie.

Tak, zna procedurę, przesłuchiwała wielu kryminalistów, dużo twardszych i bardziej niebezpiecznych niż ten chłopak. Wyśliznęła się ze swojego trencza London Frog, zdjęła zegarek, kolczyki i korale z perełek, włożyła to wszystko do torebki, a potem podała płaszcz i torebkę Nickowi. Sprawdziła jeszcze żakiet i odpięła z klapy złotą broszkę w kształcie gołębia. Nick otworzył jej torebkę, a ona ostrożnie wsunęła broszkę.

Rzuciła jeszcze okiem na spódnicę, buty i guziki, by upewnić się, że nie ma na sobie nic ostrego, a potem pochyliła się nad torbą podróżną i wyjęła z niej zwykły żółty

zeszyt, nie żaden tam kołonotatnik, i najzwyczajniejszy w świecie ołówek numer 2. Nauczyła się już, że najprostsze pióro da się rozebrać w ciągu paru sekund, a potem wykorzystać do otwarcia zamka albo najlepszych nawet kajdanek.

Wreszcie nabrała głęboko powietrza i skinęła na Burta, żeby otworzył drzwi. Tak, zna procedurę. Za żadne skarby nie okazuj słabości. Natychmiast pokaż mu, że nie dasz się zastraszyć jego wulgarnymi komentarzami ani obleśnymi spojrzeniami.

Kiedy jednak młody mężczyzna siedzący po drugiej stronie drewnianego stołu podniósł na nią wzrok, Gwen zobaczyła coś, co przeraziło ją o wiele bardziej niż obsceniczne gesty albo gwizdy. W oczach Erica Pratta widziała czysty, niezaprzeczalny strach. I to ona była źródłem tego strachu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Dowództwo FBI
Waszyngton

Maggie rozłożyła dokumenty na dużym blacie, który Keith Ganza przygotował dla niej, odsuwając swoje supernowoczesne mikroskopy i stojaki z pustymi fiolkami.

– Zaczekamy na detektyw Racine? – spytał, zerkając na zegarek

– Wiedziała, o której zaczynamy. – Maggie starała się zachować spokój. Powoli zaczynała zmieniać zdanie na temat Racine, i wtedy ta znowu zrobiła coś, co ją zdenerwowało. – Jedyny wypadek, jaki znalazłam w naszym rejestrze, to topielec wyłowiony z Falls Lake na północ od Raleigh. Kobieta znaleziona jakieś dziesięć dni temu. – Wyciągnęła zeskanowane fotografie. – Miała dwadzieścia dwa lata i była studentką college'u w Wake Forest.

– Topielec. – Ganza zerknął jej przez ramię. – Ile czasu spędziła w wodzie?

– Według raportu koronera kilka dni. – Pokazała mu przefaksowany raport. – Ale wiesz równie dobrze jak ja, że w przypadku topielców trudno jest określić czas zgonu.

– To mi nie wygląda na tego naszego gościa. A co na to nasze archiwa?

– Jest kilka podobieństw. Miała usta zaklejone taśmą i jakiś papier upchnięty w gardle. Na jej nadgarstkach są ślady po kajdankach, a na szyi odciski po czymś, czym ją duszono. – Wyjęła kolejne zdjęcia. Były to zbliżenia szyi i nadgarstków.

– Czy miała złamaną kość gnykową?

Maggie przeciągnęła palcem w dół raportu koronera, aż znalazła właściwy fragment.

– Tak. Sprawdź na zdjęciu. Na szyi jest o wiele więcej siniaków, niż mógłby zrobić sznur. Ten facet lubi posługiwać się rękami, kiedy jest już zdecydowany zabić.

Ganza uniósł do góry zdjęcie przedstawiające całe ciało ofiary.

– Na jej pośladkach są plamy opadowe, czyli mogła umrzeć w pozycji siedzącej. Co znaczy, że musiałaby tak siedzieć godzinami, zanim przyszedł i wrzucił ją do wody. Ale po co ją topił? Nasz facet lubi zostawiać upozowane ofiary.

– Może to nie on ją wrzucił do wody. Szeryf z Wake County powiedział mi, że mniej więcej dwa tygodnie temu mieli małą powódź i jezioro wystąpiło z brzegów.

– To by wszystko wyjaśniało. Mamy jakieś DNA? Co z jej paznokciami?

– Nic, wszystko zostało wymyte.

– Cholera, za czyściutka jak dla nas. Aha, mam wstępne wyniki DNA z materiału pobranego od córki Briera – rzekł Ganza, przeglądając dokumenty i zdjęcia.

– I?

– Pod jej paznokciami znaleziono obce DNA, ale to nie jest to samo DNA, które wykazuje sperma. – Ganza nie był tym zdziwiony, Maggie też nie. Niezależnie od tego, co myślał senator Brier, dowody wskazywały na to, że wcześniej tego samego wieczoru jego córka odbyła stosunek seksualny za własną zgodą.

– Co jeszcze mamy?

– Znaleziono obce odciski palców na jej torebce. Sprawdzimy je z naszą bazą danych. To oczywiście o niczym nie świadczy, bo wy, dziewczyny, wymieniacie się rzeczami.

– Mało wiesz o dziewczynach, Ganza. Ja się z nikim nie wymieniam, a już na pewno nie czymś tak osobistym jak torebka.

– Mało wiesz o dziewczynach, O'Dell. Kiedy ostatnio nosiłaś torebkę?

– No dobra, punkt dla ciebie.

Czuła, że się czerwieni, zdumiona, że zwrócił uwagę na taki drobiazg. Tak, przyznawała to niechętnie, ale to prawda, że nigdy nie była typową nastolatką, i raczej nie będzie już typową kobietą. Mimo to zawstydziło ją, że ten niechlujny pomarszczony relikt, ten zasuszony ekspert medycyny sądowej wie więcej niż ona o kobietach i ich rekwizytach.

– Jeszcze jedno. – Podszedł do metalowej szafki w rogu i przyniósł z niej plastikowy woreczek, w jakim przechowuje się dowody rzeczowe. Maggie od razu rozpoznała znajdujący się tam preparat mikroskopowy z kawałkiem przyklejonej doń przezroczystej taśmy. Na szkiełku była

substancja, którą ona i Stan pobrali z szyi Ginny Brier. – Zatrzymajmy się przy tym na chwilę – powiedział Ganza, podchodząc do drzwi, obok których znajdował się wyłącznik światła. – Pamiętaj, że sznur, linka czy drut, którym posługuje się ten gość, musi być pokryty tą substancją, okej?

Kiedy wyłączył światło, brokatowa substancja na preparacie zaczęła świecić w ciemności.

– Co, do diabła?

– Jeśli dowiemy się, skąd to pochodzi, może przy okazji dowiemy się czegoś o mordercy.

Zapalił światło.

– Może to coś, czego używa się w magii albo w teatrze? – zasugerowała Maggie. – Może znajdziemy odpowiedź w sklepie z dziwacznymi gadżetami albo w pracowni kostiumów.

– Może. Zastanawia mnie jednak, czy on używa tego, ponieważ to zmyślny gadżet, czy po prostu dlatego, że ma to cały czas pod ręką.

– Moim zdaniem to pierwsze. – Maggie uniosła znowu slajd. – Ten facet lubi zwracać na siebie uwagę. Lubi urządzać przedstawienia.

Kiedy wróciła wzrokiem do Ganzy, grzebał znowu w rozłożonych na blacie dokumentach. Wskazał na kopię zniszczonego kawałka papieru znalezionego w gardle wyłowionej dziewczyny.

– Żadnych dokumentów, żadnej kapsułki, żadnych monet. Co to jest w takim razie?

Mimo zgnieceń widać było, że to jakiś plan z listą dat i miejscowości. Maggie wyciągnęła inną kartkę z kieszeni swojej kurtki.

– Poznajesz? – spytała, rozwijając kopię ulotki Kościoła Duchowej Wolności. Tej, którą Tully znalazł po sobotnim spotkaniu modlitewnym wielebnego Everetta. Z jednej strony znajdowała się lista z datami i nazwami miast, czyli plan jesiennych spotkań. – Spójrz na pierwszy listopada. W tamtym tygodniu spotkanie miało się odbyć w Centrum Rekreacyjnym Falls Lake w Raleigh, w Karolinie Północnej. Nie mów mi, że to przypadek, bo wiem…

– Taa, taa, ja też wiem. Nie wierzysz w zbiegi okoliczności. A jak ma się do tego ta bezdomna? Nie było w pobliżu żadnego spotkania. Jeśli Prashard nie pomylił się we wstępnej ocenie, została zamordowana także w sobotę w nocy.

– Jeszcze tego nie rozgryzłam.

– Maggie, to wszystko wskazuje tylko, że ktoś chce, byśmy zobaczyli, że Everett ma z tym jakiś związek. Zabójstwo córki senatora Briera wygląda jak zemsta za śmierć tamtych chłopców w domu letniskowym. Ale pozostałe, ta topielica, ta bezdomna… – Ganza machnął ręką nad rozłożonymi zdjęciami, raportami i faksami. – To znaczy tylko, że ktoś chce nas doprowadzić do Everetta. Ale nie znaczy, że on maczał w tym palce.

– Och, on z pewnością maczał w tym palce – rzuciła Magie, zdumiona złością w swoim głosie. – Nie wiem jak ani dlaczego, ale coś mi mówi, że wielebny Everett jest

w pewnym sensie odpowiedzialny za to wszystko. Może nie bezpośrednio, ale jest.

– A może bezpośrednio – powiedziała Racine, pojawiając się w drzwiach. Jej jasne sterczące włosy potargał wiatr, twarz miała zarumienioną i właśnie łapała oddech. Weszła, trzymając w ręku egzemplarz „National Enquirer”. Na okładce znajdowało się zdjęcie Ginny Brier, która trzyma się za ręce z wielebnym Everettem. Nie patrząc na gazetę, Racine wyrecytowała podpis: – Chwilę przed śmiercią córka senatora podczas spotkania modlitewnego. Prawa autorskie... nasz dobry znajomy pieprzony Benjamin Garrison.

– Garrison? – Maggie się nie zdziwiła. Spotkała go tylko przelotnie przy pomniku, ale nie wzbudził jej zaufania, a przede wszystkim nie ufała jego motywom.

– Okej, czyli Everett poznał Ginny Brier. Ale nie ma żadnych obciążających go dowodów. Nic się nie stało. Wiedzieliśmy już wcześniej, że tam była. Po co ta para w gwizdek, Racine?

– Och, dalej jest dużo ciekawiej. – Racine gwałtownie rozerwała pismo, by dostać się do środka, i szybko wygładziła zgniecenia, by wreszcie pokazać im właściwą stronę. Tym razem Maggie i Ganza podeszli bliżej.

– Sukinsyn – mruknął Ganza.

– Powinnam była wiedzieć, że nie można ufać draniowi – rzuciła Racine przez zaciśnięte zęby.

Maggie aż jęknęła. Stronę gazety zapełniały zdjęcia z miejsca zbrodni, zdjęcia ciała Ginny Brier, tylko czarne

kwadraciki zakrywały intymne obszary na jej ciele. Ale niczym nie zasłonięto całej koszmarnej reszty. Niczym nie zasłonięto tych przerażających oczu – zamrożonych w czasie, szeroko otwartych oczu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Eric Pratt słyszał i czuł, jak mu się łamią paznokcie, kiedy wbił je w rowki w kajdankach. Stało się to jego nowym zwyczajem, którego jedyna korzyść polegała na tym, że dzięki temu nie wbijał ostrych paznokci w swoje ciało.

Powinien być wdzięczny strażnikowi, który pozwolił mu trzymać razem ręce i nie przypiął ich z obu stron do jego boków. Ci, którzy go trzymali w niewoli, źle odczytali jego grzeczne zachowanie, może nawet doszli do wniosku, że nie jest groźny. Chociaż nie do końca, pobrzękiwał bowiem kajdankami wokół kostek, przypominając sobie o ich istnieniu. Poprawił się na krześle. Nie wolno mu się tak wiercić. Dlaczego nie może usiedzieć spokojnie?

Gdy tylko ta kobieta weszła do pokoju, Eric zalał się zimnym potem. Przedstawiła się jako lekarka, ale on wiedział swoje. Była drobna, dobrze ubrana, mniej więcej w wieku jego matki, ale bardzo atrakcyjna. Była zrównoważona i pewna siebie i nie przeszkadzały jej w tym wysokie obcasy. Kiedy skrzyżowała nogi, usiadłszy na metalowym składanym krześle, jego wzrok powędrował ku jej nogom. Miała gładkie, jędrne łydki, widział też fragment jej ud, i pod tym względem nie przypominała jego matki.

Wyjaśniła mu powód swojej wizyty. Zerkał na jej usta, ale nie słuchał. Wiedział przecież, po co przyszła. Wiedział w momencie, kiedy stanęła w drzwiach.

Była ubrana w słoneczne barwy. Jej rudawoblond włosy mówiły same za siebie. Otaczały jej twarz jak promienie słońca. Jej oczy były, oczywiście, ciepłe i zielone, była opanowana i ujmująca, mówiła spokojnym, hipnotycznym głosem, a jej ciało kusiło i zbijało z tropu. Ojciec Joseph przeszedł samego siebie. Przysłał mu wizję wprost z opisu Apokalipsy św. Jana. Czyżby naprawdę wierzył, że Eric jej nie pozna?

Czuł pot na swych plecach. Jej głos szumiał mu w uszach, nie odróżniał słów, była to melodia – pieśń śmierci szatana, piękna i fascynująca. Ale on nie pozwoli się zahipnotyzować. Nie pozwoli się wciągnąć i zniewolić. Jednak ona była dobra. Och, była bardzo dobra z tym swoim uprzejmym uśmiechem i seksownymi nogami. Gdyby nie był przygotowany przez wizytę Brandona, dałby się złapać w tę sieć, zostałby wchłonięty, zanimby sobie zdał sprawę z prawdziwego powodu jej wizyty.

Klik, klik – jego paznokcie rozdrapywały metal. Jeden z palców zaczął już krwawić. Czuł to, ale trzymał ręce na kolanach, udawał, że nic się nie dzieje, udawał, że strach go nie ściska, nie wali w ściany jego żołądka i nie próbuje go udusić.

Spojrzał jej w oczy, zobaczył jej uśmiech i szybko się odwrócił. Czy to ta sekretna broń? Jeśli nie zahipnotyzuje go głosem, będzie próbowała to samo zrobić wzrokiem? Był ciekaw, w jaki sposób chce go zabić. Lustrował ją oczami od stóp do głów, szukając jakiegoś zgrubienia pod jej ubraniem.

Z całą pewnością strażnicy bez problemu wpuścili ją tu ze wszystkim, co tylko nie było zbyt widoczne. Nie chcą w nic się mieszać, udają ślepych i głuchych, byle tylko pozory były zachowane. Nie powstrzymają jej, nawet gdyby mogli to uczynić, po prostu spóźnią się z interwencją. W końcu Ojciec mówił, że kobiety ubrane w słońce mają specjalną moc, jak głosi Ewangelia według św. Jana oraz Apokalipsa św. Jana, 12,1-6. A ta kobieta była światłem. Była ciemnością. Była dobrem i złem. Była wysłanniczką szatana i mogła bez trudu zmieniać oblicze.

Eric przypomniał sobie artykuł z gazety, który Ojciec czytał im parę miesięcy wcześniej. Nikt z członków Kościoła nie miał dostępu do gazet i czasopism. Nie było takiej potrzeby, skoro Ojciec wziął na siebie ciężar dostarczania im tych wiadomości, które były istotne, ze źródeł, którym ufał.

Teraz Eric przypomniał sobie opowieść o zagranicznym dyplomacie, który przyjechał do Stanów z jakiegoś imperium zła. Eric nie zapamiętał nazwy tego kraju. Dyplomata ów został zamordowany w pokoju hotelowym. Mówiono, że kobieta, która go zabiła, siedziała na nim okrakiem i czekała, aż się podnieci, i wtedy podcięła mu gardło. Ojciec posłużył się tym jako przykładem wymierzonej sprawiedliwości. Czy to ten artykuł zasugerował mu, żeby przysłać do Erica kobietę?

Zauważył, że wysłannica szatana postukuje ołówkiem w leżący na stole notes, który był całkiem pusty, bez jednego zapisanego słowa. Ołówek był świeżo naostrzony,

końcówka sterczała jak ostrze sztyletu. Dochodziły do niego niektóre ze słów kobiety, na przykład „pomoc” i „współpraca”. Ale on wiedział swoje. Nie da się wciągnąć przez jej zaszyfrowane słowa. Równie dobrze mogła mówić: „zabić” i „okaleczyć”. I tak znał ich prawdziwe znaczenie.

Stuk stuk, stuk stuk – patrzył na ołówek i starał się zlekceważyć panikę, która ściskała mu płuca. Pokój jakby się skurczył. Głos kobiety szumiał monotonnie. Stuk stuk, stuk stuk. Serce biło mu w uszach. A może to ten ołówek?

Zmusił się, żeby spojrzeć jej w oczy. Już raz przechytrzył szatana. Czy uda mu się raz jeszcze?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Gwen zmieniła pozycję na krześle i skrzyżowała nogi. Pratt znowu jej się przyglądał, gapił się na jej łydki. Bezczelny typ w ogóle jej nie słuchał. Czyżby mylnie odczytała jego początkową reakcję, ten absolutny strach w jego oczach, kiedy weszła do pokoju? Jeśli nie był to strach, to co to, do diabła, było? Czyżby myliła się, sądząc, że chciał przeżyć, chciał znaleźć bezpieczne niebo?

Nie odpowiedział jej na żadne pytanie. Patrzył wszędzie, byle nie w jej oczy, jakby była Meduzą i mogła zamienić go w kamień. A może po prostu nie lubi psychologów? Może dzieciak ma dość doktorów od duszy i nie ufa już nikomu? A jednak gdzieś w głębi zastanawiała się, czy prawdziwym powodem jego uników, tego okropnego rozkojarzenia, które uniemożliwiało prawdziwy kontakt, nie jest przypadkiem fakt, że ona reprezentuje jakąś siłę, której on nie jest w stanie się przeciwstawić?

Jeśli ich teoria jest słuszna, Eric Pratt był przez pewien czas przez kogoś manipulowany i kontrolowany. Był kukłą w czyichś rękach, gotową zabić i zginąć. Może ten ktoś, prawdopodobnie wielebny Joseph Everett, wciąż ma nad nim moc, mimo odizolowania Erica. Ale z drugiej strony coś kazało jednak temu chłopcu wypluć kapsułkę z cyjankiem. Wygrał instynkt samozachowawczy. Musi słuchać swojego

instynktu, myślała Gwen. Musi wierzyć, że jest silniejszy od strachu przed Everettem.

– Jesteś jedyny, który przeżył, Eric. Dlatego wciąż się tu znajdujesz. Chcę ci pomóc. Czy sądzisz, że mogę ci jakoś pomóc?

Czekała, niecierpliwie stukając ołówkiem o notes. Chłopak wydawał się zahipnotyzowany tym ruchem. Usiłowała przywołać w pamięci raporty. Czy toksykolog znalazł w kapsułce jakiś narkotyk? Ten chłopak wyglądał jak narkoman na odlocie. Gdyby spojrzał jej w oczy, mogłaby sprawdzić to po jego źrenicach. Czy dlatego wciąż odwraca od niej wzrok?

– Nie musisz być sam w tej trudnej sytuacji. Samotność to najgorszy doradca. Możesz ze mną porozmawiać. – Mówiła spokojnie i cicho, uważając, żeby nie brzmiało to jak mowa do małego dziecka. Nie chciała go urazić. Jeśli chłopak się boi, musi go przekonać, że może jej zaufać. Niestety na razie zupełnie się na to nie zanosiło.

Zauważyła krople potu na jego czole i nad górną wargą. Krótkie spojrzenie w jego oczy kazało jej zastanowić się, czy chłopak w ogóle jest obecny. Czyżby naprawdę kompletnie odleciał? Spod stołu dobywało się denerwujące stukanie. Pomyślała, że traci czas. Ta wyprawa to niewypał, a przełożyła z jej powodu tyle spotkań ze swoimi pacjentami.

Wtem zupełnie przypadkiem upuściła ołówek.

Krzesło Erica zaskrzeczało, chłopak rzucił się pod stół. Zagrzechotały kajdanki u jego nóg, zanurkował tak szybko,

że Gwen mignął tylko przed oczami jego pomarańczowy kombinezon. Chciała sama pochylić się po ołówek, odsunęła krzesło, ale spóźniła się, był od niej szybszy. Tkwiła na czworakach, usiłując podnieść się na nogi. Słyszała szybkie kroki na korytarzu i otwierający się zamek w drzwiach, i w tej samej chwili jej głowa odchyliła się gwałtownie do tyłu.

Mimo że chłopak leżał na podłodze, zdołał złapać ją za włosy. Ciągnął ją tak mocno, aż straciła równowagę. Pociągnął raz jeszcze, uderzyła w jego klatkę piersiową. Widziała teraz jedynie trzy pary butów, które się nagle zatrzymały w biegu. I wtedy poczuła na swoim gardle ołówek, ostrą końcówkę przyciśniętą do swojej żyły. Zaraz przebije jej skórę. Owładnięta przerażeniem, stwierdziła, że okazała się skończoną idiotką, temperując ołówek właśnie tego ranka.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Tully stał z wycelowanym w głowę chłopaka glockiem. Pod tym kątem na pewno by nie chybił. Powinien strzelić, ale ten wykolejeniec wciąż wbijał ołówek w szyję doktor Patterson. Cholera! Dlaczego nie pomyślał wcześniej o tym ołówku?

– Ericu, daj spokój. – Morrelli starał się przemówić chłopakowi do rozumu, ale z oszalałego wzroku Pratta Tully wywnioskował, że nie da mu się niczego wybić w ten sposób z głowy.

Morrelli nie poddawał się jednak.

– Przecież nie chcesz tego zrobić, Ericu. I tak masz dość kłopotów. Możemy ci pomóc, ale nie...

– Zamknij się! Zamknij się, kurwa! – wrzasnął chłopak i pociągnął do tyłu głowę doktor Patterson, jeszcze bardziej eksponując jej szyję.

Kajdanki krępujące ręce pozwalały mu trzymać ją ze włosy tylko jedną ręką, w drugiej zaś ściskał ołówek z zaostrzonym końcem wbitym w skórę jej szyi. Na razie Tully nie widział krwi. Ale wystarczy jeden ruch, i może wytrysnąć niezła fontanna. Jezu Chryste!

Nie spuszczając oczu z Pratta, Tully próbował ocenić sytuację doktor Patterson. Jedną nogę miała zgiętą pod siebie. Prawą rękę instynktownie wyciągnęła do góry, chwytając napastnika za ramię i mocno ściskała rękaw jego

pomarańczowego kombinezonu. Pratt albo tego nie zauważył, albo mu to nie przeszkadzało. To dobrze. A zatem w pewien sposób miała go pod kontrolą, chociaż trzymała go za tę rękę, którą ciągnął jej włosy, a nie tę z ołówkiem. Zerknął na jej twarz. Wydawała się spokojna, ale gdy zajrzał jej w oczy, zobaczył w nich strach. Strach jest dobry, bo można nim sterować. Panika przeciwnie.

– Co byś chciał, żebyśmy dla ciebie zrobili, Ericu? – próbował dalej Morrelli.

Było oczywiste, że oszukuje dzieciaka, ale przynajmniej skupiał na sobie jego uwagę. Tully był pod wrażeniem. Morrelli trzymał ręce spokojnie spuszczone u boków. Stał między dwoma mężczyznami z wyciągniętą bronią. Rozmawiał z chłopakiem, jakby miał przed sobą znajdującego się na krawędzi wieżowca niedoszłego samobójcę.

– Porozmawiaj z nami, Ericu. Powiedz nam, czego chcesz.

– Ericu – odezwała się cicho doktor Patterson – wiesz sam, że nie chcesz mnie skrzywdzić. – Mówiła powoli, z wysiłkiem artykułując słowa, w taki sposób, żeby się nie poruszyć ani nie przełknąć, i udało jej się to bez śladu strachu w głosie.

Tully natychmiast pomyślał, że być może nie pierwszy raz znalazła się w takich tarapatach.

– Nie, nie chcę cię skrzywdzić – odparł Pratt, lecz zanim odetchnęli, dodał: – Chcę cię zabić.

Kątem oka Tully dojrzał, że Morrelli lekko się przesuwa. Miał nadzieję, że napastnik nie zrobi nic głupiego. Zerknął

znowu na doktor Patterson, tym razem starając się przyciągnąć jej wzrok. Kiedy mu się to udało, skinął jej ledwie dostrzegalnie głową, licząc, że go zrozumie, że zna te policyjne sztuczki. Patrzyła na niego, skupiona na jego twarzy, po czym przeniosła wzrok na jego rękę i palec trzymany na spuście.

– Ericu. – Morrelli postanowił spróbować raz jeszcze. – Jak dotąd nie jesteś oskarżony o morderstwo, tylko o posiadanie broni. Nie zamierzasz chyba tego zrobić. Doktor Patterson chce ci tylko pomóc. Nie przyszła tu, żeby zrobić ci coś złego.

Tully trzymał chłopaka na celowniku. Jego palec wyrywał się, żeby nacisnąć spust. Czekał jednak, wciąż patrząc na dłoń Patterson zaciśniętą na pomarańczowym rękawie.

– Ona jest szatanem – szepnął Eric. – Czy żaden z was tego nie widzi? Ojciec Joseph ją przysłał. – Ścisnął mocniej ołówek, przebijając skórę, na której pojawiła się krew. – Przyszła mnie zabić. Muszę ją zabić pierwszy.

Tully słyszał, jak Burt odbezpiecza broń. Cholera! Nie mógł mu dać sygnału, bo dzielił ich Morrelli. Ponownie spotkał się wzrokiem z Patterson. Była gotowa, chociaż się bała. Po raz wtóry skinął jej głową.

– Muszę ją zabić – powtórzył Eric i coś w jego głosie powiedziało Tully’emu, że chłopak to zrobi. – Muszę ją zabić, zanim ona mnie zabije. Muszę. Nie mam wyboru. Zabić albo zginąć.

Tully widział, jak Patterson zaciska dłoń na pomarańczowym rękawie. Dobrze. Obserwował jej palce,

mając cały czas przed oczami swojego glocka. Wtem Patterson gwałtownie szarpnęła się w dół. Wprawdzie Pratt nie puścił jej włosów, lecz ona przekręciła głowę, odsuwając się od ołówka. Tully nie tracił czasu. Nacisnął spust, roztrzaskując lewe ramię chłopaka. Pratt otworzył palce. Ołówek upadł na podłogę. Doktor Patterson wbiła napastnikowi łokieć w żebra, a on wypuścił z garści jej włosy. Odsunęła się natychmiast na czworakach, a Burt siedział już na Ericu, przyciskając jego twarz do podłogi. Wściekły strażnik postawił na krwawiącym ramieniu chłopaka wielki czarny but i przystawił mu broń do skroni.

– Spokojnie, Burt. – Morrelli stał już przy nim.

Tully zawahał się, zanim podszedł do doktor Patterson. Została na podłodze, siedząc na piętach, jakby czekała na siłę, która pozwoli jej wstać. Przyklęknął przed nią, ujął jej brodę i delikatnie uniósł, żeby spojrzeć na jej szyję. Pozwoliła na to badanie, patrząc Tully'emu w oczy i ściskając go za rękę, jakby bała się, że ją za chwilę zostawi.

Wytarł krople krwi z jej szyi. Ołówek tylko lekko przebił skórę.

– Będzie pani miała niezłego siniaka, pani doktor. – Spotkali się wzrokiem. Tully szukał w jej oczach strachu, ale ona już panowała nad sobą. A przynajmniej starała się zapanować i szło jej to całkiem nieźle.

– Musimy panią zabrać do gabinetu – powiedział Morrelli.

– Nic mi nie będzie – zapewniła go, posyłając Tully'emu przelotny speszony uśmiech, potem odsunęła się od niego,

zabierając rękę. Nie odrzuciła jednak jego dłoni, kiedy pomagał jej się podnieść. Miała bose stopy, w tej szamotaninie zgubiła gdzieś buty.

– Ona jest szatanem, antychrystem. Ojciec Joseph przysłał ją, żeby mnie zabiła! – wykrzykiwał Pratt jak szalony. – Oślepliście wszyscy czy jak?

– Zabierz go do diabła – powiedział Morrelli Burtowi, który postawił chłopaka na nogi i pchnął go przed siebie, a zaraz popchnął jeszcze mocniej, kiedy Pratt zaczął znowu krzyczeć.

Tully podniósł przewrócone krzesło i przyniósł je Patterson. Machnęła ręką, rozglądając się dokoła w poszukiwaniu butów. Tully zobaczył jeden z nich i wczołgał się pod stół. A kiedy wstał, Morrelli klęczał właśnie na jednym kolanie, wkładając na stopę Patterson drugi ze zgubionych butów. Trzymał jej stopę w kostce niczym książę z bajki o Kopciuszku. Tully natychmiast przypomniał sobie, jak bardzo nie lubi tego gościa, w ogóle nie lubił takich typków. Morrelli odwrócił się do niego, tkwiąc wciąż na tym cholernym kolanie i wyciągając rękę po drugi but. Tully podał mu swoją zdobycz.

Kiedy zerknął na twarz doktor Patterson, przekonał się, że patrzyła na niego, a nie na klęczącego przed nią księcia.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

West Potomac Park
Waszyngton

Maggie zatrzymała się przy automacie z wodą i napiła się z miniaturowej fontanny kilka porządnych łyków. Jak na listopad popołudnie było wyjątkowo ciepłe. Ledwie zaczęła biegać, a już się zgrzała, szybko więc ściągnęła bluzę i zawiązała ją w talii.

Teraz ją znów odwiązała i wytarła pot z czoła i wodę z brody, rozglądając się przy tym wokół siebie. Szukała wzrokiem kobiety, z którą wcześniej rozmawiała przez telefon i przekazała długą instrukcję, ale zapomniała dołączyć do niej swój rysopis.

Maggie znalazła w końcu drewnianą ławkę na trawiastym pagórku, dokładnie w miejscu wskazanym przez ową kobietę. Roztaczał się stąd widok na Vietnam Wall. Potem położyła stopę na oparciu ławki i zaczęła wykonywać ćwiczenia rozciągające, które rzadko robiła po biegu, bo zawsze wydawało jej się, że brak jej na to czasu. Tym razem została o to poproszona, podobnie jak o niewkładanie na siebie niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób sugerować, że jest agentką FBI. Żadnych koszulek z nadrukiem, żadnej broni rozpychającej się pod ubraniem, żadnych oznak, no i nic w kolorze granatowym.

Niewskazana była nawet czapka z daszkiem ani ciemne okulary.

Maggie zastanawiała się – nie po raz pierwszy zresztą – co dobrego może wyniknąć z rozmowy z tak paranoiczną osobą. Istniała szansa, że uzyska jakąś złudną, urojoną perspektywę. Jakąś wypaczoną wizję rzeczywistości. Z drugiej strony była zadowolona, że Cunningham i senator Brier znaleźli kogoś, kto w ogóle chce mówić. Asystent z biura senatora wyśledził tę kobietę, która co prawda zgodziła się spotkać z Maggie, lecz upierała się przy zachowaniu anonimowości. Maggie nie przeszkadzała ta gra, o ile tylko rozmówczyni, była wyznawczyni Kościoła Everetta, przedstawi jej taki jego obraz, jakiego na pewno nie znajdzie w żadnych dokumentach FBI. I na pewno nie usłyszy z ust własnej matki.

W parku więcej było młodzieży niż turystów. Młodzi ludzie zajmowali chodniki, wspinali się po schodach Lincoln Memorial i krążyli wokół pomników z brązu poświęconych Weteranom z Korei i Kobietom Wietnamskim.

Wycieczki szkolne. Emma Tully też była tu na wycieczce. Widocznie listopad to w szkołach miesiąc takich eskapad, chociaż w większości wypadków ich edukacyjny charakter całkowicie się gdzieś gubił. Tak, poza uczniami było tu bardzo niewielu turystów.

I wtedy Maggie ją zobaczyła. Kobieta ubrana była w wypłowiałe, jasnoniebieskie luźne dżinsy i koszulę ze sztruksu z długimi rękawami. Skromnie umalowaną twarz schowała za okularami przeciwsłonecznymi z dużymi

szkłami. Była wysoka i chuda. Długie brązowe włosy związała w koński ogon. Z jej szyi zwieszał się aparat fotograficzny, na ramieniu miała plecak. Przystanęła, wyjęła kartkę, przyłożyła ją do ściany i przekalkowała sobie coś ołówkiem.

Wyglądała na przeciętną turystkę, członka rodziny, który oddaje hołd komuś bliskiemu, żołnierzowi poległemu na wojnie. Po zrobieniu trzech przebitek podeszła i usiadła na ławce obok Maggie. Wyciągnęła z plecaka kanapkę zapakowaną w pergamin, paczkę doritos i butelkę wody. Zaczęła jeść, w milczeniu patrząc na park. Przez chwilę Maggie zastanawiała się, czy to na pewno jej tajemniczy kontakt. Spojrzała raz jeszcze na turystów przy ścianie. Może była wyznawczyni Everetta rozmyśliła się jednak i nie przyszła?

– Zna pani kogoś z tej ściany? – nagle spytała kobieta, nie patrząc na Maggie i popijając wodę.

– Tak – odparła Maggie, spodziewając się właśnie tego pytania. – Mojego stryja, brata mojego ojca.

– Jak się nazywa?

Była to zwyczajna wymiana zdań, jaka zdarza się między dwoma obcymi sobie osobami siedzącymi na ławce w parku na wprost pomnika, który w jakiś sposób dotyczy każdego Amerykanina. Zwyczajna wymiana zdań, a przy tym jakże przebiegła.

– Nazywał się Patrick O’Dell.

Kobieta nie wykazała większego zainteresowania odpowiedzią, tylko z powrotem zaczęła jeść kanapkę.

– A pani jest Maggie – powiedziała, lekko pochylając głowę, gryząc kanapkę i obserwując grupę nastolatków, która na wzgórzu bawiła się w berka.

– Jak mam się do pani zwracać? – spytała Maggie, znając wyłącznie jej inicjały.

– Proszę do mnie mówić… – Zawahała się, wypiła łyk wody i spojrzała na butelkę. – Proszę mi mówić Eve.

Maggie zerknęła na naklejkę na butelce z wodą evian. To śmieszne. Ale w końcu imię nie ma znaczenia, jeśli tylko kobieta odpowie na jej pytania.

– Okej, Eve. – Odczekała chwilę. W pobliżu nie było nikogo, ścigająca się młodzież skupiała na sobie uwagę nielicznych spacerowiczów. – Co może mi pani powiedzieć o Everetcie i jego tak zwanym Kościele?

– Cóż… – Przeżuwała chrupki, częstując Maggie, która skorzystała z zaproszenia. – Kościół to tylko przykrywka, żeby zdobyć dotacje, zgromadzić pieniądze i broń. Ale on nie ma zamiaru zapanować nad światem ani przejąć rządów w żadnym kraju. Głosi słowo Boże tylko tym, którzy chcą go słuchać.

– A więc nie chce przejąć władzy czy choćby terroryzować rządu? To czego chce?

– Władzy, oczywiście. Władzy nad swoim małym światem.

– Więc nawet nie wierzy w Boga?

– Och, wierzy. – Eve odłożyła kanapkę i sięgnęła do plecaka, by wyjąć następną butelkę wody evian i podać ją Maggie. – Wierzy, że sam jest Bogiem. – Zawahała się, podnosząc do ust swoją butelkę. Obejmowała ją obiema

rękami, jakby musiała się czegoś trzymać. – On przemawia do tych, którzy nie wiedzą, kim są, do słabych i poszukujących, którzy nie mają się gdzie podziać. Mówi im, co mają jeść, w co się ubierać, z kim wolno im rozmawiać, a z kim nie wolno. Przede wszystkim mówi im, w co mają wierzyć. – Zadumała się na chwilę. – Przekonuje nas, że nikt poza Kościołem nas nie kocha i nie rozumie i że ci, którzy nie są z nami, są przeciw nam i chcą nas tylko zniszczyć. Każe nam zapomnieć o rodzinie i przyjaciołach, i wszystkich materialnych dobrach doczesnego świata, żeby odnaleźć prawdziwy spokój i stać się godnym jego miłości. Odziera nas ze wszystkiego, co czyniło z nas odrębne jednostki, co nas określało. Doprowadza do tego, że bez niego i jego Kościoła jesteśmy niczym.

Maggie przysłuchiwała się temu w milczeniu. Nie było w tym nic nowego. Dokładnie tak samo wyglądały inne sekty, o których czytała. Potwierdziło się tylko jej przekonanie, że Kościół Everetta to zasłona dymna dla jego żądzy władzy. Było jednak coś, czego nie pojmowała, a koniecznie musiała zrozumieć. W jej pytaniu zabrzmiała nuta zniecierpliwienia.

– To czemu ludzie się w to pakują, na Boga?

– Na początku człowiek chce wierzyć, że znalazł wreszcie swoje miejsce. – Eve mówiła spokojnie, nie poczuła się obrażona ani poniżona tym pytaniem. – Miejsce, do którego może należeć. Na różny sposób wszyscy jesteśmy zagubionymi duszami, szukamy czegoś, czego brakuje nam w naszym życiu. Poczucie własnej tożsamości i szacunku

dla siebie, czy jak to pani nazwie, są bardzo kruche. Kiedy człowiek nie wie, kim jest, łatwo stać się tym, co nas otacza. Kiedy czuje się zagubiony i samotny, dałby wszystko, byle to zmienić. Czasem oddałby nawet własną duszę.

Maggie wzdrygnęła się. Zmęczył ją i zaniepokoił demonstrowany na zewnątrz spokój tej kobiety. Wyglądało to na dobrze wyreżyserowane i wypróbowane przedstawienie. Może to spotkanie zostało ukartowane, może nawet zaaranżowane przez samego Everetta, by przekonać ją, że jego organizacja, choć zdecydowanie odbiegająca od powszechnie przyjętych norm, nie jest niebezpieczna. Maggie szukała jednak mordercy, a tymczasem Eve mówiła o Everetcie w taki sposób, jakby jego jedyną zbrodnią była kradzież dusz.

– To nie brzmi tak źle – powiedziała i napiła się wody, patrząc na Eve z ukosa. – Everett opiekuje się wami, karmi was i ubiera, podejmuje za was decyzje i daje wam za darmo dach nad głową. W zamian oczekuje tylko, żeby oddawać mu cześć, uznać za boskie wcielenie. I tyle. Dla mnie to wcale nie brzmi tak źle. I powiedzmy sobie szczerze, nikt nie może odebrać człowiekowi duszy bez jego zgody, prawda?

Zamilkła, częstując się chipsami postawionymi na ławce. Wreszcie Eve spojrzała na nią. Przesunęła okulary na czubek głowy i przyjrzała się Maggie badawczo, jakby szukała w niej czegoś głęboko ukrytego. Wyglądała starzej, niż spodziewała się Maggie. Teraz dostrzegła jej zmarszczki

pod oczami i wokół ust. Eve uśmiechnęła się, a w zasadzie lekko uniosła kąciki ust. Maggie przyszło do głowy, że ta kobieta przyzwyczaiła się panować nad swoimi uczuciami. Nawet w jej oczach nie było widać cienia emocji. Nie były co prawda zimne, były puste.

Eve odwróciła się raptem, jakby za bardzo się odkryła, i zsunęła ciemne okulary na nos.

– Bardzo ją pani przypomina – stwierdziła wciąż tym samym tonem.

– Słucham?

– Kathleen to pani matka, prawda?

– Zna pani moją matkę?

– Dołączyła do nas przed moją ucieczką.

Maggie czuła, że skrzywiła się na słowo ucieczka, choć Eve powiedziała to tak zwyczajnie, jakby rozmawiały o powrocie do domu po dniu pracy.

– Niech pani nie myśli ani przez chwilę – podjęła Eve, rozpinając koszulę i podciągając do góry rękawy, jakby nagle zrobiło jej się za ciepło – że Everett jest taki nieszkodliwy. On człowieka ratuje, podnosi, zapewnia o swojej miłości i zaufaniu, mówi pani, że jest pani wyjątkowa, że jest pani bożym darem. A potem rozrywa panią na kawałki. Odkrywa pani słabości i lęki, i wykorzystuje je, żeby panią upokorzyć i odebrać resztki godności. – Podwinęła rękawy i pokazała Maggie swoje nadgarstki. – Nazywa to „wysłaniem do studni” – powiedziała wciąż irytująco spokojnie i cicho. Wokół jej nadgarstków widniały czerwone ślady w miejscach, gdzie

skóra została naruszona i kiedyś musiała krwawić od sznura albo kajdanek, które wrzynały się w ciało. Rany wyglądały na świeże. Eve rozejrzała się dokoła i spuściła rękawy, biorąc do ręki następną kanapkę i odwijając ją z pergaminu, jakby nic się w tym czasie nie stało.

Maggie znowu odczekała chwilę, tym razem przez szacunek, nie zaś zniecierpliwienie. Idąc za przykładem Eve, napiła się wody i zjadła kilka chipsów.

– To prawdziwa studnia – ciągnęła Eve – choć wątpię, żeby zamierzał ją kiedykolwiek wykorzystywać w innym celu niż jako celę dla niepokornych. Wiedział, że boję się ciemności i zamknięcia, więc dla mnie była to idealna kara.

Patrzyła na nastolatków biegających na wzgórzu, choć Maggie nie była pewna, jaki naprawdę obraz pokazuje się oczom byłej wyznawczyni Everetta. Jej głos pozostał opanowany, ale jakby nieobecny.

– Kazał skrępować mi nadgarstki i spuścić do studni. Kiedy kopałam, wbijałam paznokcie w ziemię i próbowałam się stamtąd wydostać, kazał rzucać na mnie wiadra pająków. Spadały na moją głowę. To były chyba pająki, choć z powodu ciemności ich nie widziałam. Ale czułam je, czułam na całym ciele. Na włosach, twarzy i skórze, chodziły po mnie wszędzie. Nie mogłam nawet krzyczeć, bo bałam się, że wejdą mi do ust. Zamknęłam oczy i próbowałam się uspokoić, stać nieruchomo, żeby mnie nie kąsały. Przez wiele godzin usiłowałam schronić się w swoim umyśle. Pamiętam, że recytowałam w myśli wiersz Emily

Dickinson, raz za razem, i chyba to uchroniło mnie przed szaleństwem. „Jestem Nikim! A ty?”.

– „Czy jesteś – Nikim – Też?” – odpowiedziała Maggie linijką z wiersza.

– „Zatem jest nas aż dwoje? Pst! Rozejdzie się – wiesz!” [7] – dopowiedziała Eve.

– Umysł jest potęgą – powiedziała Maggie, myśląc o swoim dzieciństwie i wielokrotnych ucieczkach w głąb własnego umysłu, bardzo, bardzo głęboko.

– Everett zabrał mi wszystko, ale nie był w stanie odebrać mi rozumu. – Eve podniosła na nią wzrok, tym razem w jej głosie zabrzmiała złość. – Niech pani nie da sobie wmówić, że to nieszkodliwy człowiek. Everett każe im wierzyć, że chce tylko opiekować się nimi, a naprawdę każe im przepisać na niego domy i wszelkie dobra materialne, polisy ubezpieczeniowe, emerytury i alimenty. Wynagradza ich za to strachem. Strachem przed prawdziwym światem. Strachem przed prześladowaniami, jeśli go zdradzą. Strachem przed FBI. Przy takiej dawce strachu wolą przygotować się do samobójstwa niż zostać schwytani żywcem.

– Przygotować się do samobójstwa? – Słowa Eve nie pasowały Maggie do człowieka, który sprawił, że jej matka odstawiła alkohol. Wszystkie zmiany, które zauważyła u Kathleen, były zdecydowanie pozytywne. – Moja matka nie wydaje się przestraszona – stwierdziła.

– Bo może on jeszcze nie wie, jak ją wykorzystać. Czy pani matka zamieszkała już w obozie?

– Nie. Ma mieszkanie w Richmondzie i nie wspominała nic o przeprowadzce. – Dopiero teraz Maggie uspokoiła się. A zatem jej matka nie weszła w to jeszcze zbyt głęboko. Nie wyglądało na to, żeby znajdowała się w niebezpieczeństwie, o jakim mówi ta kobieta. – Bardzo lubi swoje mieszkanie, wątpię, żeby miała ochotę na przenosiny do obozu.

Eve potrząsnęła głową i znowu na jej wargach pojawił się ten półuśmiech.

– Bo jest dla niego cenniejsza na zewnątrz – powiedziała, nie patrząc na Maggie. – Szuka sposobu, a może już go znalazł, jak panią wykorzystać.

– Mnie?

– Proszę mi wierzyć, on doskonale wie, że córka Kathleen jest agentką FBI. Wie o pani wszystko. Może dlatego tak dobrze ją traktuje, ale jeżeli uzna, że pani mu się do niczego nie przyda albo że chce pani go zniszczyć… Cóż, proszę uważać. Ze względu na matkę.

– Muszę tylko przekonać ją, żeby trzymała się od niego z daleka.

– A ona oczywiście posłucha pani, bo jesteście sobie bardzo bliskie.

Maggie poczuła ukłucie ironii Eve pomimo jej spokojnego, przyjaznego tonu.

– Muszę iść – oznajmiła kobieta, pakując nagle swoje rzeczy i podnosząc się z ławki.

– Chwileczkę, musi być coś, co pani wie, a co mogłoby mi pomóc powalić Everetta.

– Powalić go?

– Tak, dokładnie.

– Nigdy go pani nie dosięgnie. Większość jego działań jest zupełnie legalna, a jeśli chodzi o te nie… Cóż, chyba nie wyobraża sobie pani, że ustawimy się w kolejce, żeby go oskarżać?

– Dlatego że wciąż się go boicie? Dlaczego pozwalacie mu kontrolować swoje życie? Możemy zapewnić wam ochronę.

– My? To znaczy rząd? – Roześmiała się szczerze, prawdziwie. Potem zarzuciła plecak na ramię. – Nie możecie mnie ochronić, dopóki nie złapiecie Everetta. A nigdy go nie złapiecie. Nawet jeśli będziecie próbować, on się o tym dowie. I ustawi ich w kolejce po kapsułki z cyjankiem, i zabije, zanim postawicie stopę na jego ziemi. – Zawahała się, rozejrzała po parku, upewniając się, czy jest bezpiecznie, jakby spodziewała się, że Everett wychynie zza drzewa albo zza pomnika.

– Co pani takiego zrobiła? – spytała Maggie.

– Proszę?

– Co pani takiego zrobiła, żeby zasłużyć na studnię?

– Nie zrezygnowałam z prób opieki nad moją mamą. Byłam tam wyłącznie z jej powodu. A ona chorowała. Podrzucałam jej swoje porcje żywnościowe. Ale przełom nastąpił, kiedy ukradłam dla niej lekarstwo na serce. To było jej lekarstwo, lecz zostało skonfiskowane, ponieważ, oczywiście, miłość Ojca jest dla każdego wystarczającym lekiem na wszystkie choroby.

– Gdzie jest teraz pani mama?

Eve patrzyła gdzieś nad jej głową. Przeniosła się gdzie indziej, jakby ktoś przekręcił wyłącznik.

– Zmarła dzień po tym, jak wsadził mnie do studni. Z pewnością czuła się tak bardzo winna, że dostała ataku serca. Ale nigdy nie będę tego wiedziała na pewno. – Spojrzała na Maggie przez ciemne okulary, w których odbijała się Ściana Pamięci. – On zawsze zwycięża. Niech pani na siebie uważa, a zwłaszcza na mamę.

Potem odwróciła się i odeszła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Boston, Massachusetts

Maria Leonetti szła na skróty przez park Boston Common, żałując, że nie włożyła butów do biegania. Ale bardzo nie lubiła nosić ich do eleganckich spodniumów i uważała, że jej koleżanki z firmy maklerskiej w jakimś stopniu tracą swoją wiarygodność, kiedy pod koniec dnia pracy przebierają się w nike albo reeboki. W końcu żaden z maklerów płci męskiej nie zmieniał obuwia przed wyjściem do domu. Dlaczego te kobiety nie mogą kupić sobie po prostu wygodnych butów? Dlaczego, do diabła, projektanci obuwia nie mogą stworzyć czegoś jednocześnie modnego i wygodnego?

Idąc tak i rozmyślając, zauważyła jakiś tłumek przy fontannie i zastanowiła się, cóż to może być za uroczystość we wtorkowe popołudnie. Dzień był niebywale ciepły jak na tę porę roku, wyciągając z domu amatorów jazdy na desce i joggingu, a przy okazji wszelki gatunek hołoty. Ale ci przy fontannie to pewnie członkowie jakiejś studenckiej korporacji. Może w college’ach mają już wolne z okazji Święta Dziękczynienia? Powinna była pójść inną ścieżką, ale była zmęczona. Bolały ją stopy. Pragnęła tylko jak najszybciej znaleźć się w domu, przytulić się do Izzy, swego kota tricolora, i po prostu kompletnie nic nie robić. Może

ewentualnie obejrzałaby jakiś stary film z Carym Grantem, zagryzając popcornem. Więcej towarzystwa nie potrzebowała.

Nagle poczuła, że ktoś łapie ją za łokieć.

– Hej! – krzyknęła i wyrwała się, nie zdążyła jednak zawrócić, bo już z obu jej stron pojawiło się dwu młodych mężczyzn i każdy z nich złapał ją za rękę. Jeden mocno pociągnął jej torebkę, oderwał pasek i rzucił na ziemię. Boże! Nie chcą jej wcale okraść. Dopiero teraz obleciał ją prawdziwy strach.

– Hej! Patrzcie, co znalazłem! – krzyknął jeden z nich do kolegów.

– Zabieraj swoje zasrane łapska! – wrzasnęła Maria, szarpiąc się, kiedy ciągnęli ją w sam środek grupy.

Ręce, palce, twarze otaczały ją ze wszystkich stron. Mężczyźni śmiali się i podbechtywali się nawzajem, skandując:

– Suka, suka.

Maria krzyczała i kopała. Straciła but, ale za to trafiła jednego z nich w jądra. To tylko ich bardziej rozwścieczyło, teraz trzymali ją już za ręce i za nogi. Ktoś spryskał ją piwem, zalał jej twarz i bluzkę. Potem zaczęli rwać na niej ubranie, a ona krzyczała jeszcze głośniej. Nikt się tym nie przejmował, nikt nie nadchodził z pomocą – a może nie udało jej się przekrzyczeć ich rechotu i wrzasków? Ściskali jej piersi i wsuwali ręce pod spódnicę. Wsadzali palce za jej majtki, które po chwili zostały podarte. Raptem zobaczyła błysk flesza, a potem właściciela aparatu, który przepychał

się, żeby mieć lepszy widok. Dobry Boże, zabiją ją. Najpierw zgwałcą, a potem zabiją! A na dodatek sfotografują to wszystko dla czyjejś rozrywki.

Wbiła paznokcie w jakąś twarz, za co dostała siarczysty policzek, tak mocny, że krew popłynęła z jej ust. Udało jej się uwolnić jedną rękę i zasłonić nią biustonosz, kiedy resztki jej bluzki zostały rzucone na ziemię. Zgubiła buty. Zsunęli jej rajstopy do kostek. Trzymali ją tak mocno, że czuła już swoje siniaki i otartą skórę.

– Hej, idzie następna suka.

Puścili ją tak nagle, jak ją zaatakowali, niczym jakiś pojawiający się i znikający rój. Leżała na trawie w staniku i rozdartej wzdłuż bocznych szwów spódnicy, która trzymała się na niej tylko w pasie. Nie miała na sobie majtek. Wszystko ją bolało i nic nie widziała przez łzy. Chciała skulić się i umrzeć. Potem usłyszała kobiecy krzyk. Zdała sobie sprawę, że napastnicy znaleźli następną ofiarę. Żołądek jej się ścisnął, poczuła mdłości, musiała jednak zniknąć stąd, zanim znów się nią zainteresują.

Spróbowała się podnieść, ale kolana się pod nią ugięły, tak bardzo kręciło jej się w głowie. Wtedy czyjaś ręka złapała ją za ramię. Maria wyrwała się, upadając z powrotem na trawę.

– Proszę się nie bać, chcę pani pomóc.

Spojrzała na młodego mężczyznę, ale tak jej wirowało w głowie, że nie mogła się skupić. Widziała jedynie, że chłopak ma na głowie niebieską czapkę z daszkiem i ubrany jest w dżinsy oraz T-shirt, który czuć piwem. O Boże, to

jeden z nich. Chciała się odczołgać, byle dalej, ale on wziął ją za rękę i podniósł ją na nogi.

– Musi pani stąd wyjść. – Podtrzymywał ją, troskliwie otulając kurtką z drapiącego, szorstkiego materiału.

Nie miała sił z nim walczyć. Posuwała się naprzód najlepiej, jak potrafiła, a on prowadził ją ścieżką z dala od tej grupy, z dala od dzikiego śmiechu i nieustającego krzyku o pomoc, od którego robiło jej się niedobrze. Ledwie dotarli na skraj parku, szarpnęła się, pochyliła i zwymiotowała za pobliski krzak. Kiedy się odwróciła, mężczyzny nie było.

Maria przysiadła za drzewami. Wreszcie poczuła się trochę bezpieczniej. Usiłowała złapać oddech i uspokoić żołądek. Szum pobliskiej ulicy przypomniał jej, że cywilizacja jest naprawdę blisko, że nie spadła z krawędzi świata w żadną bezdenną otchłań. Lekki wiatr chłodził jej mokre ciało, czuła wciąż zapach piwa, którym została oblana. Żołądek podszedł jej znowu do gardła, ale udało jej się powstrzymać wymioty. Objęła się, słuchając dźwięku samochodowych klaksonów i skrzypu hamulców, słuchając wszystkiego, co pomogłoby jej zagłuszyć tamten śmiech, to ohydne skandowanie: „suka, suka”, i krzyki tamtej nieszczęsnej kobiety. Dlaczego nikt jej nie słyszał? Dlaczego nikt ich nie powstrzymał? Czyżby cały świat oszalał w jednej chwili?

Wsadziła ręce w rękawy kurtki i odkryła, że brak jej większości guzików. I tak było to lepsze niż nic. Kurtka pachniała miętą. W jej kieszeni znalazła dwie ćwierćdolarówki, serwetkę od McDonalda i pół paczki

miętówek life savers. Boże, ręce wciąż jej się trzęsły. Musiała bardzo się skoncentrować, żeby odwinąć jedną z miętówek i włożyć ją do ust. Może to uspokoi jej żołądek. Jak tylko odzyska siły w nogach, wyjdzie z parku na ulicę i poszuka policjanta. Gdzie jest policja, swoją drogą? Robi się ciemno. Wieczorami zawsze przynajmniej jeden z nich się tu kręcił.

Wtem coś spadło od tyłu na jej głowę i zatrzymało się wokół jej szyi. Maria wbiła w to paznokcie. To coś wrzynało jej się w gardło. Z trudem chwytała powietrze, kopała i wykręcała się. Usiłowała chwycić sznur palcami. Boże! Tak mocno ją ściska. Tak głęboko się wrzyna, że paznokciami rozdrapywała własną skórę, żeby się go pozbyć.

Już nie mogła oddychać. Nie miała siły się bronić. Mój Boże, on był taki silny. Teraz wciągał ją między drzewa, przesuwał ją, bo jej nogi już odmawiały posłuszeństwa. Straciła całą energię.

Powietrza. Potrzebowała powietrza. Nie mogła oddychać. Nie mogła się skupić. Przestawała cokolwiek widzieć. W głowie znowu jej się kręciło, przed oczami miała rozmazane sylwetki drzew, zamgloną trawę i niebo. Czuła, że się oddala. Już nie słyszała żadnego skandowania ani śmiechu, nawet krzyków tamtej kobiety. A co się stało z ulicznym hałasem? Dlaczego wszystko tak się wyciszyło? Sznur zacisnął się jeszcze bardziej i po chwili Maria nie słyszała już kompletnie nic.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Justinowi wciąż drżały ręce, kiedy wsiadał do autokaru. Nie czekał na resztę. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Ojciec właśnie to miał na myśli, nazywając wyprawę inicjacją. Wyobrażał sobie, że czeka go jakiś test, na przykład coś takiego, jak ów nie do końca samotny tydzień w lesie. Albo jakiś maraton kazań, takich jak te, których musieli wysłuchiwać w weekendy. Ale to, Jezu! Czegoś takiego nigdy by nie wymyślił.

Kiedy przypominał sobie wymiotującą kobietę i słyszał jej krzyki, robiło mu się niedobrze. Ściągnął czapkę i wytarł pot z czoła. Autokar był pusty. Dzięki Bogu! Dave, ich kierowca, siedział w McDonaldzie, mając na wszystko oko, i pewnie wsuwając zakazanego big maca.

Justin padł na siedzenie, krzyżując ręce na piersi. Próbował opanować drżenie. Pocił się jak mysz, więc czemu trząsł się, jakby było mu zimno? Kurwa! Wciąż miał w uszach te krzyki. Biedne kobiety. Dziadek uczył go innego traktowania kobiet. Nawet jego ojciec, który czasami zachowywał się jak ostatni dupek, był dobry dla matki Justina. Żadna kobieta nie zasługuje na coś podobnego. Ma gdzieś polecenia Ojca.

Brandon, rozdawszy hamburgery i piwo, oznajmił im, że czeka ich bardzo ważna lekcja. Justin liczył tylko na lepsze żarcie, zdawało mu się, że bycie żołnierzem Ojca to całkiem

niezła fucha. Nie zwracał uwagi na słowa Brandona. Zjadł chyba trzy quarter pounders i wypił cztery albo pięć piw.

Czuł miłe podniecenie, kiedy Brandon zaprowadził ich do parku, gdzie kontynuował swój wykład, perorując, że muszą odstawić wszystkie suki tam, gdzie ich miejsce, i dać im do zrozumienia, że to faceci wciąż rządzą światem. Powiedział, że to z winy kobiet tak się wszystko chrzani. Kobiety myślą, że nie potrzebują facetów, robią się lesbijkami, rodzą sobie same dzieci, zabierają dobre prace ojcom rodzin, a potem jeszcze domagają się, żeby rząd je chronił. To dziwki są odpowiedzialne za epidemię AIDS. Trzeba je ukarać. Trzeba dać im lekcję.

Pierwszą złapaną kobietę, która przechodziła obok nich, zlali piwem. Justin pamiętał, że go to najpierw nieźle ubawiło. Kiedy z trzeciej zaczęli zdzierać ubranie, pieścić ją nachalnie i agresywnie, jej krzyk sprawił, że nagle oprzytomniał. Poczuł się, jakby obudził się z jakiegoś koszmaru. Co on wyprawia? Nie wierzył, że dał się w to wciągnąć. To wtedy zaczął myśleć o Alice. A jeśli to ona znalazłaby się akurat w parku? Co by się stało, gdyby inni znali jej przeszłość? Jezu! Czy napadliby na nią jak stado rozjuszonych wilków?

Nikt nie widział, jak Justin schował się za drzewa i zwrócił te bezcenne hamburgery. Już tam pozostał, a gdy jego koledzy skończyli wreszcie z trzecią kobietą i ruszali po czwartą, pomógł tej trzeciej odejść jak najdalej, żeby jakoś zrekompensować swój udział w tych potwornych igraszkach. Gdy stwierdził, że kobieta jest już bezpieczna,

zostawił ją, wślizgując się do autokaru, a tamten śmiech i krzyki wciąż dzwoniły mu w uszach.

Nie chciał o tym myśleć. Podniósł kolana, objął je i przyciągnął do piersi. Musi myśleć o czymś innym, o czymkolwiek innym.

Dotąd tylko raz był w Bostonie, kiedy Eric studiował jeszcze w Brown. To była jedna z ich ostatnich rodzinnych wycieczek. Nocowali w Radisson. Mieli nawet z Erikiem osobny pokój. Tata pozwolił im korzystać z obsługi hotelowej. Zaskoczył ich tym, bo niechętnie wydawał forsę.

Jeden dzień poświęcili na mecz Red Soxów, a nazajutrz, by zrobić przyjemność mamie, wybrali się do Metropolitan Museum. To był dobry czas, rzadki czas, który nie zakończył się karczemną awanturą. Justin miał dobre wspomnienia z Bostonu, które teraz zostały wyparte przez krzyki kobiet wzywających pomocy i zapach ciepłego piwa.

Skoczył na równe nogi, ściągając T-shirt i kopiąc go pod siedzenie. Potem zdjął pozostałe części ubrania, aż został tylko w szortach. Wówczas w wejściu do autokaru zobaczył Brandona, który wlepiał w niego wzrok. Brandon wcale nie był zły, wręcz przeciwnie, bo roześmiał się w głos.

– Wiedziałem – powiedział w końcu, kiedy Justin wbił się z powrotem w swoje dżinsy. – Wiedziałem, że tego nie zrobisz. Jesteś tchórzem, jak twój pieprzony brat Eric. Muszę wrócić i dokończyć sprawę, jak przystoi prawdziwemu mężczyźnie.

Potem odwrócił się i odszedł, kierując się z powrotem do parku.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Spokój. Musi zachować spokój i pozwolić, żeby płyn wniknął w jego żyły. Niech zdziała te swoje cuda. Czuł już z wolna jego moc.

Nie potrzebował więcej fizycznej siły. Kobieta była drobna i lekka. W pobliżu wciąż rozlegały się krzyki i hałasy, nikt nie zwróci uwagi na szelest liści i trzask gałęzi.

Musi się jednak pospieszyć. Musi znaleźć bardziej odosobnione miejsce. Słońce kryło się już za budynkami. Nie zostało mu wiele czasu, żeby wszystko przygotować, w tym i siebie. Tego wieczoru będzie inaczej. Czuł to. Tego wieczoru nastąpi wreszcie to, na co czekał. Po prostu to wiedział.

Zatrzymał się i odwrócił, patrząc na półnagie ciało kobiety, ciągnącej za sobą nogami liście i chrust. Uśmiechnął się, widząc, że jej odkryta pierś unosi się lekko w słabym oddechu, ledwie dostrzegalnym. To dobrze. Ona wciąż żyje. Zaczął dalej ciągnąć. Tak, był zupełnie pewny, że to się zdarzy tego wieczoru. Tego wieczoru nareszcie to zobaczy.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Maggie jechała z otwartymi oknami, mając nadzieję, że świeże powietrze powstrzyma podchodzący do gardła żołądek. Usiłowała znaleźć jakiś sens w tym wszystkim, czego dowiedziała się od Eve o wielebnym Josephie Everetcie. Musi być dobrze przygotowana do spotkania z matką. Musi uzbroić się we wszelkie możliwe informacje na wypadek, gdyby Kathleen stanęła w obronie tego człowieka. Zresztą Maggie z góry wiedziała, że matka będzie go bronić.

Odsuwała od siebie zatrważające obrazy, które wywołała Eve. Musi skupić się na faktach. Niestety, większą część z arsenału tych faktów stanowiły ogólne informacje biograficzne. W młodości wyrzucono Everetta z wojska. Honorowe zwolnienie, bez żadnych wyjaśnień. Jego nazwisko nie znajdowało się w policyjnych archiwach, pojawiło się tylko raz, przy oskarżeniu o gwałt, które zostało później wycofane przez samą pokrzywdzoną, studentkę dziennikarstwa. W wieku trzydziestu dziewięciu lat startował w wyborach do stanowego senatu Wirginii i przegrał. Trzy lata później stworzył Kościół Duchowej Wolności, organizację non profit, która pozwala mu gromadzić wolne od podatków darowizny. Everett odnalazł w końcu swoje powołanie, ale Maggie nie natknęła się

nigdzie na informację, czy i gdzie został wyświęcony na kapłana.

W ciągu niespełna dziesięciu lat Kościół Duchowej Wolności zdobył ponad pięciuset wyznawców, z czego prawie dwustu mieszkało w obozie zbudowanym w Shenandoah Valley w Wirginii. O ironio, okolicę tę dzieliło ledwie kilka kilometrów od miejsca, gdzie przed około trzydziestu laty została zgwałcona studentka dziennikarstwa. Albo więc Everett faktycznie jest niewinny i nie ma nic do ukrycia, albo – Maggie nie mogła się oprzeć takiemu wrażeniu – jest przesądny i uważa, że piorun nie może uderzyć dwa razy w to samo miejsce.

Jeśli byłaby to prawda, miałby dobry powód, by w to wierzyć. W ciągu minionych dziesięciu lat ani on, ani jego Kościół, nie miał żadnych problemów z wymiarem sprawiedliwości, żadnych kontroli skarbowych, nie został też oskarżony o złamanie prawa o posiadaniu broni. Budował zgodnie z przepisami, nie naruszając niczyjej własności. Dopiero nielegalny magazyn broni w domu letniskowym w Massachusetts stał w jawnej sprzeczności z porządkiem prawnym, lecz jego związek z Kościołem Everetta może okazać się całkiem luźny, a w każdym razie niezwykle trudny do udowodnienia.

Tak więc wszystko układało się wielebnemu bezproblemowo. Udało mu się nawet zdobyć bliskich i wpływowych przyjaciół w Kongresie, dzięki którym za nieprzyzwoicie niską cenę zakupił rządową ziemię

w Kolorado. Jeśli więc wiodło mu się tak dobrze, dlaczego zamierzał przenieść się do Kolorado?

Maggie nie była pewna, jaki rodzaj relacji wiąże jej matkę z Everettem i jego Kościołem, jednego była wszak pewna, a mianowicie tego, że ten człowiek może się okazać bombą zegarową, która czeka tylko na dobry moment, żeby wybuchnąć. Mając jedynie poszlaki, wiedziała, że wielebny jest w jakiś sposób powiązany ze śmiercią Ginny Brier i prawdopodobnie również tej utopionej kobiety w Karolinie Północnej. Obie zostały zamordowane w czasie, gdy w pobliżu akurat odbywało się spotkanie modlitewne Everetta. To za dużo na zbieg okoliczności. Bezdomna, której tożsamości nie znali, pozostawała wciąż zagadką.

Jesienny wiatr zawiewał chłodem, ale Maggie nie zamknęła okien. Oddychała głęboko, wypełniając płuca zapachem sosen i spalin na drodze I-95. Ta misja wymagała od niej wyjątkowej baczności, czujności wszystkich zmysłów i działania na najwyższych obrotach. Przebywanie z matką w jednym pokoju było już samo w sobie trudne, a co dopiero mówić o takiej konfrontacji. Zbyt wiele wspomnień. Za dużo zaszłości, o których Maggie wolała zapomnieć.

Po raz ostatni odwiedziła matkę w jej mieszkaniu ponad rok temu, wątpiła jednak, by Kathleen pamiętała tamtą wizytę. Jak mogła pamiętać? Prawie cały czas była kompletnie nieprzytomna, przebywała w innej rzeczywistości. Maggie zastanawiała się, jak uzasadni swój obecny przyjazd. Co ma zrobić? Tak po prostu wpaść i rzucić: „Cześć, mamo, właśnie tędy przejeżdżałam

i pomyślałam, że wpadnę zobaczyć, co u ciebie? Aha, przy okazji, czy wiesz, że twój drogi wielebny Everett jest być może niebezpiecznym maniakiem?”. Nie, czuła, że w ten sposób niczego by nie osiągnęła.

Oddaliła na razie od siebie wiedzę zdobytą z raportów FBI i wiadomości usłyszane od Eve, natomiast przywoływała w pamięci wszystko, co w ciągu minionego roku matka powiedziała jej na temat wielebnego Josepha Everetta. Z zażenowaniem musiała przyznać, że niezbyt uważnie słuchała słów Kathleen. Na początku ucieszyła się po prostu, że ktoś się nią opiekuje. Od kilku miesięcy nie ponawiała prób samobójczych i Maggie miała nadzieję, że znalazła sobie jakieś mniej destrukcyjne hobby. Ucieszyła się też, że wreszcie matka zdobyła czyjąś uwagę, której tak bardzo jej brakowało, i to niekoniecznie przy okazji wycieczki na ostry dyżur.

Potem, kiedy odkryła, że matka przestała pić, Maggie zaczęła coś podejrzewać. To było zbyt doskonałe, żeby mogło być prawdą. Ta niespodziana trzeźwość zmieniła zwyczaje Kathleen, lecz nie zmieniła jej osobowości. Nadal pozostała zachłanną egoistką o wąskich horyzontach, tyle że teraz Maggie nie mogła zrzucić tego na alkohol.

Z kolei stwierdzenie, że matka nagle odnalazła Boga, w ogóle do Maggie nie przemawiało. Na palcach jednej ręki mogłaby policzyć, kiedy Kathleen zabierała ją do kościoła. Nie przypominała sobie też, by w ciągu jej całego dzieciństwa matka zrobiła lub powiedziała coś, co dałoby się choćby w luźny sposób odebrać jako akt religijny.

Matka wspominała o religii wyłącznie w pijanym widzie, często żartując, że jest częściowo katoliczką i że nie ma na to lekarstwa. Potem prychała i zanosiła się śmiechem, mówiąc każdemu, kto chciał jej słuchać, że być trochę katolikiem to tak samo jak być trochę w ciąży.

Dla Kathleen O'Dell katolicyzm był porównywalny z programem jakiejś partii, którą raz się popiera, a raz nie. Prowadziło to Maggie do wniosku, że Everett, wymachując jej matce Biblią przed nosem, po prostu traci czas. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nie słyszała, żeby Kathleen zaczęła nagle czytać psalmy albo Pismo Święte. To nie było żadne cudowne nawrócenie. W każdym razie Maggie tego nie dostrzegała.

Widziała za to przed sobą kobietę impulsywną, łatwo się uzależniającą i łatwo wydającą sądy, która znalazła w końcu kogoś winnego, kogo mogła oskarżyć o swój ciężki los i życiowego pecha. Wielebny Everett dostarczył jej wroga w postaci rządu Stanów Zjednoczonych, pozbawione twarzy ciało, czyli wyjątkowo łatwy cel. Będzie taki dopóty, dopóki Kathleen O'Dell potrafi sobie wmawiać, że jej córka nie ma z tym nic wspólnego.

I nagle Maggie przestała się dziwić, że matka przylgnęła do religii Everetta, do jego wersji rzeczywistości. W końcu spędziła całe lata, oddając hołd przy ołtarzu BCD: Beam, Ceurvo i Daniels. Bywało i tak, że sprzedałaby duszę za butelkę Jacka Danielsa. Przestała pić, co nie znaczy, że jej dusza już nie jest na sprzedaż. Zamieniła tylko jeden

wypaczony obraz rzeczywistości na drugi, jeden nałóg na inny.

Maggie rozumiała, jak bardzo było to pociągające dla jej matki, kobiety, której wizja świata opiera się na lekturze „National Enquirer” albo oglądaniu „Hard Copy”. Jak bardzo musi ją podgrzewać wiara, że ma wgląd w sprawy państwowe. Że jest szanowana i cieszy się zaufaniem człowieka z charyzmą i urokiem dobrego ojczulka, i że zna proste odpowiedzi na pytania, nad którymi tyle osób głowi się całe życie.

Maggie znała część z tych odpowiedzi, paranoicznych oszustw rozsiewanych przez ludzi pokroju wielebnego Everetta. W nienawiści tkwi wielka siła, a jedna z najłatwiejszych dróg do manipulowania ludźmi wiedzie przez ich zastraszanie. Dlaczego zlekceważyła uwagi matki na temat chemikaliów w wodzie, ukrytych rządowych kamer w sekretarkach automatycznych, a także ten atak histerii, do którego doszło kilka tygodni temu, kiedy Maggie zadzwoniła do niej z komórki?

– Oni wiedzą, jak podsłuchiwać takie rozmowy! – krzyczała wówczas Kathleen.

Dlaczego już dawno nie dostrzegła niebezpieczeństwa? A może je widziała, lecz z tego wielkiego zadowolenia, że nie musi już zbierać do kupy roztrzaskanych kawałków, zrobiło jej się wszystko jedno i przestała zastanawiać się nad matką. Albo jeszcze inaczej: po prostu nie chciała nic wiedzieć...

Maggie czytała gdzieś, że alkohol intensyfikuje osobowość alkoholika, podkreślając i uwypuklając cechy, które dana osoba i tak posiada. Miało to sens w wypadku Kathleen. Alkohol wzmagał jej egoizm, jej głód uwagi. Ale jeśli to prawda, to popijanie Maggie jest swoistą ironią losu. Miała bowiem zwyczaj popijać co nieco, żeby zabić wewnętrzną pustkę i nie czuć się samotna. Jeśli alkohol tylko podkreśla jej cechy, to co się dziwić, że nic jej nie wychodzi.

„Jaka matka, taka córka".

Maggie potrząsnęła głową, nie dopuszczając do siebie wspomnień.

„Mogłybyście być siostrami. Nigdy jeszcze nie pieprzyłem matki i córki".

Te cholerne popękane ściany. Rozpadające się ściany.

Chwyciła puszkę pepsi i przełknęła ciepłą resztkę. Dlaczego nie pamięta głosu swojego ojca, za to czuje wciąż na twarzy oddech tego obcego mężczyzny? Przy niewielkim wysiłku potrafiła przywołać kwaśny zapach whisky i jego drapiący zarost, kiedy przyciskał jej drobne ciało do ściany i usiłował ją pocałować. Pamiętała jego ręce pieszczące jej nierozwinięte jeszcze piersi, jego śmiech i słowa: „Założę się, że będziesz miała takie duże cyce jak twoja mama". Cały ten czas Kathleen stała z tyłu ze szklanką Jacka Danielsa, patrzyła i mówiła mu, żeby przestał, ale nie próbowała go powstrzymać.

Dlaczego mu nie przeszkodziła?

Jakimś cudem Maggie udało się uciec. Nie pamiętała nawet jak. Zaraz potem Kathleen zaczęła się upierać, żeby

faceci zabierali ją do hotelu, i zostawała tam na całą noc. Czasami nie było jej w domu przez parę dni i cały ten czas Maggie była sama. Dobrze czuła się sama. Trochę się bała, ale mniej bolało. Wcześnie nauczyła się taktyki przetrwania. Samotność była po prostu ceną życia.

Zbliżając się do Richmondu, Maggie zaczęła uważniej wyglądać zjazdu do miasta. Starała się nie zwracać uwagi na zaciskający się żołądek i nudności. Była zła, że ją to nęka. Co się z nią dzieje, do jasnej cholery? Zarabia na życie ściganiem morderców, ogląda przerażające dzieła ich rąk i porusza się w świecie zła. Jaka więc trudność tkwi w jednej cholernej wizycie u własnej matki?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Richmond, Wirginia

Kathleen O’Dell skończyła właśnie pakować ostatnią z porcelanowych figurek babci. Człowiek z Al i Frank, Antyki i Skarby z Drugiej Ręki miał je zabrać następnego dnia rano razem z innymi rzeczami. Nie mogła sobie uprzytomnić, czy ten mężczyzna nazywa się Al czy Frank, choć chwaląc jej drobiazgi, przedstawił się jako współwłaściciel sklepu.

Było jej smutno, że rozstaje się z tymi bibelotami, a ten smutek z kolei ją denerwował. Pamiętała swoją babkę, która pozwalała jej brać do ręki figurki, kiedy Kathleen była dzieckiem, pozwalała delikatnie obracać je w drobnych małych rączkach, dotykać i podziwiać.

Kilka figurek pojechało z babką do Irlandii, zapakowanych w starą walizkę wraz z pozostałymi rzeczami. Stanowiły część rodzinnego spadku i było coś nieprzyzwoitego w ich sprzedaży za coś tak pozbawionego znaczenia jak pieniądze. Ale wielebny Everett nieustannie przypominał im, że muszą uwolnić się od świata materialnego, jeśli chcą zyskać prawdziwą wolność. Że to grzech podziwiać martwe przedmioty, nawet jeśli mają wartość sentymentalną.

Co ważniejsze, Kathleen zdawała sobie sprawę, że nie da rady zabrać ze sobą wszystkich tych rzeczy, kiedy wyjadą

do nowego raju w Kolorado. Poza tym nie będą jej tam potrzebne. Wielebny Everett obiecał, że wyposaży ich we wszystko, zaspokoi wszelkie potrzeby i życzenia. Miała tylko nadzieję, że oznacza to, iż będzie tam czyściej i bardziej luksusowo niż w obozie, w którym po prostu śmierdziało. W czasie ostatniej wycieczki do obozu widziała szczura biegnącego przy ścianie sali konferencyjnej. A ona nienawidziła szczurów.

Zostawiła pudełka i przeszła raz jeszcze przez pokoje, patrząc, czy nie zapomniała spakować czegoś, co obiecała sprzedać człowiekowi z Al i Frank, mężczyźnie, którego nazwiska zapomniała. Stwierdziła przy okazji, że będzie tęsknić za tym mieszkaniem, choć nie mieszkała w nim długo. Było to jedno z niewielu miejsc, o które dbała i w którym stworzyła sobie dom. Było jednym z niewielu miejsc, które nie przypominało jej o samotności i beznadziei. Choć w niektóre wieczory nie mogła się pozbyć wrażenia, że ściany się do niej zbliżają.

Mówiła sobie, że miło zamieszkać z nowymi przyjaciółmi, którzy będą na wyciągnięcie ręki, po drugiej stronie korytarza. Byle tylko Emily nie była tak blisko. Dobry Boże, te ciągłe narzekania Emily doprowadzą ją do szału, jeśli dzielić je będzie tylko szerokość korytarza. Byłoby miło mieć obok ludzi, z którymi można porozmawiać, a nie spędzać wieczory przed telewizorem, odpowiadając na pytania Regis Philbin za milion dolarów. Tak. Zmęczyła ją samotność, nie chciała się zestarzeć sama. A zatem jeśli ceną za to ma być kilka porcelanowych figurek

przekazanych jej w spadku przez babkę, niech tak się stanie. Przecież te głupie przedmioty, choć takie ładne, nic dla niej nie zrobiły.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Kathleen przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie pomyliła dni. Czy to możliwe, żeby ten człowiek z Al i Frank miał przyjść teraz, a nie jutro? – myślała. Będzie musiała powiedzieć mu wobec tego, że zmieniła zdanie. Tak właśnie powie. Nie może jeszcze sprzedać figurek. Potrzebuje czasu, żeby się przyzwyczaić do tej myśli.

Otworzyła drzwi, gotowa powiedzieć właśnie tyle, i zobaczyła przed sobą córkę.

– Maggie? Skąd się tu wzięłaś, na Boga?

– Wybacz, mamo, że nie uprzedziłam cię telefonicznie.

– Czy coś się stało? Czy z Gregiem wszystko w porządku?

Zauważyła, że Maggie się skrzywiła. Nie powinna była tego mówić. Dlaczego zawsze czuje się w obecności córki tak, jakby powiedziała coś niewłaściwego?

– Nic się nie stało, ale muszę z tobą porozmawiać. Mogę wejść?

– Och, oczywiście. – Otworzyła szerzej drzwi. – Straszny tu bałagan.

– Przeprowadzasz się? – Maggie podeszła do stosu pudeł.

Dzięki Bogu, pudła nie były oznakowane. Córka nie zrozumiałaby tych jakże głębokich prawd o materializmie i uwolnieniu się od tyranii złotego cielca... Żeby być wolnym, nie należy mu się kłaniać, tylko poszukiwać... no, czegoś tam. Och, nieważne. Maggie i tak nigdy tego nie

zrozumie. Nikt spoza Kościoła nie może się dowiedzieć o Kolorado.

– Ach, tylko wyrzucam stare niepotrzebne graty.

– Aha. Okej.

Maggie stanęła przy oknie, wyglądając na parking. Kathleen od razu pomyślała, że córka już chce uciec. Cóż, dla niej to też nie jest zabawne. No, ale przynajmniej niczego się od Maggie nie spodziewa, już nie.

– Napijesz się mrożonej herbaty?

– Jeśli to nie kłopot.

– Zaraz przygotuję, mam malinową, może być? – Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w kuchni, licząc, że przytulne ciepło tego miejsca wyciszy jej nerwy.

Kiedy wyciągała dwie wysokie szklanki do mrożonej herbaty, zauważyła butelkę w odległym rogu kredensu. Zupełnie o niej zapomniała. Trzymała ją na wszelki wypadek, na jakąś specjalną okazję. Zawahała się, potem wyciągnęła rękę, żeby po nią sięgnąć. To była właśnie taka okazja. Najpierw porcelanowe figurki babki, a teraz niezapowiedziana wizyta córki.

Nalała sobie jakieś dwadzieścia pięć gramów, zamknęła oczy i wypiła, delektując się ciepłem spływającym do gardła i wprost do żołądka. Wypiła jeszcze jeden, potem napełniła szklankę po raz ostatni, mniej więcej do połowy, i dolała mrożonej herbaty, która miała niemal identyczny kolor z alkoholem. Na koniec wsadziła butelkę z powrotem do schowka.

Wzięła obie szklanki, pamiętając, że swoją trzyma w prawej ręce. Rozejrzała się po niewielkiej kuchni. Tak, będzie tęsknić za tym miejscem, za przyjazną matą przy zlewozmywaku i żółtymi zasłonkami w małe białe stokrotki. Wciąż miała w pamięci dzień, kiedy je wypatrzyła na wyprzedaży, którą urządzili lokatorzy domu na końcu ulicy. Boże, jak można od niej oczekiwać, że opuści to miejsce bez wsparcia?

Gdy wróciła do pokoju, Maggie odkryła właśnie jedną z figurek, która częściowo zawinięta stała na okiennym parapecie.

– Pamiętam je – powiedziała, biorąc figurkę do rąk i obracając ją delikatnie, jak uczyła ją kiedyś matka, która z kolei przejęła to od babki.

Kathleen zapomniała, że kiedykolwiek pokazywała córce te porcelanowe cacka. Teraz, widząc jedno z nich w jej rękach, przypomniała sobie te chwile, jakby to było wczoraj. Maggie była śliczną dziewczynką, ciekawą wszystkiego, a przy tym rozważną i ostrożną. Potem wyrosła na piękną młodą kobietą, wciąż ciekawą i wciąż bardzo ostrożną.

– Chyba się ich nie pozbywasz?

– Trzymałam je w przechowalni. Właśnie je wyjęłam, żeby na nie popatrzeć i... i cóż, postanowić, co z nimi zrobić. – Częściowo była to prawda. Nikt nie może od niej oczekiwać, że pozbędzie się wszystkich swoich rzeczy, wyprowadzi się ze swojego przytulnego mieszkanka i jeszcze będzie mówić prawdę. To zbyt wygórowane wymagania.

Patrzyła, jak córka ostrożnie odkłada figurkę na parapet. Potem Kathleen podała jej lewą ręką szklankę z herbatą. Tak, w lewej ręce miała herbatę dla Maggie. Nie wolno jej się pomylić.

Maggie upiła łyk i dalej rozglądała się po pokoju. Kathleen zabrała się do swojej szklanki. Nie bardzo jej się podobało, że córka tak badawczo się przygląda, przywołując tym samym kolejne wspomnienia. Przeszłość to przeszłość. Czyż nie tak mawia wielebny Everett? Powiedział im tyle różnych rzeczy, że aż trudno wszystko spamiętać. Kathleen kończyła już swoją herbatę, stwierdzając w duchu, że będzie chyba musiała sobie dolać.

– A z czym to nie mogłaś poczekać do czwartku, tylko chciałaś porozmawiać ze mną dzisiaj? – spytała.

– Do czwartku?

– W czwartek jest Święto Dziękczynienia. Chyba nie zapomniałaś?

Maggie znowu się wzdrygnęła.

– Oj, mamo, nie wiem, czy dam radę.

– Musisz koniecznie. Kupiłam już indyka. Zajmuje mi, cholera, całą zamrażarkę. – O Jezu, nie powinna przeklinać. Musi uważać, co mówi, żeby nie zdenerwować wielebnego Everetta. – Planuję obiad na piątą, ale możesz przyjść wcześniej, jeśli chcesz.

Musi jeszcze dokupić żurawinę i pieczywo. Gdzież ona podziała listę zakupów? Zaczęła jej szukać na stoliku.

– Mamo, co robisz?

– Nic, kochanie. Przypomniałam sobie, co będzie mi jeszcze potrzebne na czwartek, i chciałam to zapisać. O, jest. – Znalazła zgubę na podstawce lampy. Usiadła i zapisała na dole kartki: „żurawina” i „pieczywo”. – Wiesz, jak się nazywa to pieczywo, z którego robi się nadzienie?

– Co?

– Pieczywo. No wiesz, te małe suche kawałki chleba, których potrzeba do nadzienia.

Maggie patrzyła na nią, jakby nie wiedziała, o czym matka mówi.

– Och, nieważne. Na pewno sobie zaraz przypomnę.

Oczywiście, że Maggie tego nie wie. Nigdy sobie nie radziła w kuchni. Kiedyś jako dziewczynka upiekła ciastka w kształcie świętego Mikołaja na Boże Narodzenie. Wyszły twarde i spalone. I na dodatek nie pozwoliła się pocieszać. Jeden z chłopców z knajpy Lucky Edie zaproponował, że je pomaluje i wykorzysta jako podkładki pod szklanki. Biedna dziewczyna. Nigdy nie miała poczucia humoru. Zawsze taka wrażliwa, wszystko brała sobie do serca.

Kiedy Kathleen przejrzała już całą listę, Maggie znowu popatrzyła na nią z uwagą.

Oho, teraz jej córka jest wkurzona. I to porządnie wkurzona. O co jej chodzi, do diabła? Dlaczego jej się przygląda jak jakiś prokurator albo policjant z drogówki?

– Co jeszcze jest potrzebne do świątecznego obiadu? – spytała Kathleen.

– Mamo, nie przyszłam tu rozmawiać o świątecznym obiedzie.

– Dobrze, to o czym chcesz rozmawiać?

– Muszę ci zadać kilka pytań na temat wielebnego Everetta.

– Jakich pytań? – Ojciec ostrzegał, że członkowie rodzin będą próbowali odciągnąć ich od niego.

– Tak ogólnie, na temat Kościoła.

– Cóż, muszę zdążyć na umówione spotkanie – skłamała Kathleen, zerkając na nadgarstek, na którym nie było zegarka. – Giggi, szkoda, że nie zadzwoniłaś, wtedy inaczej bym to wszystko zorganizowała. Może porozmawiamy o tym w czwartek?

Ruszyła do drzwi, licząc na to, że Maggie pójdzie jej śladem, ale kiedy się odwróciła, córka tkwiła wciąż w tym samym miejscu, naprzeciw niej, po drugiej stronie pokoju. Stała i marszczyła czoło. Nie, to nie była zmarszczka. To był wyraz troski i złości jednocześnie. Nie, nie złości. A może jednak złości, ale także smutku. Czasami miała najsmutniejsze brązowe oczy na świecie, zupełnie jak Thomas, jej ojciec. Tak, Kathleen znała to spojrzenie. I owszem, wiedziała, co jej córka myśli, zanim jeszcze usłyszała te słowa:

– Nie wierzę ci. Jesteś pijana.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Maggie odgadła to, jak tylko matka nazwała ją Giggi. To ojciec zwracał się do niej tak pieszczotliwie, a matka przejęła od niego, ale posługiwała się tym zdrobnieniem tylko w stanie upojenia alkoholowego. To był sygnał dla Maggie. A zarazem działało jej to na nerwy, jakby ktoś przejechał paznokciem po szkolnej tablicy.

Patrzyła na matkę, która ani drgnęła, tylko wciąż trzymała rękę na klamce drzwi wyjściowych. Boże! Zapomniała już, jaka dobra jest Kathleen w tej grze. I jaka okropna. A ona daje się rządzić emocjom – emocjom dwunastoletniej dziewczynki – i przenieść w czas miniony. Nagle zaczęła chodzić nerwowo po małym pokoju.

– Jak mogłam być taka durna i naiwna, by ci uwierzyć?! – krzyczała wściekła Maggie. Dodatkowo rozdrażniło ją to, że drży jej dolna warga. Zerknęła na Kathleen, której twarz nie zmieniła się ani na jotę. Przedstawiała doskonałą kombinację zdumienia i niewinności, jakby nie miała pojęcia, o czym mówi jej córka.

– Jestem umówiona, Giggi, i mam mnóstwo pakowania. – Nie zmienił się nawet jej głos, ani odrobinę. Była w nim wciąż ta słodka radość, wręcz świergotliwość, która pojawiała się wraz z alkoholem.

– Jak mogłam ci uwierzyć? – Maggie walczyła ze złością. Dlaczego zawsze odbiera to tak osobiście? Dlaczego czuje

się zdradzona? – Sądziłam, że już przestałaś.

– Oczywiście, że przestałam. Przestałam się pakować, żeby z tobą porozmawiać. – Nadal stała przy drzwiach z ręką na klamce. Pewnie miała nadzieję, że jeśli Maggie jednak nie wyjdzie, po prostu zdoła jej uciec. Patrzyła, jak córka krąży po pokoju.

– To ta herbata – stwierdziła raptem Maggie, uderzając się w czoło jak dziecko, które znalazło rozwiązanie zagadki. Chwyciła szklankę matki i podstawiła ją pod nos. – No jasne.

– Kropelka, żeby się uspokoić. – Kathleen O'Dell machnęła ręką od niechcenia. Maggie dobrze znała ten magiczny gest, będący swoistą formą rozgrzeszenia alkoholików.

– Żeby się uspokoić? A co cię tak zdenerwowało? Może ta jedna cholerna wizyta własnej córki, co?

– Niezapowiedziana wizyta. Naprawdę powinnaś była najpierw zadzwonić, Giggi. I proszę cię, nie przeklinaj. – Nawet ten ton, ta udawana niewinność, działał Maggie na nerwy. – Po co przyjechałaś? Sprawdzasz mnie?

Maggie starała sie wyciszyć i zebrać myśli. Tak, po co właściwie przyjechała? Przetarła twarz dłonią, zła, że teraz dla odmiany trzęsą jej się ręce. Dlaczego nie panuje nad odruchami, nad własnym ciałem? Zupełnie jakby zraniona mała dziewczynka, którą kiedyś była, wypłynęła na zewnątrz, żeby się uporać z tym problemem, ponieważ dorosła Maggie nie znalazła jeszcze skutecznego sposobu.

– Maggie, po co przyjechałaś? – Kathleen wróciła do pokoju i niecierpliwie zadała to pytanie.

– Muszę... – Musi pamiętać o śledztwie. Jest profesjonalistką. Musi uzyskać odpowiedzi na pytania, odpowiedzi, które może usłyszeć od matki. Musi się skupić. – Martwiłam się o ciebie.

Wprawiła ją w osłupienie. I nagle Maggie zapragnęła się uśmiechnąć. Tak, wiedziała co nieco o takich grach, o mocy zaprzeczenia albo – w świecie Kathleen – o mocy udawania. Matka udawała, że jeden drink na ukojenie nerwów to nie to samo co wypadnięcie z toru. Cóż, Maggie może zatem udawać, że się o nią martwi, niepokoi się o jej bezpieczeństwo, i wcale nie szuka odpowiedzi na temat Everetta. Bo to ją tu przywiodło, prawda? Śledztwo i próba rozwiązania sprawy. Oczywiście, że tak.

– Martwiłaś się? – powiedziała w końcu matka, jakby potrzebowała czasu, żeby zdefiniować na własny użytek to słowo. – Dlaczego, na Boga, miałabyś się o mnie martwić?

– Bo podejrzewam, że nie wiesz wszystkiego o wielebnym Everetcie.

– Naprawdę?

Maggie potrafiła słuchać i wiedziała, że matka jest nie tylko zdumiona, ale również nagle stała się bardzo podejrzliwa. Ostrożnie, nie wolno jej zepchnąć na pozycję obronną.

– Wielebny Everett nie jest tym, kim się wydaje.

– A skąd ty wiesz? Nigdy go nie spotkałaś.

– Nie, ale sprawdzałam i...

– Aha, sprawdzałaś? – przerwała jej matka. – Co sprawdzałaś, jego pochodzenie?

– Tak – potwierdziła Maggie. Mówiła spokojnie, nie podnosiła głosu. Znowu była profesjonalistką.

– Ci z FBI zawsze go nienawidzili. Chcą go zniszczyć.

– Ja nie chcę go zniszczyć.

– Nie mówię o tobie.

– Mamo, jestem agentką FBI. Proszę, wysłuchaj mnie przez chwilę.

Ale Kathleen nagle zaczęła bawić się żaluzjami. Szła od okna do okna i zamykała je po kolei, by zyskać na czasie.

– Rozmawiałam z innymi, którzy mi powiedzieli…

– Z innymi, którzy opuścili Kościół. – W głosie matki znów zabrzmiała ta denerwująca radość.

– Tak.

– Z byłymi członkami.

– Tak.

– Cóż, nie wierz ani jednemu ich słowu. Zresztą na pewno sama wiesz, że tak trzeba. – Tym razem matka spojrzała na Maggie i było coś takiego w jej oczach, jakieś zniecierpliwienie, którego Maggie nie poznawała. – Ale ty im wierzysz, co?

Patrzyła na matkę. Tak, Kathleen O’Dell podjęła już decyzję. Żadne słowo córki nie zmieni tego, w co wierzy, ani tego, w co nie wierzy. Nic dziwnego. Co takiego Maggie spodziewała się usłyszeć? Po co w ogóle się tu fatygowała? Trudno było spodziewać się, że matka posiada jakieś informacje pogrążające Everetta. To może przyszła ją ostrzec? Ale na jakiej podstawie wierzyła, że Kathleen ni

stąd, ni zowąd zacznie słuchać jej rad? To śmieszne. Nie powinna była przychodzić.

– Nie powinnam była przychodzić – powiedziała na głos i odwróciła się do wyjścia.

– Tak, ty im wierzysz, obcym ludziom, których wcale nie znasz. – Matka nie mówiła już pogodnym tonem, tylko z okrutnym cynizmem. To akurat Maggie rozpoznała od razu. To pamiętała. – Mnie nigdy nie uwierzysz, własnej matce!

– Nie to miałam na myśli – powiedziała cicho, stając twarzą w twarz z Kathleen i starając się nie zwracać uwagi na zmianę jej tonu i gestów. Matka nerwowo bawiła się kosmykami włosów. Błądziła wzrokiem po pokoju, szukając karafki albo butelki, wreszcie znalazła szklankę z herbatą. Chwyciła ją i opróżniła jednym szybkim haustem, zadowolona i całkiem nieświadoma, że piła ze szklanki Maggie.

– Nigdy we mnie nie wierzyłaś.

Maggie nie spuszczała z niej wzroku. Jak to możliwe, że wtrącenie jednego krótkiego słowa „we” robi tak wielką różnicę?

– Nigdy tego nie mówiłam.

Kathleen zdawała się już nie słuchać, tylko ruszyła wzdłuż ściany i podnosiła żaluzje, które dopiero co opuściła, jedną za drugą.

– Zawsze tylko jemu. Zawsze jemu – grzmiała.

Maggie wiedziała, że już za późno na jakąkolwiek sensowną rozmowę. Nie wiedziała jednak, kim jest ów „on”.

To było nowe. Tego nie znała.

– Chyba powinnam już iść – powiedziała, nie ruszając się z miejsca. Chciała tylko zdobyć uwagę matki, lecz ona jej nie słuchała. Nie zauważała jej. To był błąd. Źle to rozegrała.

– Zawsze tylko jemu. – Tym razem Kathleen przystanęła, patrząc na córkę oskarżycielsko. – Tak bardzo go kochałaś, że nic nie zostało dla reszty. Dla mnie. Dla Grega. Nawet dla tego twojego kowboja.

– Okej, wystarczy. – Maggie nie mogła tego słuchać. To idiotyczne. Ta kobieta nie wie, co mówi.

– Nie był święty, wiesz o tym.

– O kim ty mówisz?

– O twoim ojcu.

Żołądek Maggie ścisnął się gwałtownie.

– Twój ukochany tatuś – dodała matka, jakby trzeba było to rozwijać. – Zawsze kochałaś go bardziej niż mnie, dałaś mu tyle miłości, że zabrakło jej dla pozostałych. I pogrzebałaś tę miłość razem z nim.

– To nieprawda.

– On nie był święty, i ty o tym wiesz.

– Jak śmiesz! – żachnęła się Maggie, natychmiast czując, że znowu drży jej dolna warga.

– Jak śmiem mówić prawdę? – Matka skrzywiła twarz w okrutnym uśmiechu.

Dlaczego ona jej to robi?

– Muszę iść. – Maggie ruszyła do drzwi.

– W noc pożaru pieprzył się ze swoją kochanką.

To było jak nóż wbity prosto w plecy, który zatrzymał Maggie i kazał jej odwrócić się do matki.

– Musiałam zadzwonić do niej – ciągnęła Kathleen – kiedy zaczęli go szukać w pracy. Wszyscy myśleli, że spał we własnym łóżku, ale on był u niej. W jej łóżku, pieprzył ją.

– Przestań – powiedziała Maggie. Z jej ust wydobył się tylko szept, ponieważ nagle wyssano z niej całe powietrze.

– Nigdy ci tego nie mówiłam. Nikomu nie mówiłam. Jak mogłabym, skoro pobiegł do tego palącego się domu i został pieprzonym bohaterem?

– Wymyśliłaś to.

– Zrobił jej dziecko. Urodziła syna. Jego syna, syna, którego ja mu nie dałam.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego wymyślasz tę historię? – mówiła Maggie, powstrzymując na siłę dwunastoletnią dziewczynkę, choć słyszała już jej głos, głos dziecka. – Kłamiesz.

– Myślałam, że cię chronię, tak, wtedy skłamałam. Ale teraz mówię prawdę. Dlaczego miałabym kłamać?

– Żeby mnie zranić.

– Żeby cię zranić? – Kathleen przewróciła oczami, rozgoryczenie zdominowało jej emocje i reakcje. – Przez lata chroniłam cię przed tą prawdą.

– Chroniłaś mnie? – Gniew puścił. – Ciągałaś mnie za sobą przez pół kraju i to się nazywa, że mnie chroniłaś? Chroniłaś mnie, przyprowadzając do domu obcych facetów?

– Starałam się, jak umiałam. – Znowu przewracała oczami. Maggie wiedziała, że matka powiedziała już wszystko, co

zamierzała powiedzieć, a teraz szuka drogi ucieczki.

– Ty straciłaś tamtej nocy męża. Ja straciłam oboje rodziców.

– Nie przesadzaj.

– Straciłam oboje rodziców, ojca i matkę. I co dostałam w zamian? Alkoholiczkę, którą musiałam się opiekować. Pijaną dziwkę zamiast matki.

Policzek spadł na nią niespodzianie. Maggie nie miała nawet czasu zareagować. Dotknęła palącego miejsca i jeszcze bardziej zdenerwowała się płynącymi z jej oczu łzami.

– O Jezu, Maggie! – Kathleen wyciągnęła do niej ręce, lecz ona odsunęła się. – Przepraszam, nie chciałam…

– Nie, zostaw. – Maggie podniosła ostrzegawczo rękę. Stała prosto, unikając wzroku matki. – Nie przepraszaj – powiedziała, wycierając łzy. – Ta odpowiedź bardzo do ciebie pasuje, nie spodziewałam się niczego innego.

Potem okręciła się na pięcie i wyszła.

Jakoś udało jej się ruszyć i jechać przez mgłę, aż dotarła do zjazdu na drogę I-95. Tam zatrzymała się na poboczu, włączyła światła postojowe, ustawiła hamulec ręczny i podkręciła, ile się dało, potencjometr w radiu. Zaryczało potężnie. I sama ryczała. Poddała się i pozwoliła tym cholernym przeciekającym przegródkom otworzyć się na całą szerokość.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Gwen powinna była zwolnić, mimo to przełknęła resztę wina. Czuła na sobie wzrok Tully'ego, który siedział naprzeciw niej przy małym okrągłym stoliku i rzucał w jej stronę grzeczne zatroskane spojrzenia, grzebiąc widelcem w spaghetti z klopsikami.

Wybrał przemiłą włoską restaurację z wykrochmalonymi białymi obrusami, świeczkami w oknach i kelnerami, którzy traktowali gości uprzejmie i przyjaźnie, po czym wykrzykiwali coś do siebie po włosku, gdy tylko znikali za wahadłowymi drzwiami prowadzącymi do kuchni.

Gwen ledwie tknęła fettuccine Alfredo z sosem ze świeżej śmietanki i grzybami portobello. Pachniało wyśmienicie, ale wszystko, czego pragnęła w tej chwili, to było wino i jego uśmierzające działanie. Potrzebowała czegoś, co zmyłoby z niej ołówek wbity w gardło i powstrzymało chęć kopnięcia się mocno za własną głupotę. Zaczynała rozumieć, dlaczego Maggie tak często ratuje się scotchem. Miała do wyrzucenia ze swojego banku pamięci o wiele dłuższą listę o wiele bardziej makabrycznych obrazów.

– Przepraszam – wykrztusiła w końcu. – Powinien mnie pan był zostawić w pokoju hotelowym. Obawiam się, że nie jestem dziś dobrym kompanem.

– Prawdę mówiąc, jestem przyzwyczajony, że kobiety nie odzywają się do mnie przy stole.

Nie tego spodziewała się usłyszeć. Podły nastrój podłym nastrojem, ale po takim dictum musiała się roześmiać. On też się uśmiechnął i wtedy dopiero doszło do niej, jak okropne musiało być także dla niego to popołudnie.

– Dziękuję – powiedziała. – Naprawdę bardzo potrzebowałam tego śmiechu.

– Cieszę się, że mogłem pomóc.

– Zepsułam naszą wycieczkę. Nic nie zyskaliśmy.

– Nie zgodziłbym się. Pratt pomyślał, że przysłał panią Ojciec Joseph. Sam tak powiedział. To przecież dodaje nową informację do naszej dotychczasowej wiedzy. Może nic więcej nie będzie potrzeba, żeby znaleźć związek między nim i jego kolegami a wielebnym Josephem Everettem. Jeśli pani nic nie zje, to na pewno będzie to zmarnowany czas.

Raz jeszcze posłał jej uśmiech, ona zaś zastanowiła się, czy Tully chce zapomnieć o tym popołudniu tak samo jak ona. Wciąż patrzył na nią z pytaniem w oczach.

– Jeśli pani tu nie odpowiada, możemy przenieść się gdzie indziej – zaproponował.

– Ależ nie, jest bardzo miło. Jedzenie świetnie pachnie, czekam tylko, aż mi wróci apetyt.

Nie przyznała mu się do kieliszka szampana, który wypiła, przebierając się na kolację. Służby hotelowe przez pomyłkę przysłały do jej pokoju kosz dla nowożeńców. Kiedy zadzwoniła w tej sprawie, recepcjonista tak się zmieszał, że kazał jej zatrzymać kosz i korzystać z niego, mówiąc, że wyśle młodej parze drugi. Cóż, nie była w stanie cieszyć się całą zawartością, bo niby co miała zrobić z olejkami do

masażu i bogatym asortymentem kondomów. Zostały jej więc szampan i czekoladki.

Obserwowała, jak Tully walczy ze spaghetti, krojąc makaron na mniejsze kawałki, zamiast owinąć go wokół widelca. Bolesny widok.

– Przepraszam, pozwoli pan, że pokażę panu, jak się to robi? – spytała.

Podniósł wzrok, zrozumiał, co Gwen ma na myśli, i z miejsca poczerwieniał. Zanim dał jej odpowiedź, przysunęła do niego swoje krzesło, siadając z nim ramię w ramię. Nie robiąc z tego żadnej wielkiej sprawy, delikatnie objęła palcami dłoń Tully'ego, żeby pokazać mu, jak ma trzymać widelec.

– Tajemnica – zaczęła lekcję, sięgając po jego drugą rękę – tkwi w łyżce. – Skinieniem głowy kazała mu ująć łyżkę w lewą rękę. – Wyciąga się niewielką ilość spaghetti, potem owija się makaron wokół widelca, powoli, opierając widelec o dno łyżki.

Czuła na włosach jego oddech i delikatny zapach wody po goleniu. Ręce Tully'ego wykonywały każde jej polecenie. Zdumiało ją, jaką przyjemność sprawiało jej dotykanie go. Kiedy zadanie zostało zakończone, puściła go, oparła plecy o krzesło i przesunęła się na swoją stronę stołu, unikając wzroku Tully'ego.

– Misja zakończona. – Wskazała na idealnie nawinięte spaghetti na jego widelcu. – Szybko się pan uczy.

Zawahał się, potem podniósł widelec do ust. Spróbował powtórzyć wszystkie ruchy, jednocześnie przeżuwając

makaron, i podniósł widelec, żeby pokazać jej, że mu się udało. Tym razem ich spojrzenia spotkały się i żadne z nich nie odwróciło wzroku, dopóki nie przerwał im ktoś z obsługi, proponując, że doleje wina. Gwen przyjęła to chętnie, doszła bowiem do wniosku, że dobrze będzie uśmierzyć także podniecenie, które ni stąd, ni zowąd poczuła.

Z drugim kieliszkiem wina zdołała przełknąć nieco fettuccine, a nawet zmieść połowę deseru. Przy kawie i podczas długiej jazdy taksówką do hotelu opowiadała Tully’emu o swojej pracy i starym domu, który odnawia, on zaś mówił jej o Emmie, o udrękach związanych z wychowywaniem piętnastoletniej dziewczyny. Nie wiedziała, że przyznano mu opiekę nad córką. Fakt, że jest oddanym samotnym ojcem, niepokojąco dopełniał wizerunku idealnego harcerzyka.

U wejścia do hotelu zaprosiła go na kieliszek szampana do swojego pokoju, przekonana, że harcerzyk odmówi, bo tak jest bezpieczniej. Tymczasem harcerzyk przyjął zaproszenie. Cóż, życie jest pełne niespodzianek.

Zanim nalała szampana, zwróciła się do Tully’ego, żeby przekazać mu to, czego unikała cały wieczór.

– Chciałam panu podziękować – powiedziała, spotykając się z nim wzrokiem i nie pozwalając mu uciec, żeby nie zamienił tego w żart. – Uratował mi pan dzisiaj życie, Tully.

– Nie zrobiłbym tego bez pani udziału. Ma pani doskonały instynkt, pani doktor. – Uśmiechnął się do niej, wciąż wyraźnie zażenowany jej wdzięcznością.

No dobrze, niech już sobie utrudnia, jak musi.

– Pozwoli pan sobie podziękować?

– Okej.

Podeszła do niego, stanęła na czubkach palców i musiała jeszcze podciągnąć się za jego krawat, żeby go pocałować w policzek. Kiedy to zrobiła, zobaczyła wielką powagę w jego oczach. Potem pocałował ją w usta, a był to pocałunek jednocześnie delikatny i namiętny, który nie miał nic wspólnego ze standardowymi wyrazami wdzięczności.

Gwen zakołysała się do tyłu na palcach, bez tchu patrząc na niego.

– To było zaskoczenie – powiedziała zdziwiona, że tak jej się kręci w głowie. To na pewno przez to wino.

– Przepraszam – rzekł, odbudowując czym prędzej zachwiane morale harcerzyka. – Nie powinienem był…

– Nie, nie przepraszaj, to było… to było całkiem miłe.

– Miłe? – Spojrzał urażony, a ona uniosła kąciki warg w uśmiechu, choć Tully patrzył wciąż z powagą. – Potrafię to robić lepiej niż miło.

I nim się obejrzała, znowu ją całował, tym razem jednak jego wargi nie ograniczyły się do jej ust. Gwen półleżała na sofie, jej palce przesuwały się po meblu, szukając czegoś, czego mogłaby się chwycić, a Tully nie przestawał przekonywać jej, że faktycznie potrafi to robić lepiej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Ben Garrison wrócił późno do Ritz-Carltona. Odnalazł wejście dla personelu na tyłach budynku hotelowego i pojechał windą bagażową na czternaste piętro. Tego ranka pokłócił się z recepcjonistą na temat przeniesienia na inne piętro. Niezależnie od tego, jak kto to widział, czternaste piętro było tak naprawdę trzynastym. Musi w końcu znaleźć się inny wolny narożny apartament. Ale teraz to przestało być ważne. Wróciło do niego szczęście. Wszystko musi się teraz udać. Kiedy te zdjęcia trafią do kiosków z prasą, będzie znowu królem tego pieprzonego świata.

Jak tylko znalazł się w swoim pokoju, cisnął worek na łóżko i rozebrał się, zapakował ubranie w hotelowy plastikowy worek na pranie i szurnął go do innych śmieci, które wyrzuci rano. Wstawił buty do wanny, żeby je później wyczyścić, i wśliznął się w miękki szlafrok, czysty i świeży, który genialna obsługa hotelowa powiesiła dla niego na drzwiach łazienki.

Spakował odczynniki i sprzęt do wywoływania filmów. Mógłby już teraz zrobić stykówki z ujęć, które chce sprzedać. W ten sposób nie musiałby zanosić ich do całodobowego zakładu fotograficznego i narażać się, że jakaś pryszczata gęba dostanie świra na widok jego zdjęć.

Przygotował wszystkie potrzebne rzeczy i zadzwonił do obsługi. Zamówił pieczoną kaczkę i sernik czekoladowy

z malinami oraz najdroższą butelkę sangiovese z hotelowej listy win. Następnie wykręcił swój domowy numer, żeby odsłuchać wiadomości z sekretarki. „National Enquirer” trafił już do kiosków, więc Ben spodziewał się telefonów od wydawców, których nie słyszał od lat, udających nagle, że są znowu jego najlepszymi kumplami.

I nie mylił się. Miał piętnaście wiadomości. Jego cholerna maszyna przyjmowała jedynie osiemnaście. Chwycił notes z logo hotelu i zaczął przeglądać zrobioną podczas odsłuchiwania listę. Nie mógł powstrzymać uśmiechu i w końcu roześmiał się w głos, znajdując aż dwie wiadomości od Curtisa, który najpierw pytał go, dlaczego nie przyszedł do niego ze zdjęciami, a potem oznajmił, że przebije ceną wszystkich innych ewentualnych kontrahentów. O tak, życie znowu robiło się fajne. Bardzo fajne.

Nagrała się też jego stara dobra znajoma, detektyw Julia Racine. Liczył na to, że się do niego odezwie. W przeciwieństwie do pozostałych Racine nie traciła oddechu, nie prawiła mu słodkich słówek ani nie udawała przyjaźni. Zagroziła, że go przymknie i oskarży o utrudnianie policyjnego śledztwa. Jezu! Podniecał go już sam jej głos, zwłaszcza kiedy nie przebierała w słowach. Słysząc, jak nazywa go „pieprzeńcem”, doznał niewiarygodnego wzwodu. Odegrał tę wiadomość raz jeszcze, tak dla czystej przyjemności. Później postanowił nawet zostawić ją sobie na przyszłość.

Kartkował cienki czarny notatnik i nagle przyszło mu do głowy, że mógłby podlizać się Racine. Słowo, jakim go nazwała, sprawiło mu dużo radości, ale nie miałby nic przeciwko temu, żeby wyciągnąć korzyść z „małego coś za coś”. Toż to jej specjalność, wszyscy o tym wiedzą. Z jej tonu wyczuł, że tej biednej pani detektyw od dawna nikt porządnie nie wydupczył, kobieta ani mężczyzna. A on tego wieczoru był akurat w nastroju. Był też przekonany, że jego propozycja okaże się dla niej równie interesująca, jak dla niego.

W końcu znalazł numer, którego szukał, i zadzwonił do Britta Harwooda z „Boston Globe”. Było już późno, pomyślał, że najwyżej zostawi wiadomość. Do diabła, co mu tam, da temu ziomkowi pierwszeństwo na zdjęcia. Wykrzywił twarz w uśmiechu, wyobrażając sobie gębę Harwooda, kiedy pokaże mu stykówki z gromadą dobrych młodych chrześcijan płci męskiej, którzy molestują, dręczą i zdzierają ubranie z kobiety w samym środku Boston Common.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Tully wciąż nie mógł w to uwierzyć. Gdyby nie technologia komórkowa, byłby teraz w hotelu z Gwen, może nawet dobraliby się do koszyka dla nowożeńców z szampanem i kondomami. Był tak niewiarygodnie blisko popełnienia straszliwego błędu. A mimo to dałby wszystko, byle znaleźć się tam z powrotem razem z nią, zamiast sterczeć pod księżycowym niebem po kostki w błocie i słuchać, jak kopcący jednego papierosa za drugim detektyw kaleczy język angielski w oczekiwaniu na lekarza sądowego.

Z początku miał chęć udusić Morrellego za to, że im przerwał, nawet jeżeli zdarzyło się morderstwo przypominające tamto z FDR Memorial. Przyłapał się na tym, że zastanawia się, czy Morrelli zrobił to z premedytacją, co oczywiście było czystym szaleństwem. W końcu jak mógł się domyślić, że im przerywa? Do diabła, Tully naprawdę nie wiedział, jak by się to skończyło. Dotąd nie mógł uwierzyć, że ją w ogóle pocałował, nie mówiąc już... Co on sobie wyobrażał? Może lepiej, że im przerwano. W przeciwnym razie... w przeciwnym razie mógłby... do diabła, w przeciwnym razie to by było dopiero niewiarygodne.

– Czy to są te znaki, o których pan mówił? – Detektyw Kubat poświecił latarką jakieś półtora metra od stóp ofiary.

Tully zgiął się wpół i przyjrzał okrągłym odciskom w błocie. Jeden był świetnie widoczny. Miejsce, gdzie prawdopodobnie znajdował się drugi, było zamazane. Rzeczywiście wyglądały jak tamte ślady z FDR Memorial. Co one, u diabła, znaczą?

– Czy już to sfotografowaliście?

– Hej, Marshall! – wrzasnął Kubat. – Przywlecz no tu swój tyłek i strzel parę polaroidów.

– A co z jej ubraniem?

– Złożone jak ta lala, tam leży. – Machnął latarką, choć ubrania zostały już spakowane i zabrane do laboratorium. – Dziwna rzecz, bo wszystkie były podarte, i to porządnie podarte.

Tully stał i rozglądał się. Znajdowali się w oddalonej części parku, z jednej strony osłoniętej drzewami, z drugiej ceglanym murem. Ciało dziewczyny oparto w pozycji siedzącej o drzewo, przodem do niewielkiej polany z drewnianą ławką i latarnią. Prawdę mówiąc, wyglądało to, jakby patrzyła prosto na tę ławkę, pozując dla kogoś, kto tam siedzi i podziwia ją.

– A co z jakimś sznurem czy linką? Znaleźliście coś?

– Nie, ale za to masę tego.

Kubat poprowadził Tully’ego do ciała. Policyjna lampa oświetlała teren wokół ofiary. Jaskrawe punktowe światło sprawiało, że dziewczyna przypominała kukłę o białej twarzy. Była o wiele bardziej posiniaczona niż córka Briera, miała podbite oko i siniaka prawdopodobnie od uderzenia lewym sierpowym w szczękę. Głowa przechyliła się na

jedną stronę, pokazując kilka śladów powstałych w wyniku podwiązania. Nie mówiąc nic więcej, Kubat pochylił się i wyłączył światło. Tully nie od razu zrozumiał, dlaczego detektyw tak zrobił. Potem to zobaczył. Szyja dziewczyny błyszczała, ślady po podwiązaniu świeciły w ciemności.

– Co, do cholery?

– Jakieś posrane, co? – powiedział Kubat i zapalił z powrotem lampę. – Wasza ofiara też tak miała?

– Tak, znaleźliśmy coś błyszczącego na jej szyi. Nie zdawałem sobie tylko sprawy, że to świeci w ciemności.

– Hej, jest doktor Samuel – zawołał detektyw Kubat, machając do wysokiej wytwornej kobiety w trenczu i czarnych krótkich kaloszach do kostek. – Pani doktor, to ten gość z FBI, J.R. Scully.

– R.J. Tully, jeśli chodzi o ścisłość.

– Naprawdę? Da pan głowę? – Kubat patrzył na niego, jakby Tully mógł naprawdę zapomnieć swoje nazwisko. – A ja myślałem, że pan się nazywa jak ta damulka z „Archiwum X”. Scully, zdaje się, co?

– Nie mam pojęcia.

– Taa, na pewno Scully.

– Agencie Tully. – Doktor Samuel wyciągnęła do niego rękę, kompletnie ignorując detektywa. – Mówiono mi, że pan wie coś o mordercy.

– Zdaje się, że tak. Wygląda na tego samego sprawcę.

– Czyli możemy znaleźć dowód tożsamości w jej gardle?

– Taa, przykro mi, pani doktor – wtrącił Kubat. – Pani zobaczy, to by nas bardzo posunęło do przodu.

– Zgoda, jeśli tylko możemy to zrobić bez naruszania wymogów bezpieczeństwa – powiedziała pani patolog z powagą, tonem nauczycielki. – Czy zechciałby pan zgasić papierosa?

– No taa, jasna sprawa, pani doktor. – Kubat zgasił papierosa o drzewo, oderwał palcami niedopaloną końcówkę i wetknął ją za ucho.

Doktor Samuel znalazła duży kamień i postawiła na nim swoją torbę. Zaczęła wyjmować z niej rękawiczki z lateksu, szczypce i plastikowe woreczki. Podała Tully'emu parę rękawiczek.

– Nie ma pan nic przeciwko? Mogę potrzebować pomocy.

Tully wziął rękawiczki, nie zważając na ucisk w żołądku. Nie znosił tego, zatęsknił za czasem, kiedy siedział sobie za biurkiem i przygotowywał analizy na podstawie zdjęć. To były dobre czasy, praca w określonych godzinach, uregulowane życie rodzinne, córka, żona…

Nagle przyłapał się na tym, że zastanawia się, czemu, do cholery, nie wyłączył swojej komórki. Poważnie to rozważał po lekcji nawijania spaghetti na widelec, ale jednocześnie zawstydził się, że w ogóle o tym pomyślał. Zresztą wyłączyłby ten cholerny telefon, gdyby nie martwił się o Emmę i jej wyjazd do Clevelandu. Co prawda, dzwoniła już do niego, że dojechała szczęśliwie do matki wczesnym popołudniem. Czemu więc wciąż się o nią niepokoi?

Doktor Samuel była gotowa. Przyklęknął zgodnie z jej instrukcjami, trzymając się z dala od światła. Starał się nie myśleć o skierowanych na niego oczach dziewczyny ani

woni rozkładającego się ciała. Mimo chłodnej nocy muchy już się zleciały. Tully pomyślał, że muchy są skrzydlatą odmianą hien. Wyczuwają, cholery, krew i zlatują się w ciągu paru godzin, a nawet minut.

Kubat stał z boku. Podał Tully'emu latarkę.

– Może się przydać, żeby jej zaświecić do ust.

Doktor Samuel delikatnie zdjęła szczypcami taśmę klejącą i spakowała ją do woreczka. Do otwarcia ust ofiary musiała posłużyć się palcami, potem skinęła na Tully'ego, żeby jej poświecił, i sięgnęła znowu po szczypce. Tully skierował strumień światła we właściwe miejsce.

Wewnątrz, w jamie ustnej ofiary, coś się poruszyło.

– Chwileczkę – powiedział. – Czy tam się coś rusza?

Lekarka pochyliła się bardziej, żeby lepiej widzieć, a on ustawił światło. Doktor Samuel gwałtownie odskoczyła.

– O Boże drogi! Niech pan mi da dwie torebki, Kubat.

Tully nie ruszył się, tylko zamarł osłupiały, trzymając wciąż latarkę i słuchając wymiany słów między Kubatem a doktor Samuel. Biegali nerwowo, szukając czegoś, czegokolwiek, czym mogliby złapać ogromne karaluchy, które zaczęły wyłazić z ust zamordowanej dziewczyny.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Maggie wiedziała, że powinna wstać i położyć się do łóżka, ale w ten sposób obudziłaby Harveya, który chrapał z łbem na jej kolanach. Tak więc nie zmieniła miejsca. Stary fotel stał się niemal jej świątynią. Ulokowany na oszklonej werandzie, zwrócony ku sięgającym od podłogi do sufitu oknom, które wychodziły na podwórze. Co prawda po zmroku niewiele było przez nie widać. Księżyc snuł tańczące cienie, które machały do niej rękami szkieletów, ale dzięki Bogu tej nocy przynajmniej nie nawiedziły jej duchy utkane z mgły.

Najchętniej wykasowałaby z pamięci wizytę u matki, tak jak wypłukuje się niesmak z ust, ale scotch z nią nie współpracował. A powinien przecież zastopować wspomnienia. Nie zrobił tego, nie zapełnił tego cholernego uczucia pustki. Z nieznanego powodu Maggie wciąż słyszała ten głos, który powtarzał bez ustanku:

– Twój ojciec nie był święty.

Co skłoniło jej matkę do takiego kłamstwa? Dlaczego chciała ją zranić?

Obrazy z przeszłości przesuwały się przed jej oczami, niektóre w zwolnionym tempie, inne w krótkich błyskach, jeszcze inne w bolesnych ukłuciach. Kathleen miała tylu mężczyzn, tylu straceńców i drani. Dlaczego więc uparła się, żeby zaliczyć jej ojca do tej samej kategorii? Jakąż to

okrutną zabawę wymyśliła? Czy to Everett podsunął jej ten pomysł? Czy to on przekonał matkę do takiego okrucieństwa? Zresztą nieważny powód, udało jej się zburzyć mur, ten niezwykle misternie i starannie konstruowany mur, i teraz Maggie nie mogła zatrzymać zalewu wspomnień.

Popijała scotcha, trzymała go chwilę w ustach, a potem pozwalała mu spłynąć do gardła. Zamykała przy tym oczy i delektowała się ciepłem rozchodzącym się z wolna po ciele. Czekała na to ciepło, żeby pozbawiło ją sztywności karku. Czekała, aż zaleje pustkę, choć wiedziała też, że musiałoby dotrzeć także do serca, żeby cel został w pełni osiągnięty. Tego wieczoru z jakiegoś powodu scotch przyprawił ją zaledwie o lekki zawrót głowy, niepokój i... I przyznaj to, do cholery, przyznaj to, Maggie... o niepokój i samotność.

Tak, została sama z tymi wszystkimi cholernymi wspomnieniami, które atakowały umysł i kawałek po kawałku rozszarpywały duszę.

Jak matka mogła odebrać i zszargać jedyne, co w jej dzieciństwie było czyste, piękne i bezcenne, czyli ojcowską miłość? Jak mogła? Dlaczego to zrobiła? Tak, pewnie to prawda, że miłość i zaufanie nie przychodzą jej łatwo, za to bez trudu nabiera podejrzeń, ale to nie ma nic wspólnego z ojcem, to wina matki, która porzuciła ją dla Jacka Danielsa. Maggie zrobiła jedyną rzecz, jaką potrafi zrobić dziecko. Przeżyła, nabierając sił. Jeśli oznaczało to trzymanie się na dystans, niech tak będzie. Widać było

konieczne. To jedna z niewielu rzeczy w jej życiu, nad którymi panuje. Jeśli nie rozumieją tego ci, którym na niej zależy, to chyba ich problem, a nie jej.

Sięgnęła po butelkę scotcha, po czym znieruchomiała, kiedy szyjka butelki stuknęła o szklankę. Odczekała chwilę, żeby przekonać się, czy nie zbudziła Harveya. Poruszył uchem, ale nadal leżał spokojnie na jej kolanach.

Przypomniała sobie, jak matka mówiła jej po śmierci ojca, że gdyby żył, nigdy by jej nie opuścił. Że by się nią opiekował.

Gówno prawda! Po co to w ogóle mówić?

Powinna ją pocieszyć myśl, że ojciec jest z nimi mimo wszystko, że się im przygląda. Ale już jako dziecko zastanawiała się, czy matka naprawdę w to wierzy, a jeśli tak, to czemu zachowuje się w taki, a nie inny sposób? Dlaczego noc po nocy sprowadza do domu obcych mężczyzn? To znaczy dopóki nie przeniosła tych rozrywek do pokoi hotelowych. Maggie nie wiedziała, co było gorsze: słuchanie przez cienką jak papier ścianę, jak jakiś obcy facet pieprzy jej pijaną matkę, czy spędzanie w domu samotnych nocy, a wszystko to, kiedy ma się zaledwie dwanaście lat.

To, co nas nie zabije, wzmocni nas.

A więc teraz jest twardzielem, agentką FBI, która dzień po dniu walczy ze złem. Więc czemu, do diabła, tak trudno jej wciąż uporać się z własnym dzieciństwem? Dlaczego obrazy pijanej matki i jej prób samobójczych wciąż potrafią ją rozłożyć na łopatki, zostawiając z poczuciem kompletnej

bezradności? Dlaczego wydaje jej się, że jedyna droga, by skonfrontować się z tymi wspomnieniami, wiedzie przez dno szklanki alkoholu? Dlaczego obraz tamtej dwunastolatki, rzucającej garść ziemi na błyszczącą trumnę ojca, przypomina jej o obecnej wewnętrznej pustce?

Sądziła, że dawno już uwolniła się od przeszłości. Dlaczego zatem ten czas miniony wciąż przecieka w teraźniejszość? Dlaczego słowa matki, kłamliwe słowa matki, kruszą solidny mur, który sobie zbudowała?

Niech to szlag!

Gdzieś w głębi Maggie wiedziała, że coś się załamało. Nie przyznała się do tego nikomu, ale była tego pewna. Czuła to. Była jakaś dziura, jakaś rana, która wciąż krwawiła, pustka, która bez końca przyprawiała ją o dreszcze, zatrzymywała w drodze i kazała szukać, i sięgać po nowe cegły, żeby zbudować nowy mur. Jeśli nie zaleczy tej rany, może przynajmniej zaklei ją, opatrzy i oddzieli od innych, a może nawet od siebie.

Znała syndromy, psychologię, nieuniknione blizny pozostałe po dorastaniu z rodzicem alkoholikiem. Wiedziała, jak to jest, kiedy dziecko ma wrażenie, że nikomu nie może ufać. Kiedy szczęście jest tak iluzoryczne, jak przelotny moment, w którym rodzic coś obiecuje, by już w następnej chwili złamać obietnicę. Takie dziecko uczy się, że nie można ufać dzisiaj, ponieważ jutro jej czy jego świat i tak zostanie przewrócony do góry nogami. No i jeszcze kłamstwa. Jezu! Te wszystkie kłamstwa. A to było jeszcze jedno kłamstwo. Oczywiście, że tak.

Sączyła scotcha, patrząc, jak księżyc ożywia cienie na podwórku, a wspomnienia i głosy wciąż napływały.

„Jaka matka, taka córka”.

Nie, ona nie jest taka jak matka. W ogóle nie jest taka jak matka.

Raptem w kieszeni żakietu zaćwierkał telefon komórkowy. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że wyłączyła kablowy telefon na wypadek, gdyby matka do niej zadzwoniła. Wyciągnęła się, nie przeszkadzając Harveyowi, który otworzył oczy, ale nie miał zamiaru opuszczać jej kolan. Rościł sobie do nich prawo.

– Maggie O’Dell.

– Maggie, tu Julia Racine. Wybacz, że tak późno.

Zamknęła oczy i nabrała głęboko powietrza. Racine była ostatnią osobą, z którą miała ochotę w tej chwili rozmawiać.

– Musimy pogadać – powiedziała zaskakująco pokornie Racine. – Masz kilka minut? Nie obudziłam cię?

– Nie, nic się nie dzieje. – Głaskała Harveya, który znowu zamknął oczy. – Jeszcze się nie położyłam, głównie z tego powodu, że na moich kolanach rozgościł się wielki łeb mojego psa.

– Szczęśliwiec!

– Jezu! Racine!

– Przepraszam.

– Jeśli tak ma wyglądać rozmowa…

– Nie, naprawdę, przepraszam. – Racine zawahała się, jakby chciała coś dodać, zanim przejdzie do sprawy. Potem

powiedziała: – Wpadłam w poważne tarapaty z szefem. Senator Brier chce mnie wykopać ze sprawy przez te zdjęcia, które Garrisonowi udało się wydrukować w „Enquirerze”.

– Na pewno mu przejdzie, gdy tylko znajdziemy mordercę jego córki, zobaczysz.

– Chciałabym, żeby to było takie proste – mówiła Racine zmienionym głosem. Nie było w nim złości ani rozżalenia. Może odrobina strachu. – Mój szef, Henderson, jest na serio wkurzony. Mogę stracić odznakę.

Maggie nie wiedziała, co powiedzieć. Nie lubiła Racine, uważała ją za niekompetentną, rozumiała jednak, że to dla niej trudne chwile.

– A co gorsza, ten dupek Garrison zadzwonił do mnie. – Wróciła jej złość. – Że ma niby jakieś zdjęcia i chciałby mi je pokazać, bo może pomogą w sprawie.

– Nagle taki chętny do pomocy?

Cisza. Maggie wiedziała od początku, że Garrison musi coś z tego mieć. Ale co?

– On chce czegoś ode mnie – przyznała Racine. Jej złość przeszła teraz w zażenowanie.

– To znaczy czego? Wybacz, Racine, ale mi nie ułatwiasz. Czego on chce od ciebie?

– Chce zdjęć.

– A jakie on może chcieć od ciebie zdjęcia?

– Nie rozumiesz, on chce mi zrobić zdjęcia.

– O Jezu! – Maggie nie mogła w to uwierzyć. Nic dziwnego, że Racine mówiła jak emocjonalny wrak. – Ale co

daje mu prawo sądzić, że to możliwe?

– Skończ, O’Dell. Dobrze wiesz, dlaczego tak uważa.

A zatem plotki są prawdziwe. Te opowieści o Racine, która wymienia się przysługami, nie są tylko czczym gadaniem.

– Czy on sobie zdaje sprawę, że możemy go aresztować za utrudnianie śledztwa?

– Poinformowałam go o tym.

– I co on na to?

– Śmiał się.

– No to zrób to.

– Żartujesz sobie?

– Nie, pogadam z Cunninghamem. A ty porozmawiaj z Hendersonem. Wykorzystamy go.

– Mam dość kłopotów, O’Dell. Jeśli Garrison blefuje…

– Jeśli Garrison jest tak arogancki, jak mu się zdaje, i rzeczywiście ma coś, przekonamy go, że w jego najlepszym interesie jest podzielenie się z nami tymi jego skarbami.

– A jak go niby przekonamy?

– Zadzwonię do Cunninghama. Ty porozmawiaj z Hendersonem i oddzwoń do mnie. Wykorzystamy tego dupka.

Maggie odłożyła słuchawkę, odstawiła szklankę ze scotchem i poczuła przypływ świeżej energii. Delikatnie obudziła Harveya. I nagle uśmiechnęła się. To naprawdę śmieszne, ale była wdzięczna losowi za to, że istnieją na świecie tacy dranie jak Garrison.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Środa
27 listopada
Waszyngton

Ben Garrison udawał, że jest na luzie, a tymczasem przypięty kajdankami do pieprzonego krzesła siedział i czekał w dwunastym komisariacie. Policjanci mijali go, jakby go w ogóle nie było. Bezzębna dziwka posyłała mu uśmiech z drugiego końca pokoju. Nawet puściła do niego oko, rozstawiła nogi i odegrała Sharon Stone, ochoczo pokazując, co ma na sprzedaż. Nie zrobiła na nim wrażenia.

Nadgarstki swędziały pod ciasnymi kajdankami, a chwiejne nogi krzesła doprowadzały go do szału. Ben przysunął się do ściany, wywołując wrzaski tych drani, którzy go tu przywieźli. Wciąż nie mógł uwierzyć, że Racine mu to zrobiła. Kto by pomyślał, że jest do tego zdolna? Dziwne, ale to tylko zwiększało jego ochotę, żeby się z nią bzykać.

Po powrocie z Bostonu znalazł w swoim mieszkaniu czekających na niego dwóch gliniarzy. Najpierw pomyślał, że to pani Fowler ich napuściła, zwłaszcza jeśli wyczuła opary środka na robaki, który rozpylił ku uciesze karaluchów. A jeżeli jeszcze te małe sukinkoty rozbiegły się po budynku, nieszczęsna staruszka mogła dostać ataku

serca. Ale nie, to nie pani Fowler. To Racine. Co za niespodzianka. Okazuje się, że ta mała suka miała swój własny plan gry. A częścią tego planu było zmuszenie go do czekania.

Cóż, nie pozwoli jej zniweczyć swojej dobrej passy, zwłaszcza po tym, jak tego ranka dołożył Brittowi Harwoodowi swoimi kolejnymi zdjęciami, dając mu je na wyłączność. Ben uśmiechnął się. Racine nic już na to nie poradzi, jego zdjęcia ukażą się w wieczornym wydaniu „Boston Globe”.

Do diabła, zrobił z fotografiami, co chciał, więc potem może się nimi podzielić z Racine. Tak to zaplanował w każdym razie. Nie mogła go winić za to, że w zamian liczy na jakąś nagrodę.

– Czekają na ciebie, Garrison – odezwał się nagle jeden z neandertalczyków o grubym karku, ubrany na niebiesko. Odpiął kajdanki Bena od krzesła, a potem natychmiast zatrzasnął je z powrotem na jego nadgarstkach. Kiedy Ben podniósł się, facet chwycił go za łokieć i poprowadził korytarzem.

Pokój był niewielki, bez okien, z kilkoma dziurami w gołych ścianach. Niektóre z nich były tak małe, że mogły pochodzić od kul, te większe zaś wyglądały, jakby ktoś w ataku szału próbował przebić ścianę pięścią albo głową. Unosił się tam zapach przypominający spalony tost i przepocone skarpety.

Policjant posadził Bena przy stole, a potem powtórzył sztuczkę z kajdankami i składanym metalowym krzesłem.

Garrison miał ochotę powiedzieć mu, że jeśli zechce, może złożyć to krzesło i zabrać je ze sobą, może nawet rozwalić nim po drodze kilka głów. Ale to nie był dobry czas na odgrywanie cwaniaczka, siedział więc cicho, spodziewając się, że znowu każą mu czekać.

Ku jego zdziwieniu Racine pojawiła się po kilku minutach, zatrzymując się, by skonsultować się z neandertalczykiem przy drzwiach, zanim raczyła dostrzec obecność Bena. W ślad za nią weszła atrakcyjna brunetka w granatowym kostiumie ze spodniami. Zdawało mu się, że ją skądś zna. No jasne! Co za miła niespodzianka! Dwie policyjne lale naraz!

Racine też nie można było nic zarzucić, jednak jeśli chce udawać macho, powinna się bardziej postarać. Chociaż musiał przyznać, że jej jasne sterczące włosy wyglądały, jakby pani detektyw dopiero co wyszła spod prysznica, taka cała świeżutka i pachnąca. Szkoda, że nie miała pojęcia o modzie. Tego dnia ubrana była w niebieskie dżinsy i sweter, który mógłby być bardziej obcisły. Ale za to nie miała na sobie kurtki ani żakietu, dzięki Bogu. Podniecał go widok skórzanego pasa z kaburą i glockiem wsadzonym pod jej lewą piersią. Tak, czuł już podniecenie. Biedna Racine. Pewnie łudziła się, że ściągając go tu, srogo go ukarze.

Neandertalczyk przyniósł marynarski worek Bena i położył go na stole. Racine przyciągnęła krzesło i postawiła na nim nogę, usiłując wyglądać groźnie. Druga z kobiet oparła się o ścianę, splotła ręce na piersiach i przyglądała się Benowi.

– A więc, Garrison, cieszę się, że udało nam się zorganizować spotkanie, o które prosiłeś – zaczęła Racine. – To jest agentka specjalna Maggie O’Dell z FBI. Pomyślałam, że nie będziesz miał nic przeciw temu, że zrobimy to we troje.

– Wybacz, Racine. Jeśli wydaje ci się, że mnie poniżysz, bardzo się rozczarujesz, kiedy powiem ci, że właśnie mi stanął.

Racine nie zaczerwieniła się ani trochę. Może pani detektyw jest twardsza od tamtej Racine sprzed awansu, pomyślał Ben.

– Ta sprawa podlega śledztwu federalnemu, Garrison. A to znaczy...

– Skończ tę gadkę, Racine – przerwał jej, zerkając na O’Dell, która stała bez ruchu wsparta o ścianę. Wyglądała bardzo oficjalnie, tak samo też patrzyła na niego. Już wiedział, kto tu rządzi, więc kiedy się znowu odezwał, zwrócił się do O’Dell: – Wiem, że chcecie tylko moje zdjęcia. Zamierzałem je wam dać.

– Naprawdę? – powiedziała O’Dell.

– Taa, naprawdę. Nie miałem pojęcia, że Racine tak źle mnie zrozumie. Ale pewnie chodzi tak nabuzowana, bo nie wie, kto będzie ją obrabiać w tym tygodniu.

– Garrison, możesz być pewny, że poczujesz się mocno obrobiony, jak z tobą skończymy – powiedziała Racine bez mrugnięcia, wcielając się w postać złego gliny.

O’Dell pozostała chłodna i spokojna.

– Ma pan ze sobą te zdjęcia? – spytała, wskazując na jego worek.

– Jasne. I nie mogę się już doczekać, kiedy je pani pokażę. – Uniósł ręce i zabrzęczał kajdankami o stalowe krzesło. – Dam je wam, do cholery. Oczywiście kiedy odstąpicie od wszystkich oskarżeń.

– Oskarżeń? – Racine zerknęła na O'Dell i wróciła do niego wzrokiem. – Czy chłopcy dali ci odczuć, że jesteś aresztowany? Na pewno musiałeś ich źle zrozumieć, Garrison.

Chciał jej powiedzieć, żeby się odpieprzyła, zamiast tego uśmiechnął się i raz jeszcze uniósł ręce, żeby mu zdjęła kajdanki.

O'Dell sięgnęła za siebie i zapukała w drzwi, zapraszając tego z grubym karkiem, żeby się zajął kajdankami. Potem gliniarz wyszedł, nie odzywając się zresztą ani słowem.

Ben długo rozcierał nadgarstki, by zyskać na czasie, aż wreszcie wziął swój worek i zaczął w nim grzebać. Nie życzył sobie, żeby mu przewracały jego rzeczy. Położył na stole aparat, obiektyw i statyw. Wyjął dwa T-shirty i parę spodenek oraz ręcznik, i w końcu dotarł do szarych kopert. Otworzył jedną z nich i wysypał zawartość na stół: negatyw, stykówki i odbitki wywołane przez ludzi Harwooda, którzy dali mu kopie. Położył na stole pięć zdjęć dwadzieścia na dwanaście i pół centymetra, dla pełnego efektu układając je w porządku chronologicznym.

– Wczoraj, późne popołudnie. Boston.

Z kolejnej koperty wyciągnął kilka fotografii córki Briera z miejsca zbrodni oraz kilkanaście innych ze spotkania Everetta w Waszyngtonie. Na jednej z nich Everett stał z jasną blondynką, Ginny Brier i dwoma chłopcami, którzy byli też na zdjęciach z Bostonu. Szurnął je przez stół.

– Dość łatwo rozpoznać niektórych z tych dobrych młodych chrześcijan – powiedział Ben. – Kiedy byłem na spotkaniu w Waszyngtonie, w sobotę wieczorem, słyszałem, jak mówią o jakiejś inicjacji, która ma się odbyć w Boston Common we wtorek. Uznałem, że to może być interesujące.

– Zabawne, że mi o tym nie wspomniałeś. Nawet nie powiedziałeś, że byłeś na spotkaniu w sobotę – zauważyła Racine.

– Wtedy nie wydawało mi się to ważne.

– Nawet wiedząc, że masz zdjęcia tej zamordowanej dziewczyny?

– Zrobiłem przez weekend masę zdjęć. Może nie wiedziałem od razu, kto tam był, co?

– Tak samo jak nie wiedziałeś, że nie oddałeś całego filmu, który zrobiłeś na miejscu zbrodni?

Uśmiechnął się znowu i wzruszył ramionami.

– Czy Everett był w Bostonie? – spytała z kolei O’Dell, biorąc do ręki jedno ze zdjęć i patrząc nań wnikliwie. Odłożyła je i wzięła następne.

– Nie widziałem go, ale z tego, co mówili, wnioskowałem, że mógł tam być. – Wskazał na Brandona na kilku zdjęciach z Bostonu i ze spotkania. – Chyba ten tam rządził. Wszyscy

byli pijani. Widać na jednym ze zdjęć, że mają butelki z piwem i polewają nim kobietę.

– Nie wierzę – powiedziała Racine. – A gdzie była w tym czasie policja?

– To był wtorek po południu. Kto wie? Nie widziałem w okolicy ani jednego gliny.

– I przyglądał się pan temu wszystkiemu spokojnie? – O’Dell patrzyła na niego, jakby chciała zrozumieć, z kim naprawdę ma do czynienia.

– Nie, robiłem zdjęcia. Taką mam pracę.

– Oni atakowali te kobiety, a pan sobie stał i robił zdjęcia?

– Kiedy patrzę w obiektyw, nie jestem uczestnikiem zdarzeń. Jestem po to, żeby zapisać i uchwycić w kadrze to, co się dzieje.

– Jak pan mógł nie zareagować? – O’Dell nie poddawała się, teraz słyszał już złość w jej głosie.

– Nie rozumie pani. Gdybym odłożył aparat, nie miałybyście tych pieprzonych zdjęć, żeby oskarżyć teraz tych sukinsynów.

– Gdyby odłożył pan aparat i starał się im przeszkodzić, może nie potrzebowalibyśmy tych zdjęć. Może te kobiety nie musiałyby tego przeżywać.

– No tak. Czyli wychodzi, że to ja jestem winny. Powiem pani, pani agentko FBI, że to, co ja robię, wymaga o wiele więcej pracy i planowania. Ja stwarzam dla was tematy. Zatrzymuję emocje w kadrze. Nie biorę udziału w zdarzeniach. Jestem częścią tego instrumentu. Za

obiektywem staję się niewidzialny, do cholery. Ma pani swoje zdjęcia. Ja się zmywam.

Chwycił worek, wpakował aparat i obiektyw i ruszył do drzwi, przekonany, że któraś z kobiet zatrzyma go. Tymczasem obie zajęły się zdjęciami. Racine zaczęła robić notatki.

Chrzanić je! Jeśli tego nie rozumieją, nie będzie im wkładał takich banałów do głowy. Wyszedł ciut rozczarowany, że nie natknął się na neandertalczyka, boby go chętnie popchnął, a przynajmniej lekko pacnął. Tak, zdaje się, że Racine wygrała tę rundę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

– Jak mogło do tego dojść? – spytała Racine, stojąc nad zdjęciami i kręcąc głową, jakby rzeczywiście nie mogła w to wszystko uwierzyć. – Myślisz, że tak to wyglądało?

Maggie nie potrzebowała więcej słów, by wiedzieć, że Racine mówi o zamordowanych kobietach: Ginny Brier, bezdomnej spod wiaduktu i jak dotąd również anonimowej topielicy z Raleigh. A teraz, po rozmowie z Tullym, należało jeszcze dodać do tego tę nieszczęsną kobietę, którą policja z Bostonu zidentyfikowała jako maklerkę Marię Leonetti.

– Czy to w ogóle możliwe? – ciągnęła Racine, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Czy to ma być jakaś barbarzyńska inicjacja? Jakiś rytuał przejścia dla młodych mężczyzn z Kościoła Everetta?

– Nie wiem – odparła w końcu Maggie. – Mam tylko nadzieję, że nie.

– To by nam wyjaśniło wiele kwestii. Na przykład dlaczego nie zabijają od razu. No wiesz, że uprawiają z nimi jakieś chore gry. No i wtedy byłoby zrozumiałe, dlaczego to się zbiega w czasie ze spotkaniami modlitewnymi.

– Ale w Bostonie nie było żadnego spotkania – przypomniała Maggie.

Obie zamilkły, stojąc ramię w ramię. Wciąż wpatrywały się w zdjęcia rozrzucone na stole, lecz nie dotykały ich.

– Dlaczego powiedziałaś, że masz tylko nadzieję? – Racine przerwała ciszę. – Co? Powiedziałaś, że masz tylko nadzieję, że nie tak wyglądały te morderstwa.

– Ponieważ nie chcę wierzyć, że jeden człowiek może do tego stopnia rozpalić grupę chłopców, zmusić ich do czegoś takiego. Ten jeden człowiek, po prostu wydając im rozkaz, skłonił ich do gwałtu, brutalności i prawdopodobnie morderstwa.

– Nie pierwszy raz w historii. Mężczyźni potrafią być potwornie okrutni – stwierdziła Racine, dając wyraz swojemu wzburzeniu.

Maggie zerknęła na nią. Pomyślała, że może ta złość wyrasta z jej własnych doświadczeń. Może pochodzi z lat spędzonych w wydziale zajmującym się przestępstwami na tle seksualnym. Jakkolwiek było, miało to wyraźny osobisty odcień, czyli coś, o czym Maggie wolała nie wiedzieć.

– To znaczy, że Everett jest o wiele groźniejszy, niż sądziliśmy – oznajmiła Maggie, dodając prawie szeptem: – Eve miała rację.

– Jaka Eve?

– Była członkini Kościoła Everetta, z którą rozmawiałam. Cunningham i senator Brier umówili mnie na to spotkanie. Myślałam, że ona jest głupia, że przesadza.

– I co teraz zrobimy?

Maggie zaczęła szperać w stosie rzeczy, które Garrison wyrzucił ze swojego worka i zostawił. Tak się spieszył, kiedy wychodził, że zabrał tylko aparat i obiektyw. Odsunęła na bok metalowe ustrojstwo nieznanego

przeznaczenia, śmierdzący T-shirt i spodenki, i sięgnęła po szarą kopertę. Otworzyła ją i wysypała jej zawartość – kolejne zdjęcia – na stół, obok fotografii z Bostonu. Wszystkie były najprawdopodobniej zrobione na miejscu zabójstwa Ginny Brier. Pochodziły niewątpliwie z filmu, który Garrison zatrzymał dla siebie. Były to odbitki sprzedane na pniu redakcji „Enquirera".

– Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia – westchnęła Racine, jak tylko zobaczyła te zdjęcia. – Henderson jest wkurzony jak diabli.

– Zrobiłaś błąd. Każdemu z nas to się zdarza – powiedziała Maggie, nie oskarżając jej o nic. Czuła na sobie wzrok Racine.

– Skąd ta wyrozumiałość? Myślałam, że też jesteś na mnie wściekła.

– Jestem wściekła na Garrisona. Nie na ciebie – powiedziała Maggie, nie patrząc na Racine. W dalszym ciągu układała zdjęcia Ginny Brier. Coś ją mocno zaniepokoiło w zbliżeniach. Ale co?

– Myślałam o sprawie DeLong.

Maggie zatrzymała się na zbliżeniu twarzy Ginny Brier, wciąż czując na sobie spojrzenie policjantki. A więc dalej męczy ją tamta sprawa.

– Byłaś na mnie potwornie cięta. – Racine nie odpuszczała. Widać potrzebowała jakiejś formy rozgrzeszenia. – Popełniłam błąd i był przeciek. Czy dlatego wciąż tak cię wkurzam?

Tym razem Maggie podniosła na nią wzrok.

– O mały włos nas nie skazano – powiedziała spokojnie i wróciła do zbliżenia twarzy Ginny Brier, do oczu patrzących prosto na nią. Było coś nowego, coś innego w tym zdjęciu, w tych oczach. Tylko co, do cholery?

– Ale nas nie oskarżyli – upierała się Racine. – Wyszłyśmy z tego obronną ręką. Czasami zastanawiam się... – Zawahała się. – Czasami zastanawiam się, czy naprawdę z tego powodu tak się na mnie wściekłaś.

Maggie spojrzała na nią ponownie, spotkały się wzrokiem. Czekała, aż Racine wyrzuci z siebie to, co musi wyrzucić, chociaż i tak domyślała się, o co jej chodzi.

– O czym mówisz? – spytała mimo to.

– Czy jesteś na mnie w dalszym ciągu zła z powodu tego przecieku? Czy jesteś na mnie zła, bo się do ciebie przystawiałam?

– Jedno i drugie było nieprofesjonalne – rzuciła Maggie bez wahania i bez żadnych emocji. – A już taka się urodziłam, że nie mam zbyt wiele cierpliwości dla kolegów, którzy zachowują się nieprofesjonalnie. – Wróciła do zdjęć, ale czuła, że Racine nie przestaje na nią patrzeć. Cholera, ona wciąż czeka. – To wszystko, Racine. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. A teraz możemy zająć się tą sprawą? – Podała jej zdjęcie. – Widzisz tu coś dziwnego?

Racine przesunęła się, Maggie czuła, że jest lekko zdezorientowana.

– W jakim sensie dziwnego? – spytała.

– Sama nie wiem – odparła Maggie, przecierając oczy i czując jeszcze skutki zbyt dużej dawki scotcha. – Muszę

zobaczyć inne zdjęcia z miejsca zbrodni. Mamy coś pod ręką?

Racine nawet nie próbowała szukać.

– Więc w dalszym ciągu uważasz, że nie jestem profesjonalistką? To znaczy w tej sprawie też?

Maggie odwróciła się do niej twarzą. Stały oko w oko, były niemal tego samego wzrostu. Zaczepna zazwyczaj pani detektyw czekała na odpowiedź z jedną ręką na biodrze, drugą postukiwała w zdjęcie leżące na stole. Patrzyła Maggie w oczy ze śmiałością, którą – jej zdaniem – doprowadziła do perfekcji. Pojawiło się jednak na moment coś innego – jakaś bezbronność w jej oczach, kiedy raptem mrugnęła, rzuciła wzrokiem w bok i szybko wróciła znów do Maggie, jakby musiała sobie w milczeniu przypomnieć, że nie wolno jej robić uników.

– Nie skarżę się – powiedziała w końcu Maggie. Potem z uśmiechem dodała: – Na razie.

Racine przewróciła oczami, ale Maggie wiedziała, że jej ulżyło.

– Powiedz mi wszystko, co wiesz o Garrisonie – poprosiła Maggie, chcąc wrócić do pracy pomimo niepokoju, w jaki wprawiły ją oczy zmarłej Ginny Brier, patrzące ze złodziejskich zdjęć Garrisona.

– Coś poza tym, że jest arogantem, kłamcą i draniem?

– Zdaje się, że już z nim pracowałaś.

– Lata temu. Czasami w zastępstwie robił dla nas zdjęcia na miejscu zbrodni, kiedy pracowałam z Vice’em. Zawsze

był aroganckim dupkiem, nawet wtedy, kiedy nie został jeszcze wielką gwiazdą fotografii prasowej.

– Mogę gdzieś zobaczyć te jego warte kupę forsy zdjęcia?

– Jasne, na pewno widziałaś przynajmniej jedno, księżnej Diany. Takie zamglone, zrobione przez roztrzaskaną szybę w samochodzie. Garrison był akurat przypadkiem we Francji. No i to z wybuchu bomby w Oklahoma City, które trafiło na okładkę „Time'a". Martwy mężczyzna, który patrzy w górę na stos gruzów. Nawet nie zauważasz od razu ciała, dopóki się dokładniej nie przyjrzysz, ale za to te oczy, które patrzą prosto na ciebie!

– Zdaje się, że fotografowanie śmierci to jego fascynacja – stwierdziła Maggie, podnosząc kolejne zdjęcie Ginny Brier i przyglądając się jej upiornym oczom. – A wiesz coś o jego prywatnym życiu?

Racine rzuciła jej zdumione spojrzenie z taką dawką niesmaku, że Maggie w lot pojęła swoją niezręczność. Ale Racine nie powstrzymało to od wygłoszenia paru uwag.

– Dowalał się do mnie wiele razy, ale znam go tylko z pracy, no i słyszałam co nieco.

– Na przykład co?

– Chyba nie był nigdy żonaty. Dorastał tutaj, może gdzieś w Wirginii. Aha, ktoś mówił, że jego matka zmarła całkiem niedawno.

– Co to znaczy „ktoś mówił"? A skąd wiedział?

– Nie wiem. – Racine zmrużyła oczy, jakby chciała sobie w ten sposób odświeżyć pamięć. – Zaraz, chyba Wenhoff. Kiedy czekaliśmy na ciebie w FDR Memorial. Zaraz po tym,

jak Garrison sobie poszedł. Nie wiem, skąd on to wie. Może z biura patomorfologa? Pamiętam, powiedział coś w rodzaju: „Trudno uwierzyć, że ktoś taki jak Garrison w ogóle miał matkę”. A co? Myślisz, że to ważne? Że dlatego tak bardzo mu zależy, by znowu wrócić na okładki?

– Nie mam pojęcia. – Maggie natychmiast pomyślała o własnej matce. Na jakie niebezpieczeństwo naraża ją uczestnictwo w grupie Everetta? I czy istnieje jakiś patent, by przekonać Kathleen, że naprawdę znajduje się w niebezpieczeństwie? – Jesteś blisko ze swoją matką?

Racine spojrzała na nią, jakby było to podchwytliwe pytanie, i wtedy Maggie uświadomiła sobie, że to nie fair, że właśnie przed chwilą sama zachowała się nieprofesjonalnie.

– Wybacz. Nie chciałam się wtrącać – poprawiła się szybko, nie dając Racine szansy na odpowiedź. – Po prostu myślę ostatnio sporo o swojej matce.

– Okej – rzekła zupełnie nieporuszona Racine, i zaraz dodała: – Moja mama zmarła, kiedy byłam dziewczynką.

– Racine, przepraszam. Nie wiedziałam.

– Nic nie szkodzi. Tylko wciąż żałuję, że tak mało ją pamiętam – powiedziała mimochodem, przeglądając zdjęcia. Maggie zastanowiła się, czy Racine przypadkiem nie udaje, że to taki powszedni temat. Dlaczego musiała zająć byle czym ręce, zatrzymać na czymś spojrzenie? Mimo to mówiła dalej: – Tata ciągle mi o niej różne rzeczy opowiada. Chyba przypominam mu ją, kiedy była w moim

wieku. Muszę się starać zapamiętać te historie, bo zaczyna już zapominać.

Maggie milczała ze spuszczoną głową. Czuła, że Racine jeszcze nie skończyła. Kiedy podniosła na nią wzrok, przekonała się, że ma rację, bo usłyszała:

– Ostatnio zapomina mnóstwo rzeczy.

– Alzheimer?

– Pierwsze symptomy, raczej tak.

Odwróciła głowę, ale Maggie zdołała zobaczyć bezsilność w tych twardych, łobuzerskich oczach. Potem Racine zaczęła grzebać w zdjęciach, jakby czegoś szukała.

– Co robimy z Everettem? – spytała nagle. – Everettem i jego gangiem?

– Czy zdjęcia wystarczą, żeby wydać nakaz aresztowania?

– Jeśli chodzi o tego Brandona, zdecydowanie tak. Mamy zdjęcia i naocznego świadka, który widział go z Ginny Brier w godzinach, kiedy popełniono morderstwo.

– Jeśli zdobędziemy materiał do zbadania DNA, jestem pewna, że będzie identyczny z wynikiem uzyskanym z nasienia.

– Musimy dostarczyć nakaz w obozie – powiedziała Racine. – Ale nie wiemy, w co się pakujemy, wchodząc tam.

– Zadzwoń do Cunninghama, on będzie wiedział, co zrobić. Na pewno trzeba postawić w stan gotowości grupę uderzeniową przeszkoloną w ratowaniu zakładników. – Powiedziawszy to, Maggie z miejsca pomyślała o Delaneyu. – Mam nadzieję, że nie zrobi się z tego jatka. Jak myślisz, ile czasu potrzeba na wydanie nakazu?

– Dla prawdopodobnego mordercy córki senatora? – Racine uśmiechnęła się szeroko. – Moim zdaniem będziemy go mieć jeszcze dzisiaj.

– Muszę wyskoczyć na krótko do Richmondu, ale wrócę.

– Ganza chce z tobą rozmawiać. Zostawił wcześniej wiadomość.

– Nie wiesz o czym? – Maggie szła już do drzwi.

– Nie za bardzo. Coś o jakimś starym raporcie policyjnym i jakimś materiale do badania DNA.

Maggie pokręciła głową. Nie miała na to czasu. Poza tym może chodziło o inną sprawę.

– Zadzwonię do niego po drodze z komórki.

– Poczekaj – zatrzymała ją Racine. – Dokąd się tak spieszysz?

– Wbić do głowy trochę rozumu pewnej bardzo upartej babie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Gwen wśliznęła się na miejsce przy oknie, a Tully wrzucał w tym czasie ich bagaże na półkę. Jadąc taksówką na Logan International Airport, wypełnili niezręczną ciszę uprzejmościami i wymianą zdań na temat pogody oraz drobiazgów dotyczących sprawy. Unikali jak dotąd rozmowy o minionej nocy i tym, co przerwał im telefon Nicka Morrellego. Gwen przyłapała się na myśli, że najlepiej byłoby udawać, że nic się nie stało. Potem uzmysłowiła sobie, że jak na psychologa to raczej głupie rozwiązanie. W porządku, może nie jest dobra w tym, co sama głosi.

Tully siadł wreszcie obok niej, bawiąc się pasem i obserwując, jak pozostali pasażerowie zajmują miejsca. Zapowiadało się, że samolot zapełni się co najwyżej w połowie. A zatem będą mieli większą szansę porozmawiać. Wspaniale!

Tully wspomniał, że wrócił do hotelu dopiero o świcie, może więc zechce się przespać. W każdym razie Gwen nie była gotowa do rozmowy na temat zdarzeń ubiegłego wieczoru.

Wiedziała, że nie ma w tym nic niezwykłego, iż ludzi, którzy właśnie przeżyli kryzysową sytuację, coś do siebie przyciąga, i to w sposób, którego w innych okolicznościach nie braliby pod uwagę. A przecież zamach na jej życie

idealnie wyczerpuje definicję kryzysowej sytuacji, dlatego nie ma co się dziwić temu, co nastąpiło później.

Stewardesy zajęły się przygotowaniem pasażerów do lotu. Tully przyglądał się im jak zaczarowany, jakby nigdy dotąd nie latał samolotem. Był to oczywisty wybieg, ponieważ on też czuł się zażenowany. Gwen żałowała, że nie kupiła jakiegoś czytadła w księgarni na lotnisku. Godzinny lot zapowiadał się na nieznośnie długi.

Kiedy samolot uniósł się w powietrze, Tully wyjął teczkę spod siedzenia. Położył ją na kolanach i od razu poczuł się lepiej. Równie dobrze mógłby wywiesić transparent z napisem: „Właśnie zabrałem się do pracy”.

– Rozmawiałem z O’Dell – odezwał się, przeglądając plik papierów, a zarazem odsuwając na bok niezwykłą liczbę długopisów, notesów, świstków i spinaczy.

Gwen zaczęła się zastanawiać, czy bałaganiarz Tully w ogóle korzysta z kalendarza z różnymi mądrymi rubryczkami, które szalenie ułatwiają życie. Potem rozważała, co powiedziałaby Maggie na wydarzenia minionej nocy. Cóż, Gwen złamała swoją żelazną zasadę, która głosi, że pod żadnym pozorem nie wolno zadawać się z żadnym mężczyzną, z którym łączy ją praca. Ale w końcu nic się nie stało. Nie mieli czasu, żeby… się zaangażować.

Tully wyjął kopie zdjęć z miejsca zbrodni i zaczął wskazywać na podobieństwa między nimi.

– O’Dell powiedziała, że ten fotograf, który sprzedał zdjęcia redakcji „Enquirera”, sfotografował też chłopców

Everetta, którzy wczoraj napastowali kobiety w Boston Common.

– Żartujesz. Wczoraj? – Zaczęła go pilnie słuchać. – A skąd on się wziął w Bostonie?

– Prawdopodobnie podsłuchał, jak rozmawiają o jakimś rytuale inicjacji, kiedy robił zdjęcia podczas tego spotkania w stolicy. O'Dell powiedziała, że łatwo będzie zidentyfikować tych chłopców. Kilku z nich widać na zdjęciach z Everettem podczas spotkania, istnieje więc jakiś związek.

– Nareszcie coś się wyłania. Jeśli chłopcy Everetta są zaangażowani w morderstwa, dlaczego wielebny pozwala ich fotografować?

– Może nie wie, że ktoś im robił zdjęcia?

– A jak Maggie zdobyła te zdjęcia od Garrisona?

Tully pokręcił głową. Gwen zauważyła lekki uśmiech na jego twarzy.

– Dokładnie nie wiem i prawdę mówiąc, nie chcę wiedzieć.

Zaśmiała się.

– Widzę, że już nieźle poznałeś moją przyjaciółkę.

– Powiem tylko, że chętniej niż ja omija przepisy.

– A ty lubisz wszystko robić zgodnie z regulaminem?

– Taa, staram się. Czy to źle?

– Tego nie powiedziałam.

Spojrzał na nią, jakby spodziewał się czegoś więcej, lecz nie doczekawszy się, dodał:

– Słyszałem jakieś „ale".

– Nie, nie było żadnego „ale”. Pomyślałam tylko, jak się ma ostatnia noc do twojego umiłowania regulaminu.

Tully lekko się zaczerwienił i szybko odwrócił wzrok. Gwen poszła za jego przykładem i spojrzała przez okno. Tak, świetny ruch, Patterson, zganiła się w duchu. I ona ma doktorat z psychologii?

– Chyba powinniśmy porozmawiać o ostatniej nocy – wydusił w końcu Tully.

– Nie musimy o tym rozmawiać – powiedziała, myśląc coś przeciwnego. Co się z nią dzieje? – Nie chciałabym, żeby to nam w jakikolwiek sposób przeszkadzało we współpracy.

Boże, jaka jest żałosna! Skąd wzięła takie słowa? Powinna była zamilknąć, lecz jak nakręcona dalej się produkowała:

– To po prostu ta kryzysowa sytuacja.

Tully patrzył na nią wyczekująco. Nie sądziła, że będzie zmuszona to tłumaczyć, ale widać była w błędzie.

– W sytuacji kryzysowej ludzie często zachowują się tak, jak normalnie nigdy by się nie zachowali.

– My nie byliśmy w sytuacji kryzysowej.

– Nie, oczywiście że nie. To nie zdarza się podczas takiej sytuacji, tylko na skutek kryzysu.

Tully skupił się na laptopie. Nacisnął kilka klawiszy, żeby zamknąć dokument, który dopiero co otworzył, aż wreszcie, nie patrząc na Gwen, powiedział:

– Mówisz, jakbyś chciała udawać, że to nie miało miejsca.

Zerknęła na niego, szukając jakiegoś znaku, który podpowiedziałby jej, czego pragnie ten facet. Ale on patrzył w ekran komputera, a potem przeniósł wzrok na

stewardesę, która mijała ich właśnie z wózkiem, jakby umierał z głodu i nie mógł się doczekać swojej paczki precli.

– Słuchaj, Tully, muszę przyznać… – Przerwała, bo coś jej przyszło do głowy. – Czy powinnam zwracać się do ciebie R.J.? A właściwie co to za inicjały?

Tully skrzywił się. Aha, kolejne potknięcie z jej strony. Och, naprawdę jest w tym dobra.

– Wszyscy znajomi mówią do mnie Tully.

Odczekała chwilę, potem uświadomiła sobie, że nic więcej nie usłyszy na ten temat. A więc koniec intymności. Ostatniej nocy chodziło tylko o seks. O nic więcej. I dlaczego tak ją to dziwi? Czyżby marzyła o czymś więcej? Dzięki Bogu, że Morrelli im przerwał.

– Co chciałaś przyznać? – spytał, podnosząc na nią wzrok. – Zaczęłaś mówić, że musisz coś przyznać.

– Tylko tyle, że nie wiem, jak się do ciebie zwracać. To wszystko – powiedziała, a wewnętrzny głos mówił jej, że potrafi znakomicie kłamać.

Ale jak niby miała przyznać, że miniona noc okazała się dla niej niespodzianką, niesamowitym przeżyciem, a potem powiedzieć: „Więc zapomnijmy o tym, okej?”. Przez całe lata udawało jej się nie komplikować sobie życia. Byłoby wstyd odrzucać teraz to wszystko dla jednego zaskakująco miłego spotkania.

– Więc mamy to zapisać na karb kryzysu? – spytał Tully, wzruszając ramionami, niezdolny ukryć cienia… no właśnie, cienia czego? Rozczarowania? Ironii?

– Tak. Myślę, że właśnie tak będzie najlepiej – odparła.

Wyobraziła sobie, że Freud znalazłby idealne określenie na to, co właśnie zrobiła, na to, co właśnie powiedziała, jak rozwiązała tę sytuację. Chociaż z drugiej strony nie wyobrażała sobie Freuda mówiącego na głos: „Gówno prawda”.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Tym razem Maggie pamiętała, żeby zjechać na I-95 przed płatną autostradą, dzięki czemu znalazła się na Jefferson Davis Haighway i przejechawszy James River, uświadomiła sobie, że będzie musiała się teraz cofnąć, żeby dojechać do domu matki. Dwie wizyty w ciągu dwu dni, powinna trafić bez problemu. W końcu w tej właśnie okolicy dorastała, mieszkała tu do czasu, kiedy zostawiła to miejsce na dobre, wyjeżdżając na Uniwersytet Stanu Wirginia w Charlottensville. Nigdy nie czuła się w tym mieście jak w domu. Swoją drogą nigdzie nie czuła się jak w domu. Nigdzie, odkąd zabrakło jej ojca.

Maggie przez te wszystkie lata za nic nie mogła pojąć, dlaczego po jego śmierci matka uparła się, by przeprowadzić się z Green Bay do Richmondu. Dlaczego nie mogły zostać w domu, wśród ludzi, którzy je znali i kochali, i znajdować pociechę we wspomnieniach? Chyba że faktycznie był jakiś romans i plotki… Nie, to na pewno kłamstwo. Nawet nie dopuszczała takiej myśli. No tak, ale w takim razie dlaczego jednak się przeprowadziły? Czy matka kiedykolwiek podała jej jakiś sensowny powód?

Kathleen O’Dell brutalnie wrzuciła je w sam środek obcego i nieprzyjaznego miejsca, kompletnie nieznanego Maggie, nawet ze słyszenia. A jej jedynym wyjaśnieniem… Co? Co to było? Coś na temat zaczynania od początku, coś

o nowym życiu w nowym miejscu. Tak, Kathleen O’Dell zaczynała od początku po każdej nieudanej próbie samobójstwa. Było ich tyle, że Maggie przestała je liczyć.

I oto znowu tu jest i znowu próbuje uratować swoją matkę.

Zaparkowała przed budynkiem, w którym mieszkała Kathleen, objeżdżając dużą białą ciężarówkę bagażową, która zajmowała pięć najlepszych miejsc parkingowych. Kilku robotników załadowywało wóz meblami, a niewysoki siwowłosy mężczyzna trzymał drzwi, żeby się nie zamknęły.

Dopiero wchodząc na chodnik przed domem i mijając ciężarówkę, Maggie rozpoznała kwiecistą kanapkę, którą mężczyźni upychali z tyłu. Natychmiast podniosła wzrok na pierwsze piętro, na okna mieszkania matki, i zauważyła, że zniknęły z nich zasłony. Ukłucie paniki wytrąciło ją z równowagi.

– Przepraszam – zatrzymała niewysokiego siwowłosego mężczyznę, który wyglądał na szefa przeprowadzki. – Znam te rzeczy. Co się tutaj dzieje?

– Pani O’Dell się wyprzedaje.

– To znaczy wyprowadza się?

– Na pewno gdzieś się przeprowadza, ale mówiłem pani, że się wyprzedaje.

Maggie musiała mieć bardzo skonsternowaną minę, bo mężczyzna zaczął tłumaczyć:

– Jestem Frank Bartle. – Wsadził rękę do kieszeni kurtki i wyjął swoją wizytówkę. – Al i Frank Antyki i Skarby

z Drugiej Ręki. Mieścimy się na Kirby. Jeśli podoba się pani coś z tego, to będziemy sprzedawać w przyszłym tygodniu.

– Kiedy ja nie rozumiem, dlaczego ona pozbywa się wszystkiego. Pójdę na górę i zapytam ją sama, nie będę panu zawracać głowy.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Obiecuję, że nie będę przeszkadzać pańskim ludziom. – Uśmiechnęła się i wystartowała do drzwi.

– Chodzi o to, że jej już tu nie ma.

Maggie poczuła ciarki na plecach.

– A gdzie jest?

– Nie wiem. Chciałem kupić kilka jej antyków. Wie pani, ozdóbki, figurki i takie tam. A dzisiaj z samego rana zadzwoniła do mnie i spytała, czy wezmę wszystko.

Maggie oparła się o drzwi.

– Dokąd pojechała?

– Nie wiem.

– Musiała przecież zostawić panu jakiś adres.

– Nic.

– A jak pan jej zapłaci?

– Przyszedłem dziś rano, powiedziałem, jak to szacunkowo widzę i wręczyłem jej czek. A ona dała mi klucze. Mam je potem przekazać gospodyni, jak skończymy.

Jak to się mogło zdarzyć w ciągu ledwie dwudziestu czterech godzin? I czemu matka podjęła taką nagłą decyzję? A może planowała to od dawna, lecz wszystko zataiła przed nią? Poprzedniego dnia stało tu tylko kilka zapakowanych pudeł. Ale po co przygotowywała obiad na

Święto Dziękczynienia, jeśli zamierzała stąd wyjechać? Co się stało, do jasnej cholery?

– Mam kwit, jeśli pani życzy zobaczyć. – Frank Bartle grzebał znowu w kieszeni.

– Nie, nie trzeba. – Powstrzymała go machnięciem ręki. – Wierzę panu. Tylko że to bardzo dziwne. Widziałam się z nią wczoraj.

– Przykro mi, nic więcej nie wiem – powiedział, przenosząc uwagę na jednego z robotników, który wychodził z budynku. – Ostrożnie, Emile. Postaw to gdzieś bezpiecznie.

Z boku kartonu, który niósł mężczyzna, Maggie zobaczyła jedno słowo napisane czarnym mazakiem: „Figurki”. Figurki jej babki, jedyna cenna rzecz, jaką posiadała jej matka. I nagle Maggie zrobiło się niedobrze. Gdziekolwiek Kathleen wyjechała, nie zamierzała stamtąd wrócić.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Ben Garrison kopnął otwarte drzwi. Miał ochotę udusić starą Fowler. Jak śmiała bez pozwolenia wejść do jego mieszkania? Wścibski namolny babsztyl, za nic miała cudzą prywatność. A potem zapomniała zamknąć drzwi. Durna sklerotyczka, przecież równie dobrze mogłaby zostawić swoją wizytówkę.

Ben położył worek na blacie w kuchni i wtedy kątem oka je zobaczył. Cicho, ukradkiem złapał, co miał najbliżej pod ręką, i rzucił starym adidasem w rząd czarnych robali, które wędrowały po ścianie.

Cholera! Rzygać mu się chciało na ich widok. Czy nigdy się ich nie pozbędzie? Czy to z ich powodu zakradła się tu pani Fowler? Może najprostszym rozwiązaniem byłaby przeprowadzka do nowego mieszkania. Stać go na to, bo szczęście wreszcie do niego wróciło. Musi to przemyśleć. Teraz ma tylko czas na szybki prysznic i przepakowanie worka. Zabierze ze sobą dużo filmów i pogna na lotnisko.

Grzebał w przepastnym wnętrzu worka, pozbywając się pustych kaset po filmach i robiąc pospieszną inwentaryzację. Wciąż był wkurzony, że zostawił Racine wszystkie negatywy z Bostonu. To był błąd, ale nie taki znów wielki. Wyścig nadal trwa. W żadnym wypadku nie dopuści do tego, by pieprzona pani detektyw go

prześcignęła. Nie dopuści do tego. Nie teraz, kiedy znowu był na fali.

Przejrzawszy wszystko, stwierdził na koniec, że zostawił na policji składany statyw. Niech to cholera! Jak mógł być tak bezmyślny? Zawsze mu się to zdarzało, kiedy chciał grać chojraka. Natychmiast zastanowił się, co jeszcze zapomniał stamtąd zabrać. T-shirty i spodenki to pestka, ale statyw to podstawa. Musi więc zatrzymać się gdzieś po drodze i kupić nowy. Nie wyobrażał sobie, że wróci po tamten na komisariat.

Sprawdził sekretarkę, notując nazwiska i numery telefonów wydawców, o których dotąd nawet nie słyszał. Nagle wszyscy chcieli mieć Garrisona na wyłączność. Ani się obejrzy, a będzie sobie pstrykał, co tylko zechce, choć trudno będzie pobić rekordowe skoki adrenaliny, jakie przeżywał podczas realizacji tego zadania. Może znajdzie wreszcie galerię, która wystawi jego odrzucone prace? To przecież one mają w sobie prawdziwy żar, to one są prawdziwymi dziełami sztuki.

Sekretarka automatyczna odnotowała także pięć głuchych telefonów. Ktoś dzwonił, wysłuchiwał jego powitania, a po chwili odkładał słuchawkę. Ciekawe, dlaczego przestali zostawiać te debilowate wiadomości? Czyżby zabrakło im amunicji? Czyżby już nie wiedzieli, jak próbować zastraszyć Bena Garrisona?

Biedny Everett. W końcu dostanie, na co zasłużył. Spadnie na niego to, co sam na siebie ściągnął. Może Racine i ta lalka z FBI mają dość rozumu, żeby poskładać te kawałki do

kupy, ale miał nadzieję, że się to nie zdarzy przed Clevelandem. Ben potrzebował jeszcze tej jednej wycieczki, jeszcze jednego spotkania modlitewnego.

Ruszył do łazienki, ściągając po drodze ubranie i rzucając je na podłogę. Nie przejmował się, że karaluchy zaraz zasiedlą znoszone stare dżinsy. Może spali je po powrocie. Taa, i zawinie je w plastikowy worek, żeby widzieć, jak się pieprzone robale wiją w ogniu. Ciekawe, czy karaluchy wydają jakieś dźwięki? Na przykład czy krzyczą z bólu?

Wszedł do łazienki i natychmiast rzuciło mu się w oczy, że brudne szklane drzwi kabiny prysznicowej są zamknięte. A przecież nigdy ich nie zamykał, bo uwięziona para skraplała się i wszędzie osiadała. Nie widział dobrze przez mleczne szkło, tylko jakiś cień czy niewyraźny kształt. Może majster pani Fowler robił coś z hydrauliką? Tak, to na pewno to.

Zdjął ręcznik z wieszaka i strząsnął go, upewniając się, że nie ma na nim karaluchów. Otworzył drzwi kabiny prysznicowej, sięgnął do kurka i odskoczył jak oparzony. Nogi mu się zaplątały i wylądował na podłodze. Poderwał się i zatrzasnął drzwi kabiny, ale przedtem raz jeszcze rzucił okiem, sprawdzając, czy przypadkiem nie ponosi go wyobraźnia.

Tym razem posunęli się za daleko.

W brodziku leżał zwinięty wąż, tak wielki, że mógłby połknąć Bena.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Obóz Everetta

Kathleen O’Dell siedziała na podłodze obok wielebnego Everetta, który tkwił na swoim fotelu z wysokim oparciem. Czekali, aż zapełni się sala. Stephen siedział po drugiej stronie razem z Emily. Ani Stephen, ani Emily nie odzywali się wiele od chwili, kiedy po nią przyjechali. Żadnych wyjaśnień przez całą drogę do obozu, tylko krótkie, niemal szorstkie ogólniki w odpowiedzi na jej pytania. Kathleen nie była pewna, czy to na skutek złości, czy pośpiechu. Nie potrafiła tego odgadnąć. Teraz, gdy tak siedzieli, zerkała na wielebnego Everetta. Nie wydawał się na nią zły, ale wcześniej zauważyła coś dziwnego w jego głosie i zachowaniu. Pomyślała nawet, że to może popłoch.

Nie, skądże znowu. Wpada w paranoję. Nie ma przecież powodu do paniki. A jednak gdy wielebny zadzwonił do niej rano, mówił z tak gorączkowym niepokojem, że się zdenerwowała. Cały ranek, kiedy czekała na Franka z Al i Frank, a potem na Stephena i Emily, nie mogła odżałować, że wcześniej wykończyła butelkę schowaną na dnie kredensu.

Wielebny Everett nie podał im powodu, dla którego mają się stawić tak nieoczekiwanie. Kiedy przyjechali do obozu, mieszkańcy szykowali się do kolejnych spotkań

modlitewnych, z których pierwsze miało odbyć się następnego wieczoru w Clevelandzie. I tylko tyle się działo – zwyczajne przygotowania. W takim razie dlaczego wielebny Everett zwołał to pilne spotkanie? Dlaczego twarz Emily była ściągnięta ze strachu?

Kathleen wcale nie miała jechać na spotkanie do Clevelandu. Przecież sam wielebny Everett sugerował jej, żeby spędziła Święto Dziękczynienia z Maggie. Co prawda nie miała okazji powiedzieć mu o córce, a teraz najlepiej było o tym w ogóle nie wspominać. Bo wyglądało na to, że wszystko się zmieniło. Jakby stało się coś strasznego. Coś tak strasznego, że odebrało Emily mowę. Coś tak strasznego, że Stephen nie patrzył jej w oczy.

Kathleen czuła się zdezorientowana, jak we mgle, gdzie nic nie jest całkiem wyraźne. Wciąż nie mogła uwierzyć, że pozbyła się wszystkich swoich rzeczy, swojego mieszkania, swoich radosnych żółtych zasłonek i figurek babci. Może dlatego cały dzień męczył ją pulsujący ból głowy? Nie można spodziewać się od jednego człowieka tak wiele w ciągu jednego dnia. Wielebny Everett na pewno to rozumie. Może, kiedy dotrą do Clevelandu, Ojciec zmieni zdanie. Tak, była przekonana, że Everett uspokoi się i stwierdzi, że wszystko będzie dobrze.

Kiedy wstał, w sali zapadła cisza, choć tłum siedzący po turecku na podłodze czekał w nerwowym napięciu.

– Moje dzieci – zaczął Everett – zanim wyjadą ci, którzy wybierają się z naszą misją do Ohio, muszę podzielić się z wami niepokojącymi nowinami. Wiele razy ostrzegałem

was, że są zdrajcy, którzy chcą nas zniszczyć. To są ci, którzy nas nienawidzą, ponieważ wybraliśmy wolność. Muszę wam teraz powiedzieć, że jeden spośród naszego zgromadzenia zdradził nas. Ujawnił nasze tajemnice tym kundlom, tym medialnym hienom. Wiecie, jak kłamią gazety, wiecie, jak łżą rozgłośnie telewizyjne i radiowe. A jednak ktoś z nas rozmawiał z tymi łajdakami.

Czekał na właściwą reakcję, kiwając głową w odpowiedzi na pojedyncze syknięcia, które za jego zachętą rosły w siłę. Kathleen rozejrzała się. Miała nadzieję, że ten wieczór obejdzie się bez węża. Nie wiedziała, czy wytrzymałyby to jej nerwy.

– Niestety ta sprawa jest bardzo bolesna dla mnie osobiście, a więc poproszę Stephena, żeby mnie zastąpił. – Wielebny Everett usiadł i spojrzał na Stephena, który wydawał się zaskoczony i trochę speszony tą prośbą. Najwyraźniej nie było to zaplanowane. Biedny potulny Stephen. Kathleen wiedziała, że nie znosił, kiedy ktoś zwracał na niego uwagę. Widziała nieukrywane zakłopotanie na jego twarzy.

Stephen podniósł się powoli, z ociąganiem.

– To prawda – zaskrzypiał z trudem i zaraz odchrząknął. – Jest pośród nas zdrajca.

Zerknął na wielebnego Everetta, który gestem kazał mu kontynuować. Kathleen objęła wzrokiem zebranych, którzy czekali w milczeniu. Wszyscy znali procedurę. Zdrajca jest wyciągany przed tłum. Zdrajca musi dostać nauczkę. Ale

była tak umęczona, że pragnęła tylko, by nie trwało to zbyt długo.

– Zdrajca wyjawił cenne informacje FBI i „Boston Globe” – kontynuował Stephen. – Informacje, które pozwoliły im skontaktować się z byłymi członkami naszej społeczności. Informacje, które mogły zachwiać reputacją Kościoła i zawrócić nas z naszej misji. Dlatego właśnie spotkanie w Ohio jest teraz takie ważne. Nie możemy dać się zastraszyć.

Spojrzał na wielebnego, jakby czekał na jego zgodę. Potem zaczął mocniejszym głosem:

– Ale najpierw zdrajca musi zostać ukarany. Proszę, żeby winny wstał. Ta osoba wie, że właśnie o nią chodzi. – Kolejny rzut oka na Everetta. – Stań przed nami i przyjmij swoją karę.

Wszyscy siedzieli w milczeniu. Nikt się nie rozglądał, wszyscy panicznie się bali, że na nich padnie. Nikt nie śmiał poruszyć się ani nawet drgnąć. Wtedy Stephen odwrócił się i wskazał zdrajcę palcem.

– Wstań i przyjmij swoją karę – powtórzył.

Kathleen zdawało się, że palec mu zadrżał, kiedy wycelował nim prosto w nią. Nie, to jakaś pomyłka! Popatrzyła na wielebnego Everetta, ale on wbił wzrok przed siebie. Był jedyną osobą na sali, która na nią nie patrzyła.

– Kathleen, chodź i przyjmij swoją karę za to, że nas zdradziłaś. – Stephenowi udało się powiedzieć to z odpowiednią powagą i groźbą.

– Ale to jakaś pomyłka – odezwała się, podnosząc się na nogi. – Ja nic…

– Milcz! – z furią wrzasnął Stephen. – Ręce przy sobie, stój prosto i patrz przed siebie. – Kiedy w odpowiedzi patrzyła na niego ogłupiałym wzrokiem, chwycił ją za ręce i pchnął tam, gdzie już stało kilka osób, w tym Emily. – Czy zdajesz sobie sprawę, że twój egoizm mógł nas zniszczyć?! – krzyczał jej prosto w twarz. Potem wzrokiem dał pozostałym sygnał do działania.

– Zdradziłaś nas! – krzyczała stara kobieta, której Kathleen nie widziała dotąd na oczy.

– Jak śmiałaś? – wrzasnęła jej w twarz Emily.

– Powinnaś się wstydzić! – huknęło z innej strony.

– Zdrajca!

– Skąd ci przyszło do głowy, że jesteś kimś wyjątkowym?

– Niewdzięczna suka!

– Wstyd!

Jeden za drugim okrążyli ją, obrzucając wyzwiskami, popychając, szturchając.

– Jak mogłaś?

– Zdrada!

Kathleen miała łzy w oczach, powieki piekły ją, chciała umrzeć, zapaść się pod ziemię. Ktoś na nią splunął, potem następny i następny. Chciała się wytrzeć, ale Stephen uderzył ją po ręce.

– Znasz reguły. Ręce przy sobie! – ryknął, ale to już nie był Stephen. To nie były oczy Stephena. To był jakiś dziki,

oszalały zwierz, jakaś obrzydliwa bestia, która zawładnęła jego ciałem.

Kathleen stała, zamykając oczy, żeby choć tak obronić się przed plwocinami, i próbując w jakiś sposób zamknąć też uszy, żeby nie dopuścić do nich słów padających z zacietrzewionych, wściekłych i nabrzmiałych pogardą ust. Przyjmowała uderzenia i pchnięcia, które przypominały jej, że ma stać prosto. Nie walczyła, bo niby jak miała walczyć? Tylko usiłowała się bronić, biernie i cicho, próbowała odizolować się od tego, co działo się wokół niej. Co działo się z nią.

Ciągnęło się to całą wieczność, aż oczy zaczęły ją palić, w uszach dzwoniło, rozbolały nogi i cała była posiniaczona.

I nagle ją zostawili. Nagle zrobiło się cicho. Odeszli w porządku i spokoju, jakby wpadli tylko na kolację i właśnie wstali od stołu i pożegnali się z gospodynią. Kathleen została zupełnie sama w pustej sali.

Bała się poruszyć, bała się, że załamią się pod nią kolana. Otaczała ją cisza, więc wsłuchiwała się w dźwięki dochodzące z zewnątrz – powszednie odgłosy przygotowań do zbliżającego się wyjazdu. Zupełnie jakby nic się nie stało. Jakby nie spełniła się właśnie na oczach świadków jej największa obawa, jej lęk, że zostanie poniżona przed tymi, którzy, jak jej się zdawało, darzą ją szacunkiem. Co gorsza potraktowali tę karę jak rzecz najzupełniej naturalną. Jakby to było normalne, że publicznie chłosta się czyjąś duszę.

I wtedy zobaczyła tego młodego człowieka. Stał w cieniu, tuż obok tylnego wyjścia. Kiedy zdał sobie sprawę, że go

dostrzegła, podszedł do niej powoli, ze spuszczoną głową, z jedną ręką w kieszeni. W drugiej trzymał ręcznik, który jej podał.

Ręcznik. Chciało jej się śmiać. Ona potrzebowała butelki, pieprzonej butelki czegokolwiek... Jacka Danielsa, absoluta... Do cholery, tylko alkohol by jej teraz pomógł. Wzięła jednak ręcznik i zaczęła wycierać sobie twarz i ręce, potem resztę, starając się nie myśleć o siniakach, udając, że... Ale jak, do diabła, miała udawać? Ależ tak, zrobi to, już nieraz to robiła. Wyjdzie z tego. Musi tylko złapać równowagę. Czy ta sala się kręci? Czy jej się tylko wydaje?

Chłopak pomógł jej usiąść. Coś do niej powiedział, potem wziął ręcznik i wyszedł. Dlaczego? Na pewno uznał, że to przegrana sprawa. Opuścił ją jak cała reszta? Nie, znowu był przy niej. Było ich dwóch, podali jej nowy ręcznik. Świeży, tym razem wilgotny.

Dotknęła nim czoła i karku, podciągnęła rękawy i wytarła nadgarstki. Czuła się już lepiej. Tym razem, kiedy podniosła wzrok, ujrzała przed sobą tylko jednego chłopca. No i, dzięki Bogu, sala w końcu znieruchomiała. Młody człowiek był wyraźnie zamyślony. Patrzył na jej nadgarstki. A raczej patrzył na poziome blizny, które się pokazały, kiedy podwinęła rękawy kardiganu.

– Wierz mi – odezwała się do niego. – Wiem, jak nie schrzanić tego następnym razem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Justin chciał powiedzieć tej kobiecie, że ją rozumie. Tyle już razy myślał o pozbawieniu się życia, że nawet usystematyzował sobie stosowne metody. Nigdy nie spotkał jednak nikogo starszego od siebie, kto przypominałby mu jego matkę, a ona przypominała ją, i to bardzo... Nigdy nie spotkał nikogo w tym wieku, kto by tego naprawdę spróbował.

– Psze pani, dobrze się pani czuje? – spytał. – Bo powinienem teraz pomagać przy pakowaniu.

– Dobrze, nic mi nie będzie. – Uśmiechnęła się do niego i ściągnęła w dół rękawy. – Mam na imię Kathleen. Nie musisz mówić do mnie pani. Ale pewnie znasz już moje imię po tym wieczorze.

– Jestem Justin.

– Dziękuję ci za pomoc, Justinie.

Skinął jej głową.

– Wiem, że pani nic złego nie zrobiła.

Potem odwrócił się i wyszedł tylnym wyjściem. Musiał wracać do kuchni, do pudeł pełnych puszek fasolki i zupy, i takiej masy ryżu, że dałoby się nią chyba zapchać jakiś nieduży naród. Może za bardzo się starał, ale miał świadomość, że przerżnął sprawę w Bostonie. Od powrotu nękała go wciąż obawa, że skończy z wężem dusicielem na szyi. Wiedział, że znalazł się bardzo blisko publicznego

napiętnowania za zdradę. Może dlatego czuł potrzebę, żeby wrócić i pomóc tej kobiecie, tej Kathleen. A także dlatego, że przypominała mu jego mamę. Nie zdawał sobie z tego sprawy do tego wieczoru, ale tęsknił za matką. Tęsknił też za Erikiem. Nie miał już pewności, czy Eric w ogóle do nich wróci.

Na początku sądził, że nie pozwolą mu jechać do Clevelandu na kolejne spotkanie modlitewne. Nie miałby im zresztą tego za złe. Prawdę mówiąc, myślał nawet, że może zwieje, kiedy inni wyjadą. Był niemal pewny, że znalazłby drogę do parku narodowego Shenandoah, w końcu poprzednim razem udało mu się to bez większego wysiłku. Ale potem Alice powiedziała mu, że znajduje się na liście, na pieprzonej liście wyjeżdżających.

Znalazł starą kobietę, która nazywała się Mavis, i pomógł jej załadować metalowe pudło pełne kartonów do bagażnika autokaru, który był już zapakowany innymi pudłami. W obu wozach bagażniki na dachu były zapchane ponad normę. Kobieta z pralni poinstruowała Justina, żeby położył wszystkie pudełka, które ze sobą przytargała, pod siedzeniami.

– Muszą się zmieścić. Zrób tak, żeby się zmieściły – powiedziała i poszła.

Pudła te były oznakowane: „Koszule”, „Bielizna”, „Ręczniki”. Po co im to wszystko na dwudniową wycieczkę? Kiedy Justin upchnął ostatnie z pudeł pod siedzenie kierowcy, Alice weszła do autokaru z naręczem koców. Pomógł jej znaleźć dla nich miejsce, unikając jej wzroku

i jakiegokolwiek kontaktu. Nie był z nią sam na sam od spotkania i rozmowy z Ojcem. Nie mógł na nią patrzeć. Nie mógł uwierzyć, że tak go oszukiwała, udając czystą i niewinną. I pomyśleć, że prawiła mu kazania na temat jego złych przyzwyczajeń. Ale on nie jest żadną pieprzoną dziwką.

Cholera! Obiecał sobie, że nie będzie myślał w ten sposób. Zwłaszcza po wczorajszym dniu, kiedy widział te biedne kobiety, które krzyczały wniebogłosy i kopały co sił. Tamte kobiety nie wychodziły mu z głowy.

– Nie odzywasz się, odkąd wróciłeś z Bostonu – powiedziała Alice, patrząc na niego tym zatroskanym spojrzeniem, któremu przedtem ufał. Teraz nie wiedział, co myśleć. Jak się okazuje, nikt nie jest tym, za kogo brał go Justin. On także.

– Nic ci nie jest? – dodała.

– Jestem tylko zmęczony. – Udawał, że sprawdza pudełka, upewnia się, czy są bezpieczne pod siedzeniami.

– Jak już ruszymy, będziesz mógł się zdrzemnąć – powiedziała przyjaźnie.

Ale skąd miał wiedzieć, czy naprawdę tak czuła? W dalszym ciągu nie patrzył na nią, lecz Alice położyła rękę na jego ramieniu, zmuszając, by przerwał swą pozorowaną inspekcję.

– Justin? Jesteś na mnie zły? Zrobiłam coś nie tak?

– Nie, czemu?

– To dlaczego na mnie nie patrzysz?

Jasna cholera! Zapomniał, że ona potrafi czytać w jego duszy. Spojrzał jej w oczy, by jej udowodnić, że jest do tego zdolny. To był błąd. Ona widziała, że coś jest nie tak. I teraz to on odpowiadał za smutek, jaki pojawił się w jej głosie:

– Powiedz mi, proszę, jeśli zrobiłam coś złego. Nie mogę znieść myśli, że się na mnie gniewasz.

Sądził wcześniej, że tylko jej może ufać, że tylko ona jest z nim naprawdę szczera. Teraz stracił tę pewność. Kurwa! Taki był zmachany i ciągle męczyły go nudności. Nie jadł od chwili, kiedy zwrócił quarter pounders i piwo.

– Nie jestem na ciebie zły – odparł w końcu. – Mówiłem ci, że ledwie żyję. – Widział, że jej nie przekonał. Przecisnął się obok niej. – To do jutra. – Uciekł, szybkimi długimi krokami pomknął z dala od autokarów, z nadzieją że zniechęci Alice do tego, żeby go goniła.

Mijając budynek administracyjny, zobaczył za oknem personel biura. Zdawało mu się, że ci ludzie drą papiery i wyjmują twardy dysk z komputera. A znów za budynkiem trzy kobiety rozpaliły ognisko i wrzucały w płomienie coś, co wyglądało na teczki z dokumentami i stosy papierów. Jeszcze dalej, za drzewami, Justin dostrzegł światło reflektora i sylwetki ochroniarzy Ojca o szerokich barach. Nie widział z tej odległości, co dokładnie robią. Miał wrażenie, że kładą jakieś kable. Działo się coś dziwnego. Coś, co w niczym nie przypominało zwyczajnych przygotowań do wyjazdu na jedno z wielu spotkań modlitewnych.

Justin nagle przystanął i popatrzył przed siebie. Plac budowy był wyczyszczony, żadnego drewna, żadnych skrzynek, żadnych kozłów do piłowania drewna. Zniknął nawet stary ciągnik. Podszedł bliżej. Jak oni się pozbyli tych wszystkich gratów? Jak w tak krótkim czasie zdołali usunąć ten cały bajzel?

Potem za dołem na śmieci zobaczył światło latarki. Dwaj mężczyźni kopali w ziemi, trzeci trzymał latarkę. Justin oparł się o stary wychodek, gdzie mógł schować się w cieniu. Widział, jak mężczyźni wykopują cztery metalowe pudła. Wszyscy trzej musieli nieść jedno takie pudło, bo inaczej nie daliby rady, a szli powoli, ostrożnie stawiając stopy, aż zaciągnęli ciężar na drogę, gdzie parkował autokar.

Dopiero teraz Justinowi przyszło coś do głowy. Te wszystkie wysiłki wcale nie służą przygotowaniom do spotkania modlitewnego. Nie do wiary, że dopiero teraz na to wpadł. Oni robią to wszystko, ponieważ już tu nie wrócą.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Kiedy Maggie jechała z Richmondu, odezwał się jej telefon komórkowy.

– Halo?

– O'Dell – powiedziała Julia Racine z taką grozą w głosie, że Maggie natychmiast przeszył dreszcz przerażenia, choć i tak znajdowała się już na skraju przepaści. – Gdzie się podziewasz, do cholery?

– Jestem na drodze I-95, jadę prosto do centrum.

– Spotykamy się wszyscy w Quantico.

– Dobra, no to będę najpóźniej za jakieś dziesięć minut.

– Świetnie. – Racine odetchnęła. – Nie dzwoniłaś do Ganzy.

– Niech to szlag. Nie dzwoniłam, zapomniałam. Jest tam?

– Jest tu gdzieś, nie wiem dokładnie gdzie.

Maggie słyszała jakiś hałas w tle. Wiedziała, że Racine spaceruje, był to nerwowy nawyk, który od razu rozpoznała.

– O co chodzi, Racine? Co się dzieje? Dostałaś nakaz aresztowania?

– I to nie jeden, dzięki Ganzie. Była taka sprawa policyjna, którą Tully sprawdzał. To ta, którą znalazłaś w Internecie, o gwałt, albo raczej rzekomy gwałt na studentce dziennikarstwa.

– To było ze trzydzieści lat temu. I wycofano oskarżenie.

– Taa, w Rappahannock County mają, zdaje się, świra na punkcie przechowywania akt. Ganza zna tamtych chłopaków z departamentu szeryfa, przysłali mu ekspresem swoje dowody.

– Aż mi się wierzyć nie chce, że Ganza traci czas na jakieś stare sprawy. Nie możemy przymknąć Everetta z powodu tamtej sprawy, niezależnie od tego, co znalazł Ganza. Oskarżenie zostało wycofane przez ofiarę, sprawa zamknięta. Poza tym ustawa ogranicza...

– Wysłuchaj mnie, O'Dell. Wprawdzie dowód jest stary i uległ działaniu czasu, dlatego Ganza uważa, że nie da się tego stwierdzić na sto procent, ale jest wystarczająco dużo danych wskazujących na bliskie podobieństwo.

– O czym ty właściwie mówisz?

– Pytasz się, jaki to dowód? Tamto DNA odpowiada DNA materiału znalezionego pod paznokciami Ginny Brier. Pamiętasz, mówiłaś, że większość tych komórek to jej skóra, ale że zdołała z niego też trochę zedrzeć. No więc faktycznie zdołała i Ganza przysięga, że to wielebny Everett.

Maggie zwolniła, a potem zatrzymała samochód na poboczu międzystanówki. Nie mogła w to uwierzyć. To nie mógł być Everett. A jednak... a jednak nie wolno wykluczać niczego, co choćby w nikłym stopniu jest prawdopodobne. Zresztą Everett jest teoretycznie wprost idealnym podejrzanym. Tylko że Maggie coś tu się nie zgadzało. Tylko co?

– Chwileczkę. A co z tamtym gangiem?

– To wszystko zaczyna się układać, O’Dell. Może to faktycznie jakiś chory rytuał inicjacyjny. Kto wie, jak to działa? Ale to tłumaczy też, dlaczego sperma znaleziona u córki Briera nie odpowiada DNA materiału pod jej paznokciami. Jeden z chłopców Everetta mógł spełnić swój obowiązek, podczas gdy wielebny zajmował się resztą.

– Nie wierzę – powiedziała Maggie, i zamiast ulgi doznała kolejnej fali napięcia. Dlaczego nie ucieszyła się z wiadomości, że to Everett i jego gang stoją za tymi morderstwami? Co ją wciąż tak dręczy? Dlaczego to wszystko wydaje się jej zbyt łatwe? Wyobrażała sobie, że Everett to wszystko organizuje, ale jakoś nie mieściło jej się w głowie, że sam brudzi sobie ręce czy choćby znajduje się na tyle blisko, żeby Ginny Brier mogła go podrapać.

– Cunningham wścieka się, że cię jeszcze nie ma. Szukał cię. – Głos Racine przeszedł w szept. – Właściwie to chyba jest bardziej zmartwiony niż wkurzony. To gdzie jesteś?

– Wyjeżdżam ze 148.

– Aha, dobra. Grupa uderzeniowa i agenci jadą już do obozu Everetta. Mają się tam spotkać z przedstawicielami okręgu Rappahannock.

– O Jezu! Jadą teraz do obozu? – Panika wśliznęła pod profesjonalny pancerz agentki O’Dell. – Racine, moja matka należy do organizacji Everetta – wydusiła przez zaciśnięte gardło. – Może teraz znajduje się w obozie.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Quantico, Wirginia

Tully stał przy stole, porządkując porozrzucane fotografie, dokumenty, raporty policyjne i wydruki komputerowe. T-shirty i spodenki Garrisona zaczynały śmierdzieć. Po co Racine przywlokła to ze sobą? Rzucił je obok jakiegoś nieznanego mu metalowego przedmiotu w odległy róg stołu.

– Gdzie są wszyscy? – O'Dell wbiegła do sali konferencyjnej bez tchu, z potarganymi włosami, zaczerwienioną twarzą, z kurtką FBI przerzuconą przez ramię.

Tully spojrzał na zegarek.

– Ganza wyskoczył coś zjeść. Racine jest tu gdzieś. Cunningham siedzi w swoim biurze. Szuka cię. Gdzieś ty była, do diabła? Kiepsko wyglądasz.

– A co z grupą uderzeniową? Pojechała już do obozu?

– Nie słyszałem.

Podeszła do okna i wyjrzała w ciemność, jakby mogła coś wypatrzyć.

– Będą uważać – powiedział, a ona zerknęła na niego przez ramię. – Dlaczego wcześniej nie wspomniałaś, że twoja matka jest związana z Kościołem Everetta?

Maggie odsunęła się od okna i stanęła po drugiej stronie stołu, naprzeciw Tully’ego.

– Wyobraź sobie, że sama w to nie wierzyłam. Potem pomyślałam, że muszę jej to wybić z głowy. No wiesz, jakoś ją ostrzec. Głupie, co?

– Nie. Wszyscy lubimy myśleć, że mamy jakiś wpływ na nasze rodziny. Że najbliżsi potrzebują i oczekują naszych rad i sugestii. Guzik prawda. Czasami wydaje mi się, że jedyna naturalna rzecz, która łączy członków rodziny, to DNA.

Maggie wysiliła się na słaby uśmiech, a on ucieszył się, że mógł jej jakoś pomóc. Ale zaraz potem przekonał się, że to jej nie wystarcza, bo zapytała:

– Jest tu Gwen?

Oczywiście, w końcu to jej najbliższa przyjaciółka.

– Nie, nie sądzę, żeby Cunningham ją wzywał. Kiedy wróciliśmy z Bostonu, wybierała się do swojego biura. Może wciąż tam jest. – Mówił niby mimochodem, ale zaczął się zastanawiać, czy Gwen pracuje do późna, czy przygotowuje sobie coś smacznego do jedzenia w swoim przytulnym mieszkaniu. Na przykład spaghetti. Uśmiechnął się, po czym przyłapał się na tym, że sprawdza, czy O’Dell to zauważyła. Ale ona patrzyła na bałagan na stole. Tully był więc bezpieczny. Poza tym Gwen chciała przecież o wszystkim zapomnieć. I pewnie to jest dobre rozwiązanie. Tak, Gwen ma rację.

Przekartkował jeden z wielu dokumentów rzuconych na stół, ale żadnego z nich nie zabrał. Chyba powinien iść już

do domu. Nawet jeśli przywiozą Everetta i tego chłopaka, Brandona, nic więcej nie byli w stanie zrobić tego wieczoru. Nie chciał jednak wracać do pustych ścian. Emma była w Clevelandzie u matki, dom był pusty, za cichy. Pewnie wspominałby Boston. A to zły pomysł. Przecież miał zapomnieć o Bostonie.

O'Dell zaczęła chodzić wkoło stołu, żeby przyjrzeć się wszystkiemu, co na nim leżało. Tully patrzył, jak jej wzrok skacze po zdjęciach z miejsc zbrodni. Nie zatrzymywała się, nie przestawała chodzić, rzucała tylko wzrokiem po drodze. Gdyby nie martwiła się o matkę, zrobiłaby z tym porządek, posortowała, porządnie poukładała, próbując zapanować nad stworzonym przez innych chaosem. Tully wolałby, żeby się tym zajęła. Denerwował się, widząc ją w takim stanie.

Raptem Maggie spostrzegła coś i przystanęła. Wzięła do ręki dwa zdjęcia z miejsca zabójstwa Ginny Brier i w wielkim napięciu zaczęła porównywać je ze sobą.

– O co chodzi?

– Nie jestem pewna. – Odłożyła zdjęcia i znów zaczęła krążyć.

– Masz jakieś pojęcie, co to jest i skąd się tu wzięło? – wskazał na stertę rzeczy w rogu stołu. Przede wszystkim chciał odwrócić jej uwagę. Mówiąc wprost, zaczynał się o nią bać.

– Garrison to zostawił. Pewnie bardzo się spieszył, wychodząc dziś rano.

– A my to trzymamy w jakim celu?

Wzruszyła ramionami, jednak po chwili wzięła do ręki lekki przedmiot i zaczęła oglądać go ze wszystkich stron. Bawiła się nim i przypadkiem nacisnęła zamek zabezpieczający. Przedmiot otworzył się.

– To statyw – stwierdziła, stawiając go na stole.

Tully zobaczył niewielką półkę, gdzie można przymocować aparat, i dźwigienkę pozwalającą przechylić i obrócić statyw dokoła. I nagle znalazł się obok Maggie, wlepiając wzrok w ten przedmiot. Pospiesznie obszedł stół i zaczął wertować zdjęcia, wyciągając trzy, po jednym z każdego miejsca zbrodni. Wciąż bez słowa zbliżył się do Maggie i położył zdjęcia na stole obok nóg statywu. Były to fotografie dziwnych okrągłych śladów w ziemi. Na tej z FDR Memorial widoczne były trzy okrągłe ślady, rozmieszczone w taki sposób, że tworzyły trójkąt równoramienny.

– Czy to możliwe? – spytał.

Trzymał statyw w rękach, oglądał jego nogi i dzielącą je odległość. Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Nogi statywu z całą pewnością zostawiają takie właśnie odciski w ziemi. Obrócił przedmiot, a Maggie wzięła do ręki dwie fotografie Ginny Brier, które wybrała wcześniej, i rzuciła je na stół przed oczy Tully’ego.

– Spójrz na te zdjęcia – powiedziała. – Widzisz coś, co je różni?

Odłożył statyw na bok i sięgnął po zdjęcia, żeby przyjrzeć im się z bliska. Na pierwszy rzut oka wyglądały niemal identycznie: ta sama pozycja ofiary, ten sam kąt. Na dole

jednego ze zdjęć widniała jasna plama, niemal dokładnie w miejscu, gdzie znajdowały się nadgarstki dziewczyny. Tully zastanowił się, czy to jakiś ślad powstały podczas wywoływania, choć jego wiedza na temat fotografii i związanych z nią procesów była skromna.

– Chodzi ci o ten biały ślad na dole? Widać go na jednym zdjęciu, na tym drugim go nie ma.

– Jak myślisz, co to jest?

– Nie wiem. Może jakiś brud powstały podczas wywoływania? Cholera, nie znam się na tym. Trzeba by zapytać jakiegoś specjalistę.

– Zrobimy tak, ale później. Teraz jednak sami musimy odpowiedzieć na pewne pytania. Tully, nie przypomina ci to odbitego światła lampy błyskowej?

Spojrzał ponownie.

– Taa, chyba tak. Trudno powiedzieć. Odbija się w czymś, ale w czym?

– Na przykład w kajdankach.

Raz jeszcze przyjrzał się zdjęciu, i wtedy coś mu się przypomniało.

– Ginny Brier nie miała kajdanek, kiedy ją znaleźliśmy.

– A no właśnie – powiedziała Maggie. Poruszona do głębi wzięła dwa kolejne zdjęcia i rzuciła je na stół.

– To teraz zobacz te.

Były to zbliżenia twarzy córki Briera, szeroko otwarte martwe oczy, patrzące prosto na przyglądające się osoby. I te dwie fotografie wyglądały tak samo.

– Nie za bardzo rozumiem, O’Dell.

– Jedno jest z rolki, którą Garrison zachował dla siebie. Z tej, z której sprzedał zdjęcia redakcji „Enquirera”.

– Okej. Skąd wiesz? Wyglądają identycznie. Ten sam kąt nachylenia obiektywu, ta sama odległość. Wygląda na to, że starał się zrobić to samo dla nas i dla siebie.

– Zgoda, oba zdjęcia są zrobione pod tym samym kątem, z tej samej odległości, ale w różnym czasie – stwierdziła O’Dell. Uspokoiła się, jakby poszczególne części układanki zaczęły do siebie pasować.

– O czym ty mówisz?

– Te oczy – powiedziała. – Przyjrzyj się jej oczom.

Kiedy pokazała kąciki oczu dziewczyny na obu zdjęciach, Tully zobaczył wreszcie, co miała na myśli. Na jednym zdjęciu były małe skupiska białożółtych jajeczek. Tully nie był ekspertem w tej dziedzinie, ale wiedział, że muchy zwykle pojawiają się od kilku minut do kilku godzin po zgonie i natychmiast składają jajka. Jednak na zdjęciu, które Garrison zachował dla siebie, oczy zmarłej dziewczyny były zupełnie czyste. Nie było w nich nawet śladu zanieczyszczeń.

– To niemożliwe – rzucił spontanicznie, patrząc na O’Dell. – To zdjęcie musiało być zrobione tuż po jej śmierci.

– No właśnie.

Tully raz jeszcze podniósł statyw, już niemal pewny, że to jego nogi pozostawiły te tajemnicze ślady znalezione w miejscach zbrodni.

– To by znaczyło, że on jest na miejscu zbrodni przed policją. Co ten cholerny Garrison knuje?

– O wiele ważniejsze jest, skąd wie przed nami o morderstwach.

– O’Dell, wróciła pani – przerwał im Cunningham, wchodząc do pokoju. Niósł ze sobą kubek z kawą, którą popijał małymi łykami, jakby nie miał czasu albo cierpliwości robić tylko jednej rzeczy naraz.

– Wie pan już, czy agenci dotarli do obozu? – spytała.

– Może pani usiądzie – powiedział, wskazując jej krzesło.

Tully, widząc, że O’Dell znieruchomiała, natychmiast poczuł, że sztywnieją mu mięśnie.

– Kolejna strzelanina, tak? – dopytywała się słabym głosem.

– Niezupełnie.

– Eve powiedziała mi, że Everett nie da się wziąć żywcem. Że ich przygotowywał do samobójstwa, jak tych chłopców z domu letniskowego. – Na pozór mówiła spokojnie, ale Tully widział, jak zwija prawą ręką brzeg kurtki. – Więc nie chce się poddać, tak?

– Prawdę mówiąc… – Cunningham zdjął okulary i przetarł oczy. Tully wiedział, że szef nigdy nie gra na zwłokę i nie zwodzi, chociaż ostatnio stał się mniej przewidywalny. – Everetta już tam nie ma. Zniknął. Prawdopodobnie jest w drodze do Ohio albo do Kolorado. – Cunningham położył dłoń na jej ramieniu. – To nie wszystko, Maggie. W obozie znaleziono ludzi. W krótkim czasie, między chwilą, kiedy grupa uderzeniowa ogłosiła swoją obecność, a chwilą, kiedy weszła do obozu, musiała tam zapanować straszliwa panika. Ma pani rację, ci ludzie zostali przygotowani do

samobójstwa. Znaleźliśmy ciała, ci z grupy uderzeniowej jeszcze się ich nie doliczyli.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Zamknął oczy i oparł głowę o zagłówek, ale mdłości nie ustawały. Jakim cudem dostał choroby lokomocyjnej? To niemożliwe. To musi być coś innego. Może winne jest podniecenie, oczekiwanie na nieunikniony punkt kulminacyjny.

Silniki wciąż burczały. Nie znosił znajdować się tak blisko silników. Starał się mimo to znaleźć wytchnienie w ich pomrukiwaniu. Usiłował skupić myśli na swoim następnym kroku, ostatnim kroku. Jedyne, czego mu teraz trzeba, to wewnętrzna harmonia. Jego mikstura własnej roboty była już na wykończeniu. Nie może po nią sięgnąć, póki nie jest to absolutnie konieczne. Musi z tym zaczekać. To proste. Potrafi przecież uzbroić się w cierpliwość. Cierpliwość to cnota. Jego matka napisała tak w jednym z wpisów do swojego dziennika. Tyle cierpliwości. Tyle mądrości.

Potem uświadomił sobie, że nie ma przy sobie zeszytu. Jasna cholera! Jak mógł zapomnieć go zabrać?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Kathleen O’Dell oparła głowę o siedzenie. Miała nadzieję, że hałas autokaru jakimś cudem uśpi pulsowanie w jej skroniach. Doskonale wiedziała, co by jej na pewno pomogło, niestety w pobliżu nie było ani kropli alkoholu. Włamała się nawet do stołówkowej apteczki, licząc, że znajdzie jakieś lekarstwo na kaszel. Zamiast tego znalazła jedynie plastikowy worek pełen czerwono-białych kapsułek na ból głowy. Żałowała teraz, że nie wzięła sobie kilku, może wtedy ustałoby to uporczywe stukanie w głowie.

Dziewczyna o imieniu Alice siedziała w milczeniu po drugiej stronie przejścia, popatrując na młodego mężczyznę, który wcześniej pomógł Kathleen. Zapomniała jego imienia. Dlaczego ma taki problem z zapamiętywaniem imion? Może to skutek natłoku zdarzeń? Wciąż piekły ją oczy. Wciąż dzwoniły jej w uszach wszystkie obelgi i słowne ciosy. Te fizyczne też, oczywiście, dawały jej się we znaki – czuła boleśnie swoje siniaki. Chciała tylko zapomnieć, nic więcej. Chciała tylko zasnąć, udawać, że przecież nic się nie stało. Może wszystko wróci do normy, kiedy dotrą do Kolorado.

Zauważyła, że spojrzenia Alice są coraz to dłuższe, coraz śmielsze, od kiedy zgasły światła w autokarze i pobłyskiwały tylko zielone żarówki podłogowe.

– Podoba ci się, co? – szepnęła do Alice.

– Co?

– Ten chłopak, któremu tak się przyglądasz. Justin – nagle przypomniała sobie, jak ma na imię.

Nawet w półmroku Kathleen dostrzegła, że Alice się czerwieni, co dodatkowo podkreśliło jej piegi.

– My się tylko przyjaźnimy – odparła. – Ojciec nie zezwala na nic więcej. Musimy zachować czystość, nasze ciała muszą być czyste i niewinne. – Brzmiało to, jakby czytała tekst z ulotki.

– Jest bardzo miły. – Kathleen zignorowała modlitwę Alice i wskazała brodą w stronę chłopca. – I całkiem przystojny.

Kolejny rumieniec, tym razem w towarzystwie uśmiechu.

– Chyba jest na mnie zły, ale nie wiem o co.

– Pytałaś go?

– Tak.

– I co powiedział?

– Powiedział, że jest zmęczony. Że nic się nie stało.

Kathleen przechyliła się bliżej Alice.

– Z moich doświadczeń wynika, że mężczyźni wcale nie są ze stali. Peszą się, tracą pewność siebie i mają swoje humory tak samo jak my. Jeśli mówi, że jest zmęczony, to może taka jest prawda.

– Tak pani myśli?

– No pewnie.

Zdawało się, że Alice to pocieszyło, bo usiadła swobodniej.

– Zdenerwowałam się, bo nie mam doświadczenia z chłopcami.

– Naprawdę? Taka ładna dziewczyna jak ty?

– Moi rodzice byli surowi pod tym względem. Nie pozwalali mi umawiać się na randki.

– Gdzie są teraz twoi rodzice?

Alice ucichła, a Kathleen zaraz pożałowała, że niepotrzebnie się wtrąca.

– Zginęli w wypadku samochodowym dwa lata temu. Miesiąc później poszłam na spotkanie modlitewne Ojca. Wydawało mi się, że on widział, jak bardzo jestem zagubiona i samotna. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym nie znalazła Kościoła. Nie mam żadnej rodziny. – Zamilkła na moment, potem spojrzała na Kathleen. – A pani dlaczego przyszła do naszego Kościoła?

Dobre pytanie, chciała odpowiedzieć. Przez ostatnią dobę zadawała sobie bez końca właśnie to pytanie. Przypominała sobie wszystkie dobre rzeczy, które spotkały ją od chwili, gdy przystąpiła do Kościoła, na przykład to, że odzyskała szacunek dla siebie i poczucie własnej godności. Wszystko, co skradł jej przedtem alkohol. Ale po poniżeniu doznanym tego wieczoru trudno było jej myśleć o czymś innym niż sen.

– Przepraszam – powiedziała Alice. – Pewnie nie chce pani rozmawiać o takich sprawach po dzisiejszym spotkaniu.

– Nie, w porządku. – Chciała ją zapewnić, że nie zdradziła Kościoła. Że nic nie powiedziała Maggie i nie wie, dlaczego Stephen tak pomyślał. Wiedziała jednak, że dla Alice to bez znaczenia, podobnie jak dla innych członków społeczności. Większość z nich po prostu odetchnęła, że to nie ich

wezwano. – Czułam się zagubiona, choć w zupełnie inny sposób niż ty – powiedziała wreszcie.

– Pani też nie ma rodziny?

– Mam córkę. Piękną, inteligentną młodą kobietę.

– Założę się, że jest do pani podobna. Pani jest bardzo przystojna.

– Dziękuję ci, Alice. Już dawno nikt mi tego nie mówił. – Tego wieczoru z całą pewnością nie czuła się ładna.

– To dlaczego nie jest pani z córką?

– Bo my... bo nasze stosunki są trochę napięte. Córka wciąż jest na mnie zła. Nie pamiętam już nawet, ile lat to się ciągnie.

– Zła? Dlaczego jest na panią zła?

– Z wielu powodów. Ale przede wszystkim dlatego, że nie jestem jej ojcem.

– Proszę?

Zobaczyła, że Alice patrzy na nią kompletnie zdezorientowana. Posłała jej uśmiech.

– To długa i nudna historia. – Poklepała ją po ręce. – Może spróbujesz trochę zasnąć?

Oparła się znowu o siedzenie, a jej głowę wypełniły myśli o Maggie i o Thomasie. Dobry Boże, nie myślała o nim od lat. A jeśli już, to ze złością. Maggie zawsze go idealizowała, a Kathleen obiecała sobie przed laty, że nigdy nie powie córce prawdy o ojcu. Dlaczego w takim razie to uczyniła? Dlaczego akurat teraz, po tak długim czasie?

Pamiętała wyraz niedowierzania, ból na twarzy Maggie. I jej zdumienie, kiedy ją uderzyła w policzek. Te smutne,

brązowe oczy – oczy dwunastoletniej dziewczynki, która nadal tak bardzo kocha swojego tatusia.

Dlaczego to zrobiła? Co ją do tego skłoniło? Nic dziwnego, że córka jej nie kocha. Może po prostu nie zasługuje na miłość? Ale Thomas też sobie na nią nie zasłużył.

Kathleen nie zapomniała telefonu ze straży pożarnej, który odebrała w środku nocy. Dyspozytor dzwonił do wszystkich strażaków, bo to był alarm trzeciego stopnia. Okłamała go, mówiąc, że Thomas jest na górze, że śpi. Potem do niego zadzwoniła. Była wściekła, że wie, gdzie go szukać. Była wściekła jeszcze bardziej, że musi po niego dzwonić do mieszkania tamtej kobiety. Ale nie miała wyjścia. Nie miała wyboru. By nikt nie odkrył jej kłamstwa, tylko w ten sposób mogła przekazać mu wiadomość.

Zawsze wyobrażała sobie, że przerwała im stosunek, tę ich namiętną erotyczną ucztę, do której, jak mówił Thomas, tamta kobieta miała niezwykły talent w przeciwieństwie do Kathleen. Może dlatego przez dwadzieścia lat wdowieństwa obsesyjnie próbowała mu udowodnić, że bardzo się mylił. Sypiała z każdym, kto miał na nią ochotę, a zebrało się takich mężczyzn całkiem sporo.

Ale to było później. Bo wtedy, tamtego szczególnego dnia, przysięgła sobie, że dłużej nie będzie tego znosić. Chciała coś uratować, coś, co jeszcze w niej żyło niezszargane i niezdeptane. Postanowiła zabrać Maggie i odejść. A wtedy ten sukinsyn poszedł w ogień i zginął. Mało tego, że się zabił, to jeszcze został bohaterem.

Niejednokrotnie zastanawiała się, co pomyślałaby Maggie o swoim świętym, heroicznym ojcu, gdyby znała prawdę. Wiele razy, będąc pod wpływem alkoholu, chciała jej wszystko powiedzieć. Ale jakoś zawsze w końcu zaciskała zęby.

Po śmierci Thomasa wyjechała tak daleko, jak tylko było to możliwe. Była to część paktu, jaki zawarła z diabłem, z tą dziwką, która twierdziła, że nosi w brzuchu dziecko jej męża. Żeby Maggie nie poznała prawdziwego oblicza swojego ojca, Kathleen musiała trzymać ją z dala od jej przyrodniego brata. W tamtym czasie nie uważała tego za zbyt wysoką cenę. Przeciwnie, uznała, że to dobre rozwiązanie. Teraz nie była taka pewna.

Poprzedniego dnia Maggie była tak wzburzona, tak bardzo nie chciała dopuścić do siebie prawdy o swoim ojcu. Pewnie również nie uwierzyła w istnienie przyrodniego brata, co Kathleen ukrywała przed nią latami. Czy była zbyt wściekła, żeby uwierzyć?

Tamta kobieta dała swojemu synowi na imię Patrick, po bracie Thomasa, który zginął w Wietnamie. Kathleen była nawet ciekawa, czy jest podobny do Thomasa. Był już w końcu młodym mężczyzną, musiał mieć jakieś dwadzieścia jeden lat, tyle co Thomas, kiedy się poznali.

Kathleen poczuła lekkie klepnięcie w ramię. Podniosła wzrok i zobaczyła, że stoi nad nią wielebny Everett. Uśmiechnął się do Alice, potem do niej.

– Musimy porozmawiać o pewnych sprawach, Kathleen – powiedział. – Najlepiej w moim przedziale.

Kathleen ruszyła za nim na tył autobusu. Szła na miękkich kolanach, czując ucisk w żołądku. Wielebny nie odezwał się do niej słowem od chwili wymierzenia kary. Czyżby wciąż się na nią gniewał?

Jego przedział był ciasny. Najwięcej przestrzeni zajmowało łóżko, była też maleńka łazienka w kącie obok biurka. Kathleen słyszała szum silników. Wielebny zamknął drzwi na zamek.

– Wiem, jaki bolesny i ciężki był dla ciebie ten wieczór, Kathleen – zaczął tak miękkim, łagodnym głosem, że natychmiast odetchnęła. – Chciałem się wtrącić, ale wyglądałoby to tak, jakbym cię faworyzował, przez co wzbudziłabyś tylko zawiść w wielu niedoskonałych sercach. Bardzo mi na tobie zależy i dlatego chcę ci zrobić specjalną przysługę.

Zaprosił ją, żeby usiadła wygodnie na łóżku. Mówił ciepło i życzliwie, ale w oczach miał chłód, którego nie znała i który wzbudził jej niepokój. Wolała go jednak nie denerwować, zwłaszcza że chciał zrobić jej tę specjalną przysługę. Poza tym w przeszłości był dla niej bardzo dobry.

– Ogromnie mi przykro – odezwała się, nie wiedząc, jakich wyjaśnień oczekuje od niej wielebny. Nie lubił, kiedy ktoś zaczynał się tłumaczyć. Nieważne, co by mu powiedziała, mógłby to uznać za wymówkę.

– Cóż, to już przeszłość. Z moją specjalną łaską na pewno nigdy więcej nas nie zdradzisz.

– Oczywiście – odparła krótko.

Potem, z tym samym zimnym spojrzeniem, zaczął rozpinać suwak w swoim rozporku.

– Robię to dla twojego dobra, Kathleen – powiedział. – Teraz musisz się rozebrać do naga.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Gwen znalazła Maggie w jej biurze, skuloną na fotelu, z nogami przewieszonymi przez oparcie, stosem dokumentów na piersi i zamkniętymi oczami. Nie mówiąc słowa, puściła smycz Harveya i klepnęła go z tyłu, dając w ten sposób znak, żeby wracał do swojej pani. Pies nie wahał się ani nie pytał o pozwolenie, tylko wsparł potężne łapska na fotelu, żeby dosięgnąć twarzy Maggie i polizać ją.

– Hej, ty! – Maggie złapała psa za łeb i uściskała. Zeskoczył w chwili, gdy otworzyły się teczki z dokumentami i papierzyska zaczęły go zasypywać. – Nic się nie bój, olbrzymie – zapewniła go i wstała, zanim Gwen znalazła się obok, żeby pomóc pozbierać z podłogi zdjęcia dokumentujące miejsca zbrodni i odbitki z laboratorium. – Dzięki, że go przyprowadziłaś. – Przerwała na moment zbieranie papierów i czekała, aż Gwen na nią spojrzy. – I dzięki, że przyszłaś.

– Cieszę się, że zadzwoniłaś. – Prawdę mówiąc, Gwen zdziwiła się, oczywiście nie samym telefonem Maggie, lecz jej prośbą. Harvey był znakomitym pretekstem, ale Gwen natychmiast usłyszała w głosie przyjaciółki tę szczególną bezbronność. A potem usłyszała to, co i tak już wiedziała:

– Potrzebuję cię, Gwen. Mogłabyś wpaść? Proszę…

Gwen nie wahała się ani chwili. W zlewozmywaku zostawiła linguine w kolendrze, a domowej roboty sos

Alfredo pewnie już zastygł na zimnym piecu. Wyszła natychmiast po telefonie, a kiedy jechała do Quantico, Maggie przekazała jej przez telefon skąpe szczegóły, którymi dysponowali.

– Więc jaki jest plan? – spytała teraz. – Czy w ogóle wiesz, jak to ma zostać rozegrane?

– Po co pytasz, czy wiem, skoro nie biorę w tym udziału?

Gwen badawczo wpatrywała się w oczy przyjaciółki. Nie było w nich agresji. To dobrze.

– Wiesz, że to dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Wiesz o tym, prawda?

– Jasne. – Ale Maggie patrzyła na Harveya, który zwiedzał kąty jej biura. Udawała, że jest nim zajęta. – Cunningham mówi, że rząd ma informatora. Kogoś, kto pojawił się bardzo niedawno. Pracuje w biurze senatora Briera, a jednocześnie jest członkiem Kościoła Everetta. Nazywa się Stephen Caldwell.

Gwen poczęstowała się dietetyczną pepsi z małej lodówki, a potem spojrzała na przyjaciółkę i spytała:

– Żadnego scotcha?

Maggie posłała jej uśmiech i wyciągnęła rękę, więc Gwen sięgnęła po drugą pepsi, mówiąc jednocześnie:

– Ten informator... Skąd wiemy, że nie działa na dwa fronty? Skąd wiemy, że można mu ufać?

– Nie jestem o tym przekonana. Z jednej strony to może właśnie Caldwell posłużył się tą bardzo ważną przepustką, żeby zyskać dostęp do zmagazynowanej, nieużywanej broni, tej znalezionej w domu letniskowym. Ale Cunningham

mówił mi z kolei, że to Caldwell zaaranżował moje spotkanie z Eve. – Zobaczyła pytanie w oczach Gwen. – Eve jest byłą członkinią Kościoła. Rozmawiałam z nią, kiedy byliście z Tullym w Bostonie.

– Tak, Boston. – Gwen zmieszała się, ale jakoś szczęśliwie uszło to uwagi przyjaciółki. O ile wiedziała, Maggie nie słyszała nawet, że Eric Pratt zamierzał się na jej życie. Nie było sensu teraz z tym wyskakiwać, bo nic nie wnosiło do sprawy. – Jeśli to Caldwell skradł broń i przekazywał Everettowi tajne informacje, to czemu tak nagle zmienił front i chce współpracować z rządem?

– Chyba przywiązał się do senatora Briera i jego rodziny. – Maggie wywalczyła od Harveya swój but do tenisa. – Zabójstwo Ginny zachwiało jego lojalnością. Utrzymuje, że przekonał Everetta, iż muszą wyjechać do Clevelandu. Everett ponoć nie wie o nakazie aresztowania, zna tylko krytyczne uwagi mediów. Caldwell uważa, że możemy bezpiecznie aresztować Everetta i Brandona w Clevelandzie, podczas ich spotkania modlitewnego, w miejscu publicznym, bez większych oporów z ich strony i bez zagrożenia, że Everett urządzi strzelaninę. Wielebny ponoć nie spodziewa się publicznego aresztowania, dlatego jest duża szansa, że uda się go zdjąć przez całkowite zaskoczenie.

– Czekaj no – przerwała Gwen. – Jeśli Everett nie wie o nakazie aresztowania, to skąd te ciała, które znalazła grupa uderzeniowa?

– Cunningham mówi, że ludzie z grupy uderzeniowej dali im znać, że się zbliżają. Tam jest za dużo min pułapkowych, żeby niepostrzeżenie zakraść się do środka. Uważają, że ci, którzy zostali w obozie, wpadli w popłoch i zrobili jedyną rzecz, do której zostali przygotowywani w razie, gdyby FBI zapukało do ich drzwi.

– Jezu! Oni byli nie tyle przygotowani, ile zaprogramowani. Co za potworne pranie mózgów... Maggie, mamy pewność, że nie kontaktowali się z Everettem?

– Na pewno nie byli w kontakcie. Nie zdążyliby. To się stało bardzo szybko.

– A co z Caldwellem?

– Został poinformowany o nakazach aresztowania, ale nie dostał cynku, że wchodzimy do obozu. To miało być pełne zaskoczenie, żeby nikt nie poniósł szwanku. No i wyszło, jak wyszło.

Mówiąc to, Maggie unikała wzroku Gwen. Raptem Harvey czmychnął pod jej biurko, więc sięgnęła ręką w dół, ratując drugi but do tenisa. Położyła oba buty na półce, z dala od zasięgu jego pyska. Wielkie psisko siedziało teraz i patrzyło na nią, jakby czekało na jakąś rekompensatę. Gwen także patrzyła w milczeniu. Wiedziała, że Maggie celowo odwraca jej uwagę od spraw ważniejszych. Świetnie udawało jej się przekazywać przyjaciółce wszystkie gorzkie detale, nie poruszając przy tym tematu matki. A Gwen dobrze pamiętała, jak Maggie niezliczenie wiele razy wspominała nowych przyjaciół swojej matki, Emily i Stephena. Stephen Caldwell to pewnie właśnie ten Stephen.

– A jak się ma ta podwójna lojalność Caldwella – nie wytrzymała w końcu Gwen – do twojej matki i jej bezpieczeństwa?

– Nie wiem. O ile nam wiadomo, wciąż jest z Everettem. Tak samo jak moja matka. – Kiedy znów usiadła w fotelu, Harvey przyszedł do niej, kładąc łeb na jej kolanach, jakby tego właśnie oczekiwała. Cóż, taki mieli uświęcony obyczaj. Maggie głaskała psa, opierając swoją głowę o miękką poduszkę. – Próbowałam z nią rozmawiać o Everetcie, a skończyło się... To było okropne.

Gwen wiedziała, że powinna teraz milczeć. Maggie nie mówiła jej wiele o swoim dzieciństwie, a to, co Gwen wiedziała o jej relacjach z matką, pochodziło z jakichś napomknień, obserwacji przez lata znajomości i kilku przypadkowych wyznań Maggie.

Gwen wiedziała więc o alkoholizmie Kathleen O’Dell, a stosunkowo niedawno poznała prawdę o jej próbach samobójczych, choć w czasie, gdy się przyjaźniły, takich prób było kilka. Ale Maggie zachowywała wszelkie sprawy dotyczące matki wyłącznie dla siebie, i czy to dobrze, czy źle, Gwen na to pozwalała, mając nadzieję, że przyjdzie taki dzień, kiedy przyjaciółka sama podzieli się z nią swoimi zmaganiami. Tego wieczoru i pod presją wydarzeń Gwen spodziewała się uzyskać jakiś wgląd w tę sprawę. Oparła się o róg biurka i czekała, tak na wszelki wypadek.

– Ona zawsze rani, cokolwiek robi czy mówi – powiedziała cicho Maggie, nie ruszając głowy z poduszki, nie patrząc na

Gwen. – Nie tylko mnie, także siebie. Jakby żyła tylko po to, by wciąż od nowa mnie karać.

– A za co miałaby cię karać, Maggie?

– Za to, że bardziej kochałam ojca.

– Może to nie ciebie próbuje ukarać.

Maggie podniosła wzrok i popatrzyła na nią zamglonym wzrokiem.

– To znaczy kogo?

– Może ona wcale nie ciebie chce ukarać. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że przez te wszystkie lata próbuje ukarać samą siebie?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Czwartek
28 listopada
Święto Dziękczynienia
Cleveland, Ohio

Kathleen patrzyła na jezioro Erie i po raz pierwszy od lat zatęskniła za Green Bay w stanie Wisconsin. Ciepły wiatr, za ciepły na tę porę roku, przewiał jej włosy. Chciała zapomnieć o wszystkim i zostawić to za sobą jak jeszcze jedną czarną dziurę w swej przeszłości. Chciała zdjąć buty, pobiec na plażę i spędzić resztę dnia, resztę tygodnia, resztę życia, spacerując bez celu, bez innego celu niż ten, żeby czuć piasek między palcami.

– Cassie zacznie dzisiejsze spotkanie – powiedział za jej plecami wielebny Everett.

Obejrzała się przez ramię, nie ruszając się z miejsca przed otwartymi drzwiami patio. Wielebny Everett zameldował się w eleganckim hotelu. Chciał wziąć prysznic, ogolić się i mieć dostęp do telefonu, żeby sfinalizować ostatnie przygotowania. Wcześniej, kiedy korzystała z łazienki, zdumiała się wspaniałymi luksusami: perfumowanymi mydłami, kompletem do czyszczenia butów, prawdziwą brzytwą do golenia, a nie jakąś tam jednorazówką,

czepkiem pod prysznic, a nawet słoiczkiem pełnym patyczków higienicznych.

Teraz, kiedy Stephen i Emily robili notatki skupieni na każdym słowie, które wielebny Everett przekazywał ich trójce, Kathleen stała w milczeniu, ciesząc się słońcem i lekkim wiatrem.

Czuła, że po ostatniej nocy poniżającego rytuału, a potem podróży zatłoczonym autobusem, musi się nauczyć na nowo oddychać. Miała nadzieję, że świeże powietrze i słońce pozwolą jej pozbyć się gorącego oddechu Everetta, odgłosu jego jęków i stęknięć, kiedy wchodził w nią raz za razem. A gdy skończył, wskazał palcem na ubrania i kazał jej się ubrać tak chłodnym tonem, jakiego jeszcze u niego nie słyszała. Oznajmił, że musiała poddać się temu rytuałowi oczyszczenia, by mógł jej znowu zaufać.

Bez słowa włożyła swoje rzeczy na lepkie od potu ciało. Zapach jego płynu po goleniu był tak silny, że zbierało jej się na wymioty. Kiedy opuściła przedział, wracając na swoje miejsce, nie mogła pozbyć się myśli, że Everett pozbawił ją resztek szacunku, jaki jeszcze miała dla samej siebie.

– FBI najprawdopodobniej otoczy park – oznajmił Stephen. – Ojcze, nawet nie myśl, żeby wyjść do ludzi na dzisiejszym spotkaniu.

– O której będzie gotowy samolot?

– Według rozkładu ma odlecieć o siódmej. Musimy być tam wcześniej, żeby wejść na pokład.

– Skąd mamy pewność, że FBI nie będzie na lotnisku?

– Ponieważ powiedziałem im, że będziesz na spotkaniu. Że nie spodziewasz się aresztowania w publicznym miejscu. Nawet jeżeli coś podejrzewają, mogą ewentualnie czekać na lotnisku międzynarodowym, ale na pewno do głowy im nie przyjdzie sprawdzać rządowy samolot towarowy z pomocą humanitarną, odlatujący z prowincjonalnego Cuyahoga County Airport.

Wielebny Everett nagrodził Stephena uśmiechem.

– Bardzo dobrze. Jesteś dobrym człowiekiem, Stephen. Zrewanżuję ci się odpowiednio, kiedy dotrzemy do Ameryki Południowej. Masz na to moje słowo.

Wielebny usiadł, żeby dokończyć posiłek zamówiony do pokoju. Przed nim leżała srebrna taca z kilkoma gatunkami sera, świeżymi owocami, koktajlem z krewetek i bochenkiem francuskiego chleba. Nie zapraszał innych do poczęstunku. Kathleen zdawało się nawet, że obserwowanie ich w tej sytuacji sprawia wielebnemu przyjemność.

Żadne z nich nie jadło nic od lunchu poprzedniego dnia, a nadeszła już pora kolacji. Czy to jakaś kolejna ważna lekcja, kolejne ważne poświęcenie, które mają pokornie zaakceptować? Odwróciła się ku kojącemu widokowi wody. W tej chwili była to jedyna rzecz, która nie zagrażała jasności jej umysłu.

– Więc na pewno nie pójdzie Ojciec na spotkanie? – spytał raz jeszcze Stephen.

– Myślę, że zostanę tutaj do czasu wyjazdu. Ale wy troje musicie zamienić się podczas spotkania w moje uszy i oczy. Musicie zebrać tych, którzy są na liście, kiedy przyjdzie na

to pora. Spotkanie poprowadzi Cassie, żeby wszystko wyglądało normalnie.

Zdumiona Kathleen obróciła się na te słowa.

– To ona z nami nie pojedzie?

Jak daleko sięgała pamięć, Cassie była na każde życzenie wielebnego Everetta i pewnie zaspokajała też jego pożądanie.

– To wspaniała kobieta, Kathleen, ale jestem pewny, że w Ameryce Południowej nie brakuje pięknych ciemnoskórych kobiet, które dałyby wszystko, żeby zostać moimi asystentkami.

Kathleen przeniosła wzrok na słoneczny pejzaż. Ciekawe, czy byłoby inaczej, gdyby jednak jechali do Kolorado? Czy wielebny Everett byłby inny? A może zawsze był taki, a to ona się zmieniała? Może zaczynała inaczej postrzegać różne rzeczy?

– A teraz musicie już iść – powiedział Everett, nie przerywając żucia. Popił łykiem wina, żeby spłukać podniebienie. Potem odgryzł kawałek ogromnej truskawki, aż sok polał mu się po brodzie, i z pełnymi ustami dodał: – Idźcie już. Spotkanie zacznie się niedługo. Nikt nie będzie niczego podejrzewał, jeżeli zobaczy tam moją wierną świtę.

Stephen i Emily nie wahali się ani chwili. Czekali już przy drzwiach na Kathleen.

– A, Kathleen. – Wielebny zatrzymał ją. – Znajdź Alice i przyślij ją do mnie. Muszę z nią porozmawiać przed wyjazdem.

Patrzyła na niego przez minutę. Czy rzeczywiście musi coś przedyskutować z tą dziewczyną, czy raczej chodzi mu po głowie kolejny rytuał oczyszczenia?

I czy Kathleen ośmieli się coś powiedzieć? Czy może znów narazić się wielebnemu? Czy tak bardzo zależy jej na tej dziewczynie, by powalczyć o nią?

Ostatecznie postanowiła, że zapomni przekazać Alice wiadomość, ale dla niepoznaki skinęła głową i ruszyła w ślad za Stephenem i Emily.

Wsadziła rękę do kieszeni kardiganu i pieszczotliwie dotknęła metalowego ostrza do golenia, które ukradła z łazienki. Dawało jej dziwne uczucie spokoju. Sama świadomość, że jest, przynosiła jej tak wielkie ukojenie, jakby spotkała się ze starym, wypróbowanym przyjacielem. Brzytwa, stary przyjaciel, ten prosty nożyk z metalowym ostrzem.

Tym razem zrobi to skutecznie.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

– Wejść! – krzyknął Everett, nie zawracając sobie głowy sprawdzaniem, kogo zaprasza do swojego pokoju hotelowego.

Czy mogło być lepiej? Uśmiechnął się i wjechał wózkiem obsługi hotelowej do środka. Odczekał chwilę. Spowodowane nerwowym oczekiwaniem podniecenie dawało mu większego kopa niż domowej roboty mikstura, warzona od wieków przez plemię Zulusów. W końcu na ten właśnie moment tak długo czekał. Teraz stał więc cierpliwie, jakby spodziewał się napiwku.

W końcu Everett obrócił się ku drzwiom, gotowy odprawić go zwyczajnym w takich razach gestem, objął wzrokiem jego twarz i znowu się odwrócił. Spóźniony refleks.

– Ty? Co tu robisz, do diabła?

– Pomyślałem sobie, że sprawię ci miłą niespodziankę przed twoim ostatnim spotkaniem.

– A ja sądziłem, że krążysz w tłumie, szukając kolejnej siusiumajtki. Czyli szukając sposobu, żeby mnie zrujnować.

– Nie mogę przecież wziąć na siebie wszystkich zasług.

Everett nie bał się. Potrząsnął głową, dyskontując go, jakby miał przed sobą jednego z wielu swoich zwolenników.

– Odejdź – powiedział. – Odejdź i zostaw mnie samego. Jestem zmęczony twoimi błazeństwami i krętactwami. Masz

szczęście, że dostałeś tylko ostrzeżenia.

– Fakt, to były tylko ostrzeżenia. Czy dlatego, że nie ośmieliłbyś się skrzywdzić rodzonego syna? Czy to jedyny powód mojego wielkiego szczęścia?

Wielebny spojrzał na niego bez śladu zdziwienia. Czyżby cały czas wiedział? Nie, to niemożliwe. To jego kolejne przedstawienie.

– Jak się dowiedziałeś? – spytał spokojnie Everett.

O Jezu! Jednak wiedział. Czy będzie mu teraz trudniej? Czy przeciwnie, dzięki temu pójdzie mu jak z płatka? Drań wiedział. Przez wszystkie te lata wiedział.

– Powiedziała ci przed śmiercią – rzekł Everett, jakby był tam wtedy, jakby razem z nią umierał. Nie miał prawa tak mówić, a jednak ciągnął dalej: – Czytałem o jej śmierci. Zdaje się, że napisał o tym „New York Time” albo „Daily News”. Wiesz, że była mi bliska. Czy o tym też ci powiedziała?

Nie chciał tego słuchać. To kłamstwo.

– Nie, tego mi nie powiedziała. Jakoś nie napomknęła o tym w swoim pamiętniku. – Musiał panować nad swoim gniewem, ale mikstura zaczęła już działać, zaśmiecając mu pamięć. – Powiedziała mi za to, co jej zrobiłeś. Całe strony zapisała na ten temat. Jaki z ciebie skurwysyn.

Czuł, że palce zaciskają mu się w pięści. Tak, pozwolił, by rozpaliły się płomienie złości. Złość i te bezcenne słowa matki, ta mantra, której nauczył się na pamięć z jej dziennika. Te słowa dawały mu siłę podczas wypełniania misji. Teraz też go nie zawiodły.

– Od dawna zastanawiałem się, kiedy się dowiesz. – Everett wciąż mówił spokojnie, bez cienia strachu. – Byłem pewien, że to tylko kwestia czasu. Sądziłem, że te wszystkie dziewczyny to właśnie z tego powodu, że próbowałeś mi się w ten sposób odpłacić, tak?

– Tak.

– Chciałeś mnie zranić. – Everett uśmiechnął się, a potem skinął potakująco głową, zupełnie jakby to akceptował, jakby właśnie tego spodziewał się od własnego syna. – Może nawet chcesz mnie ukarać?

– Tak.

– Zniszczyć moją reputację.

– Zniszczyć ciebie.

Uśmiech zniknął z twarzy Everetta.

– Zostało mi tylko jedno do zrobienia – powiedział gość, podnosząc tacę z wózka. Wyciągnął ją w stronę Everetta, jedną ręką podniósł srebrną pokrywę. Taca była prawie pusta, jedynie na idealnie złożonej płóciennej serwetce leżała mała czerwono-biała kapsułka.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY DRUGI

Justin szukał Ojca, albo chociaż tych jego fagasów. Pawilon był już kompletnie napakowany chichoczącymi nastolatkami wmieszanymi w tłum, dziwaczny asortyment ludzi mających ze sobą niewiele wspólnego poza tym, że wszyscy wyglądali na zagubione dusze. Byli cholernie żałośni, właśnie tak, żałośni. Musiał to przyznać Ojcu. Mnóstwo z tych ludzi wyglądało na idealnych rekrutów albo chętnych dobroczyńców.

Spędził noc w autobusie, wymyślając strategię, a całe popołudnie zwiedzał Cleveland, starając się jak najwięcej zobaczyć. Dowiedział się od kogoś, że Edgewater Park znajduje się w zachodniej części miasta. Z kolistego parkingu przylegającego do górnej części parku roztaczał się widok na centrum. Nie miał jeszcze pojęcia, dokąd się uda. Wiedział jedynie, że musi uciec, zanim spotkanie dobiegnie końca. Musi znaleźć sposób, żeby zwiać niezauważony przez Alice czy Brandona. Na razie jego cel nie miał większego znaczenia.

Wsadził ręce do kieszeni dżinsów i upewnił się, że nie zniknęły z nich zwitki banknotów. Potem obciągnął T-shirta, zakrywając wypukłości, które nie powinny być przez nikogo widziane. Nie wiedział nawet, ile tego chapnął.

Podczas gdy mężczyźni wykopywali metalowe pudła i wlekli je po kolei do autokaru, Justin skradł dwie garści

banknotów. Tak się spieszył, że zdążył tylko otworzyć jedno z pudeł, wetknąć rękę, chwycić dolary i upchnąć je do kieszeni. Potem usiłował wyskubać z nich mole i wygładzić banknoty. Następnie pomagał kobietom przy ognisku, stał w dymie, żeby przejść zapachem, który zabija woń kulek na mole.

Mimo wszystko zastanawiał się, na co mu te pieniądze, skoro nie ma dokąd pójść. Widział, jak Cassie wchodzi na scenę, jak macha do tłumu, który zaczął klaskać na widok jej długiej czerwonej sukni chórzystki. Wkrótce zaczęły się śpiewy pod jej wodzą. To była dobra pora. Justin spojrzał w dół na ścieżkę rowerową i plażę. Obok pawilonu znajdował się pomnik i plac zabaw. Nie było się gdzie schować, drzewa znajdowały się dalej, w tyle. Ale już wszystko sprawdził. Po drugiej stronie drzew teren zagrodzony był płotem wysokim na jakiś metr osiemdziesiąt. Był to ślepy koniec parku.

Na dole, na plaży dojrzał pomost dla rybaków i z dziesięć łódek, wszystkie puste o tej porze roku. Ciekaw był, czy trudno byłoby wziąć łódkę, żeby nikt tego nie zauważył. Poza strzeżonym parkingiem przy parku wypatrzył posterunek straży przybrzeżnej. Cholera! Nie będzie łatwo.

– Hej, Justin! – Alice machała do niego, torując sobie drogę przez tłum.

No nie! Teraz będzie jeszcze trudniej.

– Szukałam cię. – Uśmiechała się do niego.

Czy ona musi być tak cholernie ładna? No i jeszcze włożyła ten ciasny niebieski sweterek, i te jej cholernie

błękitne oczy, których trudno nie zauważyć.

– Dlaczego mnie szukałaś? Chcesz czegoś? – Musi grać kompletnego dupka albo nigdy się stąd nie wydostanie.

Mało mu serce nie pękło na widok jej zranionego spojrzenia.

– Nie, chciałam tylko... chciałam tylko być razem z tobą. Czy mogę?

Cholera! Jasna cholera! Nie wolno mu dać się na to złapać. To byłby koniec, kres wszelkich marzeń o wolności.

– Taa, chyba tak – powiedział mimo to i poczuł się tak, jakby właśnie odrzucił swój misterny plan.

– Hej, Alice, Justin! – Kobieta o imieniu Kathleen przeciskała się do nich przez ludzkie stado. Kiedy ją poznał, była w kiepskiej formie. – Miło was widzieć razem, kochani. – Posłała uśmiech Alice, a Justin zobaczył, że dziewczyna się rumieni. Raptem Kathleen posmutniała, uśmiech zamienił się w zmarszczkę, gdy ścisnęła ramię Alice. – Opiekujcie się sobą, dzieciaki, dobrze? Nigdy nie zapominajcie, że macie siebie. Niezależnie od tego, co się stanie.

Potem ich opuściła, tylko że szła w złym kierunku, ku tylnemu wyjściu. Może idzie do ubikacji, pomyślał Justin.

– Bardzo miła kobieta. Rozmawiałyśmy sporo w nocy – oznajmiła miękko Alice. – Pomogła mi wiele zrozumieć.

– Co na przykład? – spytał, lustrując otoczenie, rozglądając się, licząc na cud.

– Na przykład ile dla mnie znaczysz i że nie chcę cię stracić.

W jednej chwili przestał się rozglądać i spojrzał na nią. Wzięła jego rękę i splotła palce z jego palcami.

– Zależy mi na tobie, Justinie. Proszę, powiedz mi tylko, co mogę zrobić, żeby się między nami znowu ułożyło.

Boże, tak dobrze było trzymać jej dłoń, jakby do niego należała. Czy ona jest z nim szczera, czy to kolejna sztuczka Ojca?

Nie zdążył jednak nic odpowiedzieć, bo właśnie znikąd pojawił się przed nimi Brandon.

– Alice – powiedział, patrząc z taką złością na ich złączone ręce, że Alice wyrwała się. – Ojciec chce cię widzieć przed spotkaniem, musisz iść ze mną.

Spojrzała na Justina przepraszająco, niemal z bólem. Natychmiast pomyślał, że Ojciec zamierza jej udzielić następnej lekcji. Nie, chyba jednak nie, nie było na to czasu. Cassie już rozgrzała tłum.

Odprowadzał wzrokiem Brandona, który zabierał ze sobą Alice, wybierając jakiś dziwny skrót między drzewami. Co do diabła robi tam Ojciec? Aha, pewnie się przygotowuje, odprawiając te swoje cudackie rytuały.

Raz jeszcze zlustrował tłum. Ile zostało mu czasu, zanim zjawią się Brandon, Alice i Ojciec? Czy zobaczą go z góry? Cholera! Był na straconej pozycji.

Wtem, odwracając się, rozpoznał wysoką blondynkę na końcu ścieżki rowerowej. Machała do niego. Zabrało mu to tylko minutę. Pewnie szybciej przypomniałby sobie, kto to jest, gdyby miała przy sobie tę małą blond przyjaciółkę. Uśmiechnął się i też do niej pomachał, zauważając przy

okazji, że dziewczyna znajduje się z dala od sceny i jest w towarzystwie starszej kobiety, która mogłaby być jej matką. Może znaczy to, że przyjechały tu samochodem, pomyślał.

Ruszył ku nim szybkim krokiem. Był podniecony jak diabli. Zaczynał wierzyć w cuda.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY TRZECI

Tully starał się zmieszać z tłumem. W mgnieniu oka wypatrzył ubranych po cywilnemu agentów z biura w Clevelandzie. Byli rozrzuceni po całym parku. Jeśli Everett oczekiwał facetów w czerni, to bardzo się mylił. Wszyscy stawili się na miejsce, wszyscy byli gotowi do akcji. Tully znał większość z nich. Pracował z tymi ludźmi nad wieloma sprawami, zanim przeniesiono go do stolicy. Prawdę mówiąc, dobrze było znaleźć się znowu w domu.

Szukał wzrokiem Racine i dojrzał ją w pobliżu toalet na tyłach parku. Musiał przyznać, że w czapce bejsbolówce, znoszonych dżinsach, koszulce Cleveland Indians i w skórzanej kurtce mogła spokojnie uchodzić za miejscową. Nikt pewnie nie zauważył nawet, że szepcze do mankietu kurtki ani że coś jej sterczy pod kurtką w pasie. Racine robiła dobrą robotę, choć Maggie O'Dell miała o niej dość kiepską opinię. Może po prostu bała się zawieszenia albo przeniesienia do niższej ligi. Jej szef Henderson był niewzruszony, gdy w grę wchodziła dyscyplina pracy. Może Racine stara się odrobić błędy przeszłości? Jakkolwiek było, Tully miał to w nosie. Teraz ważne jest tylko to, żeby niczego nie zepsuła.

Spotkanie modlitewne rozpoczęło się bez udziału Everetta, ale według Caldwella wielebny powinien się pojawić lada moment. Nikt z nich dotąd go nie widział,

zresztą Caldwella też nie. Ale to w tej chwili nieważne, trzeba zająć się tym, co działo się wokół. Piękna czarnoskóra kobieta w purpurowej sukni chórzystki kierowała rozwibrowanym tłumem klaszczących, śpiewających i recytujących wniebogłosy ludzi. Tully ledwie słyszał pozostałych agentów, dlatego postukał w swoją słuchawkę, żeby sprawdzić, czy nie nawaliła.

– Tully. – Szept Racine zabrzmiał w jego prawym uchu. – Widzisz go?

– Nie, jeszcze nie. – Rozejrzał się dokoła, by mieć pewność, że nie zwrócił swoim szeptem niczyjej uwagi. – Ale jeszcze jest wcześnie. Garrison się pojawił?

Najpierw coś zabuczało, a potem usłyszał:

– Wydawało mi się, że go widziałam, jak przyjechaliśmy. Ale nie dam głowy, że to on.

– Wypatruj go. Może nas zaprowadzić do celu.

Mówiąc to, zauważył wysokiego rudzielca, który wspinał się na wzgórze po przeciwnej stronie. Była z nim dziewczyna z jasnymi długimi włosami. Tully natychmiast pomyślał o Emmie.

– Mamy coś – rzucił do rękawa. – Południowy wschód od pawilonu, kierują się w stronę drzew na wzgórzu. Idę tam. Zaczekam na wsparcie.

Spojrzał na Racine, ale coś odwróciło jej uwagę, patrzyła teraz w przeciwną stronę, na toalety.

– Czy wszyscy mnie słyszą? – szepnął Tully, mając na uwadze przede wszystkim Racine.

Odpowiedzieli mu wszyscy prócz niej. Teraz nawet już jej nie widział. Nie miał pojęcia, dokąd poszła, gdzie tak nagle zniknęła. Niech ją szlag trafi! Co ona sobie wyobraża? Nie miał jednak czasu, żeby jej szukać. Ten chłopak, Brandon, prowadził już swoją kolejną ofiarę do góry między drzewa. Tully przeciskał się przez tłum, nie zdejmując oczu z tej pary. Tak się na nich zapatrzył, że zderzył się z całkiem atrakcyjną blondynką. Nie zatrzymał się jednak, tylko brnął dalej. Dopiero gdy go chwyciła za mankiet, odwrócił się.

– R.J., co ty tu robisz?

– Caroline?

Potem Tully zobaczył Emmę i żołądek zawiązał mu się w supeł.

– Co robisz w Clevelandzie? – dopytywała się była żona.

– Pracuję – odparł cicho, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. Twarz Caroline z miejsca zmarszczyła się ze złości, natomiast Tully myślał tylko o tym, żeby zabrać córkę jak najdalej od tego cholernego parku.

– Po prostu nie chce mi się wierzyć, że wyciąłeś mi taki numer – mówiła Caroline, patrząc jednak na Emmę, nie na niego. – A więc dlatego chciałaś tu przyjść dziś wieczorem, bo wiedziałaś, że będzie tu ojciec?

Tully spojrzał na Emmę, która poczerwieniała. Czasami bywał tępy, ale i tak znał swoją córkę zdecydowanie lepiej niż jej matka. Wiedział, że Emma przyszła tu z powodu młodego mężczyzny o atletycznym wyglądzie, który stał obok niej. Młodego mężczyzny, który rzucał wzrokiem

dokoła, jakby najbardziej ze wszystkiego pragnął znaleźć się teraz w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie tu.

– Proszę, Caroline – zaczął znowu, biorąc ją za łokieć i prowadząc na bok.

– Was to bawi?

– Nie, wcale nie. – Mówił najspokojniej, jak potrafił, a jednak musiał przekrzykiwać gwar tłumu. – Możemy pogadać o tym później?

– Taa, mamo, nie rób mi takiego obciachu.

Tully potoczył wzrokiem, upewniając się, że nikt ich nie obserwuje. Szczęśliwie wszystkie twarze zwrócone były ku scenie. Jego oczy powędrowały dokoła, i nagle stwierdził, że nie widzi Brandona i tamtej dziewczyny. Jezu! To już się dzieje.

Nie mógł posłużyć się mikrofonem, bo Caroline zaraz by go zdemaskowała. Zaczęłaby drwić, że zabawia się w policjantów i złodziei, w każdym razie coś w tym stylu. Obrócił się więc do Emmy i młodego człowieka, spotykając się z nim wzrokiem i mówiąc w zasadzie do niego, nie do córki.

– Proszę, wyjdźcie stąd teraz.

Potem ich zostawił, nie zwracając uwagi na listę wyzwisk, jakimi obsypała go Caroline, kompletnie nieczuła na fakt, że dzieje się to w obecności ich córki. Przepychał się naprzód, szepcząc do mankietu, informując pozostałych, co robi, i usiłując dociec, gdzie się, u diabła, podziała Racine.

I znowu tylko ona się nie odezwała.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY CZWARTY

Kathleen sprawdziła wszystkie toalety. Znakomicie, ani żywego ducha. Szkoda, że nie mogła zamknąć drzwi na klucz, ale wewnątrz nie było żadnego zamka ani krzesła, które można by podstawić pod klamkę, by zablokować drzwi. Może to zresztą nieistotne. Dochodziły do niej odgłosy spotkania. Miała nadzieję, że nikt jej nie przeszkodzi.

Puściła ciepłą wodę do porcelanowej miski. Woda ciurkała z przerwami. Aha, trafił jej się jeden z tych wiecznie popsutych kranów. Cholera! W takim tempie będzie to trwało całą wieczność. Raz jeszcze przekręciła gałkę i położyła papierowe ręczniki na półce. Głupie, doprawdy. Po co jej papierowe ręczniki?

Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła brzytwę do golenia, skradzioną z hotelowej łazienki wielebnego Everetta, prawdziwy nóż z prawdziwym metalowym ostrzem. Palce jej drżały, gdy próbowała wyciągnąć błyszczące ostrze. Kilka razy ponawiała próby. Dlaczego nie może zapanować nad tą drżączką? To śmieszne. Przecież nie robi tego pierwszy raz.

No, nareszcie!

Odłożyła brzytwę ostrożnie, niemal z szacunkiem, na jeden z papierowych ręczników. Głupia woda znowu przestała lecieć. Kathleen kolejny raz zaczęła manewrować

kurkiem. W ten sposób miska nigdy się nie napełni. A może jej to niepotrzebne? Może to bez znaczenia, czy będzie bolało, czy też nie. Może już nic nie ma dla niej znaczenia.

Spojrzała wokół i zatrzymała wzrok na swoim odbiciu w lustrze, patrząc sobie prosto w oczy i bojąc się patrzeć z tak bliska. Nie chciała w nich ujrzeć zdrady, oskarżeń, poczucia winy ani klęski, ponieważ tym razem zrobi wszystko, żeby jej się udało.

Myślała już, że odnalazła jakiś kierunek oraz szacunek dla samej siebie, lecz myliła się. Była naiwna, gdy uwierzyła, że zdoła odmienić… naprawić… swoje życie. Że nada mu jakiś istotny sens, a przede wszystkim zapełni ową straszną pustkę.

Próbowała nawet przekazać Maggie prawdę, bolesną i okrutną, ale prawdę. I zyskała tyle, że córka jeszcze bardziej ją znienawidziła. Nic jej już nie zostało.

Podniosła ostrze kciukiem i palcem wskazującym, i wtedy ktoś wszedł do łazienki.

Na widok Kathleen młoda kobieta znieruchomiała. Miała czapkę bejsbolówkę na krótkich jasnych włosach, skórzaną kurtkę oraz niebieskie dżinsy i stare zdarte buty. Stała, patrząc na Kathleen i poznając przedmiot w jej rękach. Nie wyglądała przy tym na zdziwioną ani przestraszoną. Odezwała się z uśmiechem:

– Pani jest Kathleen O’Dell, prawda?

Serce Kathleen zaczęło walić, ale nawet nie drgnęła. Usiłowała sobie przypomnieć, czy zna skądś tę młodą blondynkę. Nie, ona na pewno nie należy do Kościoła.

– Przepraszam – powiedziała kobieta, robiąc parę kroków do przodu, i znowu zatrzymując się raptownie, gdy Kathleen lekko się poruszyła. – Nie znamy się. – Mówiła przyjaznym, spokojnym głosem, chociaż jej wzrok wciąż wracał do ostrza w rękach Kathleen. – Nazywam się Julia Racine. Znam pani córkę, Maggie. Jesteście do siebie podobne. – Znowu się uśmiechnęła. – Maggie ma pani oczy.

Kathleen poczuła ucisk paniki w żołądku. Szlag by to trafił. Dlaczego wszyscy sobie nie pójdą i nie zostawią jej w spokoju? Ścisnęła mocniej ostrze, czując je na nadgarstku, ostrze, które obiecywało ciepłą ciszę, obiecywało koniec pulsowania w głowie. Które zatkałoby tę pustkę.

– Czy Maggie tu jest? – spytała, w panice zerkając na drzwi. Nie chciała, żeby córka znów ją ratowała. Zawsze ją ratuje, wyciąga z ciemności, nawet wtedy, kiedy Kathleen tak bardzo tęskni za ciemnością.

– Nie, Maggie tu nie ma, jest w stolicy.

Ta kobieta, ta Julia, ma jakąś niepewną minę, pomyślała. Jakby żałowała, że powiedziała prawdę, kiedy mogła skłamać.

– Wie pani, że ja nigdy nie poznałam swojej matki – mówiła dalej, zmieniając temat tak niepostrzeżenie, że Kathleen to umknęło. Ale przecież nie była głupia. Wiedziała, o co tamtej chodzi, i musiała jej przyznać, że jest w tym dobra. Zupełnie jakby miała już za sobą wiele rozmów z ludźmi, którzy stali na krawędzi.

Czy o to właśnie jej chodzi? Chce ją odciągnąć od krawędzi? Takie rzeczy udają się tylko wtedy, kiedy samobójca pragnie, by ktoś go odciągnął. Kathleen zerknęła na nadgarstek, krew zaczynała skapywać z miejsca, które już lekko nacięła. Nawet nie wiedziała, kiedy to się stało. Nawet tego nie poczuła. Zdziwiła się, że wcale nie bolało. Czy to dobry znak? Że nie boli? Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że tamta też już to widzi, i zanim Julia Racine zdołała przybrać na powrót chłodną profesjonalną maskę, Kathleen przyłapała coś innego w jej oczach. Coś... może wątpliwość, może strach. A więc nie jest tak zrównoważona, jaką udaje.

– Moja mama – podjęła kobieta – zmarła, kiedy byłam małą dziewczynką. Pamiętam co nieco, wie pani, tylko takie migawki. Na przykład zapach lawendy. Chyba były to jej ulubione perfumy. Aha, i wciąż nuciła pod nosem. Czasem słyszę, jak mi coś nuci, ale nigdy nie udaje mi się rozpoznać melodii. Jest taka kojąca. Jak kołysanka.

Plotła bez końca, ale wciąż spokojnie. To stawało się denerwujące. Kathleen zdawała sobie sprawę, że to część gry. Bo to była w końcu gra, prawda?

– Kathleen, wie pani, że Maggie bardzo się o panią martwi.

Patrzyła wprost na nią, jej niebieskie oczy nawet nie mrugnęły, nie grała już, a może po prostu tak świetnie potrafiła kłamać.

– Jest na mnie zła – jakby wbrew swej woli nagle przemówiła Kathleen.

– To się zdarza, czasem bywamy źli na tych, których kochamy, ale to nie znaczy, że chcemy, żeby nas zostawili na zawsze.

– Ona mnie nie kocha. – Powiedziała to niemal ze śmiechem, jakby dawała do zrozumienia tej Racine, że ją przejrzała.

– Pani jest jej matką. Jak mogłaby pani nie kochać?

– Sama jej to ułatwiłam, może mi pani wierzyć.

– No dobra, więc jest na panią zła.

– O, więcej niż zła.

– Dobra, jest wściekła, a nawet zdarzają się chwile, kiedy szczerze pani nie lubi. Tak?

Teraz Kathleen roześmiała się i skinęła głową.

Pani detektyw zachowała powagę.

– Ale to nie znaczy, że chce, by pani odeszła na zawsze. – Racine uznała wreszcie, że tą sentymentalną gadką nic nie wskóra. Uśmiechnęła się więc i dodała: – Pani O’Dell, mam już tyle problemów z pani córką, że czuję się, jakbym siedziała po uszy w gównie. Może przynajmniej pani by mnie nie wnerwiała?

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIĄTY

Tully o mały włos nie potknął się o kurtkę.

Jezu, już zaczął!

Ciemności zaczynały pochłaniać przestrzeń, i tam w górze, między drzewami, niewiele było widać. Tully czekał. Próbował spowolnić bicie swojego serca. Musi dać szansę oczom, żeby przyzwyczaiły się do ciemności. Księżyc rzucał trochę światła, ale przy tym dodawał cieniom upiornego sinego zabarwienia.

Tully wstrzymał oddech. Ukląkł, nic nie słyszał przez te wrzaski na dole. Nie wolno mu ryzykować. Pozostali agenci meldowali swoje pozycje, ale nie mógł im odpowiedzieć. Oni to rozumieli, szykowali się. Było tak cicho. A jeśli jest już za późno?

Wyjął broń i zaczął sunąć na czworakach. Kiedy ich zobaczył, dzieliło go od nich najwyżej sześć metrów. Oboje znajdowali się na ziemi, zespoleni w szarpaninie. On był na górze. Dziewczyna wywijała się, nie chciała się poddać.

Wyglądało jednak na to, że są sami. Tully ostrożnie zlustrował najbliższą okolicę. Nie było widać żywego ducha. Żadnego młodego mężczyzny, który czekałby na swoją kolej albo stał na straży. Nie było też śladu wielebnego Everetta. A może zjawi się później? Czy wielebny czeka, aż zmagania dobiegną końca? Czy Tully może czekać? Jezu! Chłopak już darł ubranie dziewczyny. Potem rozległ się policzek, skowyt

i znowu rozgorzała walka. Czy odważy się czekać na nadejście Everetta? I czy ma prawo tak zaryzykować?

Zdało mu się, że słyszy brzęk metalowej sprzączki, potem świst zamka błyskawicznego. Wbił wzrok między drzewa. Pomyślał o Emmie. Ta dziewczyna nie była od niej wiele starsza. Raptem coś poruszyło się po prawej stronie. To tylko jeden z agentów, Everetta wciąż nie było.

Szlag, szlag!

Nie widział żadnych błyszczących sznurków, żadnych kajdanek. Może to zabawki Everetta? Jakie będą konsekwencje, jeśli teraz im przerwie?

Tym razem dziewczyna krzyknęła i Brandon uderzył ją w twarz.

– Zamknij się, kurwa, i leż spokojnie – syknął chłopak.

Nie namyślając się ani chwili dłużej, Tully zerwał się na równe nogi. Kilkoma susami doskoczył do nich, przystawiając glocka do tyłu głowy Brandona. Nie dał mu szansy choćby drgnąć.

– Nie, to ty się zamknij, szczeniaku! – wrzasnął do ucha chłopaka, żeby ten nie uronił ani jednego słowa. – Gra skończona.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SZÓSTY

Waszyngton

O’Dell minęła kilka nieznanych jej ulic, ale ostatecznie bez trudu znalazła ten stary budynek. Była to szemrana okolica, gdzie czerwona toyota Maggie mogła być zagrożona. Trzech nastolatków obserwowało ją przez cały czas, gdy parkowała samochód i podchodziła do drzwi frontowych. Miała ochotę błysnąć im smith&wessonem umoszczonym pod kurtką. Wybrała jednak drugie, równie dobre wyjście, czyli zignorowała ich.

Nie była pewna, po co tu przyjechała, poza tym, że miała już dość czekania. Musiała coś zrobić, cokolwiek. Była udręczona tymi wszystkimi wspomnieniami, które wzbudzały w niej poczucie winy, czyniły ją odpowiedzialną – raz jeszcze – za to, że jej matka znalazła się w opałach. Wiedziała, że to nie ona za to odpowiada, oczywiście, że to wiedziała, ale wiedza i uczucia stanowiły dwa zupełnie odrębne światy.

Wnętrze budynku zdumiało ją. Było czyste, więcej niż czyste, pachniało tu nawet murphy oil. Wspinając się po drewnianych schodach, odnotowała świeżo pomalowane ściany i dywan na podeście pierwszego piętra. Choć trochę sfatygowany, był czysty jak łza. Na drugim piętrze wyczuła jednak zapach jakiegoś środka do dezynfekcji, a woń rosła

w siłę, gdy Maggie posuwała się w głąb korytarza. Dochodziła prawdopodobnie z piątki, z mieszkania Bena Garrisona.

Zapukała i czekała pod drzwiami. Wcale nie spodziewała się, że zastanie go w domu. Wciąż był w Clevelandzie, miała tylko nadzieję, że tym razem nie zjawił się pierwszy na miejscu zbrodni. Tully i Racine już pewnie aresztowali Everetta i jego ucznia Brandona. Dysponowali badaniami DNA, które wskazywały na winę wielebnego, świadkiem oraz zdjęciami, na których Brandon stał w towarzystwie dwu z ofiar na krótko przed ich śmiercią. Sprawa zamknięta. Skąd więc ten niepokój? Może po prostu była zła, że Garrison, ten niewidzialny człowiek za obiektywem, skalał miejsce zbrodni swoją obecnością. Może była ciekawa jego obsesji śmierci, a także swoistego podglądactwa, kompletnie zboczonej odmiany voyeuryzmu, gdzie nie chodziło o obserwowanie aktów seksualnych, lecz o utrwalanie na kliszy aktów śmierci. A może po prostu musiała czymś zająć myśli.

Obejrzała się i zapukała ponownie. Tym razem usłyszała szuranie na schodach, a po chwili pojawiła się obok niej drobna siwowłosa kobieta.

– Chyba nie ma go w mieście – oznajmiła. Zanim Maggie coś odpowiedziała, dodała: – Pani jest może z wydziału zdrowia? Ja nie mam nic wspólnego z tymi karaluchami. Chcę, żeby pani wiedziała, że to jego wina.

Maggie zapewne wyglądała oficjalnie. Wciąż milczała, a kobieta już wepchnęła się przed nią i otwierała drzwi

mieszkania Garrisona.

– Ja się tu staram utrzymać czystość, ale niektórzy z lokatorów... Cóż, w dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać. – Otworzyła drzwi i machnęła ręką na Maggie, kierując się z powrotem ku schodom. – Proszę zamknąć, jak pani skończy.

Maggie zawahała się, ale co jej szkodzi rzucić okiem?

Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to trzy afrykańskie maski pośmiertne, które wisiały na ścianie nad wysłużoną winylową sofą. Były wyrzeźbione w drewnie i pomalowane na czole, policzkach i pod oczami w jakieś symbole plemienne. Na przeciwległej ścianie wisiało kilka czarno-białych fotografii. Były to portrety z podpisami: „Zulus”, „Plemię Trzy Wzgórza”, „Aborygen”, „Basuto”, „Andaman”. Garrison wyraźnie miał obsesję na punkcie oczu fotografowanych ludzi, czasami wręcz przycinał w kadrze czoła i podbródki, żeby uwypuklić oczy. Zdjęcie na samym dole podpisane było: „Tepanekowie”, i przedstawiało tył głowy, być może czyjąś odmowę pozowania. Musiało być jednak ważne dla Garrisona, skoro je zatrzymał.

Maggie potrząsnęła głową. Nie miała czasu, żeby analizować jego psychikę, nie była też wcale pewna, czy zajęłaby się tym, gdyby ten czas miała. Było coś dziwnego w tym człowieku, zarazem owładniętym starymi kulturami, jak i podglądającym młode kobiety atakowane i mordowane w publicznym parku. Czyżby dla Garrisona ludzie byli wyłącznie obiektami, tematami dla jego fotografii?

W komisariacie, kiedy go pytała o incydent w Bostonie, powiedział jakoś dziwnie, że ona nie ma pojęcia, co to znaczy powoływać wydarzenia do życia albo ukrywać je przed światem. Czyż nie tak właśnie postępował z Everettem? To jego zdjęcia wywołały całą tę historię wyznawców Kościoła Duchowej Wolności i ich ewentualnego związku z morderstwem córki senatora i zabójstwem w Bostonie. Ale to szło jeszcze dalej. To jego zdjęcia spowodowały, że Everett w ogóle został wzięty pod uwagę jako podejrzany. W pewnym sensie to zdjęcia Garrisona zaprowadziły ich wprost do wielebnego. A więc naprawdę stworzył pewne fakty.

Raptem coś przemknęło po podłodze. Maggie zakręciła się, trzy wielkie karaluchy czmychnęły do dziury pod blatem kuchennym.

– Niech to szlag!

Próbowała się uspokoić. Karaluchy. Dlaczego jej to wcale nie dziwi, że Garrison żyje pośród nich?

Gospodyni miała rację, mieszkanie Garrisona odstawało od czystej klatki schodowej i całej reszty starego, ale utrzymanego w porządku budynku. Rzucone na podłogę ubrania tworzyły ścieżkę prowadzącą do sypialni i do łazienki. Zaschnięte resztki jedzenia i puste butelki po piwie zaśmiecały kuchenny blat. Stosy gazet i magazynów piętrzyły się niemal w każdym kącie, tworząc pierwszorzędne przechowalnie dla robactwa. Nie, nie zdziwiło jej, że Garrison mieszka z karaluchami.

Szła przez pokój, nie widząc nic interesującego w tym śmietniku. Chociaż nie była ani trochę pewna, czego naprawdę szuka. I nagle nadepnęła na zeszyt. Leżał na podłodze, jakby wypadł komuś z rąk. Skórzana oprawa była czysta i niezniszczona, widać, że zeszyt zwykle nie leżał na podłodze. Patrząc z bliska, przekonała się, że to czyjś dziennik, strony zapełnione ładnym, lekko pochyłym charakterem pisma, które czasami nabierało jakiegoś szaleńczego tempa, co widać było po dramatycznych zmianach linii i zakrętasach.

Podniosła zeszyt, a on otworzył się na stronie zaznaczonej starym niewykorzystanym biletem lotniczym o zdartych i pogiętych rogach. Był to bilet do Ugandy w Afryce, od dawna nieważny. Zaznaczał jedyną podniszczoną stronę w tym dzienniku.

Drogi synu. Piszę teraz coś, czego nigdy nie potrafiłam ci powiedzieć. Jeśli to czytasz w tej chwili, to znaczy, że ja już nie żyję. Przepraszam cię, że właśnie tak to robię. Jak tchórz, w sposób, który zawstydziłby każdego członka plemienia Zulu. Proszę cię, wybacz mi to. Ale jak mogłam spojrzeć w twoje smutne i już złe oczy i powiedzieć, że twój ojciec zgwałcił mnie brutalnie? Tak, to prawda. Zgwałcił mnie. Miałam tylko dziewiętnaście lat. To był mój pierwszy rok w college'u. Przygotowywałam się do wspaniałej pracy i kariery zawodowej.

Maggie przestała czytać i przekartkowała początek dziennika, szukając jakiegoś imienia, jakiegoś odnośnika do jego autorki, lecz niczego nie znalazła. Potrzebne jej było

imię. Wiedziała już, czyj to dziennik. To nie mógł być zbieg okoliczności. Ale jak wpadł w ręce Garrisona? Gdzie go znalazł, na Boga? Zapewne w rzeczach osobistych Everetta. Tylko czy Everett trzymałby dziennik kobiety, którą zgwałcił przed trzydziestu laty? I skąd by go miał?

Włożyła zeszyt do kieszeni kurtki. Jeśli Garrison go skradł, na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, że Maggie go sobie pożyczy. Była już gotowa do wyjścia, kiedy zobaczyła mały pokoik przylegający do kuchni. Nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie słabe czerwone światło, które się tam paliło. Oczywiście, Garrison ma własną ciemnię.

Nie, pomyliła się. To nie była zwykła ciemnia. To była kopalnia złota.

Na sznurkach do bielizny rozciągniętych przez całe pomieszczenie wisiały odbitki. Jakieś odczynniki stały w ogromnym zlewie w plastikowych pojemnikach. Butelki i kanistry z materiałami do wywoływania zapełniały półki. Wszędzie były zdjęcia, zachodząc na siebie i zakrywając każdy centymetr przestrzeni na ścianach i blacie.

Znajdowały się tam fotografie afrykańskich plemion w ceremonialnym tańcu. Portrety Murzynów z przerażającymi bliznami. Zdjęcia dziwacznych żab mutantów z nogami wyrastającymi z głów.

Potem Maggie je zobaczyła. Zdjęcia zmarłych kobiet.

Było ich kilkanaście. Kobiety nagie i wsparte o drzewa, z otwartymi szeroko oczami i ustami zaklejonymi taśmą oraz kajdankami na rękach. Poznała Ginny Brier, bezdomną

spod wiaduktu, topielicę z jeziora w okolicy Raleigh i Marie Leonetti. Ale były też inne. Co najmniej osiem innych, wszystkie w tej samej pozie. Wszystkie z szeroko otwartymi oczami, wszystkie patrzące prosto w obiektyw.

Jezu! Jak długo to trwa? Jak długo Garrison jeździ śladem Everetta i jego chłopców? Jak długo trwa ta upiorna wędrówka znaczona trupami kolejnych kobiet?

Wyciągnęła rękę, szukając po omacku kontaktu, nie patrząc nawet, gdzie jest. Nie mogła oderwać się od oczu zmarłych kobiet. Musi tam być jakieś normalne światło poza tym czerwonym. Wreszcie wymacała przyciski i nacisnęła jeden z nich. Pokój zalała kompletna ciemność. Zanim nacisnęła drugi przycisk, stała jak sparaliżowana, patrząc z niedowierzaniem. Rozciągnięty wzdłuż ciemni sznurek świecił w ciemności.

Oparła się o blat. Kolana jej zmiękły, poczuła skurcz w żołądku. Sznurek świeci w ciemności. Oczywiście, to idealne rozwiązanie w ciemni. I co za idealna broń dla mordercy.

Jak mogła być tak głupia? Garrison nie ogranicza się do fotografowania tych kobiet. Jego nie interesują oczy zamordowanych. Oczy są przecież oknami duszy. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Czy Garrison usiłuje sfotografować uciekającą z ciała duszę?

Zapaliła znowu czerwone światło i z bliska przyjrzała się zdjęciom, śladom na szyjach ofiar. Musiał je przywoływać do świadomości raz za razem, sadzał je, czekał, cierpliwie czekał na tę jedną chwilę, czekał z aparatem gotowym na

statywie, czekał. Czekał i czekał, żeby uchwycić ten błysk, sfotografować ten moment, gdy z ciała uchodzi dusza.

Garrison. Garrison i jego obsesja ostatnich chwil przed śmiercią.

Raptem usłyszała skrzyp desek podłogi w pokoju. Chwyciła za broń. Żaden karaluch nie jest tak cholernie duży. Czy to gospodyni wróciła? Może zjawił się prawdziwy inspektor z wydziału zdrowia? To nie może być Garrison, bo on jest w Clevelandzie.

Podeszła krok do drzwi ciemni, sunąc wzdłuż blatu. Kolejne skrzypnięcie, tym razem głośniejsze, bliżej, po drugiej stronie drzwi. Wycelowała, trzymając broń obiema rękami i ignorując lekkie drżenie kolan. Potem jednym szybkim ruchem kopnęła drzwi ciemni i wyskoczyła, celując i krzycząc:

– Nie ruszać się!

To był Garrison.

Stał na środku swojego mieszkania nad przerażoną gospodynią, ze sznurem wokół jej szyi, ciągnąc ją jak na smyczy. Stara kobieta klęczała na kościstych kolanach, chwytając z trudem powietrze, przewracając oczami i broniąc się wychudłymi rękami. Garrison nie zwracał już na nią uwagi, tylko podniósł wzrok na Maggie. Zdawało się, że nie zauważył wycelowanej w jego pierś broni. Uniósł z wolna rękę i spytał:

– Jeśli ona tego nie ma, to znaczy, że to jest u ciebie. Oddaj mi dziennik mojej matki.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY SIÓDMY

Tully miał złe przeczucia co do tego całego zamieszania. Tak, złapali gwałciciela, ale czy na pewno schwytali mordercę? Ten chłopak, Brandon, dupek, który bił i gwałcił młode dziewczyny, kiedy go zaaresztowali za zabójstwo Ginny Brier i Marii Leonetti, z miejsca załamał się i zamienił w płaczliwą, biadolącą płaksę. Tully, idąc wraz z innymi agentami za Stephenem Caldwellem do hotelu, gdzie miał być Everett, nie był już niczego pewny.

Recepcjonista dał im kartę magnetyczną otwierającą drzwi do pokoju. Ujrzawszy odznaki, zrezygnował z zadawania jakichkolwiek pytań. Caldwell twierdził, że nie wie, dlaczego Everett nie pokazał się w parku. Było coś w ugrzecznionych manierach tego ciemnoskórego mężczyzny, co mówiło Tully'emu, że Caldwell bardzo się gdzieś spieszył. Wrażenie to odniósł już wtedy, kiedy w końcu znaleźli go na zewnątrz pawilonu, gdzie zwoływał niektórych członków Kościoła. Tully miał przeczucie, że ten Caldwell, ten pieprzony kapuś, ma własny plan. Zastanawiał się, czy bezpowrotnie nie tracą teraz czasu. Może tak właśnie miało być zgodnie z planem Caldwella? Czy wizyta w hotelu ma ich od czegoś odciągnąć? Może Everett jedzie w tej chwili na jakieś lotnisko?

Kiedy drzwi windy rozsunęły się na czternastym piętrze, Caldwell zawahał się. Agenci Rizzo i Markham pchnęli go,

nie czekając na polecenie Tully’ego. Byli jak on cholernie wkurzeni. Nie musieli wymieniać słów, żeby wiedzieć, że coś tu śmierdzi.

Caldwell zawahał się znowu przed drzwiami pokoju. Tully zauważył, że trzęsą mu się ręce. Dwa razy nie trafił kartą we właściwe miejsce. Wreszcie otworzył drzwi.

Rizzo i Markham trzymali ręce na broni, ale nie wyciągali jej. Tully popchnął Caldwella, żeby pierwszy wszedł do środka. Widział krople potu błyszczące na jego czole, ale mimo to wszedł.

I zaraz stanął jak wryty. Tully widział, że jest równie osłupiały jak oni. Na środku pokoju wielebny Everett siedział na krześle, z kajdankami na rękach, ustami zaklejonymi taśmą, a jego martwe oczy patrzyły wprost na nich. Tully nie potrzebował pomocy koronera. Natychmiast rozpoznał różowe zabarwienie skóry i nie musiał zgadywać, skąd się wzięło. Śmierć nastąpiła na skutek działania cyjanku potasu.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY ÓSMY

– Puść ją – rzuciła Maggie. Nawet nie drgnęła, trzymała broń wycelowaną prosto w głowę Garrisona.

– Masz ten pieprzony zeszyt, tak? – Patrzył jej w oczy, a jego ręka zaciskała sznur na szyi starej kobiety. Maggie słyszała jej charkot, kątem oka widziała pokrzywione, zniekształcone palce, które rozpaczliwie wpijały się w sznurek i szyję.

– Tak, mam go. – Nie miała zamiaru oddać mu zeszytu. – Jak ją puścisz, dostaniesz go.

– Akurat. – Zaśmiał się nerwowym, wściekłym śmiechem. – Ja ją puszczę, ty mi dasz zeszyt i każde z nas uda się w swoją stronę. Co ty sobie myślisz? Że jestem jakimś pieprzonym idiotą?

– Jasne, że nie. – Jeszcze kilka minut i wszystko na nic. Stara kobieta rzęziła, jej palce walczyły żałośnie. Maggie wiedziała, że może wygrać, ale musi trafić prosto w głowę i nie wolno jej chybić. Tylko że wtedy nie dowiedzieliby się tej całej historii.

– Teraz to się układa – powiedziała, mając nadzieję, że odwróci jego uwagę. – Everett jest twoim ojcem. To dlatego chciałeś go zniszczyć.

– Nie jest moim ojcem. Jest tylko dawcą spermy – odparł. Raptem pociągnął kobietę do góry przed siebie, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że potrzebuje tarczy przed

ewentualnym strzałem Maggie. – Nie mogę już tego odwrócić, ale sprawiłem, że ten gnój zapłacił za to, co zrobił mojej matce.

– I te wszystkie kobiety – mówiła spokojnie Maggie – też musiały płacić? Dlaczego? Dlaczego one musiały umrzeć?

– Ach, to. – Zaśmiał się znowu i mocniej zacisnął sznur. – To był eksperyment... zadanie, misja. Można powiedzieć: dla większej chwały Boga.

– Jaki ojciec, taki syn?

– O czym ty gadasz?

– Everett kradnie ludzkie dusze. Ty też chciałeś je skraść. Tyle że na klatce filmu.

– Nie mamy nic wspólnego – oburzył się, czerwień zalała mu twarz, zdradzając go. Trafiła celnie.

– Jesteście bardziej podobni, niż ci się zdaje. – Maggie przypatrywała mu się bacznie. Kiedy jej słuchał, zapominał o sznurze. – Macie nawet na tyle zbliżone DNA, że wprowadziliście nas w błąd. Myśleliśmy, że to Everett zabił te kobiety.

Uśmiechnął się, jakby go to ucieszyło.

– Udało mi się wszystkich oszukać, co?

– Tak – przyznała Maggie, grając dalej. – Udało ci się.

– Utrwaliłem też jego nieszczęsny koniec. Właśnie wróciłem z Clevelandu z unikatowym zdjęciem, którego nikt inny nie będzie miał. – Machnął ręką w kierunku worka, który leżał na blacie dzielącym kuchnię od pokoju.

Pociągnął za sobą starą kobietę, zbliżając się do worka. Gospodyni oddychała teraz trochę równiej. Garrison nie

zauważył, że poluzował uścisk, tak bardzo zależało mu, żeby pochwalić się swoim cennym filmem.

– Jeszcze się nie zdecydowałem, komu to sprzedam. To może być większa historia, niż sądziłem. Zwłaszcza teraz. Teraz, kiedy ty tu jesteś. Twoja obecność wszystko zmieniła.

Nie wyglądał na zdenerwowanego, był raczej zrezygnowany. Może cieszył się, że go przyłapano, bo mógł się w końcu podzielić nielegalnymi zdjęciami, tymi wszystkimi potwornymi obrazami, i zyskać sławę – nieważne jakim kosztem – sławę, która dogodziłaby jego wybujałemu ponad wszelką miarę ego. Nie było to aż tak osobliwe. Maggie znała kilku seryjnych morderców, którzy dali się złapać, żeby się pochwalić swoim dziełem, żeby mieć pewność, że nie znikną niezauważeni.

Próbowała nieco rozluźnić rękę. Cały czas trzymała w niej smitha&wessona, ale palec na spuście bardzo osłabł. Szczęśliwie Garrison był zajęty, interesowały go wyłącznie jego zdjęcia i jego sława.

– Trzy pieprzone rolki w żywych kolorach – powiedział, wlokąc za sobą gospodynię i wkładając rękę do worka.

Maggie spodziewała się ujrzeć czarne kasety z filmami. Ale nie, Garrison wyjął broń i wystrzelił, zanim zdążyła się pochylić. Przestrzelił jej ramię, wbijając ją w ścianę. Usiłowała utrzymać równowagę, ale zsuwała się na podłogę. Nie była w stanie ruszyć ręką. Próbowała unieść broń, jednak ręka odmawiała posłuszeństwa.

Garrison był zadowolony.

– Taa, będę bardzo sławny – powiedział z uśmiechem. Potem pchnął staruszkę na bok, jednocześnie unosząc broń.

– Nie! – krzyknęła Maggie.

Jednym gładkim ruchem zastrzelił starą kobietę. Drobne ciało uderzyło o ścianę z nieprzyjemnym gruchotem kości, a potem zwaliło się na podłogę i zbiło w małą kupkę.

Maggie spróbowała raz jeszcze unieść broń. Niech to szlag! Nie miała czucia w palcach. Nie czuła smitha&wessona, wciąż go ściskała, ale nie czuła wcale, że go trzyma. Kula sparaliżowała rękę na całej długości.

Garrison podszedł do niej z bronią wycelowaną w klatkę piersiową. Musi podnieść broń, myślała. Ale ręka wciąż odmawiała jej posłuszeństwa. Kiedy wyciągnęła po rewolwer lewą rękę, Garrison stał już nad nią. Czarnym butem kopnął jej bezużyteczne palce, kopnął rewolwer, szurnąwszy nim po podłodze.

Maggie czuła kłujący ból z boku szyi, ale ręka pozostała drętwa. Krew skapywała po rękawie, widziała kilka plam krwi na podłodze. I dalej nie mogła ruszyć tą cholerną ręką.

– Gdzie zeszyt? – spytał, stojąc nad nią. Potem zobaczył jej kurtkę.

– Musisz go sam wyjąć – powiedziała. – Naprawdę nie mogę się ruszyć. – Tak, zmusi go, żeby podszedł po zeszyt. W końcu została jej druga sprawna ręka. Może go złapać, może chwycić broń.

Lecz on się nie ruszył. Jakby nagle przestało mu zależeć. Zerknął na starą, potem rozejrzał się po mieszkaniu, jakby oceniał szkody, jakby podejmował decyzję, co dalej.

– Zatrzymaj go – powiedział ku zdumieniu Maggie i podszedł do blatu kuchennego, grzebiąc w swoim worku. – Tylko pamiętaj, to ma iść ze zdjęciami – mówił, wyjmując kilka kaset z filmami, które postawił obok worka. – To musi być pierwsza strona na wyłączność, dalszy ciąg ewentualnie w środku.

Następnie zaczął wypakowywać całą resztę. Maggie zrobiło się niedobrze na ten widok. Garrison wyjął kajdanki, taśmę klejącą, sznurek, aparat i nowy składany statyw. Próbowała podnieść się na nogi. Co on robi, do diabła? Uspokajała się, opierając się o ścianę na sprawnej ręce, z wolna odzyskiwała równowagę. Garrison zakręcił się i wycelował, zatrzymując ją w pół kroku.

– Lepiej będzie dla ciebie, jak tam zostaniesz – powiedział, chwytając kajdanki. – Na podłogę. – Wskazał ręką na dół i stanął przed nią, czekając, aż jej ciało osunie się po ścianie.

Chwycił kajdanki i zapiął je na zdrowej i postrzelonej ręce. W dalszym ciągu jej nie czuła. Chwycił Maggie za ramiona i przyłożył plecami do ściany, jakby ją sadowił w określonej pozycji. Na koniec ułożył jej ręce na kolanach. To była właśnie ta pozycja. Przygotowywał ją do pośmiertnego zdjęcia.

Wziął kawałek sznurka i związał jej nogi w kostkach, a potem je wyprostował.

Następnie wrzucił do kieszeni kurtki Maggie trzy kasety z filmami. Miała teraz w jednej dziennik jego matki, a w drugiej filmy.

– Garrison, wysłali dla mnie wsparcie, wpadną tu za moment – powiedziała, starając się rozpaczliwie przypomnieć sobie, czy powiedziała komukolwiek, że zamierza odwiedzić jego mieszkanie. Nie, nikomu nie mówiła. Nawet Gwen. Stara kobieta była jedyną osobą, która o tym wiedziała.

– A po co ci wsparcie? – W ogóle się nie przejął, jej słowa prawie go rozbawiły. – Sama przecież mówiłaś, że wszyscy są przekonani, że to Everett jest mordercą. On i jego uczeń Brandon. Biedny gówniarz. Ma poważną piętę achillesową – nie potrafi pieprzyć się z kobietą.

Garrison wrócił do blatu. Mówił spokojnie, bez paniki i pośpiechu. Odłożył broń i ostrożnymi, przemyślanymi ruchami zaczął rozkładać statyw.

– Niezupełnie tak to sobie wyobrażałem – mówił w zasadzie do siebie, jakby nieobecny, jakby znajdujący się w sobie tylko znanym świecie. – Ale czy można odejść w lepszy sposób niż z ostatnim zwycięskim okrzykiem na ustach?

Maggie wiedziała, że musi coś zrobić. Garrison ustawiał statyw na wprost niej, tak samo jak w przypadku pozostałych ofiar.

– Tak, faktycznie nas wszystkich oszukałeś – podjęła z nadzieją, że odwróci jego uwagę od szalonego pomysłu, którym był przeciążony jego umysł. Jednocześnie bacznie się rozglądała dokoła. Jej rewolwer leżał przy przeciwległej ścianie, w odległości jakichś trzech metrów. Za daleko. Wyciągając ręce, mogłaby coś chwycić, cokolwiek, co

dałoby się wykorzystać do obrony. Przesuwała wzrokiem dokoła. Lampa po lewej. W stercie ciuchów pasek z klamrą. Na stoliku jakiś afrykański garnek.

Garrison włożył nową rolkę do aparatu. Czas uciekał. Niech to szlag! Musi się skupić. Myśleć, myśleć. Nie wolno przejmować się pulsującym bólem w ramieniu i krwią, która spływa strużką po rękawie. Aparat był już gotowy. Garrison przymocował go do statywu, po czym rozwinął kabel i podłączył jeden jego koniec do aparatu. Był to kabel z samoczynnym wyłącznikiem, pozwalający na zrobienie zdjęcia z odległości ponad metra. Nie musi więc stać za obiektywem, pomyślała, nie musi nawet dotykać aparatu. Może ją dusić do nieprzytomności i jednocześnie robić zdjęcia.

Wcisnęła się w ścianę. Jak długo podciągałaby kolana, żeby odepchnąć się od ściany i podnieść się na nogi? Potrafiłaby stać nawet ze skrępowanymi nogami. Ale ile potrzeba na to czasu?

Garrison sprawdzał, co widać przez obiektyw, poprawiając ustawienie statywu. Maggie usiłowała nie zwracać na to uwagi, nie denerwować się jego wykalkulowanym spokojem, jego pewnymi ruchami. Jej myśli galopowały, a wzrok skakał z miejsca na miejsce. Cholerne ramię potwornie bolało, podobnie jak serce, wypełniając uszy nieustającym łomotem, który mógł łatwo zakłócić proces myślowy.

– Na pewno przejdę do historii – mruczał pod nosem Garrison, ustawiając migawkę, sprawdzając i regulując

odległość. Skorygował kierunek, raz jeszcze coś zmieniając. Poprawił przesłonę. Znów sprawdził.

Maggie powoli, po cichu przyciągała zgięte w kolanach nogi. Garrison był zbyt zajęty, by to zauważyć. Chwilami stał do niej plecami, zasłaniając aparat. Zupełnie zatracił się w tych przygotowaniach. Szybko zamieniał się w niewidzialnego fotografa.

– Nikt jeszcze tego nie próbował. Autoportret z uciekającą duszą uchwyconą w kadrze – ciągnął, a jego słowa stawały się mantrą, która miała mu dodać odwagi. – I kąt – powiedział. – Chodzi przede wszystkim o kąt i czas. Tak, będę sławny, to pewne. Bardziej niż w moich najśmielszych marzeniach, bardziej niż w marzeniach mojej matki. – Zapomniał się, zapomniał o swojej ofierze, a raczej zredukował ją do jeszcze jednego obiektu, który bezradnie czeka, aż stanie się częścią tego szalonego procesu.

Lecz Maggie nie czekała bezczynnie. Wystrzeliła nogami do góry, z całej siły przyciągając je możliwie jak najbliżej. Jeszcze trochę. Już prawie. Tak, już sięga sznura. Ale ten węzeł. Przesunęła się i ramię przeszył ból, powstrzymując ją, niemal przyprawiając o łzy. Nie dała rady, po prostu nie dała rady.

Niech to szlag!

Zerknęła na Garrisona. Rozwijał kabel, idąc z powrotem w stronę blatu. Jezu! Był już prawie gotowy. Raz jeszcze zabrała się do węzła. Kajdanki wbijały się w ciało. Jeśli uwolni stopy, będzie zdolna się bronić, kiedy Garrison się do niej zbliży, żeby ją dusić. Co prawda z pulsującym bólem

w ramieniu trudno jej będzie długo zachować przytomność. Nie może więc pozwolić mu posunąć się tak daleko. Nie wolno dopuścić, żeby sznur znalazł się na jej szyi, bo będzie po niej.

Garrison stał w rogu z końcówką kabla w jednej ręce. Maggie patrzyła, jak drugą ręką podnosi broń. Zamarła. Więc nie zamierza posłużyć się sznurem. Czyżby chciał ją zastrzelić?

Obrócił ku niej twarz. Trzymała kolana pod brodą. Jej palce zastygły na węźle. Nieważne, że to spostrzegł, i tak było już za późno. On był gotowy. I nagle całą resztę jej ciała sparaliżowało tak samo jak prawą rękę. Nawet galopujący umysł zahamował z piskiem.

Garrison szedł ku niej bez słowa, wlokąc za sobą kabel. Stanął na wprost Maggie, najwyżej trzydzieści centymetrów od niej. Obejrzał się na aparat, kontrolując kąt ustawienia. Poprawił kabel w ręce, trzymając między kciukiem i palcem wskazującym mały plastikowy przycisk, który po wciśnięciu klikał zdjęcie.

Był gotowy do swego ostatniego dzieła.

– Pamiętaj – powiedział, nie zdejmując wzroku z obiektywu – że ma być na okładce.

Zanim się ruszyła, zanim zareagowała, Garrison przystawił sobie broń do skroni i nacisnął jednocześnie spust i przycisk w śmiertelnym unisono. Maggie zacisnęła powieki, broniąc się przed krwią i mózgiem, które trysnęły jej w twarz, rozplaskując się na ścianie. Odgłos zapadki

aparatu zginął w huku wystrzału. Powietrze przeniknął charakterystyczny swąd.

Kiedy otworzyła oczy, zdążyła jeszcze zobaczyć, jak ciało Garrisona wali się na ziemię tuż przed nią. Miał wciąż otwarte czy. Ale były już puste. Dusza Bena Garrisona, stwierdziła Maggie, opuściła ciało na długo przed śmiercią.

EPILOG

Poniedziałek, 2 grudnia
Waszyngton

Maggie czekała przed pokojem konferencyjnym szefa policji. Wciąż bolała ją szyja, nawet bardziej niż ręka na temblaku. Tully towarzyszył jej w milczeniu, patrząc na drzwi, jakby chciał, żeby się już otworzyły. Nie zauważał gazety, która leżała na jego kolanach. Tytuł na pierwszej stronie „Washington Times" mówił o kolejnym rewelacyjnym systemie bezpieczeństwa na lotnisku. Gdzieś pod spodem znajdowała się krótka wzmianka o samobójstwie fotografa.

Tully zobaczył, że Maggie zerka na gazetę.

– „Cleveland Plain Dealer" też zamieścił informację o śmierci Everetta pod artykułem otwierającym gazetę – powiedział, jakby czytał w jej myślach. – Pewnie zrobiliby z tego pierwszą stronę, gdyby były zdjęcia.

– Tak – przytaknęła Maggie. – Szkoda, że nie było zdjęć.

Zerknął na nią z uniesionymi brwiami i zmarszczką na czole.

– Przecież były zdjęcia.

– Niestety zostały uznane za dowody w sprawie. Nie możemy rozpowszechniać w prasie zdjęć, które są dowodami, prawda? Czy to nie ty każesz mi zawsze trzymać się regulaminu?

Tully uśmiechnął się.

– A więc dowody znajdują się we właściwym miejscu?

Raz jeszcze skinęła głową, prostując się i poprawiając temblak. To był jej osobisty wyrok – żeby przerażające zdjęcia Bena Garrisona nie przyniosły mu sławy, której tak pragnął. Pragnął jej do tego stopnia, że sam z własnej woli umieścił się w gronie bohaterów tych straszliwych obrazów.

– Miałeś jakieś wiadomości od Emmy? – spytała, najwyraźniej kończąc wątek dowodów, zdjęć i kaset z filmami, które znalazły bezpieczne schronienie na dnie jej szafy w biurze w Quantico.

– Zostaje jeszcze tydzień u matki – odparł i zwinął dziennik. Najchętniej rzuciłby ten temat wraz z gazetą na stertę starych numerów „Newsweeka” leżących na stole obok. – Zaprosiła też Alice. I chce zaprosić Justina Pratta.

– Naprawdę? A co na to Caroline?

– Nie sądzę, żeby ją to specjalnie obchodziło. Dom jest duży, ale ja absolutnie zabroniłem jej zapraszać chłopców. – Uśmiechnął się, jakby cieszył się, że ma jednak coś do powiedzenia. – Chociaż to bez znaczenia. Justin dowiedział się już o Ericu i chce jechać do Bostonu.

– Więc mimo wszystko jest jednak jakieś szczęśliwe zakończenie?

Wypowiedziawszy te słowa, Maggie spostrzegła swoją matkę, która właśnie szła korytarzem. Kathleen O’Dell ubrana była w klasyczny brązowy kostium i buty na obcasach, była lekko umalowana i przyciągała wzrok policjantów znajdujących się na korytarzu. Naprawdę dobrze wyglądała. Nie miała w sobie nic z zagubionej duszy,

a jednak Maggie poczuła skurcz w żołądku i napięcie w mięśniach.

– Witam, pani O’Dell – powiedział Tully i wstał. Zaoferował jej swoje krzesło, a ona usiadła obok Maggie, skinąwszy jej tylko głową, i cicho podziękowała Tully’emu.

– Chyba pójdę po kawę – powiedział. – Przynieść też paniom?

– Tak, proszę – rzekła z wdzięcznym uśmiechem Kathleen O’Dell. – Ze śmietanką.

Tully stał i czekał.

– Maggie? Może dietetyczna pepsi?

Podniosła na niego wzrok i pokręciła głową, ale w jej oczach zobaczył wyrazy wdzięczności. Skinął głową i ruszył korytarzem.

– Nie wiem, po co przyszłaś – powiedziała Maggie ze wzrokiem wbitym przed siebie, tak jak matka.

– Przyszłam, bo chciałam tu być, żeby dołożyć od siebie dobre słowo. – Potem, jakby sobie coś przypomniała, postawiła torebkę na kolanach, otworzyła ją i wyjęła kopertę. Zawahała się, uderzając nią o rękę. Odłożyła torebkę. Znowu trzepnęła kopertą o rękę. Wreszcie podała ją Maggie, ledwie na nią zerknąwszy.

– Co to?

– Jak będziesz już gotowa – powiedziała Kathleen łagodnym głosem, przyciągając jej spojrzenie. – To jego nazwisko, adres i numer telefonu.

Skurcz w żołądku Maggie nasilił się. Odwróciła wzrok i położyła kopertę na kolanach. Chciała ją szybko oddać

matce i zapomnieć. A jednocześnie nie mogła się doczekać, żeby ją otworzyć.

– Jak się nazywa?

– Patrick. – Matka uśmiechnęła się z przymusem. – Po bracie Thomasa. Twój ojciec byłby chyba zadowolony.

W tym momencie drzwi sali konferencyjnej otworzyły się. Szef policji Henderson przytrzymał je, a po chwili Julia Racine wyszła na korytarz. Zdumiała się na widok Maggie i jej matki. Miała na sobie odprasowany granatowy garnitur i buty na obcasach, a jasne włosy były elegancko ułożone. Nawet pomalowała usta szminką.

– Agentka O'Dell. Pani O'Dell. – Racine próbowała ukryć zdumienie i starała się być uprzejma. Maggie nie mogła się jednak pozbyć myśli, że czułaby się o wiele lepiej, pytając wprost, skąd się tu wzięły, u diabła. Ale tego ranka była damą. I do diabła lepiej, żeby nią była. Henderson traktował bardzo serio dyscyplinarne przesłuchania.

– Najpierw poproszę agentkę O'Dell – powiedział, wciąż trzymając drzwi.

Maggie czuła, że Racine na nią patrzy. Na pewno zastanawiała się gorączkowo, po czyjej stronie agentka Maggie O'Dell się opowie. Zatrzymała się w drzwiach i spojrzała w pytające błękitne oczy.

– Będzie pani tak dobra i zajmie czymś moją mamę, jeszcze ten jeden raz?

Zaczekała na uśmiech Racine, potem minęła Hendersona i weszła do sali konferencyjnej.

- **[1]** ATF – Bureau of Alcohol, Tobacco, Firearms and Explosives – agencja zwalczająca przestępstwa związane m.in. z alkoholem, bronią i materiałami wybuchowymi, a także terroryzm (przyp. tłum.).
- **[2]** Waco – w stanie Teksas, USA, siedziba sekty Branch Davidian. W lutym 1993 roku agenci ATF zaatakowali ich dom – Mount Carmel Center, oskarżając sektę o nielegalne gromadzenie broni. Po pięćdziesięciu jeden dniach walki od ognia i kul zginęło ok. osiemdziesięciu członków sekty, w tym jej przywódca David Koresh (przyp. tłum.).
- **[3]** Ruby Ridge – w stanie Idaho, USA. W sierpniu 1992 roku rozegrała się tu tygodniowa walka pomiędzy Randym Weaverem, białym rasistą oskarżonym o nielegalne posiadanie broni, a agentami federalnymi. Podczas tych wydarzeń żona i syn Weavera ponieśli śmierć (przyp. tłum.).
- **[4]** FDR Memorial, czyli pomnik Franklina Delano Roosevelta, znajduje się w National Capital Parks-Central w Waszyngtonie. Jest to kompleks muzealno-rekreacyjny z pomnikami prezydentów USA, a także monumentami upamiętniającymi bohaterstwo żołnierzy amerykańskich m.in. podczas II wojny światowej, w Korei i Wietnamie (przyp. tłum.).
- **[5]** Jim Jones (James Warren Jones), 1931-1978 – przywódca sekty religijnej The People's Temple. Głosił rychły koniec świata na skutek wojny nuklearnej oraz ideę Translation, czyli wspólne samobójstwo członków

sekty, dzięki czemu znajdą oni nowe szczęśliwe życie na innej planecie. Z powodu podejrzeń o nielegalną działalność część sekty przeniosła się z USA do Jonestown w Gujanie. Po zamordowaniu senatora Leo Ryana, który przybył do Jonestown, by sprawdzić doniesienia o łamaniu praw człowieka, członkowie sekty popełnili zbiorowe samobójstwo za pomocą trucizny, najpewniej cyjanku (przyp. tłum.).

- **[6]** Tim (Timothy) McVeigh – były wzorowy żołnierz armii USA, uważał się za obrońcę konstytucji i bohatera. 19 kwietnia 1995 roku, używając ciężarówki wyładowanej materiałami wybuchowymi, dokonał głośnego ataku terrorystycznego na biurowiec Alfred P. Murrah Building w Oklahoma City (przyp. tłum.).
- **[7]** Wiersz w tłum. Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału:
The Soul Catcher

Pierwsze wydanie:
Mira Books, 2002

Redaktor prowadzący:
Mira Weber

Korekta:
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

© 2002 by S.M. Kava
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2004, 2008.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-517 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lok.24-25

www.harlequin.pl

ISBN 9788323896784

Konwersja do postaci elektronicznej:
Legimi Sp. z o.o.